

SIMON CLARK

NOC TRYFIDÓW

Night of the Triffids

Przekład Maciej Szymański

Johnowi Wyndhamowi (1903–1969)

1. Ciemność nad światem...

Jeżeli w wiosenny poranek, około dziewiątej, świat wygląda – o ile wierzyć oczom – mniej więcej tak mrocznie, jak o północy w środku zimy, to znaczy, że dzieje się coś bardzo, bardzo niedobrego.

Właśnie w taki poranek obudziłem się rześki i pełen wigoru, gotów na przeżycie nowego dnia. Miałem, jak powiedziałaaby moja matka Josella Masen, „błysk w oku i kitę na baczność”.

Tyle że nie miałem najbledszego pojęcia, dlaczego tak właśnie się czułem. Uniosłem się na łokciu i rozejrzałem po sypialni. Nie było po prostu ciemno. To zdecydowanie zbyt słabe określenie. Światło przestało istnieć. Nie widziałem nic: ani blasku gwiazd za oknem, ani okien domu po drugiej stronie ulicy, ani nawet dłoni, którą uniosłem na wysokość twarzy. Nic.

Tylko ciemność, najczarniejszą z czarnych.

Pamiętam, że pomyślałem: „To po prostu środek nocy. Obudził cię jakiś kocur, któremu zebrало się na amory. Albo starszy mężczyzna z pokoju obok wstał, nie wiadomo po co. Możesz spać dalej”.

Położyłem się więc i zamknąłem oczy.

A jednak coś było nie tak. Wątpliwy dźwięk budzika rozbrzmiewał w mojej głowie z irytującą natarczywością.

Otworzyłem oczy. Wciąż nic nie widziałem.

Podejrzliwie nastawiłem uszu, jak właściciel domu słyszający skrzyp podłogi pod nogą skradającego się intruza.

Byłem najzupełniej pewien, że to środek nocy; nie wątpiłem w to, co widziały moje oczy. Przez okryte zasłonami okno nie dostrzegałem jednak choćby najslabszego przebłysku nadchodzącego świtu... Wreszcie uświadomiłem sobie, że dźwięki, które słyszałem, są bez wątpienia typowe dla wiosennego poranka, gdy słońce stoi dość wysoko nad polami naszej wyspy.

Usłyszałem stukot końskich kopyt i rytmiczne pukanie o bruk laski któregoś ze Ślepców. Potem rozległ się łomot frontowych drzwi i syk wody wylanej na rozgrzany ruszt. Wreszcie dotarł do mnie zapach, który przyćmił wszystkie inne doznania: aromat smażonego na śniadanie bekonu.

Poczułem nagle, że burczy mi w brzuchu. Ukłucie głodu pomogło mi zrozumieć, że ze światem dzieje się coś niedobrego. Coś bardzo, bardzo niedobrego.

W tym momencie moje życie, takie, jakie było przez ostatnich dwadzieścia dziewięć lat, dobiegło końca. Właśnie wtedy, w środę, dwudziestego ósmego maja. Nic już nie miało być jak dawniej.

A jednak żaden żalobny dzwon nie oznajmił światu odejścia starych czasów. I tylko te dźwięki, które nie powinny – ba, nie miały prawa! – rozbrzmiewać, te dziwne odgłosy poranka w samym środku nocy: rzenie konia ciągnącego wóz w stronę plaży, stukanie lasek Ślepców wędrujących na wzgórze, do Domu Matek, głos mężczyzny wesoło żegnającego żonę i spieszącego do pracy...

Leżałem i dokładnie słyszałem wszystkie te dźwięki. I wszystko to zdawało się nie mieć sensu. Gapiałem się w sufit. Gapiałem się przez całych pięć minut, które ciągnęły się w nieskończoność, w nadziei, że moje oczy przyzwyczają się do ciemności.

I nic.

Nic.

Wciąż otaczał mnie mrok, jakby ktoś zamknął mnie w skrzyni i zakopał głęboko w ziemi.

Zacząłem czuć się nieswojo. Niepokój ogarnął szybko całe moje ciało, niczym nagły atak swędzenia, aż wreszcie nie mogłem wytrzymać w łóżku. Usiadłem energicznie i postawiłem stopy na chłodnym linoleum.

Pokój był mi zupełnie obcy; nawet nie miałem pojęcia, po której stronie znajdują się drzwi. Trafiłem w to miejsce przez czysty przypadek – poprzedniego dnia miałem lecieć wodnopłatem w krótką, sześciokilometrową podróż nad oceanem, z Shanklin na wyspie Wight do Lymington na angielskim wybrzeżu, skąd miałem zabrać grupę zaopatrzeniowców.

Zapowiadała się normalna wycieczka jednosilnikową maszyną. Po tylu latach praktyki, w rutynowych wypadach na wielką wyspę, którą nauczyliśmy się nazywać stałym ładem, było nie więcej dramatyzmu niż w codziennej jeździe autobusem do pracy. Niebo było czyste, a spokojne morze wiernie odbijało jego nieskazitelny błękit. Perspektywa łatwego lotu w ten cudowny, prawie letni dzień wprawiła mnie w doskonały humor.

Jednak tak już jest na tym świecie, że los tylko czeka na okazję, by podstawić nogę tym, którym za dobrze się wiedzie.

W chwili gdy minąłem wybrzeże wyspy Wight, dorodna mewa postanowiła zamienić swój ziemski żywot na wieczyste uciechy ptasiego raj. Swój zamiar zrealizowała w bardzo prosty sposób: wlatując wprost w wirnik jedyne go silnika mojej maszyny. Z drewnianego śmigła zostały drzazgi.

Cóż, wodnopłat bez śmigła zachowuje mniej więcej tyle zdolności latania, ile cegła.

Na szczęście zdołałem obrócić dziób samolotu o sto osiemdziesiąt stopni, zanim ze świstem wiatru między wspornikami skrzydeł pomknął ku ziemi.

Łądowanie, zdecydowanie pozbawione walorów estetycznych, wyszło mi mimo wszystko nie najgorzej – to znaczy nie skręciłem karku, gdy mój aeroplan huknął o powierzchnię morza, zaledwie o kilkadziesiąt metrów od plaży.

Na tym skończyła się dramatyczna część tego niefortunnego zajścia. Wkrótce pojawił się kuter rybacki, który wziął mój wodnopłat na hol.

Zakotwiczwszy maszynę w przystani, poszedłem do nadmorskiej wioski Bytewater i przez radio zawiadomiłem bazę, że zostałem strącony przez mewę.

Gdy już wysłuchałem obowiązkowej porcji kpinek i docinków, polecono mi czekać na mechanika z nowym śmigłem, który miał się zjawić następnego ranka. Tymczasem zaś dostałem rozkaz znalezienia sobie dogodnego noclegu.

Najpierw jednak spędziłem dość nieprzyjemną godzinę na usuwaniu ptasiego truchła z zakamarków silnika.

Teraz dopiero widzę, że powinienem był zostawić sobie na pamiątkę choć jedno pióro, jako szczęśliwy talizman, bo ta biedna mewa ocaliła mi życie.

Gdyby nie jej ofiara, nie czytali byście dziś tych słów.

Siedziałem więc na łóżku, a moja sytuacja jakoś nie chciała się zmienić. Oczy wciąż mówiły mi, że jest środek nocy.

Za to uszy i nos informowały dobitnie, że jest już dobrze po wschodzie słońca.

Słyszałem głosy ludzi zaczynających pracę, czyjeś kroki, cały zestaw dźwięków towarzyszących dziennej krzątaninie.

Nagle w oddali rozległ się przejmujący, nieartykułowany krzyk. Pomyślałem, że może jestem mimowolnym świadkiem małżeńskiej kłótni i przez chwilę czekałem nawet na huk zamykanych

z rozmachem drzwi, wyznaczający kres burzliwej wymiany zdań.

Ale głos urwał się nagle.

W tej samej chwili ucichło stukanie laski.

A potem dźwięczny rytm końskich podków zmienił się w bezładną kakofonię, gdy zwierzę rzuciło się do panicznej ucieczki.

Wkrótce jednak i ten odgłos ustał. Zapanowała niemiła cisza.

I jeszcze ta nieprzenikniona ciemność...

Tego było już za wiele.

Jestem pilotem, człowiekiem o stalowych nerwach. Ale ten dziwny mrok wyprowadził mnie z równowagi bardziej, niż mogłoby się wydawać.

Postanowiłem zawołać mojego gospodarza.

– Panie Hartlow? Panie Hartlow?

Czekałem, spodziewając się lada chwila usłyszeć skrzypnięcie drzwi i miły głos pana Hartlowa, mówiącego: „Dobrze już, dobrze, po co te nerwy, Davidzie?”.

Ale pan Hartlow, który po trzydziestu latach od utraty wzroku potrafił poruszać się po domu pewnie jak bystrooki dwudziestolatek, nie pojawił się.

– Panie Hartlow...

Nienasycona ciemność zdawała się pochłaniać mój głos.

Teraz zaczęło mnie ogarniać naprawdę niemiłe uczucie. Potężne. Przemożne. Dziecięce lęki, które dorastając spychamy poza granice świadomości, powróciły z ogromną siłą.

Strach przed ciemnością, kiedy byle cień na ścianie przyjmuje postać bezimiennego potwora, a skrzypnięcie podłogi zwiastuje nadejście szaleńca z okrwawioną siekierą...

W tym momencie rozumiałem, że te lęki nie znikają z wiekiem, a tylko zapadają w stan hibernacji. Wystarczy jednak zbieg okoliczności, by powróciły niczym widmowe ogary skaczące po swoją zdobycz gdzieś z najgłębszych zakamarków umysłu.

Nic nie widzę, ale słyszę ludzi, którzy robią swoje, jakby to był słoneczny dzień, ponieważ...

Poczułem zimny dreszcz, gdy słowa powoli i nieubłagane pojawiały się w mojej głowie. Nic nie widzę, ponieważ... jestem ślepy.

Jako nagle ociemniały osobnik nie miałem pewności ruchów cechującej Ślepców, pozbawionych wzroku przez dziwne zielone światła, które zalały nocne niebo przed trzydziestoma laty.

Byłem więc zapewne żalospną, niezdarnie powłóczącą nogami postacią, kiedy tak błądziłem po pokoju z rękami rozpaczliwie wyciągniętymi przed siebie. Słyszałem już tylko jeden dźwięk: głośnie bicie własnego serca.

– Panie Hartlow... słyszy mnie pan?

Nic.

– Panie Hartlow... Panie Hartlow!

Cisza.

Wyszedłem na półpiętro, niezmiennie spowity w ciemność. Pod nagimi stopami poczułem miękki dywan. Ruszyłem przed siebie, macając dłońmi ścianę okrytą szorstką tapetą. Wkrótce wyczułem drewnianą ościeżnicę i same drzwi.

Nie przestając nawoływać, nacisnąłem klamkę.

– Panie Hartlow? Jest pan tu?

Nie odpowiedział. Mój paniczny, szybki oddech zagłuszył nawet donośne bicie serca, więc cichszych dźwięków nie miałem szans usłyszeć.

Wołając gospodarza po imieniu, otwierałem kolejne drzwi.

Zaczynałem tracić orientację. Nie byłem już pewien, gdzie szukać własnego pokoju.

Więc tak to jest, kiedy człowiek traci wzrok, rozczuliłem się.

Świat niekończącej się nocy...

I wtedy uderzyła mnie złowroga myśl.

Czyżby na niebie znowu pojawiły się te meteory, które przed laty w ciągu jednej nocy oślepiły ponad dziewięćdziesiąt procent ludzi na świecie? W ciągu jednej nocy, którą mój ojciec, Bili Masen, spędził w szpitalnym łóżku po tym, jak tryfid prysnął mu jadem w oczy?

Sięgnąłem pamięcią do poprzedniego dnia.

Poszedłem do łóżka po mile spędzonym wieczorze: słuchałem recitalu pianisty w Radiu Wyspiarzy, gawędząc z panem Hartlowem. Gospodarz nalał mi szklaneczkę lub dwie przedniej, pasternakowej brandy – na rozruch, że tak powiem. Na Boga, nie przypominam sobie, że bym zauważył na niebie jakiegokolwiek dziwne zjawisko.

A może nie trzeba było nawet widzieć tych świetlistych meteorów (jeżeli to one były przyczyną mojego żalostnego stanu); może przemknęły po niebie za dnia, niedostrzeżone przez zajętych pracą mieszkańców wyspy. Czy to możliwe, by ich niewidzialne promieniowanie wypaliło nam nerwy wzrokowe?

Auu...

Właśnie dotarłem do schodów; zidentyfikowałem je ześlizgując się z pierwszego stopnia. Moja stopa zjechała jednak znacznie niżej, zanim zdołałem chwycić się balustrady. I choć uniknąłem niechybnego skręcenia karku, poczułem rwanie w wygiętej nienaturalnie kostce.

Uklucie realnego bólu w jakiś sposób przysłużyło się moim napiętym nerwom. Powstrzymało gorączkową pracę wyobraźni, niestrudzenie i bezwocnie roztrzęsającej tę dziwną sytuację, nakazało przestać uzalać się nad sobą i wreszcie zrobić coś sensownego.

Gdy zszedłem na parter, przystanąłem. Nasłuchiwałem przez moment, czując pod stopami przejmujący chłód kamiennej, kuchennej posadzki.

Nie, wciąż nic nie słyszałem.

Kulejąc lekko, ze skręconą kostką, z wyciągniętymi przed siebie ramionami przemierzyłem kuchnię. Gdy z rozmachem grzmotnąłem palcem stopy o masywną nogę stołka, na parę sekund straciłem zainteresowanie czymkolwiek innym i wygłosiłem kilka słów, których nigdy nie użyłbym w obecności matki, chociaż niełatwo było ją zaszokować.

Znowu dotarłem do muru. Niepewnie, jakby ze ściany lada moment miały wystrzelić zębate szczęki i odgryźć mi palce (o tak, ślepotą wyzwoliła we mnie tabuny najbardziej irracjonalnych wyobrażeń), ruszyłem dalej. Moje dłonie znalazły po chwili zakryte kotarą okno (Ślepcy z przyzwyczajenia zaciągają na noc zasłony). Gwałtownym ruchem pociągnąłem pas grubej tkaniny, łudząc się naiwnie, że kuchnię zaleje kaskada porannego światła.

Westchnąłem ciężko.

Ciemność. Nadal ciemność.

Ruszyłem dalej, dotykając patelni wiszących na hakach, rzędu noży, pęczków suszonych ziół. Ścienny zegar wybijał gdzieś swój ponury, naznaczony piętnem zagłady rytm.

Tik... tak... tik... tak...

Tykanie czasomierza wydało mi się – jakże irracjonalnie – dźwiękiem wyjątkowo nienawistnym.

Tik... tak...

Gdybym tylko dostał ją w swoje ręce, z przyjemnością roztrzaskałbym przeklętą maszynkę o podłogę.

– Panie Hartlow? – zawolałem. – Słyszysz mnie pan? – dodałem nielogicznie. Przecież odpowiedziałby, gdyby słyszał.

Tik... tak...

– Panie Hartlow?

Tik... tak... tik...

Gdy doszedłem do drzwi, natrafiłem ręką na włącznik światła. W tak małej wiosce nie było, rzecz jasna, elektryczności – tak cenne dobro zarezerwowano na użytek warsztatów, szpitali, klinik, urządzeń komunikacyjnych i laboratoriów, takich jak to, w którym pracował mój ojciec. Mimo to niecierpliwie wcisnąłem kontakt. Od razu wiedziałem, że nie używano go od kilkadziesiąt lat – mechanizm zgrzytnął z wysiłkiem.

Światła nie było.

Z racjonalnego punktu widzenia mogłem się tego spodziewać. Lecz jakiś męczący głos w mojej głowie powtarzał bez końca, głośno i wyraźnie, że kuchnię zalały kaskady cudownego, jaskrawego światła. Ale ty go nie widzisz, bo jesteś niewidomy, Davidzie Masenie. Ślepy jak te trzy myszki, co gonili żonę farmera...

Przestań, powtarzałem sobie ostro, próbując powstrzymać falę paniki ogarniającą mnie z niebezpieczną siłą. Przestań wreszcie!

Znowu ruszyłem po omacku wzdłuż ścian. Tym razem zatrzymałem się przy długim blacie.

Zlew. Kuchenka.

Znowu szafka. Talerze i...

Zatrzymałem się.

Kuchenka?

Cofnąłem się najszybciej, jak potrafiłem w kompletnej ciemności i pod kratką, na której stawia się garnki i patelnie, wymacałem palniki. Potem wyczułem kurki, chłodne, okrągłe i twarde pod moimi niecierpliwymi palcami.

Gaz. Tak... właśnie...

Zacząłem szukać po omacku zapalniczki, która musiała być gdzieś blisko.

Po kilku chwilach daremnych poszukiwań zacząłem przeklinać, ale i to nie pomogło.

Domyślałem się, że gdzieś tutaj powinienem znaleźć także świece i lampy – niepotrzebne panu Hartlowowi, rzecz jasna, za to dość przydatne widzącym gościom, których od czasu do czasu zapewne przyjmował.

Biorąc jednak pod uwagę efekty moich poszukiwań, świece i lampy równie dobrze mogły znajdować się po ciemnej stronie Księżycy.

Bezskutecznie wodziłem palcami po stertach talerzy i zanurzałem dłonie w koszykach z warzywami. Możliwe, że cel znajdował się tuż przed moim nosem, tyle że po prostu na niego nie trafiłem.

W końcu jednak uratowała mnie – jakże typowa dla mnie – niecierpliwność.

Znowu odnalazłem kuchenkę.

A raczej przekonałem się, że to kuchenka, kiedy wsadziłem rękę w patelnię z gorącym olejem.

Odkręciłem kurki na przedniej ścianie urządzenia i natychmiast usłyszałem syk bezwonnego metanu, wydobywającego się z palników.

Owszem, może to i prymitywny sposób, ale jeśli zadziała... będę zupełnie zadowolony.

Sięgnąłem w stronę blatu i zlokalizowałem sporą, wystarczająco ciężką patelnię. Uniosłem ją wysoko do góry i mocno uderzyłem o stalową kratkę, spod której ze świstem wydobywał się gaz.

Rozległ się przeraźliwy huk.

Uderzyłem jeszcze raz.

Metaliczny dźwięk znowu ogłuszył mnie na moment.

I wreszcie za trzecim razem – gdy zamachnąłem się patelnią ze wszystkich sił, łamiąc przy okazji drewnianą rączkę – mój plan zadziałał.

Tarcie między dwiema metalowymi powierzchniami wytworzyło pojedynczą iskrę.

W tej samej chwili zapalający się gaz huknął donośnie, a tuż przed moim nosem rozkwitła spora kula ognia.

Cofnąłem się odruchowo, czując na twarzy żar. Przykry zapach podpowiedział mi, że zareagowałem zbyt wolno, by uratować brwi.

Ale mało mnie to obchodziło. Powiem wam nawet, że nie obchodziło mnie to absolutnie nic. A to dlatego, że stało się coś wspaniałego.

Widziałem.

Widziałem w najdrobniejszych detalach pomarańczowożółtą kulę ognia. Wielki płomień znikł równie nagle, jak się pojawił, pozostawiając po sobie tylko cztery kręgi błękitnego światła znaczące otwory dysz palników.

Płomyki nie były specjalnie jasne, lecz gdy ich niebieskawy blask ogarnął całą kuchnię, dostrzegłem zarysy schodów, stołu, radia, a nawet fajkę i torebki z tytoniem pana Hartlowa, leżące na półce przy oknie.

Co ważniejsze, widziałem też zegar na ścianie, winowajcę tego irytującego „tik-tak”. Przez sekundę zdawało mi się jeszcze, że wzrok płata mi głupie figle.

Zegar, jeśli dobrze chodził, wskazywał, że dziesięć minut temu minęła dziewiąta.

Wyciągnąłem rękę, jednym ruchem odsunąłem zasłonę i wyjrzałem na zewnątrz.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że albo popadłem w zdumiewającą odmianę obłądzenia, i wszystko, co widzę, jest produktem mojej chorej wyobraźni, albo nastąpił koniec świata. Za szybą widziałem tylko nieprzenikloną ciemność. Natarczywy głos w moim umyśle nie marnował czasu, szepcząc wytrwale: „Masz rację, Davidzie Masenie. Słońce umarło. To początek wieczystej nocy”.

2. Odwieczny wróg

Uczucie ulgi i radości, że jednak widzę, natychmiast ustąpiło miejsca głębokiemu zdumieniu.

To był majowy poranek, godzina dziewiąta z minutami. Wioska i okoliczne pola powinny być skąpane w dziennym świetle. Tymczasem spowijała je aksamitna czerń, więc... gdzie się podziało słońce?

Przez głowę przemknęła mi myśl, że po prostu nie wzeszło. Czy to możliwe, by w nocy wydarzyła się katastrofa w skali kosmicznej, która wyrzuciła Ziemię z orbity? A może to nasza planeta przestała się obracać i teraz będzie zwracać się ku słońcu zawsze tą samą stroną, tak jak księżyc?

Nie, to zdecydowanie zbyt fantastyczna hipoteza. Taka gigantyczna katastrofa, na przykład kolizja planety z kometą pędzącą z prędkością tysięcy kilometrów na godzinę, wywołałaby olbrzymie fale pływowe, trzęsienia ziemi, a może nawet eksplozje zdolne miażdżyć całe kontynenty.

Tymczasem na wyspie Wight panował doskonały spokój, jak zwykle w wiosenne czy letnie poranki.

Czułem w głowie coraz większy zamęt. Pamiętałem przecież głosy ludzi idących tego dnia do pracy jakby nigdy nic. Pamiętałem rytm końskich kopyt i stuk lasek o chodnik, zamykane drzwi. Ktoś przecież jadł śniadanie – piękny zapach smażonego boczku był chyba wystarczającym dowodem.

Ale dlaczego ludzie zajmowali się swoimi sprawami, jakby to był najnormalniejszy dzień? Jak gdyby świat nie stanął na głowie? Jakby nie znaleźli się nagle w absolutnej ciemności?

Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie jakże proste wyjaśnienie: Bytewater jest kolonią Ślepców.

Skąd mogli wiedzieć, że zabrakło światła?

Mrok przecież nie jest wyczuwalny przez skórę, nie ma żadnej woni ani smaku. Człowiek niewidomy w żaden sposób nie odróżni światła od ciemności. Najwyżej w pogodny dzień promienie słońca sprawiają, że poczuje ciepło. W każdym innym przypadku może polegać wyłącznie na zegarze i słowach tych, którym dar widzenia nie został odebrany.

To dlatego Ślepcy z Bytewater, obudziwszy się w kompletnej ciemności, nieświadomie podjęli codzienne obowiązki, wierząc, że mają przed sobą dzień jak każdy inny.

Patrzyłem przez okno na zatopiony w czerni świat przez bite trzy minuty; wreszcie ocknąłem się z zamyślenia, potrząsając głową. Musiałem coś zrobić; nie mogłem tak po prostu czekać, żywiąc nadzieję, że słońce zniecka powróci na niebo w pełnym blasku. Przede wszystkim musiałem się ubrać.

Tym razem nie miałem problemów ze znalezieniem świecy. Wkrótce światło – to cudowne światło! – rozjaśniło mi drogę powrotną do sypialni.

Włożyłem ubranie i dokonałem szybkiego rozpoznania terenu, ale w żadnym z pokoi nie znalazłem pana Hartlowa. Pomyślałem, że poszedł nakarmić króliki i że z pewnością uznał mnie za wyjątkowego próżniaka, skoro chrapałem w najlepsze, gdy inni pracowali.

Wymieniłem więc świecę na znacznie jaśniejszą lampkę oliwną i wyszedłem z domu. Starannie zamknąłem drzwi wejściowe, dobrze wiedząc, że mój gospodarz nie byłby zadowolony, gdybym pozwolił wszystkim bezpańskim kotom z okolicy buszować po jego kuchni. Potem rozejrzałem się i ruszyłem drogą wiodącą w głąb wyspy.

Lampa rzucała wokół mnie żółtawą poświatę; niewiele znaczącą plamkę jasności w oceanie mroku. Pamiętam to jak dziś: wędrując, myślałem sobie, że to dziwaczne opóźnienie świtu to nic więcej,

jak tylko skutek pojawienia się wyjątkowo grubej i rozległej chmury, która chwilowo przesłoniła słońce i z pewnością wkrótce odpłynie.

Często się zatrzymywałem, by podnieść lampę i rozejrzeć się za którymś ze Ślepców, w nieświadomości doglądających bydła na pastwisku.

Nikogo jednak nie spotkałem.

Wzdłuż drogi wzniesiono białe, drewniane barierki sięgające talii dorosłego człowieka, które miały ułatwić mieszkańcom wioski orientację w terenie. Rozmieszczone tu i ówdzie tabliczki, wypisane brajlem, informowały przechodniów, w którym miejscu powinni skręcić, by dotrzeć do chaty, gospody czy Domu Matek. Ślepcy zawsze poruszali się wzdłuż barierki w ten sposób, by mieć je pod lewą ręką; unikali dzięki temu kolizji z sąsiadami. W gruncie rzeczy przystosowali się do swojego kalectwa tak dalece, że potrafili przemierzać znane sobie terytoria w doskonałym tempie, prawie nie dotykając relingów.

Przyspieszyłem kroku.

W lampce oliwnej brakowało lusterka skupiającego wiązkę światła, toteż poruszałem się w samym środku niezbyt rozległej jasnej plamy. Nie mogłem więc sięgnąć wzrokiem dalej niż na cztery metry.

Kiedy więc natknąłem się na pana Hartlowa, siedzącego samotnie na przydrożnej ławce, byłem mocno zaskoczony.

Pan Hartlow był dobrze zbudowanym mężczyzną po sześćdziesiątce, o gęstych siwych włosach. Dawno, dawno temu mieszkał w Londynie i był doradcą specjalizującym się w prawie autorskim.

Uniosł głowę, choć zatrzymałem się bezszelestnie. Jego wyostrzony słuch musiał wychwycić w ciszy mój oddech.

– Kto tam? – spytał zmęczonym głosem.

– David Masen – odparłem, podchodząc bliżej.

– A, David... Zbliź się, proszę.

Wyciągnął dłoń, a ja uściśnąłem ją na powitanie. Uczępił się mnie drugą ręką z zaskakującą siłą.

– Co się stało, Davidzie? Dzieje się coś niedobrego, prawda?

– Jest ciemno. Tak jakby słońce w ogóle nie wstało.

– Ciemno. Ach, tak... – Głos mu najwyraźniej ochrypl z wyczerpania, tak jakby pan Hartlow właśnie stoczył najcięższą bitwę swojego życia. – Przez moment zastanawiałem się... – rzekł po chwili, potrząsając białą głową – ... zastanawiałem się, czy to te zielone światła wróciły – dokończył, wznosząc niewidzące oczy ku niebu. – Słyszałem krzyki Toma Atkinsona... Znasz Toma, prawda?

Odpowiedziałem, że nie.

– To jeden z niewielu Widzących w naszej wiosce. Jest rybakiem i bodaj najgorszym zrzęda, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Zawsze jest mu za ciepło albo za zimno, albo ryby nie biorą, albo wiatr wieje w złą stronę. Och... – urwał i przez chwilę zdawało mi się, że nagle zapadł w sen, siedząc bez ruchu na ławce. Uniosłem wyżej latarnię i spojrzałem na jego zwieszoną nisko głowę.

– Panie Hartlow?

Zebrał się w sobie.

– Przepraszam... sam nie wiem, co się ze mną dzisiaj dzieje. Potknąłem się i wpadłem w żywopłot, tu, niedaleko. Żeby tak o własną nogę... Na starość robię się niezdarny. Takie rzeczy nigdy

mi się nie zdarzały... – Drgnął, jakby ocknął się ze snu. – Zacząłem mówić o Tomie Atkinsonie, prawda? Otóż słyszałem, jak krzyczał na ulicy, że nic nie widzi. Od razu pomyślałem, że to te przekłete spadające gwiazdy wróciły... te same, które trzydzieści lat temu wypaliły mi oczy. – Hartlow umilkł i odetchnął głęboko. – Wiesz, Davidzie – rzekł po chwili, ściskając mi mocno rękę i zniżając głos do szeptu – znowu poczułem ten strach. Jak wtedy, przed laty, gdy całą noc spędziłem w ogrodzie. Mój Boże... Urządziliśmy z sąsiadami przyjęcie, bo mówiono, że czegoś takiego nie zobaczymy po raz drugi. – Zaśmiał się gorzko. – Nie zobaczymy... Święte słowa. Rano wszyscy byliśmy ślepi. Nigdy więcej nie zobaczyłem też mojej rodziny, choć mieszkaliśmy pod jednym dachem. Słyszałem za to ich krzyki... Wielkie nieba, słyszałem, jak wrzeszczą z przerażenia, tracąc wzrok.

Jego uścisk zacieśnił się jeszcze bardziej. Zwrócił na mnie puste oczy i choć dobrze wiedziałem, że jest jednym ze Ślepców starej daty, przez chwilę wierzyłem, że naprawdę na mnie patrzy i sięga wzrokiem w najgłębsze zakamarki mojej duszy.

– Davidzie... Miałem piękną i inteligentną żonę. Miałem też dwie urodziwe córki, dziesięcio- i trzynastoletnią. Tego dnia... trzydzieści lat temu... nagle wszyscy oślepliśmy. Codziennie stawałem w drzwiach naszego domu i głośno wzywałem pomocy. Przez kolejne trzy miesiące co wieczór słuchałem, jak moja żona i córki zasypiają wyczerpane płaczem. Widzisz, skończyło nam się jedzenie, a więcej nie potrafiłem znaleźć... – Hartlow potrząsnął głową. – Sam siebie nienawidziłem, Davidzie. Byłem zbyt słaby, żeby im pomóc. Dobry Boże, gdybym tylko umiał cofnąć czas... Chciałbym mieć jeszcze raz tę szansę, pomóc im, skrócić cierpienia... bo... – znowu zawiódł go głos.

– Zaprowadzę pana do domu – zaproponowałem łagodnie.

– Może za chwilę. Wiesz, zupełnie opadłem z sił... Co u licha się ze mną dzieje, Davidzie?

– Nie ma powodu do niepokoju, panie Hartlow. To tylko szok po upadku, nic więcej.

– Po upadku w krzaki? Chyba pora umierać, chłopcze.

– Wkrótce stanie pan na nogi, panie Hartlow.

– Być może, Davidzie. Być może. Powiedz no, widzisz gdzieś tego starego marudę, Toma Atkinsona?

– Nie widzę prawie nic. Ta lampka nie daje za wiele światła.

– Jakim cudem mogły nagle zapanować takie ciemności? Nie czuję, żeby zbierało się na deszcz, więc to chyba nie chmury, które...

Uścisk dłoni nagle osłabł, a głowa starszego pana opadła gwałtownie.

– Panie Hartlow?

– Hmm...? Przepraszam, Davidzie. W głowie mi się kręci. Całkiem tak, jakbym wychylił o dwa piwa więcej niż powinienem... Ta ciemność... jak sądzisz, co ją spowodowało?

– Pojęcia nie mam. Może i chmura, ale musiałyby być niewiarygodnie gęsta. Bez lampy nie widziałem nawet dłoni, którą trzymałem przed własnym nosem.

– Taki mrok znakomicie wyrównuje nasze szansę, prawda? – W głosie starca nie było złośliwości; mówił uprzejmie jak zawsze.

– Panie Hartlow, pomogę panu...

Niecierpliwym machnięciem dłoni odtrącił moją rękę.

– Nie, Davidzie. Jeszcze nie – powiedział, biorąc głęboki wdech. – Wiesz, zawsze podejrzewałem, że coś takiego nastąpi. Przez te wszystkie lata siadałem często w chałupie i myślałem sobie o tym nieszczęściu, które spotkało planetę, i o tym, jak ludzie w rodzaju twoich rodziców czy Ivana Simpsona działali cuda, by ocalić tak wielu z nas... i Ślepców, i Widzących... I jak zbudowali

na tej wyspie zaczątki cywilizacji. – Hartlow westchnął ciężko. – No i dawno temu doszedłem do wniosku, że wszystko to strata czasu i daremny trud. Trzydzieści lat temu matka natura, los czy może sam Pan Bóg zdecydował, że człowiek dostatecznie długo władał światem. Podjął więc próbę zmiecienia go raz na zawsze z powierzchni ziemi. I prawie mu się udało. A jednak, dzięki staraniom Masenów i im podobnych, udało nam się oszukać przeznaczenie. Ale powiadam ci, Davidzie – rzekł ostrzegawczo, a ślepe oczy zdawały się przewiercać mnie na wylot – powiadam ci, że Boga okpić nie można. I żadne wysiłki nie zdołają zniweczyć Jego planu. Wszyscy pomrzemy, bo On tak postanowił. Ostatnich dwadzieścia pięć lat względnego spokoju to tylko interludium między dwoma aktami katastrofy, która zniszczy ludzkość. A teraz On – oznajmił starzec, wskazując palcem na niebo – dokończy swoją robotę. Przypomnij sobie biblijną Księgę Wyjścia. Rzekł Pan Mojżeszowi: „Wyciągnij rękę ku niebu, a nastanie ciemność w ziemi egipskiej tak gęsta, że będzie można dotknąć ciemności”. – Oczy pana Hartlowa rozbłysły dziwnie, gdy unióśł dłoń, jakby naprawdę chciał dotknąć otaczającego nas mroku. – We wszystkich kulturach ciemność poprzedza Armagedon. Wikingowie wierzyli, że koniec świata rozpocznie się od połknięcia słońca przez wielkiego wilka, Fenrira. Starożytni Sumerowie pozostawili opowieści o tym, jak niemal wszyscy ludzie na Ziemi zginęli, gdy „światło dnia zmieniło się w ciemność”, a ich bóg „zmiażdżył ziemię jak glinianą skorupę”... Zapamiętaj dobrze moje słowa, Davidzie: to jest początek końca.

– Panie Hartlow... to tylko zmęczenie. Odprowadzę pana do domu.

– Dziękuję, może... Och...

– Co się stało?

– Twarz mnie piecze. Musiałem się podrapać, kiedy upadałem – wyjaśnił, dotykając policzka.

– Zaraz to obejrzę... panie Hartlow... Panie Hartlow?

Głowa opadła mu bezwładnie i musiałem chwycić go za ramię, by nie zleciał z ławki. Tyle że panu Hartlowowi było to już najzupełniej obojętne. Układając go na boku na ławce, instynktownie wiedziałem, że nie żyje.

Zbliżyłem lampę, by przyjrzeć się jego twarzy.

W jej mętnym blasku zobaczyłem jasnoczerwoną pręgę przecinającą policzek staruszka.

Teraz już wiedziałem, co go zabiło.

Przykucnąłem natychmiast plecami do ławki, by znaleźć choćby częściową osłonę. Potem uniosłem latarenkę tak wysoko, jak mogłem i przyjrzałem się okolicznym krzewom i drzewom. Możliwe, że były zwyczajnymi olchami, jaworami, dębami czy kasztanowcami, ale równie dobrze mogły być czymś zupełnie innym. I nieskończenie bardziej niebezpiecznym.

Zrozumiałem, że dla pana Hartlowa nic już nie mogę zrobić. Teraz liczyło się tylko to, żebym jak najszybciej ostrzegł Kwaterę Główną w Newport.

Ruszyłem biegiem, trzymając głowę tak nisko, jak tylko się dało.

Niemal w tej samej chwili zaczęło się bębnienie – głuchy dźwięk drewna uderzającego o drewno. Dźwięk, który potrafiło rozpoznać każde dziecko na wyspie.

Coś zaszeleściło w żywopłocie tuż obok mnie.

Opuściłem głowę jeszcze niżej i przyspieszyłem.

Kilka kroków przed sobą dostrzegłem nagle ciemną sylwetkę leżącego konia. Zwierzę było martwe i zdążyło już zesztynnieć.

Nieco dalej zauważyłem parę rybackich butów sterczących z wysokiej trawy porastającej pobocze. Domyśliłem się, że to Tom Atkinson i jego ostatni połów: srebrzyste ryby wysypały się

z kosza i połyskiwały wśród kamieni.

Bębnienie przybrało na sile. Monotonne stuk–stuk–stuk doprowadzało mnie do szału.

Wreszcie dotarłem do domku, na którym wisiał szyld „Poczta”. Ruszyłem ku niemu sprintem, kątem oka dostrzegając w mroku monstualny cień kołyszący się niepewnie na boki.

Gdy wbiegłem do budynku, mój głos rozniósł się echem.

– Hej! Jest tu kto?

Cisza, równie namacalna jak ciemność.

Wszystko wskazywało na to, że z całej wioski ocalałem tylko ja. Nie wypuszczając z ręki lampki, która rzucała na ściany dziwaczne, rozedrgane cienie, metodycznie przeszukiwałem urząd pocztowy, aż wreszcie znalazłem pokój, w którym zainstalowano radiostację. Kilka sekund później lampy elektronowe urządzenia rozjarzyły się na żółto.

Coś stuknęło w otwarte okno, tuż nad moją głową.

Używając wydanej brajlem instrukcji obsługi nadajnika jako prowizorycznej przyłbicy, skoczyłem w stronę okna i zamknąłem je z rozmachem. Teraz wreszcie mogłem wezwać pomoc.

Wcisnąłem klawisz nadawania.

– Uwaga, zgłaszam nagły wypadek na kanale dziewiątym. Kwatera Główna w Newport, jak mnie słyszycie, odbiór?

Odpowiedziały mi trzaski.

Przez chwilę byłem przekonany, że nikt się nie zgłosi, że się spóźniłem. Najazd na wyspę stał się faktem.

Spróbowałem jeszcze raz głosem drżącym z napięcia.

– Kwatera Główna w Newport, jak mnie słyszycie, odbiór?

– Tu Newport do nadawcy na kanale dziewiątym. Słyszemy doskonale. Proszę zwolnić tę częstotliwość – odezwał się operator znużonym głosem. Wyglądało na to, że miał za sobą długą i ciężką noc.

– Muszę zgłosić nagły wypadek. Odbiór.

– Ciemność? Dziękujemy bardzo, ale już o niej wiemy. – Gość najwyraźniej uznał mnie za głupka. – A teraz proszę się rozłączyć. Spodziewam się raportów o pożarach, więc częstotliwość musi być wolna. Odbiór.

– Do diabła, chyba żartujesz! – krzyknąłem, zapominając o radiowej etykiecie.

– Łaskawy panie, rozumiemy zaniepokojenie ciemnością. Czynniki oficjalne doradzają, żeby zachować spokój. To zapewne wyjątkowo gęsta warstwa chmur, która przesłoniła słońce. A więc proszę się rozłączyć i...

– Nie! Słuchaj mnie! Chcę zgłosić coś innego!

– Proszę mówić – odezwał się po chwili operator, wyraźnie nieprzekonany.

– Nazywam się David Masen i nadaję z Bytewater. Chcę zgłosić pojawienie się tryfidów.

Nastąpiła dłuższa przerwa, wypełniona statycznymi trzaskami w eterze.

Operator z Kwatery Głównej odezwał się wreszcie głosem pełnym niedowierzania.

– Proszę powtórzyć, panie Masen. Zdawało mi się, że użył pan słowa „tryfid”. Odbiór.

Coś huknęło z rozmachem w zamknięte okno.

– Dobrze pan słyszał. I dopóki ktoś mnie nie przekona, że jest inaczej, będę twierdził, że właśnie rozpoczęła się inwazja.

3. Oko cyklonu

Wszystkim kolonistom, nie tylko na wyspie Wight, ale i na wyspach Scilly oraz Normandzkich. Charakterystyczna, wydana w formacie ćwiartkowym, powielaczowa publikacja w jasno-pomarańczowej oprawie natychmiast rzuca się w oczy.

Wraz z *Historią Kolonii* pióra Elspeth Cary oraz filmami dokumentalnymi Matta i Gwynne Lloydów, dziennik ojca utrwalił najważniejsze fakty z codziennego życia osadników. Jest bezcennym zapisem naszych dziejów; opowiada, jak znaleźliśmy się na wyspach-fortecach, gdy cała ludzkość ginęła pod naporem tryfidów – tworów nazywanych niegdyś „cudownymi chodzącymi roślinami”, które stały się przekleństwem człowieka i jego zgubą.

Oczywiście już jako mały chłopiec przeczytałem dziennik ojca. To dziwne uczucie, odkryć nowego Billa Masena, poważnego mężczyznę, a nie tego wesołego, optymistycznie nastawionego do świata, choć czasem zamyślonego tatę, którego znałem od urodzenia.

Nigdy nie sądziłem, że dane mi będzie napisać podobny pamiętnik. Do tej pory moje „pisarstwo” ograniczało się do sporządzania przed lotem notatek dotyczących prognoz pogody, prędkości wiatru i obliczeń nawigacyjnych. Bazgrałem najczęściej na odwrotnych stronach starych kopert i na papierach śniadaniowych, nierzadko zostawiając na nich malownicze odciski tłustych palców. I oto siadam teraz za stołem, a przed sobą mam tuzin czystych notatników. Nerwowo stukam ołówkiem o wargi, marszczę brwi i zastanawiam się, jakim, u licha, sposobem, mam opisać wszystkie te dziwne – niekiedy makabryczne – przeżycia, które wypełniły moje życie od tego pamiętnego poranka dwudziestego ósmego maja, trzydzieści lat po upadku cywilizacji.

Tego właśnie dnia obudziłem się w świecie ciemności i tego dnia tryfidy raz jeszcze dokonały inwazji na naszą – dotąd bezpieczną – wyspę.

Niektórzy powiadają, że powtórny najazd tryfidów akurat w chwili, gdy noc nie zechciała ustąpić pola dniowi, nie mógł być czystym zbiegiem okoliczności. Inni dostrzegali w tym fenomenie coś jeszcze: rękę mściwego Boga. Ja jednak nie potrafię rzucić światła na prawdziwą naturę tych wydarzeń (wybaczcie mi, proszę, niezamierzoną dwuznaczność). Jednak przypomina mi się fragment z książki ojca, w którym rozważał zjawisko globalnej ślepoty dotyczącej ludzkość dokładnie w tym samym czasie, gdy niezliczone stada tryfidów zaczęły uciekać z farm i ogrodów. „Zbiegi okoliczności, rzecz jasna, zdarzają się nieustannie – pisał – ale tylko od czasu do czasu udaje nam się je zauważyć...”

Tak więc, z woli przypadku lub nie, znalazłem się nagle w świecie zupełnie odmiennym od tego, w którym dorastałem.

Wiatr chłodniejszy niż ten, który dotąd znałem, uderza o mury wieży. Upiorne wycie wichru raz po raz przypomina, że choć brak mi wrodzonych zdolności pisarskich, mam za to mnóstwo czasu na uwiecznienie tej długiej historii.

A zacznę od samego początku...

Moje dzieciństwo było idylliczne. Dorastałem pośród zielonych równin i wzgórz wyspy Wight, skrawka żyznej ziemi, ledwie sześć tysięcy lat temu oddzielonego od stałego lądu, gdy morskie wody zalały dolinę znaną dziś jako Solent. Od tamtej pory wyspa była domem dla barbarzyńskich myśliwych, rzymskich osadników, którzy zwali ją Vectis, i wreszcie mekką dla wiktoriańskich wczasowiczów. Był wśród nich sam lord Tennyson, który twierdził, że „powietrze Downs warte jest sześć pensów za pintę”. Ostatnio zaś znalazła tu schronienie garstka uciekinierów z całej Brytanii. Sam się dziwię, że

zapamiętałem tyle faktów z lekcji historii, na których pan Pinz–Wilks tak bardzo starał się wtłoczyć w moją głowę choć odrobinę akademickiej wiedzy. Podejrzewam nawet, że sam pan Pinz–Wilks (który z pewnością udał się już po Wieczystą Nagrodę) byłby zdumiony. Pamiętam przecież, ile razy w rozpaczy wznosił ku niebu niewidzące oczy. Niestety, mój umysł gromadził fakty historyczne mniej więcej tak skutecznie, jak sito gromadzi wodę.

Mieszkałem w samym sercu wyspy Wight i dzieliłem obszerny dom w malowniczej wiosce Arretton (liczącej czterdziestu trzech mieszkańców) z matką, ojcem i dwiema młodszymi siostrami.

Do pierwszego dramatycznego wydarzenia w moim życiu doszło dość wcześnie – miałem wtedy ledwie pięć lat i wraz z pozostałymi dziećmi z grupy zabrano mnie na poranny spacer po rozległej plaży. Bawiąc się beztrąsko w piasku, nie wiedziałem, że natura jest tego dnia w kapryśnym nastroju. Ze spokojnego błękitnego morza przyplęnęła nagle gwałtowna fala, która porwała mnie z plaży niczym szmacianą lalkę i przetoczyła po piachu, by, wracając, wciągnąć pod wodę. Wyobrażam sobie zrozpaczoną przedszkolankę, która, stojąc po kolana w wodzie, krzyczy z przerażenia, widząc, jak szybko znikam w odmętach. Naturalnie nie pamiętam, co się wtedy stało. Przypominam sobie tylko jeden szczegół: pod wodą otworzyłem oczy i zobaczyłem bąbelki powietrza wokół mojej twarzy oraz słońce, świecące zdradziecko nad powierzchnią morza. Byłem zbyt mały, by umieć pływać. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi powinienem był utonąć. Spokojnie szedłem na dno, jakbym mimo młodego wieku pogodził się z tym, że mój los spoczywa nie w moich rękach, lecz boskich. Zanurzałem się coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie przestałem dostrzegać światło słoneczne i ogarnęła mnie ciemna morska zieleń.

Tymczasem na brzegu moja opiekunka zapewne odchodziła od zmysłów, nie wiedząc, jak przekazać rodzicom ponurą wiadomość. Jakiś rybak podjął się wyłowienia mojego ciała. Gdy pół godziny później zawracał w stronę plaży, inny mężczyzna czekał już ze starym płaszczem, w który zamierzał owinać moje doczesne szczątki.

Kiedy jednak łódź minęła piaszczysty cypel, kierując się ku przystani, ludzie zgromadzeni na plaży zaczęli wznosić radosne okrzyki. Zobaczyli bowiem, że o własnych siłach stoję na dziobie, macham do nich rękami i śmieję się, jakbym dopiero co przeżył niezwykle radosną przygodę.

Rybak, małowówny człowiek o kamiennej twarzy, odezwał się do przedszkolanki:

– Znalazłem go, ale delfin był szybszy. Utrzymał chłopca na powierzchni, póki się nie zjawiłem.
– Po chwili dodał jeszcze niezbyt zrozumiały dla mnie komentarz: – Moim zdaniem dzieciak przeżył nie przypadkiem. Ale czy wyniknie z tego coś dobrego, to już zupełnie inna sprawa.

Gdy tylko osiągnąłem stosowny wiek, zacząłem zapuszczać się na porośnięte makami pola, poznając okolicę i poszukując Mantun.

Taką właśnie nazwę nadałem wymyślonemu zaginionemu miastu – produktowi dziecięcej fantazji, który nieustannie zdumiewał moich rodziców. W dżdżyste dni lub po prostu wtedy, gdy naszła mnie ochota, zamykałem się w swoim pokoju, chwytalem ołówek i rysowałem miasto pełne budynków smukłych niby bambusowe laski. Kiedy rodzice pytali, co rysuję, odpowiadałem: „Mantun”. Moja wyobraźnia była wtedy młoda i wyjątkowo bujna. Jej wytwory, tak dla mnie miłe, innych wprawiały w konsternację.

Ojciec pracował zwykle w domu, a ściślej w szklarniach i laboratorium. Starannie pielęgnował tryfidy, by potem równie starannie dokonywać ich sekcji. W wieku pięciu czy sześciu lat często obserwowałem, jak miesza składniki odżywcze i łączy je z wodą w konewce, którą zraszał rośliny.

Czasami gładził ich liście, jak głaszczkę się kota, i przemawiał do nich cichutko, jakby były jego najlepszymi przyjaciółmi.

Przez długi czas sądziłem, że po prostu kocha rośliny, że są dla niego prawie członkami rodziny. Byłem więc zszokowany, gdy, mając osiem lat, dowiedziałem się, że pracuje nad środkiem, który ma służyć do zabijania tryfidów. To było naprawdę zdumiewające przeżycie. Zdziwiłem się jednak jeszcze bardziej, kiedy ojciec oświadczył, że nie zadowolili go wybitnie tryfidów, które hodował w szklarniach, ale zamierza unicestwić wszystkie, na całym świecie. Przyglądając siwiejące włosy, opowiadał mi o defoliantach, hormonach wzrostu, degeneracji komórek, inhibitorach zapylania i zmutowanych odmianach tryfidów, w stu procentach pozbawionych zdolności rozmnażania się.

Słuchając tego wykładu, zdumiałem się jeszcze mocniej. Była to dla mnie, jak to się kiedyś mówiło, kompletna chińszczyzna.

W końcu pociągnąłem go za rękaw laboratoryjnego kitla i zażądałem, by poszedł ze mną puszczać latawiec. Jak zwykle w takich przypadkach, uśmiechnął się szeroko i powiedział: – Daj mi dziesięć minut. Spotkamy się na górce. Tak, już wtedy ojciec powinien był się domyślić, co mnie czeka w przyszłości. Brak zrozumienia botaniki i zerowe nią zainteresowanie plus niechęć do typowej wiedzy akademickiej nie dawały mi szansy na pójście w jego ślady, czyli na karierę biologa.

Ojciec bez wątpienia marzył o tym, bym kontynuował jego pracę, czyli poświęcił się poszukiwaniu skutecznego środka przeciwko tryfidom. Lecz choć bardzo go kochałem, choć ze wszystkich sił starałem się opanować niepojęty język tej nauki i bizantyjską złożoność systemu probówek, retort i palników Bunsena, moje mierne osiągnięcia wciąż zbijały go z tropu. „Sprawiały mu zawód” byłoby chyba określeniem zbyt mocnym.

Prawda była bowiem taka, że Bili Masen kochał swoje dzieci. Pozwalał nam rozwijać własne zainteresowania i ani przez chwilę nie pragnął stworzyć z nas wiernych kopii jego samego czy też matki (choć moja siostra Lissabeth odziedziczyła po niej talent literacki oraz przewrotne upodobanie do szokowania, na przykład pikantnymi historyjkami miłosnymi, które opublikowała w „Freshwater Review” w czasach, gdy, jak mawiała jej wychowawczyni, „powinna być rumieniącą się siedemnastolatka”).

Ostatecznym dowodem mojego kompletnego braku talentu do pracy laboratoryjnej były wydarzenia pewnego wtorkowego popołudnia, gdy wróciwszy ze szkoły, „pomagałem” ojcu w robocie. Miałem wtedy dwanaście lat. Udało mi się całkiem nieświadomie sporządzić wybuchową mieszankę z tak dobrze znanego, różowego oleju tryfidowego w stanie surowym, zmieszanego z równą porcją spirytusu drzewnego. Ojciec kazał mi wtedy odstawić szklaną zlewkę w ciepłe miejsce, żeby alkohol wyparował. Wpadłem na genialny pomysł: aby przyspieszyć proces, umieściłem naczynie nad palnikiem Bunsena.

A potem usiadłem, by napawać się widokiem swojego dzieła, dziwiąc się własnej bystrości.

Eksplozja, która nastąpiła chwilę później, była równie efektowna jak głośna. Słyszały ją podobno nawet Matki z posiadłości Arretton. W kuli ognia straciłem większość włosów, a przy okazji – na stałe, jak się okazało – posadę dochodzącego asystenta w laboratorium ojca.

Włosy na szczęście odrosły, choć pośrodku kruczoczarnej czupryny pojawiła się jasna plama, której zawdzięczam idiotyczne szkolne przezwisko „Śnieżynek” – skręcało mnie ze złości, kiedy ktoś mnie tak nazywał.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy doszło do eksplozji, ojciec (z pomocą bardziej kompetentnych asystentów) zdołał doprowadzić laboratorium do względnego porządku i wieczorem zajrzał do mojego pokoju. Stał nade mną, trzymając świecę, która rzuciła drżącą poświatę na jego siwiejące włosy.

Przez chwilę przypatrywał się z uwagą mojej zabandażowanej głowie, myśląc, że śpię. Usłyszałem ciężkie westchnienie.

Spodziewałem się, że za chwilę wygłosi dobitny opis mojego kompletnego braku talentu i rozwagi.

Wreszcie jednak zrozumiałem, że przede wszystkim dziękuje Bogu, iż wybuch nie urwał mi głowy. W końcu doktor Weisser solidnie się napracował, wyciągając z mojej twarzy pół tuzina odłamków szklanej zlewki.

Ojciec troskliwie okrył mi ramiona kocem i czule chwycił mnie za rękę.

– Nie chciałem zrujnować ci laboratorium, tato.

– Przepraszam, Davidzie. Obudziłem cię?

– Nie. Nie mogę zasnąć.

– Boli?

– Nie bardzo – odparłem tak dzielnie, jak potrafiłem. – Tylko trochę szczypie wokół oczu.

– Nie martw się. Lekarstwo od doktora Weissera powinno cię znieczulić. Pomoże też zasnąć.

– Uda ci się naprawić laboratorium?

– Oczywiście – odpowiedział ze śmiechem, stawiając świecę na stoliku. – Przez parę godzin usuwaliśmy skutki tego, czego udało ci się dokonać w ciągu dwóch sekund, ale już wszystko w porządku. Zdołaliśmy też ściągnąć trochę nowego sprzętu, więc laboratorium jest nie tylko takie jak dawniej, ale nawet lepsze.

– Chyba nie będziesz miał ze mnie pożytku, prawda, tato? Może Lissabeth albo Annie lepiej nadają się na asystentki...

– Nie przejmuj się. Najważniejsze, że jesteś cały. O włosy też się nie martw, odrosną.

– Może nie jestem stworzony do pracy naukowej? – powiedziałem, siadając na łóżku. – Może powinienem pomyśleć o innej karierze?

Tata uśmiechnął się, a wokół jego niebieskich oczu pokazały się drobniutkie zmarszczki.

– Mój ojciec, świeć Panie nad jego duszą, był księgowym w czasach, gdy w Zjednoczonym Królestwie działała niezbyt lubiana instytucja zwana Skarbem Państwa. Był najzupełniej przekonany, że pójdę w jego ślady, by kontynuować, jak mawiał, „rodzinny interes” – rzekł, z uśmiechem kręcąc głową.

– Niestety, nie radziłem sobie zbyt dobrze z liczbami.

– Tak jak ja nie radzę sobie z próbkami i z całą resztą?

– Właśnie. Całkiem niezłe szło mi liczenie na palcach, ale kiedy ktoś kazał mi podzielić sto dwadzieścia jeden przez siedem, żałośnie drapałem się po głowie i rozpaczliwie przebierałem palcami. Ojciec nigdy mnie nie krytykował, widząc, jak kiepsko sobie radzę z jego arytmetycznymi zagadkami. Po prostu obserwował mnie i tylko stopniowo coraz bardziej czerwieniał na twarzy. A jednak jakoś znalazłem swoje miejsce w życiu. Musisz więc, synku, uwierzyć komuś, kto zna problem z własnego doświadczenia... *experto crede*, jak powiedział pewien rzymski dżentelmen. Pewnego dnia i ty znajdziesz swoje, jeśli tylko...

W tym momencie urwał, bo po raz pierwszy tak naprawdę zauważył, co przepełniało mój pokój. Na ścianach wisiały zdjęcia aeroplanów i sterowców, a po kątach walały się modele w różnych fazach budowy – od surowych szkieletów po starannie wykończone miniatury samolotów, wyposażone w maleńkie silniczki i pokryte cienkim jak chusteczka papierem utwardzonym przez modelarski lakier. Pod sufitem wisiał na wędkarskich żyłkach imponujący, pomalowany truskawkową czerwienią

dwupłatowiec, który z powodzeniem przeleciał z naszego sadu nad Domem Matek aż na dalekie pola po drugiej stronie Downend. W rozmaitych zakamarkach przechowywałem też latawce, schematy konstrukcyjne, książki o lotnictwie, a nawet czasopisma specjalistyczne, wydrukowane jeszcze przed końcem Starego Świata. Na stole pod oknem stał przedmiot mojej szczególnej dumy – samolot raketowy ze sklejki, własnej konstrukcji, o ponad dwumetrowej rozpiętości skrzydeł.

Ojciec patrzył na to wszystko, jakby łuski opadły mu nagle z oczu i zobaczył moje królestwo pierwszy raz w życiu (choć matka często skarżyła mu się na stan mojego pokoju).

Dla mnie i dla ojca był to moment, w którym – jak się to niegdyś mówiło – zrozumieliśmy się bez słów.

Stało się oczywiste, że chcę zostać pilotem.

Byłem naturalnie zbyt młody, by od razu rozpocząć kształcenie w tym kierunku i szukać zatrudnienia w szczałkowej flocie powietrznej naszej wyspy, ale ziarno zostało zasiane. Oczami wyobraźni widziałem się już za sterami odrzutowca, jak bujam w chmurach ponad ziemią.

Ojciec zachęcał mnie, abym przeszedł od marzeń do praktyki. Podsuwał mi nowe książki i czasopisma, a także udostępnił swój warsztat, w którym mogłem odtąd składać moje ukochane modele. Wykazał dużo rozsądku, wybierając akurat to miejsce, bo znajdowało się w przyzwoitej odległości od domu. Myślę, że wpadł na ten pomysł wkrótce po tym, jak odkrył, że paliwem dla mojego samolotu raketowego jest pokaźna ilość prochu strzelniczego, który przechowywałem pod łóżkiem w puszcze po herbatnikach. Zapewniam, że nieraz osmaliłem sobie młodzieńczy wąsik, testując raketowy napęd potężnego modelu...

Jednocześnie zaś nabrałem nieco większego entuzjazmu do nauki, odkąd się przekonałem, że muszę zdobyć przynajmniej podstawowy zasób wiedzy teoretycznej, zanim zapiszę się na kurs pilotażu.

Jednym z najważniejszych przedmiotów naszej nauki była wiedza o tryfidach: o ich pochodzeniu, cyklu życiowym, zaletach i zagrożeniach z ich strony.

W pierwszych latach po założeniu naszej kolonii zdecydowanie demonizowano te niezwykle rośliny. Uważano je za głównych winowajców upadku Starego Świata, który dokonał się w połowie tak zwanego dwudziestego wieku. Mówiono wyłącznie o tym, jakie to podstępne istoty, jak bardzo trzeba bronić wyspy przed nimi i jak należy je niszczyć.

Z czasem pojawiły się jednak bardziej wyważone opinie. Dzięki ironii losu, która zachwycałaby każdego satyryka, uzależniliśmy się od oleju tryfidowego, z którego dziś wytwarza się paliwo, karmę dla zwierząt i pięćdziesiąt innych produktów. Tak czy owak, od dziecka uczono nas rozpoznawać tryfidy.

Jako syn światowej sławy eksperta od tryfidów, Billa Masena, zawsze mogłem spodziewać się po nauczycielach najtrudniejszych pytań z tej dziedziny – zupełnie jakby wiedza przechodziła z ojca na potomstwo genetycznie, czy może raczej (używając bardziej botanicznej terminologii) poprzez tajemniczy proces osmozy. Ludzie!

– Masen – mawiał pan Pinz–Wilks spod gęstwiny wąsów grobowym głosem człowieka o klasycznym wykształceniu – zechciałbyś opisać klasie budowę morfologiczną tryfida?

Pytanie to stawiano nam do znudzenia, jakby nie dość, że na ścianach wisiały niezliczone plansze przedstawiające tę dziwną roślinę.

– Dorosłe okazy mierzą do dwóch i pół metra wysokości – recytowałem jak papuga. – Ze zdrewniałego, bulwiastego pnia wyrasta prosta łodyga; na jej końcu znajduje się lejkowaty kielich zawierający lepłą substancję. Zwabione do niej i uwięzione owady są pokarmem rośliny; po uprzednim rozpuszczeniu są rozprowadzane wraz z sokami po całej łodydze. Liście tryfida są zielone i skórzaste.

Dorosła roślina ma zwiniętą spiralnie wic, przypominającą wielki świński ogon... – w tym miejscu klasa wybuchała śmiechem, a ja posyłałem kumplom szelmowski uśmiech. – Wic może się rozwijać z wielką prędkością i uderzać w większą zdobycz... eee... uuu...

– Co jeszcze, Masen?

– Eee... Żądło na końcu wici zawiera truciznę. Uklucie w nieosłoniętą część ciała może być śmiertelne dla człowieka.

– A także dla krowy lub konia. Jeszcze jakieś perły mądrości, Masen?

Wiedziałem, że moja kwestia nie robi na panu Pinz–Wilksie najmniejszego wrażenia. Zaczynałem nerwowo przestępować z nogi na nogę.

– A może byś zaczął od pochodzenia tej rośliny, Masen? Czy znano ją, gdy cesarz Klaudiusz podbił Wyspy Brytyjskie w roku czterdziestym trzecim naszej ery? Czy możemy przyjąć, że jej odkrycie opisywały na pierwszych stronach rzymskie *Acta Diurnal*

– Nie, proszę pana.

– A może pojawiła się na naszej planecie wprost z kosmosu, podróżując cichcem na ogonie komety?

– Nie, proszę pana. Eee... Przyjmuje się, że tryfidy zostały stworzone przez Rosjan podczas drugiej wojny światowej.

– Zgadza się, Masen. Jako hybryda wielu gatunków roślin. Ale czy nie powinieneś przypadkiem odwiedzić lekarza?

– Słucham? – jęknąłem, kompletnie skołowany.

– Ach, po prostu zauważyłem, że wydajesz dziwnie zbolale jęki. Podejrzewam, że zaatakowała cię jakaś groźna choroba.

Moje zmieszanie tylko się pogłębiło. Legendarne dowcipy mojego nauczyciela bywały często równie nieprzeniknione, jak sarkastyczne.

Jak już mówiłem, botanika należała do najslabszych punktów w moich i tak nieszczęśliwych osiągnięciach naukowych. W takich momentach pan Pinz–Wilks zwykle nieomylnie wskazywał białą łaską na innego, lepiej przygotowanego ucznia i kazał mu kontynuować temat.

– Tryfid, czy raczej *pseudopodia*, potrzebuje dwóch lat na wykształcenie podobnej do bicza wici, którą skutecznie razi zdobycz z odległości od trzech do pięciu metrów. Jedynym ratunkiem dla osób zaatakowanych przez roślinę jest natychmiastowe podanie odtrutki poprzez wstrzyknięcie w tętnicę szyjną. Najbardziej niezwykłą cechą, odróżniającą tryfida od innych roślin, nie jest jednak mięsożerność, bo takie skłonności wykazuje choćby muchołówka, lecz jej zdolność chodzenia. Tryfid porusza się dzięki trzem tępo zakończonym wyrostkom w dolnej części pnia. Początkowo mylnie uznawane za korzenie, wyrostki te podpierają ciało rośliny, unosząc je mniej więcej na wysokość trzydziestu centymetrów nad ziemią. Tryfid porusza się podobnie jak człowiek chodzący o kulach. Dwie „nogi” przesuwają się do przodu, po czym roślina nachyla się do przodu, by z rozmachem dostawić do nich trzecią kończynę. Przy każdym kroku cała łodyga wykonuje gwałtowne ruchy do przodu i do tyłu, przez co, jak pisał biolog William Masen, „obserwowanie tryfida w ruchu może przyprawić o chorobę morską”. Roślina maszeruje z prędkością podobną do idącego człowieka.

– Doskonale, Merryweather. Doskonale. Chciałbyś dodać coś jeszcze?

– Z tryfidów uzyskujemy olej, który poddajemy rafinacji, by wytworzyć paliwo i składniki niektórych leków. Z włókien łodygi produkujemy liny, a zmielone szczątki roślin nadają się na paszę.

– Świetnie.

– Tryfid może emitować dźwięk przypominający grzechotanie, uderzając małymi, pałeczkowatymi odrostami o główną łodygę. William Masen uważa, że może to być sposób nawiązywania łączności z innymi osobnikami, lecz jak dotąd tej hipotezy nie podparto żadnymi dowodami.

– Doskonale, Merryweather. Siadaj. A teraz przejdźmy do historii, tej wspaniałej historii...

Irytowało mnie czasami cytowanie prac mojego ojca, całkiem jakby był od dawna nieżyjącym naukowcem, ale najczęściej po prostu nie słuchałem popisujących się wiedzą kolegów. Woląłem z rozmarzeniem gapić się przez okno na płynące po błękitnym niebie lekkie jak piórka chmury. Wyobrażałem sobie, że siedzę w kokpicie samolotu, nasłuchując pięknego, basowego pomruku pary silników typu Merlin i czując w dłoni, zaciśniętej na drążku sterowym, wibracje równo pracujących cylindrów. Tak... Zdecydowanie miałem we krwi pociąg do przygody.

Młodzieńcze marzenia pozwalały mi znaleźć się bardzo daleko od szkolnych sal, w świecie niezmiernie odległym od bezpiecznego, ale i nudnego wyspiarskiego domu.

Skoro już mowa o domu, chętnie pomogę ewentualnym czytelnikom mojej opowieści poznać podstawowe fakty dotyczące naszej wspólnoty. Gdy moja rodzina przybyła na wyspę Wight, czyli mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu, po dramatycznej ucieczce z Shiring w pustoszonej przez tryfidy Anglii, na wyspie mieszkało zaledwie kilkuset ludzi.

Liczebność kolonii zaczęła jednak szybko i stale rosnąć, bo napływało do niej coraz więcej uchodźców z Republiki Irlandii, z ziem brytyjskich, a nawet z kontynentu, gdzie hordy tryfidów nacierające z rosyjskich stepów pędziły niedobitki Europejczyków na zachód aż do brzegów Atlantyku.

Najliczniejsze kolonie przetrwały na Wyspach Normandzkich, wyspie Wight i co większych wyspach u wybrzeży Szkocji. Wysuniętym najdalej na północ przyczółkiem cywilizacji są w tej chwili Wyspy Owcze. Brytania i cała Europa właściwie nie nadają się do zamieszkania. Rozległe lasy tryfidów pokrywają większość dawniejszych otwartych przestrzeni, a nawet ulice miast.

Dzięki lotom zwiadowczym i nasłuchowi radiowemu dowiedzieliśmy się o istnieniu kilku niedużych społeczności trzymających się ostatkiem sił na stałym lądzie w stanie permanentnego oblężenia przez tryfidy. Jeśli nie liczyć Federacji Zachodnioeuropejskiej, wspólnoty rozsiane po różnych częściach świata są jednakowo słabe. Wiele z nich przegrywa walkę z tryfidami, z naturalnymi kataklizmami, chorobami, głodem, a nawet – o dziwo – wojny z sąsiednimi enklawami.

Większość światowej populacji przestała istnieć w ciągu paru miesięcy pierwszego roku po katastrofie. Szacuje się, że obecnie Ziemię zamieszkuje nie więcej niż milion mężczyzn, kobiet i dzieci, z czego mniej więcej jedną trzecią stanowią niewidomi.

Biorąc pod uwagę tak katastrofalny spadek liczby ludności planety, nie należy się dziwić, że rada naszej wyspy tak wielką wagę przywiązuje do ponownego jej zaludnienia. Tych kilka setek osadników, którzy zasiedlili wyspę Wight przed laty, w żaden sposób nie mogło w pełni wykorzystać ponad dwustu kilometrów kwadratowych wolnej przestrzeni.

Kobiety w wieku rozrodczym zachęcano więc, by rodziły tyle dzieci, ile tylko mogły – sześcioro uważano za minimum. Bywało jednak i tak, że matka natura podejmowała decyzję w imieniu potencjalnych matek.

Moja rodzicielka, na przykład, straciła szansę na powiększenie rodziny po cesarskim cięciu przy narodzinach mojej najmłodszej siostry (co oznacza, że wydała na świat tylko troje dzieci).

Najbardziej radykalnym posunięciem było stworzenie Domów Matek. Ja, dzieciak wychowany w kolonii, niemający zielonego pojęcia o moralnych i towarzyskich konwencjach Starego Świata, nie

dostrzegałem niczego niepokojącego w tej rewolucyjnej koncepcji.

Jednak dwadzieścia pięć lat temu, gdy dyskutowano o niej po raz pierwszy, wielu rozwścieczonych kolonistów opuściło wyspę i udało się na Jersey i Guernsey, gdzie ponoć trzymano się nieco bardziej konserwatywnych zasad. A o co właściwie chodziło w planach naszej Rady? O to, by zachęcać (niektórzy mówią: nakłaniać, inni: przymuszać) młode, niewidome kobiety do tego, by zostawały zawodowymi matkami.

Początkowo zakładano, że każdy widzący mężczyzna oprócz obdarzonej wzrokiem żony będzie mieć „harem” niewidomych kobiet.

Zgroza!

A jednak pomysł się przyjął.

Ostatecznie stanęło na tym, że Matrony (starsze kobiety, w większości ociemniałe i niezdolne już do rodzenia dzieci), opiekujące się zawodowymi matkami, zajęły wraz z nimi niektóre duże rezydencje, rozsiane po całej wyspie. Od razu jednak zastrzegły, że te minispoleczności, choć rządzone demokratycznie, muszą obywać się bez jakiegokolwiek pomocy mężczyzn – w sensie administracyjnym, rzecz jasna; medycyna nie osiągnęła jeszcze takiego poziomu, by samica naszego gatunku mogła się rozmnażać bez choćby symbolicznego udziału samca.

Krótko mówiąc, Domy Matek stały się samorządnymi wspólnotami kobiet, które poświęciły się wydawaniu na świat potomstwa płodzonego przez mężczyzn, których same wybierały. W niedługim czasie sale wiejskich rezydencji zapęłniły się noworodkami. Pobliskie budynki zamieniono w żłobki i przedszkola, a z czasem, gdy dzieci podrosły, pojawiły się również szkoły. Koncepcja Domów Matek bez wątplenia przyjęła się na dobre. Muszę przyznać, że mam do tych miejsc nadzwyczaj ciepły stosunek – podoba mi się ich radosna atmosfera, choć nieco przytłacza hałas. Roi się w nich od szczęśliwych i zdrowych dzieciaków, dla których każdy malec w Domu jest bratem lub siostrą, a każda kobieta – matką.

To wszystko zaskoczyło Radę: wbrew obawom nie doszło do powstania gett dla nieszczęsnych, niewidomych kobiet, które nie mogły znaleźć męża. Matki zaczęto traktować z podobnym szacunkiem i podziwem jak zakonnice ze Starego Świata. Ich pozycja stała się tak mocna, że wiele widzących dziewcząt, urodzonych już na wyspie, decydowało się na wstąpienie do któregoś z Domów; od czasu do czasu, przy wyjątkowych okazjach, „oślepiały się”, zasłaniając oczy opaską.

Starsi członkowie naszej społeczności, szczególnie ci bardziej konserwatywni, krytykowali cichcem instytucję Domów Matek. Nazywali ich mieszkanki „cholernymi zbuntowanymi zakonnkami”, a ich siedziby „Matkowymi Wzgórzami” i nie kryli, że uważają Domy za gniazda rozpusty. Nic bardziej błędnego. Może to dziwne, ale większość ludzi uważa Matki za osoby nadzwyczaj czystych obyczajów (choć każda z nich może być matką choćby i dziesięciorga dzieci pochodzących od dziesięciu różnych ojców). Domy Matek nie pasożytują też – choć mogłoby się tak wydawać – na bardziej produktywnej części naszej wspólnoty. Wręcz przeciwnie, w krótkim czasie stały się „eksporterami” wielkiej różnorodności dóbr. Mój dawny nauczyciel, pan Pinz–Wilks, którego podejrzewałbym raczej o przekonanie, że jedyna cywilizacja warta wzmianki upadła z chwilą odejścia ostatniego cesarza, wyrażał się o nich nadzwyczaj pochlebnie. Uważał, że Matki są ziemskim wcieleniem antycznej postaci Artemidy, czczonej nie tylko jako bogini łowów, ale także jako symbol pozornie sprzecznych wartości: czystości i macierzyństwa.

System Domów Matek sprawdził się doskonale.

Przyrost naturalny utrzymuje się do dziś na stabilnym, wysokim poziomie. Dzięki Matkom

i stałemu napływowi imigrantów wyspę Wight zamieszkuje dziś ponad dwadzieścia sześć tysięcy ludzi, czyli jedna czwarta populacji sprzed roku pierwszego.

Przyznacie, że biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, to wcale niezły wynik.

W życiu każdego młodego człowieka przychodzi czas, gdy musi po raz pierwszy porozmawiać z ojcem nie jak dziecko z rodzicem, lecz jak mężczyzna z mężczyzną. Na równych prawach.

W moim przypadku do takiej rozmowy doszło zaledwie na kilkanaście godzin przed tym feralnym porankiem dwudziestego ósmego maja, gdy świat pograżył się w ciemności.

Zaczęła się tak samo jak wiele innych pogawędek z ojcem. Przysiedliśmy na chwilę w szklarni, wśród istot, które tak mocno i nierozdzielnie wplotły się w jego życie.

– W blaszanym czy w porcelanowym? – spytał, nalewając kawy z termosu do dwóch kubków stojących na stole laboratoryjnym.

– W blaszanym.

– Słuszny wybór. – Ojciec ze smutkiem pokręcił głową. – Och, na aromaty kolumbijskiej kawy albo tej łagodnej, kenijskiej... Żołędzie. Cokolwiek z nimi zrobimy, nigdy nie dorównają smakiem prawdziwej kawy – westchnął, napełniając fajkę porcją jasnobrązowego tytoniu z Jersey. W zamyśleniu przyglądał się liściom tryfidów, rosnących rzędami w ceglanych korytach. Przez szklane ściany sączyło się łagodne światło. Rośliny, pozbawione trujących wici, przykuto łańcuchami do podłoża, by nie uciekły. Co pewien czas sprawdzały jednak, czy kajdany mocno trzymają, więc ciszę dość często przerywało dzwonienie stalowych ogniów.

Jako dziecko czułem, że jest w tym miejscu coś przejmującego – może sprawiał to zapach roślin dojrzewających pod szkłem, a może ciepłe, wręcz tropikalne powietrze, nawet w środku zimy. Lubilem tu przychodzić i obserwować ojca przy pracy, gdy niczym wprawny chirurg przycinał gałęzie lub kaleczył łodygi tryfidów, by zbadać jakość oleju, który sączył się z otworów jak rozwodniona bladuróżowa krew.

Po chwili ojciec oderwał wzrok od tryfidowej szkółki i w zamyśleniu potarł czoło między krzaczastymi, siwymi brwiami.

– Szkoda, że nie słyszałeś jak gadały dzisiejszej nocy.

– Tryfidy?

Skinał głową i uśmiechnął się krzywo.

– Już dawno nie były tak aktywne. Stukały palcami o łodygi, jakby nadawały sygnały jakąś botaniczną wersją alfabetu Morse.

– Myślisz, że naprawdę potrafią się inteligentnie porozumiewać? Nie tak, jak ptaki skrzeczące coś do siebie?

– Ptaki i inne zwierzęta naprawdę komunikują się na swój sposób. Przekazują wiadomości, ostrzeżenia...

– Tak, ale w czysto instynktowny sposób. Albo alarmują, że zbliża się drapieżnik, albo próbują zwabić partnerkę.

– Prawda. Jednak nie przestaję się zastanawiać, czy tryfidy nie opanowały sztuki przekazywania bardziej złożonych komunikatów.

– Ojciec zaciągnął się mocno i wydmuchnął chmurę niebieskawego dymu, który zawirował w smudze światła. – Możliwe, że potrafią wyjaśniać sąsiadom nawet pewne koncepcje czy pomysły.

– Chcesz powiedzieć, że ten tryfid przy wejściu przekazuje tym na tyłach szklarni wiadomość: „Posłuchajcie no tych dwóch ludzi, znowu o nas gadają!”

Ojciec roześmiał się lekko.

– Może, może... Pracowałem niegdyś z człowiekiem nazwiskiem Lucknot, który zdawał się intuicyjnie rozumieć tryfidy. Był przekonany, że one ze sobą rozmawiają, co więcej, że dysponują wysoce rozwiniętą inteligencją.

– Sądziś, że miał rację?

– Sądzę, że był cholernie bliski prawdy. – Ojciec znowu potarł brew; jego stary nawyk, robił to zawsze, gdy intensywnie nad czymś myślał. – Choć z drugiej strony, Davidzie... pociąłem na kawałki tysiące tych istot i nigdy nie natknąłem się na najdrobniejszy ślad układu nerwowego, nie mówiąc już o czymś, co nawet w największym przybliżeniu można by nazwać mózgiem. A jednak... Od trzydziestu lat obserwuję działalność tryfidów. Poruszają się celowo. Porozumiewają się tłukąc pałeczkami o łodygi. Kiedy strzelają wicia, wiedzą, że muszą mierzyć w odsłoniętą twarz ofiary. Gdy patrzyłem, jak wędrują po polach, przypominały mi maszerujące legiony piechoty. Widziałem, jak kierują się w stronę domów czy większych społeczności i rozpoczynają oblężenie. – Przerwał na moment, by łyknąć kawy. – Może i odważę się powiedzieć, że są inteligentne, ale... jeśli coś ma cztery nogi, merda ogonem i szczeka, to wiemy, że to pies, prawda? Te rośliny działają, reagują, planują, atakują i zabijają, jakby gdzieś w ich wnętrzu krył się zimny intelekt.

– Czy damy im radę?

– Na pewno spróbujemy. Spróbujemy jak cholera. – Ojciec znowu popatrzył na tryfidy. – Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby miały odziedziczyć po nas Ziemię, a ty? – spytał, zaglądając mi w oczy.

Rośliny odpowiedziały za mnie. Aż do tej chwili były względnie milczące, teraz zaś nagle zaczęły łomotać pałeczkami o łodygi. Ich koncert skojarzył mi się z popisami uczniów, celowo grających nauczycielowi na nerwach bębnieniem palcami o ławki, gdy tylko belfer odwraca się, by zapisać na tablicy zadanie domowe.

Ojciec uśmiechnął się smutno.

– Znowu zaczynają... moje dzieci ziemi. Znowu rozmawiają.

Przez chwilę słuchałem stukania, próbując wychwycić rytm.

Szybkie tempo uderzeń wskazywało na pilność wiadomości, którą przekazywały sobie rośliny.

W tamtej chwili mogłem przysiąc, że w zachowaniu dwudziestu paru tryfidów zgromadzonych w cieplarni wyczuwam autentyczne podniecenie.

Ojciec zareagował podobnie. Tym razem przemówił do samych roślin.

– Co takiego usłyszałyście? Czyżby jedna z waszych armii podbiła kolejną enklawę ludzi? A może wasze dowództwo planuje już następny marsz? Pewnie chcecie się przyłączyć, co?

Może to był zbieg okoliczności, a może odpowiedź na zadane półżartem pytania ojca, dość, że niespokojny stukot pałeczek w jednej chwili zmienił się w potężną falę dźwięku. Hałas wzmagalo dodatkowo dzwonienie łańcuchów, bo rośliny ze zdwojoną siłą zaczęły szarpać się w okowach. Długie łodygi zgodnie chwiały się na boki jak łan zboża smagany gwałtownym wiatrem.

Naprawdę byłem skłonny uwierzyć, że tryfidy w jakiś sposób odebrały sygnał „do broni” od swoich pobratymców zza morza i – na swój nieodgadniony sposób – odpowiedziały na zew. Łomot pałeczek był jak ekstatyczne oklaski, a kołysanie się roślin na boki przywodziło na myśl ruchy wiwatującego tłumu.

Czuły, że nadchodzi czas bitwy. Czas zwycięstwa.

Wierzyłem w to równie mocno jak w to, że następnego dnia wstanie słońce.

Ojciec również obserwował pokaz tryfidowych hałasów, ruchów i – kto wie? – może nawet

emocji. Jego srebrne włosy błysnęły w promieniach słońca, gdy wolno potrząsnął głową. Twarz jednak nie zdradzała w najmniejszym stopniu, co odczuwał w tamtej chwili.

Po chwili znowu przemówił.

– Wiesz, Davidzie... Gdzieś w głębi serca zawsze nosiłem ziarno optymizmu, lecz ostatnio... zaczynam mieć wątpliwości.

– Przecież tu, na wyspie, jesteśmy bezpieczni, prawda?

– Jakoś się trzymamy, synu. A jednak od czasu do czasu zastanawiam się... Może wszyscy tu żyjemy w samym oku cyklonu? Może to tylko chwilowe bezpieczeństwo?

– Sądzisz, że zamknęliśmy się w raj dla głupców? – Zaniepokoiłem się nie na żarty; nigdy przedtem nie wyczuwałem u niego tak silnego zwątpienia. – Że nasza kolonia nie jest początkiem nowego świata?

– Powiem tak: szczęśliwym zrzędzeniem losu złapaliśmy tu drugi oddech po ucieczce ze stałego ładu. Ale to tylko chwila wytchnienia. Chwila spokoju, która trwa już dwadzieścia pięć lat i pozwoliła na zorganizowanie w miarę dostatniego życia. Moim zdaniem jednak powinniśmy spojrzeć prawdzie w oczy: największe wyzwania stoją jeszcze przed nami.

– Przecież tak dobrze nam idzie! Zaprowadziliśmy porządek, odżył handel i transport, mamy domy i stały przyrost naturalny...

– Rzeczywiście. I to jest prawdziwy cud, który sprawił, że popadliśmy w błogie samozadowolenie. Żyjemy sobie spokojnie na naszej bezpiecznej wysepce. Tyle że odwróciliśmy się plecami do świata, jeśli nie liczyć Wysp Scilly i Normandzkich. – Przez moment ojciec patrzył mi głęboko w oczy. A potem przestał mówić do mnie jak do syna i zaczął męską rozmowę. Zniżył przy tym głos i nadał mu ponurą barwę. – Posłuchaj mnie, Davidzie. Jako społeczeństwo oddaliśmy się bez reszty sztuce naprawiania. Odnawiamy, remontujemy, uzupełniamy, ale niczego nie budujemy od podstaw. Nie wydobywamy z ziemi rudy i nie wytapiamy z niej metalu. A skoro tak, to jak możemy marzyć o konstruowaniu nowych traktorów czy samochodów, czy choćby o produkowaniu zwykłych łyżeczek? W dzisiejszych czasach, jeśli nie możemy znaleźć gdzieś choćby na pół sprawnego ciągnika sprzed końca Starego Świata, rozbieramy pół tuzina wraków, by od biedy poskładać jeden, który dałoby się wykorzystać. A te samoloty, którymi lataasz? Najnowszy ma ponad trzydzieści lat. Trzydzieści lat, Davidzie! Już dawno powinien trafić do muzeum. – Ojciec zaczął gestykulować, by podkreślić znaczenie swoich słów. – Davidzie, cokolwiek udaje nam się osiągnąć, to wszystko za mało. Musimy zrobić coś więcej ponad... ponad wydzieranie kawałków ścierwa martwej cywilizacji. Musimy znowu zacząć dokonywać wynalazków, budować nowe maszyny. A powinniśmy zacząć od początku: od znalezienia rudy i wytopienia jej aż po produkcję nowych elementów. W przeciwnym razie pewnego dnia zabraknie resztek Starego Świata, a wtedy bez wątplenia stoczmy się w mroki nowego średniowiecza. I to takiego, z którego możemy się już nie odrodzić.

Nagle zrozumiałem z porażającą jasnością, o co mu chodzi. Nakreślił przede mną wizję przyszłości odartej ze światła cywilizacji, pełnej mroku, niebezpieczeństw, chaosu i anarchii.

Tego samego ranka, nieco później, jechałem spokojnie przez skąpane w słońcu równiny w stronę Shanklin, gdzie kotwiczył mój wodnopłat, gotów do krótkiej wycieczki na drugą stronę cieśniny (wycieczki, którą – jak pamiętacie – przerwał samobójczy atak pewnej mewy). Prowadząc samochód wąską drogą pośród pól, rozmyślałem o tym, co powiedział mi ojciec. Zastanawiałem się, jak naprawdę miałyby wyglądać to mroczne średniowiecze.

Jak się jednak okazało, moje wizje metaforycznych mroków były stanowczo zbyt optymistyczne,

bo ciemność, która zapadła następnego dnia, była jak najbardziej dosłowna.
I absolutna.

4. Kraina mroku

Opuściłem pocztę, biegnąc jak szalony, z zapaloną lampą w lewej dłoni. W prawej trzymałem drzwiczki od kredensu, które bezceremonialnie wylałem z zawiasów. Modliłem się, by wystarczyły mi za tarczę w razie spotkania z morderczą wicią tryfida.

Operator polecił mi przez radio, żebym zabarykadował się w urzędzie. Obserwując tryfidowe wici, tłukące wściekle o szyby i pozostawiające lepkie smugi trucizny, zrozumiałem jednak, że zachowując się jak tchórz, nie byłbym w niczym lepszy od zwyczajnego mordercy.

Tryfidy dokonały inwazji na wyspę. To jedno było pewne. Zabijały już i z pewnością zamierzały robić to nadal. W okolicy musiały być dziesiątki niczego niepodejrzewających osadników. Wiedziałem, że mam obowiązek ostrzec ich przed niebezpieczeństwem.

Pędziłem więc najszybciej jak potrafiłem, niosąc latarnię i tarczę.

Dzień wciąż niczym nie różnił się od nocy. Miałem widoczność ograniczoną do zaledwie kilku kroków, więc aż za dobrze zdawałem sobie sprawę, że nawet nie zauważę tryfida, który stanie się moją zgubą. Trzymetrowa więc z powodzeniem mogła wystrzelić z ciemności, spoza wątego kręgu światła mojej lampy.

Był jeszcze jeden problem: nie znałem dobrze terenu. Na dobrą sprawę pamiętałem tylko jedno – z Bytewater prowadziła w górę wąska ścieżka, a idąc nią przez pola, można było dotrzeć do jednego z Domów Matek. Tam tryfidy mogły liczyć na łatwą zdobycz. Dzieci bawiące się na podwórku, przeważnie niewidome matki, prowadzące wózki z niemowlętami lub zajęte codziennymi pracami... Biegłem więc przez tę wszechogarniającą ciemność, oddychając coraz ciężiej przez zaciśnięte zęby i czując łomot przeciążonego serca. Nie widziałem zbyt wiele, poza własnymi stopami i paroma metrami kwadratowymi smołowanej dróżki pod nimi.

I tylko co pewien czas napotykałem ciała martwych ptaków i kotów, trafionych precyzyjnymi ciosami zatrutych wici.

Mimo wszystko starałem się wypatrywać w mroku charakterystycznych, ponad dwumetrowych, smukłych sylwetek morderczych roślin przeczesujących okolicę w poszukiwaniu nowych ofiar.

Miałem nerwy napięte do ostatnich granic, co powodowało zwiększoną wrażliwość na każdy dźwięk, ruch i kształt – choćby nie wiem jak niewyraźny – który dostrzegałem kątem oka. Nieraz schylałem się błyskawicznie, osłaniając twarz drzwiczkami od kredensu, by opuściwszy zaimprovizowaną tarczę przekonać się, że wystraszył mnie zwykły znak drogowy lub krzak głogu.

Nie pozwalałem sobie na dłuższe odpoczynki. Oczami wyobraźni widziałem już z przerażającym realizmem hordy trójnożnych roślin wdzierających się na dziedziniec Domu Matek i siekących zaciekle twarze kobiet i dzieci.

Bąłem się, że dotrę do bram Domu, uniosę lampę i w jej marnym świetle będę mógł tylko patrzeć bezsilnie na ciała leżące z rozrzuconymi ramionami, o twarzach zastygłych w grymasie cierpienia.

Nagle coś świsnęło w powietrzu. Odruchowo uniosłem tarczę na wysokość twarzy. Ułamek sekundy później poczułem smagnięcie, którego siła omal mnie nie przewróciła.

Gdzieś w mroku rozległo się bębnienie zdrewniałych pałeczek o łodygę, beznamiętnie ogłaszające, że pojawiła się kolejna ofiara.

Ja jednak nie zamierzałem poddać się tak łatwo. Osłaniając się drzwiczkami, znowu ruszyłem biegiem. Kolejny cios minął mnie o włos, gdy zygakowałem na wiodącej pod górę ścieżce.

Pędząc na złamanie karku, czułem ból w kostce, skręconej jeszcze na schodach w domu pana Hartlowa. Kilka razy o mało nie upuściłem lampy.

A przecież ta mała, krucha lampka oliwna ze szmacianym knotem była moim jedynym źródłem światła. Gdybym ją stłukł, znalazłbym się, ślepy i bezradny, w samym sercu krainy mroku. W pełnym biegu zaryzykowałem spojrzenie w niebo. Choć zbliżało się południe, nie dostrzegłem nawet najślabszego przeblýsku światła słonecznego.

Oddychając z coraz większym trudem, z determinacją dźwigałem drewniane drzwiczki, które z każdym krokiem zdawały się przybierać na wadze. Wreszcie dotarłem na szczyt wzgórze.

Mur otaczający zabytkową rezydencję wyłonił się nagle, dosłownie znikąd, tak słaby był blask mojej latarni.

Zatrzymałem się i usłyszałem ciche skrobanie. Z dudniącym sercem znieruchomiałem, próbując przetrwać w myśli dziwny dźwięk. Szukałem w pamięci obrazu, który skojarzyłby się z takim odgłosem...

Skrobanie powtórzyło się.

To musiał być krok tryfida na żuźlowym podjeździe.

Przycisnąłem tarczę do twarzy, czekając na nieuchronny cios wici.

– Tak? O co chodzi? – odezwał się rzeczowy kobiecy głos. Byłem tak zaskoczony dźwiękiem ludzkiej mowy, że kompletnie zdębiałem.

– Halo? Proszę się nie wygłupiać. Wiem, że ktoś tu jest.

Znowu rozległo się skrobanie.

Uniosłem lampę nieco wyżej.

W kręgu światła zobaczyłem jedną z Matek; zawsze łatwo je rozpoznać po charakterystycznej białej chustce na głowie. Kobieta z zapalem grabiła żwir, wygładzając koleiny wyłobione kołami wozów. Co chwila jednak „zerknęła” na mnie niewidzącymi oczami, w których dostrzegłem wybitną inteligencję. I choć na pewno dobiegała siedemdziesiątki, poruszała się niezwykle energicznie. Spod jej połyskujących grabi wyskakiwały na boki bryłki jasnego wapienia.

– Matko... – sapnąłem, odzyskując mowę i nie zapominając o oficjalnym tytule. – Matko, musisz natychmiast wrócić na dziedziniec i zamknąć bramę.

– Muszę, młody człowieku?

– Tak. Zjawiły się...

– A któż to wydaje mi tak zuchwale rozkazy?

– Przepraszam. Nazywam się David Masen.

– Masen, hmm? Spokrewniony może z panem Billem Masenem?

– Tak. Jestem jego synem.

– A więc, panie Masenie juniorze, po cóż ten pośpiech i zadyszka?

W tym momencie lampa przygasła, pozostawiając wokół siebie tylko słabą poświatę. Wybiegłem z domu pana Hartlowa tak szybko, że nawet nie sprawdziłem zawartości zbiorniczka z oliwą. Ciemność, niczym próżnia wysysająca resztkę powietrza, roztaczała się teraz już w promieniu metra. Wokół zaroilo się od groteskowych cieni rzucanych przez krzewy, drzewa i Bóg wie co jeszcze.

– Matko, proszę... – jęknąłem błagalnie, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony. Dogasający knot z każdą chwilą dawał mniej światła. – Matko, zjawiły się tryfidy. Idą w tę stronę.

– Tryfidy? – spytała zdumiona, natychmiast przerywając grabienie. – Lepiej, żeby to nie był żart, młodzieńcze.

– Nie jest, Matko. Proszę... musimy zamknąć bramę. Będą tu lada chwila – ostrzegłem, patrząc na stok wzgórza. Zobaczyłem jednak tylko ciemność. Złowrogą ciemność.

– Szybko – poleciła, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa. – Zajmij się lewym skrzydłem bramy; ja popchnę prawe.

Skąpy krąg światła zmniejszał się w miarę, jak dopalała się resztką oliwy – jak na ironię, wytwarzanej z tryfidów. Ledwie dostrzegałem zarys ozdobnie kutych żelaznych wrót, wysokich na dobre trzy metry. Jednak zamknęliśmy je dość sprawnie, likwidując prześwit między równie wysokimi, ceglanyimi murami. Modliłem się tylko, by ochronna ściana otaczała całą posiadłość i by nie znalazło się więcej otwartych bram. Tryfidy były wystarczająco bystre, by pomaszerować wzdłuż ogrodzenia w poszukiwaniu przejścia. Gdyby udało im się znaleźć drogę na dziedziniec, skończyłoby się jak dawniej: smaganiem, oślepianiem, zabijaniem.

Gdzieś w oddali rozległy się podniecone głosy dzieci.

– Matko, czy możemy w jakiś sposób sprowadzić szybko wszystkie dzieci do domu? – spytałem, gdy zamykała wrota na kłódkę. – Jeżeli podejda zbyt blisko muru, znajdą się w zasięgu wici.

– Zadzwoń szkolnym dzwonem – odpowiedziała i z nieomylnym wyczuciem kierunku ruszyła drogą w stronę zabudowań. – Chodź ze mną, młody człowieku, przydasz się. Dzieci są dziś w nastroju do żartów: twierdzą, że wciąż jeszcze jest ciemno.

– Bo jest.

Matka zatrzymała się.

– Jak ciemno?

Odparłem, że bez lampy nie widzę nawet własnej dłoni podniesionej na wysokość oczu.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę.

– Najpierw ciemność, potem tryfidy... Wydaje się, że to wyjątkowo złowieszczy omen, prawda?

I wtedy moja lampka zgasła. Chociaż byliśmy – przynajmniej na jakiś czas – względnie bezpieczni, poczułem silny skurcz mięśni brzucha. Znowu straciłem zdolność widzenia...

Z trudem przełknąłem ślinę.

– Macie tu nadajnik? Musimy skontaktować się z władzami. Wysłałem już ostrzeżenie o tryfidach, ale powinniśmy dać znać, że na razie jesteśmy bezpieczni.

– Oczywiście, panie Masen. Proszę za mną, pójdziemy do domu. To niedaleko, za tymi drzewami.

– Przepraszam, Matko, ale...

– Masz niespokojny głos, młodzieńcze. Co się stało?

– Moja lampa zgasła.

– Chcesz powiedzieć, że kompletnie nic nie widzisz w tej ciemności?

– Właśnie.

– Hmm, to naprawdę dziwne. A więc, panie Masen, wezmę pana pod ramię i posłużę za przewodniczkę.

I starsza pani, niewidoma od trzydziestu lat, sprężystym krokiem pomaszerowała wzdłuż podjazdu, prowadząc mnie przez aksamitny mrok. Pod naszymi stopami chrzęścił drobny żwir.

Szedłem z ręką wyciągniętą przed siebie na wysokości oczu, jak wszyscy ludzie znienacka pozbawieni wzroku, obawiający się, by nie uderzyć w coś twardego i nie poranić sobie twarzy.

– Widać już światła domu, panie Masen?

– Nie. W ogóle nic nie widać.

– Jeszcze chwila. Pewnie zasłaniają je drzewa.

Albo też, pomyślałem z przerażeniem, tryfidy wśliznęły się innym wejściem i wykończyły wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu ich broni.

– Panie Masen, słyszałam mnóstwo opowieści o godnych podziwu osiągnięciach pańskiego ojca w dziedzinie zwalczania tych przeklętych roślin, ale jakoś nigdy nie pojawiało się w nich pańskie imię.

– To dlatego, że nie pracujemy razem. Nie mam takiej głowy do nauki jak on.

– Więc czym się pan zajmuje, panie Masen? Mam nadzieję, że nie grzeszę zbytnim wścibstwem, zadając to pytanie...

– Jestem pilotem.

– Ach, jednym z tych nielicznych śmiałków... Pewnie ciasno panu w takim kokpicie. Zdaje się, że rośli z pana mężczyzna; dobrze powyżej średniej. Wysoki na metr osiemdziesiąt, mam rację?

– Metr dziewięćdziesiąt.

– To wyjątkowy wzrost.

Kobieta zagadywała przyjaźnie, próbując mnie rozluźnić; aż za dobrze rozumiała, jakie to fatalne uczucie, gdy nagle utraci się wzrok. Prawda jednak była taka, że mimo jej zabiegów nie czułem się ani trochę swobodniej. Nie podobała mi się ta nienaturalna ciemność. Nie podobała mi się ani trochę. Co więcej, miałem świadomość, że tryfidy gnają w stronę Domu Matek tak szybko, jak pozwalają im na to zdrewniałe kikuty, niczym stado wygłodzonych psów zwabione zapachem pieczonego mięsa.

– Pan jest żonaty, Masen?

– Nie.

– Nie znalazł pan jeszcze właściwej dziewczyny?

– To też. Ale przede wszystkim chodzi o to, że niekiedy opuszczam wyspę na całe tygodnie, a to byłoby nie fair wobec mojej partnerki.

– Och, widzę, że pańska wrażliwość jest równie imponująca jak wzrost. Koniecznie musimy uciąć sobie dłuższą pogawędkę... Jest pan być może większym skarbem dla naszej kolonii, niż się to panu wydaje. A jak się miewa pańska matka? Pamiętam, że dawno temu czytałam jej książkę *Seks jest moją przygodą*. Wyjątkowo interesująca lektura.

– Miewa się doskonale, dziękuję. Tyle że jej pisarstwo ogranicza się teraz do sporządzania raportów laboratoryjnych. Aaa! Nie spodziewałem się tego.

– Czy to „aaa” oznacza, że zapaliły się nasze reflektory?

Pierwszą rzeczą, którą dostrzegłem w blasku jaskrawych świateł elektrycznych ustawionych na słupach wzdłuż podjazdu, była uśmiechnięta twarz Matki. Potem zobaczyłem wielką trzypiętrową rezydencję i dzieci bawiące się na dziedzińcu.

– Teraz, gdy odzyskał pan wzrok, przydałaby mi się pomoc w zapędzeniu dzieci pod dach. – Matka klasnęła głośno. – Timothy, Lucy! Natychmiast zejście z drzewa! – Nie miałem pojęcia, jak u diabła potrafiła zidentyfikować dzieciaki bawiące się gdzieś między konarami. Zbliżyła się do czegoś, co wyglądało jak przydrożny słup telegraficzny. Wzdłuż pała zwiisał długi sznur. Jego górna część ginęła w mroku, więc nie miałem pojęcia, co znajdowało się na szczycie. Dopiero gdy Matka pociągnęła za linę, usłyszałem czysty dźwięk dzwonu, który wypełnił ponury mrok i poniósł się daleko poza mury posiadłości.

Nauczone posłuszeństwa dzieci zareagowały natychmiast. Mijały mnie w biegu, nawołując się

podnieconymi głosami; bardziej zaciekawione niż przestraszone faktem, że słońce tego dnia nie weszło. Pędziły w stronę skrzydła Domu, w którego oknach paliły się światła.

Matka nie przestawała bić w dzwon. Dla dzieci był to sygnał, że należy wracać do klas, dla tryfidów zaś, wędrujących po polach... Cóż, mógł to być dzwonek wzywający na obiad. Wiedziałem, że wkrótce stłoczą się u bramy i zaczną w nią tłuc, testując wytrzymałość żelaznej kraty.

Mniej więcej dwudziestoletnia, widząca Matka zbliżała się do nas ścieżką.

– Wszystkie dzieci są już w salach, Matko Susan.

– Dziękuję, Matko Angelo. Najlepiej dołącz do nich i każ, proszę, wszystkim Matkom i pomocnicom zebrać się w refektarzu. Musimy porozmawiać.

– Tak, Matko. – Obrzuciwszy mnie taksującym spojrzeniem, Angela pobiegła w stronę drzwi.

Teraz mogliśmy już tylko czekać.

Wszystkie wejścia zostały zamknięte. Powinny wytrzymać godzinę lub dłużej, czyli tyle, ile mieliśmy czekać na przybycie ekip antytryfidowych. Zresztą same drzwi domów były na tyle solidne, że powstrzymałyby atak roślin, którym udałoby się sforsować ogrodzenie.

Nie mając nic lepszego do roboty, przez jakiś czas myszkowałem po zabytkowym budynku. Jego dawni właściciele umieścili nad kominkiem kamienną tablicę, na której wryto napis: *Sol lucet omnibus*. Na szczęście dla mnie pod spodem widniał angielski przekład tej inskrypcji: „Słońce świeci dla wszystkich”.

No, niezupełnie, pomyślałem. Już nie.

Świat wokół nas przypominał teraz Hades. Kto wie, jak długo miał potrwać ten stan rzeczy?

Zajrzałem jeszcze do biblioteki, a potem wróciłem na korytarz. W jednej z klas śpiewano właśnie stary hymn:

*Wszystkie rzeczy jasne i piękne,
Wszystkie stworzenia duże i małe,
Wszystkie rzeczy jasne i piękne,
Wszystkie je stworzył nasz Pan...*

Śłuchając chóru dziecięcych głosów, poczułem nieprzyjemny dreszcz. Malcy śpiewali radośnie, czując się bezpiecznie w dobrze znanym, zamkniętym świecie. Ale za murami, w mroku, ich pieśni słuchały tryfidy, unosząc się i opadając w takt melodii. Wyobrażałem sobie, jak falują groteskowo, niczym groźne kobry hipnotyzowane przez zaklinacza. Tyle że trójnożnych potworów nie można oczarować muzyką. Gdyby tylko miały szansę, bez litości smagałyby trzymetrowymi, zatrutymi biczami twarzyczki dzieci.

Wyimaginowany obraz odebrał mi spokój. Gdybym to ja rządził Domem Matek, kazałbym teraz zamknąć dzieci w bezpiecznej piwnicy.

Matka Susan uważała jednak, że najlepiej nie niepokoić wychowanków. Tak więc, jeśli nie liczyć ciemności panującej za oknami, życie Domu toczyło się normalnym rytmem. Zasugerowałem jednak, by kilka widzących Matek stanęło na warcie. Patrolowały teraz płaski dach budynku, od czasu do czasu meldując Przełożonej o zauważeniu nad linią murów smukłych, poruszających się chwiejnie łodyg.

Nieco później Matka Susan wytropiła mnie w refektarzu, gdzie posiłałem się grzanką i herbatą.

– Panie Masen, uważam, że najlepiej zadać to pytanie wprost – zaczęła, przysiadając obok

mnie za jednym z długich stołów. – Czy zarejestrował się pan w którymś z Domów Matek?

– Zarejestrował? – spytałem, z rozmysłem udając głupiego.

– Proszę bez kawałów, panie Masen. Wie pan doskonale, co mam na myśli. Zarejestrował się pan czy nie?

– Nie.

– Populacja wyspy odniosłaby wielką korzyść, gdyby zasiliła ją tak... dorodna krew jak pańska.

– No, nie wiem, czy...

– Ma pan obiekcje natury filozoficznej?

– Nie, ale...

– A więc ustalone. Gdy tylko ucichnie ta burza w szklance wody i powrócimy do zwykłych zajęć, musi pan koniecznie nas odwiedzić, najlepiej w porze kolacji.

– Mam odbyć lot do...

– Nie zależy nam na wielkim pośpiechu, panie Masen – przerwała mi raz jeszcze, uśmiechając się promiennie. – Może w następny piątek?

– Eee... nie jestem pewien...

– Doskonale. Jesteśmy umówieni na piątek. Proszę pamiętać: można się wyszumieć w pożyteczny sposób. A teraz zostawiam pana sam na sam z grzanką. Proszę spróbować dzemu agrestowego; jest doskonały.

Matka Susan wstała i obdarzyła mnie jeszcze jednym uśmiechem.

– Nie co dzień dostaje się zaproszenie do tak bezpośredniego udziału w ponownym zaludnieniu świata, prawda?

– No, nie... rzeczywiście, nie.

Odeszła, pozostawiając mnie w stanie lekkiego oszołomienia tą niezwykłą propozycją. Bez wątpienia miałem teraz o czym myśleć...

W owej chwili, mimo szokującej ciemności, która zastąpiła jasny dzień i mimo ataku tryfidów, którym udało się przebyć Solent i dotrzeć na plażę Bytewater (co budziło skojarzenia z lądowaniem w Normandii), wciąż jeszcze wierzyłem, że moje życie potoczy się dawnym torem, że powrócę do przewożenia pasażerów drogą powietrzną na Scilly, Jersey czy Guernsey, a nawet od czasu do czasu będę latać na stały ląd. Nie miałem pojęcia, że w chwili, gdy obudziłem się w krainie mroku, wszystko to skończyło się raz na zawsze. Przyszłość, którą sobie wyobrażałem, rozpadła się na tysiące kawałków jak stłuczone malowidło na szkle.

Jeszcze tego samego dnia, gdy dotarły do nas ekipy ratunkowe z ochronnymi strojami, maskami i karabinami przeciwtryfidowymi, nie opuszczało mnie przekonanie, że moje życie wkrótce wróci do normy.

Z górnych kondygnacji Domu Matek obserwowałem, jak grupa pojazdów zbliża się do stłoczonych roślin, oświetlając je reflektorami.

W ciągu paru minut tryfidy pozbawiono czubków, a tym samym – możliwości ataku. Potem kolejno pozbawiano je „nóg” i obalano. Zdrewniałe pnie i długie łodygi zbierano w paki – nie bardziej groźne niż bele makulatury – i wywożono do przetworni, by zrobić z nich miazgę.

Nie minęło kilka godzin, jak wyspa została ostatecznie oczyszczona z tryfidów. Radosną wiadomość natychmiast przekazało radio.

W spowijającym nas mroku wciąż jednak kryły się nierozwiązane zagadki.

Co się stało ze światłem słonecznym?

Skąd tak nagle pojawiły się na wyspie tryfidy?

Na pierwsze odpowiedzi nie musiałem czekać zbyt długo. Po południu otrzymałem rozkaz natychmiastowego stawienia się w mojej bazie lotniczej.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że oto zaczyna się najbardziej niezwykła podróż mojego życia.

5. Ku ciemnemu niebu

O piętnastej trzydzieści wydarzenia zaczęły nabierać tempa. Służbowy samochód przewiózł mnie z Domu Matek w Bytewater do bazy lotniczej po przeciwnej stronie wyspy.

A że i tu świat tonął w mroku, włączono potężne reflektory lotniska i skierowano je na pas startowy oraz hangary.

Na spotkanie wyszła adiutantka komendanta bazy. Kazała mi natychmiast przygotować się do misji rozpoznawczej. Lecąc myśliwcem odrzutowym typu Panther, miałem zbadać grubość warstwy chmur.

– Słyszałem, Masen, że straciła cię mewa! – powitał mnie rubaszny głos „Mitcha” Mitchella, gdy tylko przekroczyłem próg przebieralni. Mitch był niewysoki, za to miał nieproporcjonalnie długie ręce i z tego powodu niektórzy nazywali go Małą. Z radia stojącego w kącie sali rozlegały się dźwięki hitów Noela Cowarda, dudniące tak głośno, że aż szyby drżały. Rozgłośnia robiła, co mogła, by poprawić słuchaczom humory. Po ironicznym *Pokoju z widokiem* nadano skomponowany naprędce pastisz *Nie bądźmy wredni dla tryfidów*.

Mitch Mitchell rzucił w moją stronę herbatnik i powrócił do napełniania czajniczka wodą.

– To jak było z tą mewą? Czym cię załatwiła? Działkiem trzydziestomilimetrowym czy raketami?

– Bardzo śmieszne, Mitch.

– Jakie uszkodzenia?

– Rozbite śmigło. Jutro maszyna będzie jak nowa.

– Podobno zlecili ci bohaterską misję?

– Wcale mi się to nie podoba.

– Jutro będziesz na pierwszych stronach gazet, słoneczko.

– Mam nadzieję, że z właściwych powodów.

– Dziewczyny ustawią się do ciebie w kolejce, synu.

– Tak uważasz?

– Jestem pewien. A wtedy klocki spod kół, przepustnica na maksa i jazda do królestwa spódniczek. Będziesz ich miał tyle, że nie nadążysz łapać.

– Tylko że bohaterowie mają brzydki zwyczaj ginąć młodo.

To była typowa gadka w naszym stylu. Jeszcze w szkole pilotów nauczyliśmy się rozmawiać ze sobą w sposób, który dla niewtajemniczonych bywał cokolwiek niezrozumiały. Kiedy tak rzucaliśmy beztrosko luźne uwagi, niczym tenisiści rozgrywający długą wymianę piłek, zacząłem wkładać skafander ciśnieniowy.

Gruba, pokryta gumą bawełna, wykończona neoprenowym kołnierzem i ściągaczami, przylegała do ciała jak druga skóra. Na wysokości bioder do kombinezonu przyczepiony był wąż, który podpinało się do zbiorników z powietrzem ukrytych w kadłubie samolotu.

– Były jakieś nowiny na temat tej ciemności? – spytałem.

– Komunikaty w radiu. To podobno tylko graba warstwa chmur...

– Cholernie gruba.

– Herbaty?

– Dziękuję.

– Moim zdaniem, Davidzie, ta sprawa przerasta naszych mądrych uczonych. Którą maszynę

bierzesz?

– Pantherę.

– Szczęściarz. Bogowie uśmiechają się do ciebie, synu.

– Miejmy nadzieję – stęknąłem, silując się z zamkiem na piersiach.

W drzwiach pokazała się głowa adiutantki dowódcy.

– Gotów?

– Na tyle, na ile to możliwe – mruknął Mitch.

– Zmiana planów – obwieściła dziewczyna. – Stary kazał personelowi naziemnemu przygotować do lotu goster javelina.

– Javelina? – zdziwiłem się. – Przecież to dwumiejscowa maszyna. Skąd ten pomysł?

– Nie pytaj – odparła, posyłając mi białopurpurowy uśmiech.

– Ja tu tylko pracuję.

– Może chęć, żebym pottrzymał cię za rączkę? – odezwał się Mitch, szczerząc zęby. – Mógłbym wołać „sio!”, gdyby znowu zaatakowały cię jakieś niegrzeczne ptaki.

– Może – zgodziłem się. – Lepiej zacznij wciskać się w skafander.

– Rany, ja też będę bohaterem! – zawołał. – Już widzę te stada panienek... Przekonasz się, stary. – Mitch zaczął rozluźniać krawat.

– Hej, piękna! – zawołał w stronę znikającej już adiutantki. – Mam pomysł. Może wpadnę po ciebie dziś wieczorem, koło ósmej?

– Mam lepszy – odparła z uśmiechem. – Bujaj się.

Mitch wzruszył ramionami i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Właściwie nie powiedziała „nie”, prawda?

Mitch niepotrzebnie walczył z ciasnym kombinezonym ciśnieniowym. Kiedy zjawiliśmy się w biurze Starego, usłyszeliśmy, że drugie miejsce w odrzutowcu zajmie pasażer.

Na zewnątrz zaczął padać deszcz. Ciężkie krople bębniły o falistą blachę hangarów w dość złowieszczy rytmie.

Podpułkownik Reynolds, znany wszystkim jako Stary, był sześćdziesięcioletnim mężczyzną o twarzy tak obwisłej, że nieodmiennie przywołała na myśl pysk buldoga, którego właśnie zbudzono z głębokiego snu.

– Masen – warknął Stary. – To jest pan Hinkman.

Jasnooki młodziak stojący przy biurku kiwnął głową i wyciągnął do mnie rękę. Sprawiał wrażenie niecierpliwego; zachowywał się jak ambitny student, któremu właśnie przydzielono ważne zadanie w pierwszej pracy.

– Pan Hinkman jest meteorologiem – ciągnął powoli Stary swoim charakterystycznym, burkliwym głosem. – Znaczący, interesuje się pogodą. Zajmie miejsce nawigatora.

– Tak jest – powiedziałem niechętnie. – Ale, jeśli wolno spytać... Czy pan Hinkman ma doświadczenie w lataniu myśliwcem odrzutowym?

– Nie, ale...

Młody meteorolog zdążył tylko zacząć; resztę jego wypowiedzi zagłuszył basowy warkot Starego.

– Żadnego, że tak powiem. Ale też doświadczenie nie będzie mu potrzebne. Siądzie za pańskimi plecami, Masen. Będzie robił notatki i fotografował to, co uzna za warte sfotografowania. Nic ponadto.

- Tak jest.
- Jakież pytania?
- Nie, sir. To znaczy...
- Tak, Masen?
- Czy mamy już jakieś przypuszczenia co do przyczyn tej ciemności, sir?

Deszcz zabębnił o dach jeszcze głośniejsze, a Stary w zamyśleniu podrapał się po pulchnych wypukłościach swojej twarzy.

– Przyznam się, że nigdy nie widziałem czegoś takiego. Jest zbyt ciemno, by mogła to być normalna chmura. Najbliższe skojarzenia budzi we mnie sytuacja, której świadkiem byłem kiedyś w Suezie. Przekłeta burza piaskowa była tak silna, że człowiek nie widział własnych rąk... Panie Hinkman?

Hinkman zrozumiał, że to zaproszenie do dyskusji i skorzystał z niego ochoczo, z błyskiem w oku.

– Możliwe, że pułkownik Reynolds trafił w sedno. Chmury typowe dla tej części świata składają się z wody lub cząsteczek lodu, nigdy nieblokujących światła słonecznego w stu procentach. Tymczasem burze piaskowe, które, jak sama nazwa wskazuje, niosą ze sobą drobiny piasku, to co innego. Tworzą znacznie skuteczniejszą barierę.

Stary spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Burze piaskowe? Na wyspie Wight? Chyba nie mówi pan poważnie.

– Może nie burze piaskowe jako takie, pułkowniku, ale... Zredukowanie światła dziennego o sto procent to także zupełnie niezrozumiały fenomen.

– A waszym zadaniem, panowie Masen i Hinkman, jest rozwiązanie tej zagadki.

Hinkman chciał dalej mówić na temat unoszących się w powietrzu cząstek, ale Stary nie słuchał. Popatrzył pośpiesznie na zegarek.

– Jest szesnasta. O ile się nie mylę, słychać już silniki waszego samolotu. Z Bogiem, panowie – rzucił zwięźle, po czym podał rękę Hinkmanowi i mnie. – Fatalna pogoda, Masen. Przykro mi, że posyłam pana w powietrze w takich warunkach, ale, jak to się mówi, służba nie drużba... i tak dalej.

Za oknem, w strugach deszczu, zobaczyłem białobłękitny błysk pioruna.

I choć ciemne niebo nie wyglądało przyjaźnie, czekało mnie z nim spotkanie, na które nie wypadło się spóźnić.

Zaraz po wpół do piątej znaleźliśmy się w kokpicie odrzutowca. Staliśmy na płycie lotniska w oczekiwaniu na pozwolenie na start, które lada chwila miało nadejść z wieży kontroli lotów.

Siedziałem w milczeniu, za to Hinkman, usadowiony za moimi plecami, ledwie nadażał z nabieraniem tchu. Choć zakuty w hełm i ubrany w niewygodny skafander, w którym z pewnością czuł się dość dziwnie, gadał jak najęty, wyrzucając nieprzerwany ciąg słów z prędkością karabinu maszynowego.

– ...Istnieje dziesięć podstawowych rodzajów chmur – mówił – od nimbostratusów, które tworzą się na najniższym poziomie, po wysokie cirrusy i cirrostratusy oraz inne, rozpoczynające się nawet od wysokości pięciu tysięcy metrów...

Kontynuowałem procedurę przedstartową, a on nawijał bez wytchnienia. Deszcz uparcie i zaciekle grzechotał o pleksyglasową osłonę kokpitu, pod którą zaczynaliśmy już czuć zapach rozgrzanego paliwa. A że był to destylat oleju tryfidowego, aromat był słodkawy, przypominający nieco woń gruszek zapiekanych w cieście.

– ...spodziewam się, że warstwa przesłaniająca światło zaczyna się na bardzo niskim pułapie – ciągnął Hinkman. – Ale skoro mamy do czynienia z cumulonimbusami, którym zawdzięczamy tę efektowną burzę, zasłona może rozciągać się dość wysoko, nawet powyżej siedmiu tysięcy metrów.

Następna błyskawica przecięła niebo, jakby przyroda chciała gorliwie przytaknąć hipotezie młodego meteorologa. Chwilę później grzmot wstrząsnął stojącym samotnie odrzutowcem.

– Panie Masen?

– Tak?

– Nasz plan jest elegancki w swojej prostocie. Poprowadzi pan samolot przez warstwę chmur na taką wysokość, żebyśmy zobaczyli słońce. Dzięki temu uda nam się określić grubość przesłaniającej je warstwy.

– Jasne.

– Ale czy ten samolot może dotrzeć na wysokość siedmiu tysięcy metrów?

– Jego pułap przekracza siedemnaście tysięcy. Czy to panu wystarczy, Hinkman?

– Tak... w zupełności.

Tym razem w głosie Hinkmana dał się wyczuć nieznaczny spadek poziomu entuzjazmu.

Jeszcze jedno potężne wyładowanie załaziło okolicę elektrycznym błękitem. Widoczne przez ułamek sekundy sylwetki drzew przypominały kształtem kudłate bestie szykujące się do ataku. Widok był imponujący... i przerażający.

– Panie Masen...

– Mam na imię David.

– Ach, tak, naturalnie. A ja Seymour.

– Słucham, Seymour.

– Chodzi o tę burzę... Nie sposób nie zauważyć, że... jest bardzo gwałtowna.

– Rzeczywiście, i nadzwyczaj efektowna, prawda?

– O, tak... – W słuchawkach rozległa się anemiczna imitacja śmiechu. – Chciałem tylko powiedzieć, Davidzie, że... tak się zastanawiam...

– Tak?

– Czy na pewno powinniśmy lecieć w taką pogodę?

– Jak powiedział pułkownik: służba nie drużba.

– Fakt, tak powiedział...

– Przecież chcemy zrozumieć, skąd się wziął ten piekielny mrok, prawda?

– Tak, oczywiście, ale... czy to możliwe, że nasz samolot zostanie trafiony piorunem?

– Nie. To nie jest możliwe, Seymour. Powiedziałbym, że to pewne.

– Wielkie nieba...

– Nie przejmuj się. Wczoraj rozbiłem jeden samolot, więc nie sądzę, żeby dziś udało mi się powtórzyć ten numer. Mam rację?

– Ja... eee...

– Mamy zielone światło. Trzymaj się, Seymour. To maleństwo potrafi nieźle grzać.

Zdaje się, że mój towarzysz zaczął coś mówić – może była to modlitwa? Jego słowa utonęły jednak w ryku silników, a chwilę później pędziliśmy już ku temu, co tak skutecznie przesłoniło nam niebo.

6. Rekonesans

Mimo wszystko spodziewałem się rutynowego lotu. To, co od kryliśmy już po kilku chwilach, dało mi jednak sporo do myślenia.

Prawda: warunki nie były normalne, a pogoda wyjątkowo niesprzyjająca. Prawda: wystartowałem w absolutnej ciemności z Seymourem Hinkmanem, nagle dziwnie zamyślonym i cudownie milczącym meteorologiem na pokładzie. No, ale przecież leciałem nocnym myśliwcem, przeznaczonym do działania w każdych warunkach pogodowych, zdolnym do wykonywania zadań bojowych nawet podczas arktycznej zimy.

Więc wznosiliśmy się coraz wyżej i wyżej.

Półtora tysiąca metrów... Dwa... Dwa i pół...

Na zewnątrz wciąż panowała nieprzenikniona ciemność.

Co pewien czas nawiązywałem łączność z bazą, ale niewiele miałem do powiedzenia.

Trzy... cztery... prawie pięć tysięcy metrów.

Zataczałem maszyną obszerne koła o średnicy trzydziestu kilometrów wokół niewidocznej w dole wyspy Wight. Wznosiliśmy się nieustannie z wyciem silników, a resztki wody dawno już spłynęły z owiewki, zniesione podmuchem powietrza pędzącego z prędkością czterystu kilometrów na godzinę.

Sześć tysięcy metrów.

Wysokościomierz nie zatrzymywał się ani na chwilę, a cyfry licznika układały się w coraz większe liczby.

W słuchawkach rozległ się wąty głos:

– Davidzie... Davidzie? Już po wszystkim, prawda?

– Mówisz o burzy? Tak; obyło się bez problemów.

– I nie trafił nas piorun?

– Trafił. Sześć razy.

– Sześć... sześć?! – powtórzył nagle zduszonym głosem.

– Sześć – potwierdziłem spokojnie. – Nie martw się. Instrumenty na moment zwariowały, ale maszyna nie jest uziemiona, więc nic nam nie groziło.

– Dzięki Bogu – jęknął z ulgą.

Nie widziałem w lusterku jego twarzy, bo zasłaniał ją hełm z okularami i maską tlenową, ale po chwili zauważyłem, że kręci głową w prawo i w lewo. Najwyraźniej zapanował nad strachem na tyle, by zainteresować się otoczeniem.

– Jak wysoko jesteśmy? – spytał.

– Dochodzimy do sześciu i pół tysiąca metrów.

– W takim razie lada chwila powinniśmy wydostać się ponad chmury.

– Widzisz coś?

– Nic. A ty?

– Też nie. Kontynuuję wznoszenie.

– A czy... hmm... będziesz umiał znaleźć drogę powrotną?

– Bez obaw. Jestem w kontakcie z bazą, a oni przez cały czas widzą nas na radarze. W tej chwili jesteśmy dokładnie nad Winchesterem.

– Nad Winchesterem... – powtórzył Seymour. – Dobry Boże, mój ojciec uczył tu kiedyś wuefu.

Wiesz, udało mu się uniknąć ślepoty, bo dzień przed pojawieniem się na niebie Zielonych Świąteł spadł z konia grając w polo... Był nieprzytomny przez czterdzieści osiem godzin.

Wreszcie poczułem do Seymoura coś na kształt sympatii. Niewielka dawka strachu związanego ze startem podczas burzy zhumanizowała go wręcz nadzwyczajnie.

– Robię zwrot przez prawe skrzydło – poinformowałem go po chwili. – Zawróćmy na południe, w stronę wybrzeża. Jak się czujesz?

– Dziękuję, nieźle. Było mi trochę niedobrze, ale to już mija.

Wkrótce białe cyfry wysokościomierza ułożyły się w okrągłą liczbę: osiem tysięcy.

– Seymour... Osiem tysięcy metrów.

– Uważam, że mamy do czynienia z rekordowo grubą warstwą chmur, Davidzie. Powinniśmy... zaraz, zaraz... – Meteorolog umilkł. – Widzę zarysy chmur. Musimy być już bardzo blisko celu.

Spojrzałem w górę, szukając mlecznego blasku słońca prześwitującego przez rzednące obłoki. Nic jednak nie dostrzegłem, więc jeszcze mocniej otworzyłem przepustnicę i pomknęliśmy wyżej.

Osiem i pół tysiąca metrów... dziewięć... dziesięć i pół...

Lada chwila, pomyślałem. Lada chwila wyskoczymy prosto w kaskady światła zalewające krajobraz uformowany z puszystych kłębow bawełny.

Dziesięć tysięcy metrów. Szarpnąłem ster ku sobie i zwiększyłem ciąg. Maszyna siadła na ogonie i zaczęła wznosić się niemal pionowo niczym rakieta.

Na wysokości jedenastu tysięcy metrów wyrwaliśmy się wreszcie z warstwy chmur.

– Och... – W tym jednym westchnieniu Seymour wyraził nie tylko swoje zdumienie, ale i rozczarowanie.

Wyrwaliśmy się z chmur, ale nie znaleźliśmy światła. A przynajmniej nie takiego, jakiego się spodziewaliśmy.

Świat doznał naprawdę głębokiej transformacji.

– Jak to... ja... nie rozumiem...

To był głos Seymoura, ale go nie słuchałem: skoncentrowałem się na świetle, które rozlewało się po niebie wokół nas.

Wyobraźcie sobie żarzące się jeszcze, ale z wolna dogasające węgle. Wyobraźcie sobie tę ostatnią chwilę, zanim zamienią się w popiół. Widać jeszcze czerwień, ale mętną, ciemniejącą, zwiastującą rychłą śmierć ognia.

O czymś takim pomyślałem, gdy zobaczyłem to światło. Od horyzontu przez całe sklepienie nieba aż po drugi horyzont rozciągała się plama matowej czerwieni. Dawała tak mało światła, że szkoda gadać. Sprawiała wrażenie zimnej. Śmiertelnie zimnej. Powietrze ze świstem opływało skrzydła myśliwca, wyjąc pogrzebowy marsz. Ponury dźwięk wzmógł poczucie przygnębienia, które zapanowało w kabinie.

– Nie rozumiem – rzekł wreszcie Seymour. – Chmury są pod nami... więc gdzie jest słońce?

Przez pół godziny krążyliśmy po czerwonym, na wpół ciemnym niebie.

Spojrzałem na metalowe skrzydła samolotu. Zwykle blask słońca tańczył po ich srebrzystej powierzchni na całej długości płatów. Teraz wyglądały tak, jakby nagle pokryły się rdzą.

– Więc to nie chmury są przyczyną ciemności – odezwałem się po długim milczeniu. – A przynajmniej nie zwykłe chmury burzowe.

– Nie – zgodził się Seymour. – Z pewnością wzmocniły efekt, ale nie są głównym winowajcą. W takim razie wyżej musi znajdować się jeszcze jedna warstwa, która tak skutecznie przesłania słońce.

– Mówiłeś przecież, że chmury nie sięgają wyżej niż na osiem tysięcy metrów.

– To prawda. Mimo to lećmy dalej, jeśli to możliwe.

Posłusznie zwiększyłem pułap lotu. Wreszcie dotarliśmy na wysokość prawie trzynastu tysięcy metrów, gdzie do kokpitu nie docierał już hałas pracującego silnika, wytłumiony w rozrzedzonym powietrzu. Tu niebo powinno być już bardziej czarne niż niebieskie. A jednak otaczała nas ta sama, gasnąca czerwień.

Gdybym jakimś niepojętym zbiegiem okoliczności pomylił pory dnia i wystartował po zachodzie słońca, zobaczyłbym nad sobą przynajmniej diamentowy blask gwiazd. Tymczasem wszystko to wyglądało tak, jakby bogowie znudzili się oglądaniem oblicza Ziemi i zasłonili je czerwoną kotarą.

Przez chwilę rozmawiałem z bazą. Prawie z przyjemnością słuchałem burczenia Starego, który gdzieś w tle wydawał polecenia operatorowi z wieży kontrolnej. W słuchawkach rozlegały się co chwila statyczne trzaski – znak, że na niebie nad lotniskiem nadal trwała burza. Siedzący w milczeniu Seymour notował coś i pstrykał migawką aparatu fotograficznego.

Spojrzałem na wskaźnik poziomu paliwa. W bakach pozostała jedna czwarta zawartości.

Nasz czas dobiegł końca. Kazałem Seymourowi odłożyć aparat. Ruszyliśmy w drogę powrotną.

Zmniejszyłem ciąg i pozwoliłem samolotowi spiralnym torem opadać ku ziemi. Niemal do ostatniej chwili miałem lądować na ślepo. Wieża kontroli lotów powinna była prowadzić mnie aż do momentu, gdy zobaczę światła lądowiska.

Oczami wyobraźni widziałem już operatora radaru, pochylonego nad ekranem i z uwagą śledzącego plamkę światła symbolizującą nasz samolot.

Seymour ożywił się troszkę i znowu zaczął spekulować na temat przyczyn zaniku światła słonecznego, choć wydaje mi się, że raczej rozmyślał na głos, niż kierował swoje słowa do mnie.

– ...Erupcje wulkaniczne wyrzucają w powietrze ogromne ilości pyłu, które mogą przesłaniać niebo, ale nigdy do tego stopnia; a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo... Wybuch wulkanu Krakatau zmniejszył nasłonecznienie planety do tego stopnia, że zanotowano globalny spadek temperatury, a potem serię wyjątkowo mroźnych zim i chłodnych lat. Ale czegoś takiego jeszcze nie było. Idąc dalej, należałoby przypuścić, że...

W słuchawkach rozległ się głos kontrolera.

– Zredukuj pułap do pięciu tysięcy metrów, utrzymaj prędkość czterystu węzłów i kurs na...

Chaos trzasków, który zagłuszył resztę zdania, skojarzył mi się z hukiem fali rozbijającej się o betonowe nabrzeże. Czekałem na powrót spokojnego głosu kontrolera. Statyczne trzaski nie cichły.

– ...tak więc – nie dawał za wygraną Seymour – to nie woda ani cząsteczki lodu są odpowiedzialne za ten katastrofalny stan rzeczy. Jeśli wykluczmy też erupcję wulkaniczną, będziemy musieli...

– Halo, wieża – przerwałem mu niespokojnie. – Nie słyszę was. Odbiór.

Znowu trzaski, nic więcej.

– Halo, wieża, jak mnie słyszycie?

– W wyższych warstwach atmosfery musi krążyć niewiarygodna ilość pyłu. Można by...

– Seymour – przerwałem mu ostro.

– Tak?

– Mamy problem.

– Jaki problem? – spytał niemal sennie, nie przerywając rozmyślań.

- Straciłem kontakt z wieżą.
- Czy to poważna sprawa?
- Bardzo.
- To może spróbuj jeszcze raz...
- Już próbowałem. Nie odpowiadają.

Otworzyłem przepustnicę. Smukły, stożkowaty dziób myśliwca uniósł się nieco, a wskazania wysokościomierza zatrzymały się na chwilę i powoli zaczęły rosnąć.

- Wznosimy się – odezwał się niepotrzebnie Seymour. – Mieliliśmy lądować, prawda?
- Owszem. Ale najlepiej na lotnisku, a nie na jakimś poletku kapusty.
- Chcesz powiedzieć, że nie wylądujemy, póki nie skontaktujemy się z wieżą?
- Coś w tym guście – przyznałem niechętnie. – Będziemy krążyć przez parę chwil. Miejmy nadzieję, że uda im się usunąć tę usterkę, cokolwiek to jest...

Krążyliśmy przez dziesięć minut...

Dwanaście.

Piętnaście. Szesnaście.

Strzałka wskaźnika poziomu paliwa wpełzła na czerwone pole.

Wciąż nie było kontaktu radiowego.

I wciąż nie widziałem światła poza kokpitem; nawet tego ponuro jarzącego się czerwienią nieba. Pozostawiliśmy je wysoko nad chmurami, przez które przebijaliśmy się teraz w kierunku ziemi, jak węgorz przez wody wyjątkowo mulistej rzeki.

Po siedemnastu minutach znowu odezwałem się do Seymoura.

- Jeśli jeszcze trochę polatamy, trzeba będzie wysiąść i popychać.
- Słucham?

– Spokojnie, to tylko stary lotniczy dowcip. – Pchnąłem drążek sterowy w przód i samolot opadł nieco niżej. Zamierzałem dodać coś jeszcze na temat uruchamiania katapulty w razie wyczerpania się paliwa, ale biorąc pod uwagę panujący mrok i kompletny brak doświadczenia Seymoura... Doszedłem do wniosku, że znacznie milej będzie po prostu przystawić mu pistolet do głowy.

Nie mając łączności z bazą, mogłem liczyć wyłącznie na własne wycucie, zbliżając się do ziemi na odległość kontaktu wzrokowego. Przed startem widziałem, że odpalono kilka flar, by upewnić się, czy chmury nie zeszły poniżej pułapu trzystu metrów.

Pomyślałem, że jeśli będę leciał ostrożnie, uda mi się zejść tuż pod chmury, nie ryzykując zbyt zderzenia ze zboczem jakiegoś pagórka. Choć na tak małych wysokościach przyrządy nie były zbyt przydatne, gloster javelin dysponował na szczęście zestawem potężnych świateł. Dzięki nim nawet z wysokości trzystu metrów miałem szansę zorientować się przynajmniej, czy lecimy nad lądem, czy nad wodą.

Pomału sprowadziłem maszynę na pułap trzystu metrów.

Zapas paliwa nie mógł wystarczyć mi na dłużej niż siedem minut.

W takich warunkach każde lądowanie musiało być nieprzyjemne.

Ustaliłem, że, wspinając się wysoko ponad chmury, zatoczyłem bardzo obszerny krąg. W jego centrum, czyli mniej więcej o dwadzieścia kilometrów od punktu, w którym się znajdowałem, leżała wyspa Wight. Sądziłem więc, że jeśli obiorę kurs zbieżny z promieniem tego kręgu i zejdem na pułap trzystu metrów, prędzej czy później dojrzę światła lotniska, a jeśli nie, to przynajmniej światła miast

i wiosek.

Nie spodziewałem się jednak, że pogoda będzie jeszcze bardziej parszywa niż przedtem.

Krople ulewnego deszczu były o pleksiglasową owiewkę jak kule z karabinu maszynowego. W smugach reflektorów pokładowych widać było tylko strumienie lejącej się z nieba wody, szarpane podmuchami wiatru i kotłujące się niczym prześcieradła w pralce.

Doszedłem do wniosku, że mam trzy możliwości działania – przynajmniej jeśli chodzi o kontynuowanie lotu.

Po pierwsze: lecieć dalej wprost w szalejącą ulewę i wicherę.

Po drugie: wlecieć w kompletną ciemność chmur.

Po trzecie: przelecieć przez chmury i wrócić na rdzawoczerwone niebo nad nimi (piszę „niebo” w sensie miejsca wysoko ponad naszymi głowami, w rzeczywistości bowiem nie było tam nic niebiańskiego; przestrzeń powyżej warstwy chmur przypominała raczej piekło, i to w najbardziej ponurej jego odmianie).

Tak się jednak składało, że możliwości działania szybko mi ubywało. Wskaźnik poziomu paliwa dotarł już niemal do zera, a ja wciąż nie miałem kontaktu z wieżą kontroli lotów. Wkrótce więc nie miałem już wyboru: mogłem tylko ślizgać się pod warstwą chmur. Przez dobrych trzydzieści sekund leciałem z prędkością trzystu węzłów, a turbulencje szarpały maszyną, jakby była piórkiem na wietrze. Krople deszczu rozpraszały światło reflektorów we wszystkich kierunkach, a żałobne wycie ciętego skrzydłami powietrza przyprawiało nas o dreszcz.

Serce biło mi coraz szybciej, a na piersiach czułem nieprzyjemnie zimne strużki potu.

Możliwości numer dwa i trzy przestały wchodzić w rachubę, toteż pozostało mi tylko systematyczne obniżanie pułapu. Wciąż jednak nie widziałem pod sobą lądu, a na tej wysokości (i przy tak absurdalnych wskazaniach przyrządów) mogłem zniecka pogrzebać trzydziestoletni samolot w zboczu jednego z łagodnych pagórków wyspy Wight.

– Davidzie... Widzisz już lotnisko?

– Nie – odparłem. I w tym momencie zauważyłem coś równie ciekawego.

Zmniejszyłem ciąg. Maszyna posłusznie zwolniła do trzystu kilometrów na godzinę. Jej dziób opadł jeszcze niżej. Znajdowaliśmy się ledwie parę metrów nad powierzchnią...

– Dobry Boże... – wyrwało mi się niechcący.

– Co to było? – zawołał Seymour.

– Morze – odpowiedziałem krótko. Tuż pod brzuchem myśliwca przewalały się morskie fale. Ich grzbiety, pokryte pianą, tworzyły smaganą wiatrem, wzburzoną kipieli.

Musiałem wziąć się w garść. Nie było sensu nabierać wysokości – zostały nam ostatnie krople paliwa. Poza tym gdybym stracił z oczu morze, nie wiedziałbym, kiedy znaleźlibyśmy się nad ziemią. Położyłem maszynę na lewe skrzydło, zawracając na pomoc. Krawędź płata omal nie zahaczyła o fale. Teraz wiedziałem, że muszę dotrzeć do stałego lądu – bez względu na to, czy miała to być wyspa, czy angielskie wybrzeże. W tej chwili nie miało to większego znaczenia.

Wiedziałem także, że jeżeli nie posadzę maszyny na ziemi w ciągu sześćdziesięciu sekund, to czeka nas coś więcej niż moczenie nóg.

– Davidzie, sądzę...

– Proszę cię, nie teraz. Przez najbliższych pięć minut powinienem być skoncentrowany. Seymour umilkł.

W świetle reflektorów doskonale widziałem kotłującą się pod nami wodę. Wydawało mi się, że

dostrzegam nawet pojedyncze krople mknące ku kokpitowi samolotu.

Na panelu kontrolnym, tuż pod wskaźnikiem poziomu paliwa, zapaliła się czerwona lampka. Nie trzeba być wielkim ekspertem w dziedzinie awiacji, żeby wiedzieć, co to oznacza. Zmniejszyłem ciąż jeszcze bardziej, próbując oszczędzić tę resztkę benzyny, którą przedstawiłem sobie w postaci kałuży.

Powoli i spokojnie...

I wtedy zobaczyłem w oddali ciemniejszą plamę. Blask reflektorów nie odbijał się od niej tak jak od powierzchni morza.

Teraz, pomyślałem. Jeżeli to nie ziemia, to zjem na podwieczorek własny kapelusz i kalosze na dokładkę.

Nie widziałem ani skał, ani drzew, ani domów. Teren wyglądał mi na coś w rodzaju pastwiska. Nie było szans na lądowanie na podwoziu – gdyby przednie koło napotkało byle koleinę czy króliczą norę, czekałoby nas dachowanie. Musiałem spróbować posadzić maszynę na płaskim, gładkim brzuchu.

– Trzymaj się mocno – powiedziałem. – Schodzimy.

Podczas lądowania wszystko, co miał nam do zaoferowania wielki świat, chwilowo przestało mnie interesować.

W końcu otworzyłem oczy, marząc o tym, by było to przebudzenie we własnym łóżku. Niestety, niemal od razu dotarło do mnie, że coś bębni o moją czaszkę. Niezgrabnie dotknąłem jej palcami... Była jak z drewna. Nic nie czułem. Nie czułem także palców.

Dopiero po chwili, w przebłysku geniuszu, przypomniałem sobie, że wciąż siedzę w samolocie i nadal mam na dłoniach rękawice, a na głowie hełm.

Bębnienie było odgłosem deszczu tłukącego o aluminiową skorupę mojego nakrycia głowy. Ktoś zdążył już otworzyćabinę.

Bolała mnie szyja. Rwanie w nogach również nie wróżyło niczego dobrego. Uwolniłem się z pasów i jęknąłem cicho.

– David! – zawołał ktoś, skutecznie przekrzykując deszcz. – Jesteś cały?

Skinąłem głową. Kark wciąż bolał, ale przynajmniej poruszał się tak jak powinien.

– Seymour... – odkrzyknąłem po chwili.

– Tak?

– Wciąż siedzisz za mną?

– Tak. Pomyślałem, że poczekam, aż się ockniesz.

– Jezu... I długo tak czekasz?

– Będzie z pół godziny.

– Ty idioto! W zbiornikach mogło być jeszcze dość paliwa, żeby obu nas wysłać do nieba!

Dlaczego nie wysiadłeś?

– Nie wiedziałem... Przepraszam.

Teraz, gdy moje zmysły z wolna budziły się do normalnego życia, zauważyłem, że choć nadal otacza nas kompletna ciemność, deszcz wyraźnie osłabł. Sądzę, że i tak powinniśmy byli dziękować ulewie za to, że schłodziła wrak maszyny, zapobiegając eksplozji resztek paliwa, która bez wątpienia rozdarłaby nas na strzępy.

Na wszelki wypadek spróbowałem uruchomić radio, ale moje ponure podejrzenia natychmiast się potwierdziły. Awaryjne lądowanie zmieniło pokładowy nadajnik w kupę złomu. Kazałem Seymourowi wyjść z kabiny. Nie zdejmując hełmów, ześliznęliśmy się po metalowej burcie wprost na ziemię.

Grunt był nie tylko mokry; wręcz ugiął się przy każdym kroku. Najwyraźniej posadziłem maszynę na wyjątkowo podmokłej łączce. Czy była to jednak część wyspy, czy lądu stałego, tego nie potrafiłem określić. W normalnej sytuacji zostalibyśmy przy maszynie do świtu, ale nie bardzo wiedząc, kiedy i czy w ogóle nastąpi kiedyś świt, nie mieliśmy wielkiego wyboru. Czekala nas wędrówka do najbliższej ludzkiej siedziby, z której moglibyśmy nawiązać łączność z bazą.

Przez moment sprawdzałem wytrzymałość nóg. Golenie bolały mnie jak diabli, ale na szczęście nie były złamane. Nie wątpiłem, że po zdjęciu skafandra zobaczyłbym mozaikę fioletowych i zielonych sińców.

Spojrzałem na wrak samolotu. Światła kokpitu wciąż się paliły, a ich blask wystarczył, by stwierdzić, że kadłub zachował się w niezłym stanie. Co prawda jedno ze skrzydeł wygięło się do tyłu, a solidna porcja zielska ozdabiała dziób maszyny, ale z pewnością nie nazwałbym tego lądowania kompletną katastrofą. Zresztą najważniejsze, że byliśmy cali.

– W zestawie ratunkowym są latarki – odezwałem się do Seymoura. – Przyniosę je i będziemy mogli ruszyć.

– Ale dokąd? – Młodziak ściągnął hełm i stanął w poświacie rzucanej przez światła kokpitu. Wyglądał na kompletnie zagubionego. – Przecież nie mamy pojęcia, w którą stronę iść.

– Na południe. Jeżeli jesteśmy na lądzie stałym, dojdziemy do wybrzeża. Jeżeli jesteśmy na wyspie, nic nie stracimy. Po drodze na pewno znajdziemy jakąś osadę.

Seymour otarł czoło, zapewne zroszone solidną porcją potu zmieszanego z deszczówką.

– Wiesz, chętnie napiłbym się herbaty – mruknął cicho.

– Święte słowa, Seymour.

Co powiedziawszy, wspiąłem się do kabiny, żeby zabrać latarki. Kiedy wróciłem, Seymour Hinkman, młody, niecierpliwy meteorolog, już nie żył.

7. Izolacja

Kiedy rano otworzyłem oczy, nie byłem sam. Za owiewką dostrzegłem smukłe, kołyszące się złowrogo sylwetki. Dziesiątki tryfidów, niecierpliwych jak stado ogarów w porze karmienia, stłoczyły się wokół uszkodzonego samolotu.

Z każdą chwilą było ich coraz więcej. Widziałem zastępy ciemnych kształtów, niezgrabnie kuśtykających przez podmokłą równinę na trzech koślawych „nogach”. Kiwały się do przodu i do tyłu, jakby przyginał je do ziemi silny wiatr. Ich liście trzęsły się przy każdym kroku.

Obserwowałem je przez dłuższą chwilę, zahipnotyzowany pokazem karność maszerujących roślin. Zrozumiałem, co czuje mysz, która wie, że właśnie wypatrzył ją kot. Bez wątplenia rośliny wędrowały w moją stronę tylko dlatego, że byłem dla nich całkiem apetycznym śniadaniem.

Ciało młodego meteorologa, Hinkmana, zdążyło już zniknąć pod tryfidowym zagajnikiem. Wołałem nie sprawdzać dokładnie, jaki spotkał go los.

Fakt, że zdołałem zasnąć w takich warunkach – w ciasnocie kokpitu rozbitego odrzutowca, wkrótce po nagłej śmierci Hinkmana, obłączony przez tryfidy – zdziwił mnie niezmiernie. Doszedłem do wniosku, że to skutek szoku. W końcu nawet po najcięższych przejściach ludzkie ciało musi wreszcie zażądać snu. Było nie było, wypoczęty organizm ma większe szansę przetrwania niż skrajnie wyczerpany.

Przyglądając się pilnującym mnie istotom, zrozumiałem nagle, że stał się cud. Znowu widziałem!

Światło powróciło do naszego świata.

Poczułem dreszcz i gwałtowne bicie serca.

Teraz przynajmniej miałem powód do choćby odrobiny optymizmu. To prawda, że słońce wyglądało jak dysk niewiele jaśniejszy od zrudziałego liścia przyklejonego do ciemnego nieba – ciemnoczerwonego, jeśli chodzi o ścisłość – ale przynajmniej mogłem widzieć, gdzie się znajduję. Zauważyłem, że chmury się rozeszły, jeśli nie liczyć kilku smug wysokich cirrusów, przypominających czarne równoległe linie przecinające niebo.

Nagły ruch mojej głowy ku górze spowodował natychmiastową reakcję tryfidów. W przezroczystą osłonę kabiny z rozmachem uderzyła salwa zatrutych wici, z których każda pozostawiła na pleksiglasie kleistą strugę jadu, ograniczając widoczność niemal do zera.

Magazynek z amunicją dla broni pokładowej opróżniono przed lotem celowo, by zredukować masę samolotu, a przez to zwiększyć jego zasięg. A szkoda. Z dziką rozkoszą wcisnąłbym czerwony guzik ukryty w rękojeści steru i posłał zielonych morderców do wszystkich diabłów.

Przez moment siedziałem nieruchomo, próbując opanować przyspieszony oddech. Musiałem myśleć logicznie; zastanowić się, co dalej. Brak aktywności w kabinie sprawił, że wici przestały wściekle bombardować owiewkę.

Wkrótce zapadła cisza, jeśli nie liczyć uderzeń zdrewniałych „palców” o twarde pnie tryfidów.

Zacząłem rozmyślać o tym, co powiedział mi ojciec: że te rośliny potrafią się porozumiewać. Rozmawiają ze sobą, wymieniają informacje, snują plany, może nawet dyskutują o marzeniach: dominacji nad światem i wytępieniu człowieka.

Siedząc cicho w kokpicie, po raz pierwszy zrozumiałem, o co mu tak naprawdę chodziło. I uwierzyłem.

Te piekielne istoty naprawdę były inteligentne. A teraz pochylały się nade mną, wołając do swoich sąsiadów: „Mamy człowieka. Przybywajcie na ucztę!”.

Pozostanie we wraku oznaczało śmierć.

Siedząc w kokpicie, otoczony przez co najmniej trzydzieści dorodnych tryfidów o liściach podbarwionych czerwienią gasnącego słońca, nie miałem co do tego wątpliwości.

Nabrałem przekonania, że samolot spadł na stały ląd, a zatem nie mogłem oczekiwać rychłej pomocy. Społeczność wyspy Wight dysponowała dość ograniczonymi środkami, a poza tym, jeśli burza uszkodziła nie tylko anteny radiowe, ale i radarowe, to najprawdopodobniej nikt nie miał pojęcia, gdzie mnie szukać. Moi ziomkowie nie wiedzieli zapewne nawet, jak się zabrać do poszukiwania małej dwumiejscowej maszyny na obszarze kilkuset kilometrów kwadratowych.

Stukot tryfidowych pałeczek nabrał nagle tempa i stał się wyraźnie głośniejszy. Odniosłem wrażenie, że rośliny dobrze wiedzą, iż wkrótce będę musiał zacząć działać.

Mój plan powinien być przemyślany dokładnie od początku do końca.

Przede wszystkim należało opuścić kabinę i rozpocząć wędrówkę na południe, w stronę wybrzeża.

Atak tryfidów nastąpiłby niewątpliwie, gdy tylko uchyliłbym owiewkę. Na szczęście wciąż miałem na sobie skafander ciśnieniowy. Jak pamiętacie, wykonany był z grubej, gumowanej bawełny. Jeśli dodać do tego rękawice i hełm z pleksiglasowymi okularami zakrywającymi całą twarz, na działanie tryfidowej trucizny był narażony najwyżej skrawek mojej skóry.

Teoretycznie byłem więc bezpieczny jak w domu. Ale czy jad mógł przeniknąć przez tkaninę? A gdybym zaczął się dusić i musiał odchylić przyłbicę?

Gdybym podumał jeszcze chwilę w tym duchu, chyba puściłyby mi nerwy. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko włożyć hełm i rękawice, a potem... wybrać się na spacer.

Dopiąłem starannie zatrzaski hełmu (z okularami zablokowanymi w dolnej pozycji) i upewniwszy się, że mankiety rękawic zakrywają gumowe ściągacze kombinezonu, ostrożnie uchyliłem owiewkę.

Podświadomie wstrzymałem oddech, podnosząc się z fotela i ześlizgując z kadłuba myśliwca. Czuję się mniej więcej tak, jakbym spinał się w sobie przed skokiem do lodowatej wody.

W okamgnieniu wystrzeliły ku mnie śmiercionośne wici. Choć okazało się, że trucizna nie przenika przez wytrzymały skafander, siła uderzeń była tak duża, że poczułem pieczenie smaganej zielonymi biczami skóry i ból w nadwerżonym podczas lądowania karku. Po chwili jednak stałem już pewnie na ziemi i przeciskałem się przez gąszcz mięsistych liści, niczym odkrywca badający dziewiczą dżunglę. W ciągu paru sekund przyłbica pokryła się grubą warstwą jadu, tak że widziałem przez nią tylko rozmazane, czerwone cienie bijących w nią wściekle wici.

Kątem oka dostrzegłem buty i dziwnie krótkie nogi nieboszczyka. Tryfidy nie marnowały czasu, kiedy już udało im się kogoś upolować... Dzięki Bogu, wreszcie dotarłem na skraj tryfidowego lasku. Wyszedłem na otwartą przestrzeń, czując na plecach pożegnalne smagnięcia.

Wierzchem rękawicy startłem z okularów plamę jadu. Widoczność poprawiła się znacznie, więc mogłem iść szybciej. Nie tracąc czasu, zacząłem oddalać się od stada tryfidów wciąż tłoczących się wokół samolotu.

Miałem przed sobą kawał płaskiego terenu – rzekłbym nawet, że zadziwiająco płaskiego i sprężystego. Pamiętam, że czułem się tak, jakbym wędrował po gigantycznym materacu.

Wiedziałem, że spora część nizin południowej Anglii była dawno temu jednym wielkim bagnem,

osuszonym dopiero w średniowieczu, o ile nie później. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że elektryczne pompy drenażowe od dawna nie działały, a szlam zapewne skutecznie zablokował kanały, woda mogła z powrotem zająć odebrane jej niegdyś tereny, powoli i systematycznie zmieniając żyzne ziemie w grzęzawisko. Zatrzymałem się na moment, by sprawdzić rewolwer i stan zapasów, które niosłem na ramieniu w płóciennych sakwach. Potem pochyliłem się nad kieszonkowym kompasem. Wreszcie obróciłem się w stronę mętnej czerwieni południowego horyzontu i rozpocząłem marsz.

Krajobraz nie był szczególnie urozmaicony. Żadnych drzew, domów czy dróg, tylko karłowate chwasty pod stopami. Za sprawą rdzawej mgiełki spowijającej horyzont oraz usmarowanych tryfidowym jadem okularów dalej też nie byłem w stanie dostrzec niczego ciekawego.

Nie minęło pięć minut, a dotarłem do brzegu oceanu. I w chwili gdy pomyślałem, że oto mam przed sobą Solent, cieśninę oddzielającą Anglię od wyspy Wight, dotarło do mnie, że jestem w bardzo głębokim błędzie.

Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałem, a przecież sięgałem pamięcią na dobrych dwadzieścia parę lat wstecz.

Łąd nie kończył się ani stromym klifem, ani piaszczystą plażą. Wyglądało to tak, jakby porastająca ziemię roślinność urywała się nagle, a jej wystrzępiony brzeg, zakończony zdegenerowanymi, nagimi łodygami, kołysał się sennie na fali.

Zbliżając się do skraju łądu, zauważyłem, że podłoże staje się coraz bardziej sprężyste. Co kilka kroków nogi zapadały mi się w ziemię i podmywające ją wody.

Kolejny raz przetarłem przyłbicę. Niewiele to dało, ale zdołałem dostrzec, że ten wystrzępiony brzeg ciągnie się może ze sto metrów w lewo i w prawo, po czym skręca ku północy. Powiedziałbym zapewne, że stoję na wysuniętym w morze cyplu łądu, gdyby nie to, że słowo „łąd” należałoby umieścić w cudzysłowie.

To był wybryk natury; twór równie fałszywy, jak moralność fordanserki.

Ostrożnie zbliżyłem się do brzegu morza. Jego wody, w kolorach mętne pomarańczowym i czerwonym, były odbiciem ciemne – i go nieba. Nawet piana na grzbietach fal miała kolor rdzy.

Na Boga, w jakim to świecie znalazłem się wbrew woli?

Raz po raz zadawałem sobie to pytanie, zbliżając się do wody, w nadziei, że za chwilę zobaczę choć wąski pas piasku czy skał.

Na próżno.

Widziałem, jak wielka fala zbliża się do brzegu. Dotarłszy do niego, nie załamała się jednak, ale zniknęła pod „ziemią”, na której stałem. Przez twarde podeszwy lotniczych butów poczułem, że podłoże unosi się i opada.

Po chwili sytuacja powtórzyła się. I jeszcze raz... Do licha, to z całą pewnością nie był stały łąd, a tylko falująca masa roślin, i to bardzo rozległa. Unosiła się na otwartych wodach i poruszała w harmonii z niknącymi pod nią grzywaczami.

Powróciłem w głąb „łądu”, gdzie warstwa zielska zdawała się grubsza i zapewniała stabilniejsze oparcie dla nóg. Znajdowałem się na czymś w rodzaju olbrzymiej tratwy, złożonej z pni drzew połączonych cienką warstwą zielska. Poniżej otwierała się chłodna głęбина oceanu.

Miałem nadzieję, że pływająca masa roślinności jest jeszcze przytwierdzona do prawdziwego łądu. Jednak godzinna przechadzka wzdłuż brzegu dała mi jasny obraz sytuacji: moja „wyspa” dryfowała swobodnie po oceanie.

Potrafiłem sobie wyobrazić, że Brytania, pozbawiona wszelkiej ingerencji człowieka, stanie się krainą dziczczą i niedostępną. Zamulone rzeki mogły wystąpić z dawnych koryt, a miasta osunąć się pod ziemię na podmytych fundamentach. Jednak pomysł, że rzeczny zator złożony z powalonych drzew i porośnięty zielskiem mógł tak po prostu wyrwać się na otwarte morze, tworząc pływającą wyspę o powierzchni pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu akrów, wydawał mi się odrobinę naciągany.

Mniej więcej sto metrów przede mną zaczynał się zagajnik tryfidów. Rośliny nie poruszały się, jeśli nie liczyć łagodnego drżenia liści na wietrze. Może wystarczało im, że stoją sobie spokojnie z korzeniami w podłożu i czekają? Czy to ich dziełem była ta wielka, elastyczna tratwa? Może jednak w ich zdrewniałych pieńkach kryją się mózgi? Może w ciągu ostatnich dwudziestu, trzydziestu lat ich ewolucja posunęła się naprzód tak bardzo, że pojedyncze rośliny potrafiły opanować niektóre umiejętności? Tryfidy–dowódcy? Tryfidy–technicy? Tryfidy–inżynierowie? Inżynierowie, właśnie. Ich zadaniem byłoby zaprojektowanie i zbudowanie pojazdu takiego jak ten, który przeniósłby zastępy tryfidów na dotąd niepodbite ziemie.

Czy zbyt popuściłem wodze fantazji? Nie wiem. Ale zapytajcie rolnika, jak szybko zwykły oset potrafi skolonizować pole pszenicy. Poproście ogrodnika, żeby opowiedział wam, jak niepozorne stokrotki podbijają i opanowują trawnik. A potem zadajcie sobie pytanie, czy rośliny, które potrafią chodzić, komunikować się i zabijać, umiałyby wynaleźć środek transportu tylko po to, by dokonać najazdu na ostatnie enklawy ludzkiej cywilizacji. Zastanawiając się nad tym wszystkim, zrozumiałem, w jaki sposób tryfidy zdołały zaledwie kilka godzin wcześniej wylądować w Bytewater na wyspie Wight. Byłem pewien, że moi krajanie znajdą na którejś z plaż podobną roślinną matę – tę, która przewiozła przez cieśninę forpocztę tryfidowej inwazji.

Zadałem sobie też pytanie: dokąd prądy morskie mogą zanieść tę wielką tratwę?

Czas pokaże, pomyślałem ponuro. Tymczasem zaś zainteresowały mnie niewysokie pagórki, które wznosiły się na północnym skraju pływającej wyspy. Zamiast więc kryć się w bezpiecznym, choć ciasnym wnętrzu kokpitu odrzutowca, postanowiłem poznać do końca sekrety dziwnego wytworu tryfidów.

8. Niebezludna wyspa

To, co odkryłem pośród tych pagórków, potwierdziło moje wcześniejsze przypuszczenia. Pod warstwą powoju, bluszczu i mchu zauważyłem szczątki przystani – być może któregoś z niewielkich portów jachtowych znad Southampton Water lub rzeki Avon.

Nie zdejmując z głowy hełmu i ani na chwilę nie unosząc maski, wszedłem między wzniesienia. Tu i ówdzie spośród zielska wystawały belki tworzące niegdyś pomost. Do jednego z solidniejszych słupów ktoś przybił tablicę z napisem: „Przystań tylko dla członków klubu”. Spłowiełe znaki bardziej przypominały przypadkowo rozrzucone plamki czarnej farby niż litery.

Nieco dalej odnalazłem szczątki buta sprzed trzydziestu lat oraz obudowę telewizora, z której ktoś wyrwał kineskop. Bakelitową skorupę zawłaszczył sobie dorodny krab o największych szczypcach, jakie kiedykolwiek widziałem. Gdy się zbliżyłem, wściekle przeciął nimi powietrze – nie zamierzał opuszczać domu bez walki.

Wysoko nade mną czerwone słońce z trudem przebijało się przez zasłonę rdzawych chmur. Przejmujące głosy mew podkreślały żalobny nastrój mojej odysei. Cóż to za świat... coś za ponury świat. Światło koloru rdzy, szczątki dorobku nieistniejącej nacji i niemal nienaturalne poczucie osamotnienia...

Mech, mech, mech – ostatni król Angkor Wat nie żyje...

Chwilę później znalazłem się między pagórkami, które rozmiarami przewyższały niejednen dom. Ku swemu zdziwieniu odkryłem, że zawierały kadłuby niedużych frachtowców, holowników i kutrów rybackich. Splątana masa roślin złączyła je trwale, a potem, oderwawszy od stałego lądu, pociągnęła na otwarte morze.

Niemal zahipnotyzowany tym rozpaczliwym widokiem, ruszyłem ku jachtom, których burty przebijały gdzieś pod łądyg i liści. Tu sterczał pordzewiały komin, tam widać było otwarty bulaj przesłonięty pnączami, a w głębi podłużne kształty przywodzące na myśl koje załogi. Nie zatrzymując się, od czasu do czasu rozgarniałem zielsko, by spojrzeć na wymalowaną na dziobie nazwę jednostki lub przyjrzeć się ukrytym pod mchem okrągłym okienkom.

Z odrazą i niezdrową fascynacją przyglądałem się tym hybrydom dzieł rąk ludzkich i wytworów przyrody, ale nie byłem przygotowany na to, co nagle ujrzałem.

Odsunąwszy wiązkę bluszczu zwisającego z burty jachtu wycieczkowego, zamarłem w bezruchu, słysząc tylko dudnienie własnego serca. Za szybą bulaja zobaczyłem twarz. Oczy, najjaśniejszy fragment otoczenia, jaki widziałem od chwili, gdy rozbiłem się na tej nieszczęsnej pływającej wyspie, wpatrywały się we mnie uważnie. Przez ułamek sekundy patrzyłem prosto w ich źrenice i intensywność tego kontaktu sprawiła, że wstrzymałem oddech.

Chwilę później twarz zniknęła.

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, odsunąłem się od kadłuba jachtu, zahaczyłem piętą o wystający z podłoża konar i z impetem usiadłem w roślinach.

Kiedy uniosłem głowę, dostrzegłem na pokładzie drobną sylwetkę. Nie od razu zidentyfikowałem ją jako ludzką – przez moment miałem wrażenie, że widzę nienaturalnie gibką postać okrytą gęstwą ciemnych włosów. Ze zdumieniem zauważyłem, że stworzenie jest ubrane w coś, co wyglądało jak powiewające na wietrze bandaże. Choćby z tego powodu skojarzyło mi się z egipską mumią – tyle że poruszającą się energicznie po pokładzie jachtu i jak najbardziej żywą.

– Zaczekaj! – krzyknąłem. – Proszę, zaczekaj!

Postać zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Teraz dopiero dostrzegłem, że to dziewczyna, najwyżej szesnastoletnia. Z jej jasnych, szeroko otwartych oczu wycierało tak bezgraniczne przerażenie, jakbym przed chwilą wstał z grobu.

I wtedy dotarło do mnie, że to najzupełniej normalna reakcja. Oto stałem przed nią ubrany w coś, co musiało wyglądać jak skafander kosmiczny, w hełmie z pleksiglasową przyłbicą szczelnie zakrywającą twarz.

Bez wahania ściągnąłem hełm.

– Nie bój się – powiedziałem łagodnie. – Nie zrobię ci krzywdy.

Na widok stwora, który na jej oczach zdejmuje sobie głowę, dziewczyna wydała okrzyk trwogi i trzęsącymi się dłońmi zasłoniła twarz.

Próbowałem przemawiać tak spokojnie, jak tylko potrafiłem.

– Nie bój się... Proszę, nie bój się... Nie skrzywdzę cię...

Teraz mogłem przyjrzeć się jej uważniej. To, co w pierwszej chwili wziąłem za bandażę, było w rzeczywistości porwanym na strzępy ubraniem. Twarz dziewczyny była czysta – jakby świeżo wyszorowana – za to jej włosy, splecione w jeden kłęb, wyglądały strasznie. Nigdy przedtem nie widziałem istoty ludzkiej podobnej do niej. Miała w sobie coś zwierzęcego; przypominała dziką kotkę.

– Chciałbym z tobą porozmawiać, jeśli pozwolisz... proszę... nie skrzywdzę cię. Mam na imię David... Trafiłem tu przypadkiem, podobnie jak ty.

Był to raczej oczywisty wniosek: z pewnością nie znalazła się tu z własnej woli. Bóg jeden wie, jakim sposobem udało jej się tak długo unikać śmiercionośnych wici tryfidów.

Uśmiechnąłem się.

– Uwierz mi, nie mam złych intencji. Zostanę tu, na dole, jeśli chcesz. Chciałbym tylko...

– Mmm... mrr... mm...

– Przepraszam, ale...

– Mmmm–mm. A! A!

Miała bystre oczy, zdradzające inteligencję, ale czy była niemową? A może... poczułem coś na kształt, wstyd się przyznać, niesmaku. Słyszałem niegdyś opowieści o dzieciach porzuconych podczas tryfidowej inwazji i wychowywanych przez zwierzęta, niczym legendarni Romulus i Remus. Do tej pory sądziłem, że to bajki, choć niewątpliwie istniały gdzieś grupy cudem ocalałych ludzi staczających się nieuchronnie ku kompletnemu barbarzyństwu.

– Mmm–mm. A! A! – Błyskając niespokojnie oczami, dziewczyna zgięła palce, jakby coś w nich trzymała, i przycisnęła je do ust.

– Mmmm–mm. A! A! A! A!

– Jedzenie... Pytasz, czy mam jedzenie? – zrozumiałem wreszcie. – Jesteś głodna?

Nie pojmując moich słów, przekrzywiła ciekawie głowę.

– Jedzenie – powtórzyłem, naśladując jej gesty.

– A! A!

Teraz i ona rozumiała.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową. Biedactwo! Musiała tkwić na wyspie od wielu tygodni i zapewne umierała z głodu. Sięgnąłem do sakwy.

Ale ona była szybsza. Błyskawicznie zeskoczyła z pokładu, z cichym pluskiem opierając stopy na miękkim podłożu. Potem podeszła bliżej, uśmiechając się, kiwając głową i odwijając w pośpiechu coś, co wyglądało na strzęp żagla.

Nareszcie zdałem sobie sprawę, o co jej naprawdę chodziło.

To ona oferowała mi jedzenie. Wyszczrzyła do mnie olśniewająco białe zęby i rozłożyła płótno na ziemi, jakby przygotowywała piknik. Pośrodku zawiniątka ujrzałem dwa kraby i potężnego szczura.

Uniosła martwego gryzonia i, udając, że wbija zęby w jego brzuch, zamruczała zachęcająco. Po chwili podała mi smakołyk, bez oporów dzieląc się ze mną owocem swojej pracy.

Będę szczery: mój uśmiech był w tym momencie nieco wymuszony.

Szczur wyglądał zdecydowanie nieapetycznie. Z nozdrzy pociekła mu strużka krwi, sierść miał matową, a potężne siekacze – niezdrowo żółte.

Nie chciałem jednak obrazić mojej nowej przyjaciółki odmową. Dlatego też, wciąż uśmiechając się ciepło, choć nieszczerze, wyjąłem z moich zapasów herbatnik i położyłem na wyciągniętej dłoni.

Dziewczyna wyglądała na usatysfakcjonowaną tym rytuałem: odłożyła szczura na szmatkę, zawinęła ją szybko i wetknęła pakunek pod ramię. Nie zamierzała jednak odrzucić mojej oferty. Z zadziwiającą szybkością wyciągnęła rękę i porwała herbatnik, jakby wydobywała z ognia gorącego pieczonego kasztana.

Nie był to przejaw chciwości czy zdziczenia – po prostu taka już była. Szybka i zręczna.

Gdy uważnie przyglądała się ciastku, zrozumiałem, że nigdy jeszcze nie widziała tego rodzaju pożywienia. Powąchała je i ostrożnie potarła kciukiem. Zadowolona, polizała słodką powierzchnię.

– Mmm–mm!

Nasze oczy znowu się spotkały. Dzikuska z błogim uśmiechem wepchnęła do ust herbatnik i pogryzła, chrupiąc donośnie. Pochłonawszy słodką przekąskę, z lubością oblizała wszystkie palce po kolei.

– Mmm–mm!

– Smakowało?

– Mmm!

Uśmiechnąłem się.

– Mam na imię David. Da–vid.

Spojrzała na mnie niepewnie.

– Da... ta... – spróbowała powtórzyć, z wysiłkiem układając usta. – Da... ta... ta...

– David.

Nagle dziewczyna wyszczrzyła zęby w uśmiechu i – ku mojemu zaskoczeniu – powiedziała:

– Tata! – Jej głos stał się nagle zupełnie dziecinny. – Tata–tatata–tata.

W tym momencie pojawiła się w moim umyśle zadziwiająco szczegółowa wizja. Oczami wyobraźni ujrzałem małą społeczność, z trudem walczącą o przetrwanie w zalewającej Brytanię powodzi tryfidów. A oto rodzina: ojciec, matka i mała córeczka. Wreszcie dochodzi do nieuniknionej katastrofy. Giną wszyscy prócz dziewczynki. Opis okropności, które musiała przeżyć, by w zdrowiu dotrzeć do chwili, gdy ją spotkałem, wypełniły zapewne osobną książkę. Dorastała samotnie, w ciągłym zagrożeniu...

– Tata, tata, tata – powtarzała z upodobaniem. – Tata, mama, ciocia Sue, umyj buzię... Tata mmm–mm. Umyj buzię! – Rozpromieniona, udawała, że myje usta i brodę.

Roześmiała się, a był to śmiech tak piękny, że nie mogłem się powstrzymać. Najpierw daremnie usiłowałem stłumić chichot, a potem nie wytrzymałem i wybuchnąłem serdecznym śmiechem.

Dziwne musiało to być widowisko. Oto ja, ubrany jak kosmonauta, ze srebrzystym hełmem pod

pachą, i dzikuska w lachmanach, wykarmiona szczurzym mięsem. Staliśmy tak w zalanym mętym czerwonym światłem świecie, pośród zielska i wraków statków, chichocząc jak para trzpiotowatych dzieciaków.

I wtedy właśnie poczułem coś na kształt bezradnej miłości do tego stworzenia. Dziewczyna była piękna, żywiołowa i pełna wdzięku, a przy tym zdrowa, mimo strasznych warunków, w których przyszło jej dojrzewać. Byliśmy dwojgiem istot ludzkich zjednoczonych przez wspólnego wroga.

Powziąłem postanowienie, że muszę znaleźć jakiś sposób na wyrwanie jej z tej przeklętej roślinnej tratwy. Po jakimś czasie, pod troskliwą opieką specjalistów, z pewnością przystosowałyby się do życia na naszej wyspie. Nauczyłyby się znowu angielskiego, może nawet znalazłyby się dla niej nowa rodzina...

W polu widzenia pojawił się złowieszczy kształt.

Płynnym ruchem wyciągnąłem z kabury pistolet i wypaliłem dwa razy.

Kule wbiły się w pień nadchodzącego tryfida. Trzeci pocisk trafił w łodygę tuż pod wicią, zwiniętą już ciasno i gotową do ciosu. Postrzał z czterdziestkopiątki wystarczył, by zmienić roślinną tkankę w garść zmiażdżonych włókien.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie, zasłoniła uszy rękami i zerwała się do ucieczki.

– Stój! – krzyknąłem za nią. – Nie bój się!

Biegła rąco jak łania, by schronić się za stertą drewna.

Ruszyłem za nią, wołając uspokajająco, ale była zbyt przerażona. Z pewnością nigdy jeszcze nie słyszała huku wystrzału.

Biegła na oślep. Tuż przed nią rozpoczynał się gęsty las tryfidów, stojących spokojnie z korzeniami w glebie.

Myślałem, że uskoczy.

Nie uskoczyła.

Myślałem, że się zatrzyma.

Nie zatrzymała się.

Biegła i biegła, jakby prerażenie pozbawiło ją rozumu.

– Proszę, zatrzymaj się! Nie zbliżaj się do nich!... Nie!

Przez chwilę wahałem się, czy nie posłać jej kuli w nogę, by w szalonym pędzie nie wpakowała się w śmiertelną pułapkę.

W ostatniej sekundzie opuściłem broń, kręcąc głową. Teraz mogłem tylko przyglądać się biernie, jak krzycząca dziewczyna w pełnym biegu znika w sercu tryfidowego zagajnika. Liście zatrzęsły się gwałtownie, łodygi odchyliły, a potem powietrze przecięły dziesiątki sprężystych wici. Znowu naszyły mnie skojarzenia z gniazdem kobr.

Dzikuska zniknęła mi z oczu za ścianą tryfidowych pni. Kielichy na czubkach roślin jeszcze raz drgnęły spazmatycznie, a potem znieruchomiały.

Krzyki dziewczyny ucichły.

Stałem i patrzyłem, czując, że coś umarło nagle w moim sercu.

Następny tydzień był po prostu żalony. Powróciłem do odrzutowca, próbowałem spać, zjadałem pomału zapasy i biernie spędzałem dzień za dniem.

Tylko kilka razy włożyłem hełm i rękawice, by dla zasady obejść tych pięćdziesiąt parę akrów pływającej wyspy. Spotykałem wyłącznie kraby, rozbiegające się na mój widok na prawo i lewo, oraz

mewy zawodzące jak potępione dusze.

Mój mały świat wciąż oświetlało to samo rdzawoczerwone słońce. Nie wydarzyło się absolutnie nic, co mogłoby podnieść mnie na duchu.

Od czasu do czasu szedłem na „brzeg” i gapilem się na morze. Nie dostrzegłem jednak ani śladu łądu czy statku; absolutnie niczego – otaczały mnie tylko mętne czerwonawe wody. Tak właśnie mogłaby wyglądać droga do Hadesu.

Kiedy padał deszcz, woda gromadziła się na skrzydłach samolotu, w zagłębieniach, które wybiłem drewnianą pałką. Stamtąd przelewałem ją do manierki, by jakoś ciągnąć tę bezcelową egzystencję. Jadłem, piłem, spałem, ale wszystko to robiłem jakoś bez przekonania i poczucia sensu. Tryfidy zabiły dwoje ludzi, których znałem tak krótko... A jednak z biegiem dni moja nienawiść do zabójczych roślin zmieniła się w ponurą akceptację. W końcu marynarze giną na morzu, co jakoś nie przeszkadza wielu ich synom iść w ślady ojców. Pogodziłem się więc z losem, a z czasem nauczyłem się nawet czerpać korzyść z obecności tryfidów. Chroniony hełmem i skafandrem ciśnieniowym, nożem obcinałem roślinom zatrute wici. Potem zbierałem co delikatniejsze pędy i liście, by żuć je z podobną obojętnością, jaka towarzyszyła innym moim poczynaniom. Gorzko-słodkie zbiory – bardzo gorzko-słodkie, jeśli wiecie, co mam na myśli – były cennym uzupełnieniem mojej nędznej diety.

Posiliwszy się, wracałem do kokpitu, zamykałem owiewkę i siadałem w fotelu, by gapić się w czerwone niebo i rozmyślać o dziewczynie, którą spotkałem. Zastanawiałem się, jak miała na imię i czy jeszcze je pamiętała z czasów, gdy żyła pod opieką matki i ojca.

Noce były ciemniejsze niż dawniej. Choć nieraz podejrzewałem, że niebo jest bezchmurne, nigdy nie udało mi się dostrzec choćby jednej gwiazdy. Księżycą również ani razu nie zobaczyłem.

Siedziałem więc pod pleksyglasową skorupą i spałem.

Pewnego razu uchyliłem w nocy powieki i wydawało mi się, że widzę nad sobą twarz o szeroko otwartych oczach, przyglądających mi się uważnie.

Rano jednak doszedłem do wniosku, że to tylko sen. Mimo to, gdy kolejny raz udałem się na obchód mojej morskiej posiadłości, próbując zapomnieć o dziwnej wizji, przed oczami wciąż miałem roześmianą twarz dzikuski.

Mój ojciec napisał kiedyś, że człowiek nie jest zdolny do zbyt długiego przygnębienia. Umysł ludzki odradza się jak Feniks, raz po raz powstając z popiołów rozpacz.

Po pewnym czasie także mój tragiczny nastrój minął. Coraz częściej myślałem o ucieczce z pływającej wyspy. Zacząłem oczyszczać nożem z pnączy i mchów solidnie wyglądający jacht. Wydawało mi się, że za kilka dni uwolnię go i może uda mi się odplynać w stronę łądu. Podróż na pomoc powinna była doprowadzić mnie do wybrzeży wyspy Wight lub Brytanii. Pogrążony w pracy, ani na chwilę nie opuszczałem gardy, bo tryfidy zawsze kręciły się w pobliżu. Gdy tylko któryś z nich zaczynał się zbliżać, wkładałem hełm i zatrząskiwałem przyłbicę. Praca w pełnym rynsztunku była wybitnie niewygodna, ale przynajmniej te przekłete rośliny nie mogły mi nic zrobić.

W pierwszych dniach pobytu na wyspie często słyszałem stukanie tryfidowych pałeczek. Stopniowo jednak rytmiczne dźwięki cichły. Którejś nocy, gdy wierciłem się w kokpicie, nie mogąc zasnąć, przypomniał mi się jeden z aforyzmów Oscara Wilde'a, w którym napisał, że jest tylko jedna rzecz gorsza od obmawiania cię przez bliźnich – ich milczenie. Może tryfidy powiedziały już o mnie wszystko, co miały do powiedzenia? Może też uznały mnie za obiekt nieinteresujący lub za nieosiągalny – chroniony albo skafandrem, albo blachą i plastikiem kadłuba samolotu. Tak czy inaczej, postanowiły mnie ignorować, co czyniło ich obecność wprawdzie nieprzyjemną, ale już nie złowrogą.

Z początku trudno mi było przyzwycząić się do ciszy. Nie powiem jednak, żeby specjalnie dokuczala mi obojętność tryfidów – zresztą wkrótce stałem się obiektem zainteresowania zupełnie innych przeciwników. W okolicy nie brakowało szczurów. Widząc mnie w roli solidnego śniadania, lunchu, a może i podwieczorku, kilka razy robiły do mnie podchody, gdy byłem zajęty pracą. W końcu jednak wygrzebałem na mostku starej barki półtorametrowy kawał solidnego łańcucha, który – zakręcony wysoko nad głową – stanowił nadzwyczaj skuteczną broń. To wystarczyło, by na jakiś czas zagnać szczury do kryjówek; nie wątpiłem jednak, że nadal bacznie mnie obserwują głodnym wzrokiem.

Co jakiś czas wzburzony ocean efektownie szarpał tryfidową tratwę. Przepływające pod powierzchnią „łądu” fale były tak potężne, że murawa unosiła się na wysokość mojej głowy. Utrzymanie się na nogach w takich warunkach było niemożliwe, toteż sztorm rzucał mną po pagórkach i dolinach pływającej wyspy niczym ziarnem fasoli.

Chmury deszczowe sprowadzały ciemność, a wtedy musiałem wracać do kabiny myśliwca. Drzemałem, żulem tryfidowe liście, czując w ustach ich gorzko-słodki smak, przez dobre pół godziny czyściłem rewolwer albo sprawdzałem stan flar sygnałowych.

Nadzieja to krucha istota. Choć strzeżemy jej pilnie, hołubimy i karmimy okruciami optymizmu, czasem gaśnie przedwcześnie. Ja jednak, mimo wszystko, nie traciłem jej. Miałem nadzieję, że wyspa nie odplynęła zbyt daleko od prawdziwego ładu. Orientowałem się w układzie prądów wokół południowej Anglii na tyle, by wiedzieć, że poruszam się w kierunku południowo-zachodnim. Wkrótce jednak roślinna mata mogła dotrzeć w strefę wpływu Golf-stromu, który zaniósłby ją na pomoc, wzdłuż wybrzeży Kornwalii, ku Morzu Irlandzkiemu. Rodzinny dom nie był na razie zbyt daleko – taką przynajmniej żywiłem nadzieję.

Z upływem czasu zacząłem podejrzewać, że jednak nie jestem na wyspie sam. Wspominałem już o twarzy podglądającej mnie nocą – wydawało mi się nawet, że widzę szopę splątanych włosów i jasne oczy. Rano przekonywałem się uparcie, że nocny gość był tylko sennym przywidzeniem.

Wkrótce jednak pojawiły się bardziej obiektywne dowody czyjejś obecności. Któregoś dnia, wróciwszy z pracy przy jachcie, znalazłem na skrzydle dwa szczury ze skręconymi karkami. Leżały obok siebie, ułożone równiutko, jakby ktoś chciał zrobić mi prezent. Pewnego ranka usłyszałem zaś coś jakby daleki ludzki głos, śpiewający miękko i rytmicznie jedną sylabę:

– Ta-ta-ta-ta-ta...

Czyżby zniekształcony odległością krzyk mew? Może.

Postanowiłem przeprowadzić eksperyment. Po południu wyjąłem z pokładowej apteczki kawałek bandaża i uwiązałem do niego herbatnik. Powiesiłem smakołyk na relingu jachtu tak, by był dobrze widoczny, a jednocześnie znajdował się poza zasięgiem nawet najskoczniejszego szczura.

Potem zaś udałem się na spacer falującą nadmorską promenadą. Gdy wróciłem po mniej więcej godzinie, bandaż powiewał samotnie na wietrze, po herbatniku zaś nie było śladu.

Od tej pory rdzawe niebo nie wydawało mi się już tak bardzo przygnębiające. Chwilę po tym, jak znowu zabrałem się do pracy, sam sobie sprawiłem niespodziankę: otóż zacząłem gwizdać. Gwizdać! W moim sercu raz jeszcze zapalił się płomyk optymizmu.

Dziesiątego dnia czułem się już jak prawdziwy Robinson Crusoe. Znalazłem dość suchych gałęzi, by rozpalić ogień. Z ogona myśliwca zerwałem kawał blachy, z którego udało mi się uformować coś w rodzaju garnka. Mogłem teraz gotować wodę.

Do wrzątku wkładałem zaś pędy tryfidów i kraby, które włoczyły się po całej wyspie. Nie musiałem ich nawet łapać – same włożyły do garnka. Aromat gotującej się stawy określiłbym jako

podniecający – był mieszaniną woni słodkich, kwaśnych i słonych. Lepsza dieta wywołała natychmiastową poprawę nastroju. Praca szła mi teraz znacznie szybciej i przyznam, że dawała sporo satysfakcji. Wiedziałem, że jacht wkrótce będzie wolny.

Wiara w to, że nie jestem sam na wyspie, zmieniła się w pewność. Co więcej, z niezbyt zrozumiałych powodów byłem głęboko przekonany, że dzika dziewczyna jakimś cudem przeżyła kontakt ze stadem głodnych tryfidów. Owszem, nie miała śmiałości podejść bliżej – tak bardzo bała się pistoletu, że nawet nie pokazywała mi się na oczy. Ale postanowiłem nad tym popracować – zupełnie tak samo, jak cierpliwie pracowałem nad wycięciem tysięcy pnączy, które unieruchamiały jacht. Odrobina taktu i herbatnikowe łąpówki powinny odbudować spalone mosty.

Planowałem już nawet drogę w rodzinne strony z pasażerką na pokładzie.

Plany jednak mają to do siebie, że czasem biorą w łeb.

Jedenastego dnia rano, oderwawszy się na chwilę od pracy, zauważyłem parowiec płynący wzdłuż brzegu.

Od razu wiedziałem, że już nigdy nie dokończę mozolnego wycinania jachtu z gęstwiny. Natychmiast odpaliłem flarę.

Kilka sekund później śruby statku zaczęły pracować w przeciwnym kierunku i stalowy kolos zbliżył się do mojej wyspy. Ujrzałem twarze obcych ludzi przyglądających mi się z pokładu. Był to dla nich z pewnością interesujący moment: oto płynęli ku osobnikowi nie z tej ziemi, ubranemu w dziwny skafander i błyszczący hełm i strzelającemu flarą z jeszcze dziwniejszej roślinnej tratwy. Tymczasem moją uwagę przykuł widok nieznanej bandery powiewającej na maszcie.

Powiedzieć, że życie jest pełne niespodzianek, to banał. Ja jednak naprawdę pomyślałem w tamtej chwili, że wydarzenia raz jeszcze przyjęły niespodziewany obrót.

9. Na pokładzie

Komitet powitalny już na mnie czekał. I to liczny – pokład statku wypełnił tłum zaciekawionych, chociaż dziwnie milczących ludzi.

Dysząc ze zmęczenia po wspinaczce po sznurowej drabince, odpiąłem hełm i zsunąłem go z głowy. Potężny, co najmniej sześćdziesięcioletni mężczyzna o herkulesowych barach spojrział na mnie groźnie spod krzaczastych siwych brwi. Przyjrzawszy się jego postawie – szeroko rozstawionym stopom i ręką złożoną za plecami – doszedłem do wniosku, że mam przed sobą dowódcę statku.

Mężczyzna przemówił wreszcie, a jego głęboki, basowy głos wprawił w drżenie hełm w mojej dłoni.

– Witam na pokładzie. – Bystre oczy wpatrywały się we mnie przenikliwie. – Niektórzy wzięli pana za kosmitę. Ale ja nie, mój panie. I dobrze się stało. Bosman chciał już wpakować panu kulę w bebechy – rzekł, ruchem zarośniętego podbródka wskazując na typa z karabinem. – Ze względów bezpieczeństwa, ma się rozumieć.

– W takim razie cieszę się, że wyperswadował mu pan ten pomysł.

– Nic podobnego, łaskawco. Radziłem, żeby strzelał w nogi. No, ale mam tu pasażerów, którzy stanęli na głowie, żeby skłonić mnie do zmiany kursu.

– Pasażerów? – spytałem ze zdziwieniem. Nieoczekiwane wybawienie z pływającej wyspy, spotkanie z grupą groźnie wyglądających marynarzy... Czuję się całkiem skołowany. Co więcej, tubalny głos i dziwny, ciężki akcent dowódcy sprawiały, że miałem kłopoty ze zrozumieniem tego, co mówił.

– Moje nazwisko Sharpstone – ciągnął olbrzym tym samym tonem. – Jestem kapitanem parowca „Beagle Minor”. Jak rozumiem, nie znalazł się pan na tej żalosznej tratwie z własnej woli?

No, dalej, Davidzie! – pomyślałem sobie. Myśl szybciej; pytają cię, co się stało. Czując coraz większy mętlik w głowie, odpowiedziałem:

– Eee... nie. Kilka dni temu przytrafiło mi się przymusowe lądowanie.

– Przymusowe lądowanie... Pilot?

– Tak – odparłem i omal nie dodałem gorzko: „Cholernie pechowy pilot. Dwa dni, dwa przymusowe lądowania”.

– Miał pan pasażerów? – indagował kapitan Sharpstone.

– Hmm... Jednego, ale... – Opowiedziałem, jak rozbiliśmy się na tryfidowej wyspie i jaki koniec spotkał Hinkmana.

– Piekielny pech – podsumował kapitan nieco łagodniejszym tonem. – Piekielny pech. – Na moment odwrócił się do człowieka z karabinem i, jak mi się zdawało, rzucił kilka rozkazów, ale ten dziwaczny akcent sprawił, że zrozumiałem ledwie kilka słów. Potem znowu zainteresował się mną. – Pozwolę sobie zaproponować panu parę przyziemnych przyjemności. Nie przydałby się panu pysznica i uczciwy posiłek?

Przytaknąłem i podziękowałem gorąco.

– Najpierw jednak formalności. Jak się pan nazywa i skąd pochodzi?

– David Masen z wyspy Wight.

– Może pan przeliterować?

Przeliterowałem.

– Bardzo dziękuję, panie Masen, i jeszcze raz witam na pokładzie – powiedział kapitan,

potrząsając moją ręką i miażdżąc ją w stalowym uścisku, co nie było dla mnie niespodzianką. – A teraz proszę wybaczyć; obowiązki wzywają. Moi pasażerowie dopilnują, żeby niczego panu nie brakowało. Podejrzewam też, że chętnie zadadzą panu jeszcze parę pytań.

Kiedy odchodził, poczułem wibrację pokładu wywołaną rozruchem silników. Z błękitnego komina statku buchnęła para; biały obłok rażąco kontrastował z ponurą czerwienią nieba. Zaczęliśmy oddalać się od wyspy.

– Zaczekajcie! – zawołałem nagle. – Nie możemy jeszcze odpłynąć!

Kapitan Sharpstone zatrzymał się i posłał mi twarde, pytające spojrzenie.

– Doprawdy, panie Masen? Zdawało mi się, że to ja dowodzę tym statkiem.

– Przepraszam – wyjąkałem. – Chodzi o to, że... że ktoś jeszcze pozostał na wyspie.

– Powiedział pan, że na pokładzie był tylko jeden pasażer.

– To prawda, ale... jest jeszcze pewna dziewczyna...

– Dziewczyna? – spytał, znacząco unosząc brew i spoglądając na swoich kompanów. – Jaka znowu dziewczyna?

Jestem pewien, że w tym momencie uważał mnie za czubka, bełkoczącego coś o nieistniejących panienkach – może syrenach? – rzekomo zamieszkujących dryfującą, roślinną wyspę.

– Jeszcze raz przepraszam, kapitanie. Nie wyjaśniłem sprawy jak należy. Znalazłem tu młodą kobietę, mniej więcej szesnastoletnią. Zdaje się, że nie umie mówić. – Mężczyzna spojrział na wyspę, szukając śladu dziewczyny. – Ukrywa się – wyjaśniłem.

– Ukrywa?

– Wystraszyłem ją niechcący, strzelając z rewolweru do tryfida.

– Nikogo tu nie widzieliśmy, panie Masen. Nikogo, poza panem i lasem tryfidów. – Kapitan zwrócił się do mężczyzny w średnim wieku. – Trzymać kurs, panie Shea. Południowy wschód, dziesięć węzłów.

– Tak jest. – Mężczyzna oddalił się pospiesznie w stronę sterówki.

– Panie Masen – odezwał się Sharpstone, lustrując mnie wzrokiem od góry do dołu. Moja matka powiedziałaby, że posłał mi „staroświeckie spojrzenie”. – Proszę wziąć gorący prysznic, a potem zbada pana lekarz okrętowy.

Tym razem nie potrafiłem powstrzymać potoku słów.

– Kapitanie, tam naprawdę została dziewczyna. Sama, jeśli nie liczyć tych parszywych szczurów do jedzenia i przeklętych tryfidów do towarzystwa! Zginie, jeśli jej nie znajdziemy!

Kapitan Sharpstone nawet nie mrugnął; stał, jakby go wyciosano z granitu. Za to jego wzrok powiedział mi aż nadto dobitnie, że skończę zakuty w żelazo, jeśli nie zmienię tonu.

– Panie Masen, ma pan za sobą niemiłą przygodę. Radzę panu uspokoić się i przyjąć z wdzięcznością naszą gościnność.

Parowiec coraz szybciej oddalał się od pływającej wyspy. Tryfidy stały na brzegu, z każdą chwilą słabiej widoczne w bladym świetle. Pomyślałem o pięknej, żywiołowej dziewczynie obserwującej znikający statek – jedyną nadzieję na ocalenie.

Dysząc z wściekłości, grzmotnąłem hełmem o stalowy reling.

– Nie! Nie możecie jej tam zostawić!

– Panie Masen...

– Odstawcie mnie z powrotem na wyspę, sam ją znajdę.

– Tam nie ma żadnej dziewczyny, Masen. A teraz dla pańskiego dobra moi ludzie – tu spojrział

na parę marynarzy o byczych karkach – odprowadzą pana pod pokład.

Dwaj faceci o dłoniach jak łopaty chwycili mnie pod rękę. Czyste szaleństwo! Dlaczego nie brali poważnie tego, co mówiłem?

Próbowałem uwolnić się z uścisku, ale na próżno. Ci dwaj składali się chyba wyłącznie z mięśni. Bez większego wysiłku ciągnęli mnie w stronę drzwi. Nie mogłem nic zrobić; żadne słowa nie odmieniłyby tego, co się miało stać. Dziewczyna pozostała na wyspie, gdzie – z głodu, zimna lub od trucizny tryfidów – wkrótce zginie. Co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości.

– Proszę odstawić pana Masena do kabiny – rozkazał kapitan. – I dopilnować, żeby zamknięto drzwi.

– Kapitanie Sharpstone, chwileczkę, proszę... – Ten głos, pozbawiony surowego akcentu, który niezawodnie identyfikował marynarzy, był miękki, dystyngowany i zdecydowanie... kobiecy.

– Proszę spojrzeć na wyspę, kapitanie – ciągnął damski głos. – Chyba powinien pan to zobaczyć.

Przyznaję, moje pierwsze chwile na pokładzie statku trudno nazwać pełnymi godności. Mając jednak w pamięci tragiczne ofiary ostatnich kilku dni, poprzysiągłem sobie, że nieprędko pozwolę, by ktokolwiek stracił życie z mojej winy.

Teraz dopiero mogłem stanąć spokojnie z boku, uwolniony z rąk rosnących marynarzy, i z niemalą satysfakcją przyglądać się krzątaniu załogi, przygotowującej parowiec do zwrotu.

Kapitan wydawał rozkazy z łatwością nabytą przez lata praktyki.

– Zwrot przez dziób o sto osiemdziesiąt. Tylko powoli, panie Shea. Nie chcę, żeby to zielsko zaświniło nam śruby. Przygotować drabinkę sznurową, panie Lieberwitz. Mała naprzód.

Wychyliłem się za barierkę. Wysoko nade mną wisiało słońce w zenicie – ponury, czerwony dysk. Światło dnia było żałośnie skąpe – starczało tylko, by wyłowić z półmroku smukłe sylwetki tryfidów oraz pagórki – groby jachtów i holowników. Kiedy indziej pomyślałbym, że to wyjątkowo ponury widok, teraz jednak triumfowałem, a to wspaniałe uczucie przenikało mnie od czubków palców po cebulki włosów.

Z włosami rozwianymi na wszystkie strony niczym korona dmuchawca stała na brzegu moja dzikuska. Jej oczy, płonące podnieceniem i – jak sądzę – strachem, ani na chwilę nie odrywały się od statku, jego dymiącego komina i młócących spienioną wodę śrub. Domyślałem się, że nigdy jeszcze nie widziała czegoś takiego.

Cieszyłem się ogromnie, widząc jej znajomą sylwetkę. Serce rozpiekało mi idiotyczne uczucie euforii. Więc jednak nie zginęła w gąszczu tryfidów... Bóg jeden wie, jakim zrzędzeniem losu to przeżyła.

A teraz stała samotnie, nerwowo przestępując z nogi na nogę, niebezpiecznie blisko krawędzi falującej, roślinnej maty. Przyciskając do piersi walizeczkę, czekała na wolno sunący ku niej statek.

Modliłem się w duchu, by nie straciła odwagi i nie umknęła z powrotem do swojej kryjówki. Widok olbrzymiego statku musiał być dla niej nie tylko ekscytujący, ale i przerażający. A jednak zdawała sobie sprawę, że to jedyna szansa na przetrwanie, więc mimo widocznego niepokoju stała dzielnie na brzegu, tuląc walizeczkę, jak matka tuli niemowlę.

– Miło, że wreszcie się pan uśmiechnął, panie Masen. Odwróciłem się, by spojrzeć na właścicielkę miękkiego damskiego głosu.

Oceniłem, że mam przed sobą kobietę mniej więcej dwudziestopięcioletnią; szczupłą, ale nie chudą. Długie włosy, koloru pośredniego między blond a rudym, ułożone według nieznanego mi dotąd

mody, opadały jej na ramiona. Oczy, szczere i inteligentne, błyszczały rzadko spotykanym odcieniem zieleni, a świeżą cerę zdobiły drobne piegę. Kształtne i zadbane dłonie dziewczyny z pewnością nigdy nie miały do czynienia z okrętową maszyną. Z jej postaci emanowała trudna do zdefiniowania szlachetna siła, którą niektórzy nazywają po prostu klasą. Jakby na przekór temu, miała na sobie roboczy drelich, kraciastą koszulę i toporne buty. Jedynym szczegółem łagodzącym nieco surowość typowo męskiego stroju była różowa apaszka.

Kobieta uśmiechnęła się z rozbawieniem.

– Nie co dzień spotyka się kogoś, kto stawia się groźnemu kapitanowi Sharpstone'owi. Moje gratulacje.

– Chciałem tylko, żeby mi uwierzył. I nie da się ukryć, że wyszło mi fatalnie.

– A jednak osiągnął pan zamierzony cel – stwierdziła, po czym kiwnęła głową w stronę czekającej na brzegu wyspy dziewczyny. – Kim ona jest?

– Nie wiem. Zapewne znalazła się na morzu przypadkiem, gdy roślinna mata oderwała się od łądu. – Po chwili znowu obejrzałem się przez ramię. Mój umysł musiał tego dnia pracować wyjątkowo opornie, bo dopiero teraz zdołałem zidentyfikować akcent. – Jest pani Amerykanką – powiedziałem, nie kryjąc zaskoczenia.

– Wy, Brytyjczycy, jesteście wyjątkowo spostrzegawczym narodem – odparła kpiąco. Uśmiechając się lekko, delikatnie pogładziła moje ramię, osłonięte gumowanym płótnem skafandra ciśnieniowego. – Czy to jest najmodniejszy strój męski po tej stronie Atlantyku?

Teraz i ja wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

– Nie bardzo. Szczerze mówiąc, z chęcią zdjąłbym go z siebie po dziesięciu dniach... A przy okazji: przepraszam.

– Za co?

– Za to oczywiste stwierdzenie, że jest pani Amerykanką. Nie chciałem zabrzmieć jak ostatni palant, ale... mówiąc oględnie, mam za sobą parę niezwykłych dni. – Spojrzałem na ostry dziób statku, tnący splątane zielsko z taką łatwością, z jaką nóż przecina liść kapusty. Nagle śruby zaczęły obracać się w przeciwnym kierunku, a cały parowiec stanął niemal w miejscu. Któryś z marynarzy rzucił drabinkę, a ja mruknąłem cicho: – Pływające wyspy, tryfidy, dzikuski, dni ciemniejsze od nocy... Trzeba czasu, by się do tego przyzwyczaić.

– Zdaje się – odrzekła łagodnie – że naprawdę przydałyby się panu porządny posiłek i spokojnie przespana noc.

– Nie zaprzeczę. A może znalazłaby się też szklaneczka rumu?

– To się da załatwić. Cóż, obawiam się, że tym razem to ja zapomniałam o manierach – dodała patrząc na mnie jasnozielonymi oczami i wyciągnęła rękę. – Kerris Baedekker, Nowy Jork.

Skinałem głową i uśmiechnąłem się z wysiłkiem.

– David Masen, wyspa Wight.

Po chwili wychylił się za reling, by obserwować wspinaczkę dziewczyny w łachmanach. Choć pod pachą trzymała walizeczkę, pięła się w górę z niesamowitą zręcznością.

– Tak się cieszę, że udało jej się ująć przed tymi tryfidami odezwałem się z uczuciem.

Zagadkowa odpowiedź Kerris dała mi wiele do myślenia.

– Tak – powiedziała patrząc na rośliny, które uważałem za dorodne i groźne – choć przecież to jeszcze maleństwa, prawda?

10. Pytania i odpowiedzi

Oczekiwałem samotnego posiłku w kabinie. Rzeczywistość jednak nie zawsze odpowiada naszym oczekiwaniom.

Wziąłem cudownie gorący prysznic i przebrałem się w drelich i koszulę, pożyczone od jednego z marynarzy mojego wzrostu i tuszy. Chwilowo nie miałem butów, toteż zaoferowano mi parę grubych wełnianych skarpet, wielokrotnie cerowanych czarną nicią, co zabawnie upodabniało je do dalmatyńczyków.

Minęła godzina od chwili, gdy dzikuska opuściła pływającą wyspę.

Wibracja i pomruk silników parowych pracujących pełną mocą oznaczały, że statek jest już na otwartych wodach. Kiedy doprowadzałem włosy do porządku pożyczonym grzebieniem, zza drzwi wyjrzał jeden z marynarzy.

– Żarcie gotowe, bracie – zameldował. – Mesa pasażerów w głębi korytarza, pierwsze drzwi po lewej. Na pewno trafisz.

Podziękowałem mu i na chwilę jeszcze zatrzymałem się przed lustrem, napawając się widokiem gładko ogolonej szczęki. Skąpa dieta ostatnich kilku dni sprawiła, że wyraźniej zaznaczały mi się kości policzkowe, ale mimo wszystko nie wyglądałem na zagłodzonego.

Gustownie i wygodnie urządzony salon pasażerski mógł pomieścić dziesięć do piętnastu osób. W kącie dostrzegłem nieduży, ale dobrze zaopatrzony barek. Na stole zaś stała spora misa pełna cielących kotletów z warzywami.

Jak wspominałem, przyszło mi pożywić się w gronie gospodarzy. Jasnowłosej Kerris Baedekker towarzyszyli trzej mężczyźni, nie kryjący zniecierpliwienia – zachowywali się jak dzieci, które nie mogą się doczekać przybycia magika. Jak na zawołanie uśmiechnęli się szeroko, gdy tylko dotknąłem miękkiego dywanu stopami w łaciatych skarpetach.

– Proszę się nie krępować – odezwał się ciemnoskóry mężczyzna, wskazując na misę. – Na pewno jest pan głodny.

– Nie będę udawał, że nie. Będę szczęśliwy, jeśli już nigdy nie wezmę do ust tryfida.

Gospodarze wyglądali na zaskoczonych moją wypowiedzią; wymienili pytające spojrzenia. Kerris wstała.

– Przyniosę obiecany rum. Ale proszę, niech pan zaczyna. – Podeszła do barku i szczerze napełniła szklankę. – Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu towarzystwo?

– Ależ skąd.

Wciąż trzymając w dłoni butelkę rumu, drugą ręką wskazała kolejno na siedzących przy stole mężczyzn. – Oto moi towarzysze podróży. Gabriel Deedes...

Murzyn, najwyższy spośród całej czwórki, poruszał się z gracją właściwą sportowcom. Uśmiechając się ciepło, uściśnął moją dłoń.

– Miło mi, że dołączył pan do nas, panie Masen.

– Davidzie – poprawiłem z uśmiechem.

– Dżentelmen z jasną brodą to Dek Hurney – ciągnęła Kerris. – Nie daj się mu namówić na partię szachów, Davidzie. Będzie przeciągał grę całymi dniami, paląc fajkę tak cuchnącą, że nie uda ci się skoncentrować. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ta zasłona dymna to element jego strategii.

Dek Hurney był miłym, nieśmiałym młodzieńcem. Ocenilem, że ma najwyżej dwadzieścia trzy lata. Uśmiechnął się krzywo i zaczerwienił, słuchając prezentacji Kerris.

– I wreszcie Rory Masterfield. Nikt na tym statku nie gra na banjo tak podle jak on.

Rory miał bystre oczy i spiczasty nos. Uśmiechnął się w porę, ale widać było, że potrafi być złośliwy, a te bystre oczy to oczy inkwizytora. Dokończyłem jednak ceremonię powitalną, ściskając także dłoń Rory'ego.

– Masz piękny skafander, Davidzie. Można wiedzieć, jaką maszyną leciałeś? – zapytał.

Gdy odpowiedziałem, gwizdnął z uznaniem i zamrugał, jakby zapamiętywał informację do późniejszego wykorzystania.

– Jedz, jedz – zachęcił mnie Gabriel. – Jeśli będziesz miał ochotę, znajdzie się dokładka. Dek, mógłbyś podać chleb z tamtego stołu? Musimy gościa odżywić.

Dek przestawił tacę ze stertą pieczywa.

Jedzenie pachniało cudownie, a smak również mnie nie zawiodł. Zdumiały mnie rozmiary kotletów – wyglądało to tak, jakby ktoś wrzucił do sosu ogromne steki. Wśród warzywnych dodatków znalazłem żółtawe ziarna wielkości grochu, których nie potrafiłem rozpoznać, ale smakowały cudownie słodko.

Po kilku kęsach zacząłem kombinować, w jaki sposób dać sobie radę zjedzeniem tak dużych kawałków cielęciny za pomocą łyżki, ale nagle zauważyłem, że cała czwórka obserwuje każdy mój ruch, i to z uwagą publiczności czekającej, aż magik wyciągnie z cylindra królika.

Przestałem ruszać szczęką, zastanawiając się, czy o czymś zapomniałem, czy może popełniłem jakąś gafę. Kerris zarumieniła się pierwsza.

– Och, wybacz, że tak się gapimy – powiedziała, uśmiechając się przepaszająco. – Po prostu nie spodziewaliśmy się, że wyłowimy z morza Robinsona Crusoe w osobie pilota odrzutowca.

– I to takiego, który postawi się kapitanowi Sharpstone'owi – dorzucił Dek.

Choć tak sympatycznie spędzałem czas, ciągle wracałem myślą do mojej dzikuski. Nowe, niepokojące doświadczenie – kontakt z ludźmi – musiało być dla niej trudne.

– Ta dziewczyna, którą także zabraliście z wyspy... – zacząłem.

– Nie martw się – wpadła mi w słowo Kerris. – Jest z Kim, w jej kabinie, i z rozkoszą pochłania ogromne ilości ciastek. Smakuje ci?

– Doskonale – odparłem szczerze. – Nie macie pojęcia, jakie doskonale.

– Chleba? Proszę, częstuj się.

– A rum?

– Świetny, absolutnie świetny. Zaczynam czuć się jak człowiek.

Rory rozmyślał o czymś intensywnie od dłuższej chwili.

– Miałeś wyjątkowego pecha, że wylądowałeś akurat na tej tratwie. Co się właściwie stało?

Opowiedziałem mu, jak próbowaliśmy zbadać grubość warstwy chmur i przyczynę dziwnej ciemności, a potem o tym, że burza najprawdopodobniej zniszczyła nadajnik radiowy bazy lotniczej. Zakończyłem opisem przymusowego lądowania na roślinnej macie. Natychmiast rozgorzała dyskusja na temat fenomenu zniknięcia słońca – problemu, który najwyraźniej dotknął także mieszkańców Nowego Jorku. Zrozumiałem przy okazji, że niedostatek światła jest kwestią globalną, a nie lokalną.

Wycierając reszkę sosu kawałkiem chleba, raz jeszcze spojrzałem na twarze uważnie obserwujących mnie gospodarzy.

– Co was tu sprowadza? Pierwszy raz widzę i pierwszy raz słyszę, by od czasu Oślepienia pojawili się w Europie Amerykanie.

– Oślepienia? – Kerris skinęła głową. – My nazywamy je Początkiem.

- Początkiem? – Gabriel zaśmiał się gorzko. – Ja nazywam to wymuszonym optymizmem.
- Skoro już o tym mowa – odpowiedział mi Rory – to żaden z Europejczyków nie wybrał się nigdy na zachód.
- A przynajmniej o żadnym nie słyszeliśmy – dodała Kerris. Z trudem powstrzymałem się przed oblizaniem palców. Zadowolilem się osuszeniem szklaneczki rumu.
- To raczej zrozumiałe. Przez ostatnich trzydzieści lat byliśmy wystarczająco zajęci walką o przetrwanie. Marzenia o podróżach na drugi koniec świata trzeba było odłożyć.
- Dobrze, że wreszcie nadrabiamy tę stratę – rozpromienił się Gabriel. – Płyniemy tą balią od koła polarnego wzdłuż wybrzeży Europy. Chcemy dotrzeć przynajmniej do Afryki równikowej.
- Nanosimy informacje na mapy, zbieramy próbki fauny, flory i minerałów – dorzucił Dek.
- Badamy też obszar występowania tryfidów. Jeszcze rumu, Davidzie? – spytała Kerris.
- Dzięki, ale muszę odmówić. Już czuję, że uderza mi do głowy.
- A przy okazji – rzekł Rory, wracając do tematu, jakby coś sobie przypomniał – szukamy kontaktu z enklawami cywilizacji. Najwyższy czas poznać sąsiadów, prawda? Opowiedz nam o sobie, Davidzie. Jak wygląda życie na wyspie Wight?

Tak zaczęła się intensywna sesja pytań i odpowiedzi. Staralem się udzielać możliwie obszernych wyjaśnień. Niejako przy okazji dowiedziałem się, że statek i tak miał opłynąć Brytanię, więc umówiłem się z całą czwórką na pintę piwa w Shanklin, gdy tylko zawiniemy do portu. Udało mi się także usłyszeć to i owo o moich nowych przyjaciółach. Wszyscy pochodzili z Nowego Jorku i tworzyli zespół badawczy parowca „Beagle Minor” – jak się zapewne domyślacie, nazwę statku zapożyczono od sławetnego okrętu Darwina, „The Beagle”.

Nieco większa jednostka, nazwana „Beagle Major”, płynęła właśnie na południe, wzdłuż wybrzeża amerykańskiego, wykonując podobną misję. Moi gospodarze wzięli na siebie zadanie zbadania zgliszczy Starego Świata, oszacowania zagrożenia ze strony tryfidów i nawiązania kontaktu z enklawami cywilizacji; zamierzali zaproponować im wstąpienie do wspólnej, ogólnoswiatowej organizacji.

– Niektóre po prostu nie są zainteresowane – powiedziała Kerris, wzdychając ciężko. – Jedna ze społeczności na wybrzeżu norweskim odpowiedziała na nasze sygnały celnym ogniem z karabinów.

– Straciliśmy kilku ludzi. – Błyszczące oczy Rory’ego powiedziały mi, że wciąż jeszcze przeżywa tę tragedię. – To dlatego kapitan był trochę nieufny, kiedy znalazłeś się na pokładzie.

Z każdą chwilą rozmowy czułem coraz większy podziw dla tych młodych ludzi. Ich witalność, ich wewnętrzna energia były wprost niezwykle. Pamiętam, że pomyślałem sobie tak: gdyby włączyć ich do sieci, zasililiby wszystkie urządzenia elektryczne na tym statku. Czy stali, czy siedzieli, byli w ciągłym ruchu; gestykulowali wyraziście i przemawiali z pewnością siebie, jakiej nie spotkałem dotąd u nikogo. Chwilami czułem się przy nich jak niezbyt rozcignięty krewniak ze wsi. Oni zaś chcieli znać każdy szczegół życia na mojej wyspie.

– Skąd bierzecie węgiel? – spytał Dek, polerując szkła okularów, aż rozbłysły jak heliograf. – Zdaje się, że na wyspie Wight nie ma złóż. Mam rację?

– Nie ma – odparłem, zajadając ciastka. – Prawie go nie używamy...

– Nie używacie węgla!? – Byli wyraźnie zaskoczeni.

– A ciepło i światło? A parowce?

– Mamy i parowce, ale przerobiliśmy je tak, by spalały olej.

– Olej? Czy to znaczy, że wydobywacie ropę?

- Nie, ale...
- Chyba nie powiesz, że korzystacie jeszcze ze starych zapasów?
- Nie. Produkujemy olej z tryfidów.
- Z tryfidów?! – Oczy Rory'ego rozszerzyły się, jakbym gadał od rzeczy. – Ale jak, u licha, udaje wam się rafinować go tak, by otrzymać paliwo?
- Zbudowaliśmy rafinerię i przetwarzamy tryfidy na skalę przemysłową. Destylacja oleju pozwala wytworzyć alkohol o właściwościach zbliżonych do benzyny...
- Słyszeliście? – wykrzyknął Gabriel. – Wyciskają benzynę z tych przeklętych roślin! To niesamowite!
- To nie wszystko. Z ciężkiego oleju robimy smary, leki i tłuszcze spożywcze – dodałem nie bez dumy. – Paliwo w moim myśliwcu to także alkohol tryfidowy, tylko trochę bardziej surowy, nie tak lotny jak ten do silników spalania wewnętrznego czy...
- Rany – jęknęła zdumiona Kerris. – Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów: podzielicie się z nami tą technologią?
- Uśmiechnąłem się dość naiwnie.
- Czemu nie.
- Rory w zamyśleniu potarł szczękę.
- Macie całą flotę odrzutowców?
- Tak. Głównie myśliwców i lekkich bombowców.
- Jezu... – Dek i pozostali nagle wyprostowali się na swoich miejscach i spojrzeli po sobie. Miałem wrażenie, że komunikują się ze sobą bez słów, że chcieliby teraz wstać od stołu i na osobności przedyskutować to, co przed chwilą usłyszeli.
- Wreszcie Kerris ostrożnie zadała mi pytanie, po którym po raz pierwszy poczułem się trochę nieswojo.
- Davidzie... czy to znaczy, że twoja wyspa dysponuje siłami powietrznymi?
- Tak – odparłem z nieco większą rezerwą. – Do celów obronnych.
- Czujecie się zagrożeni przez... jakby to powiedzieć... obcą potęgę militarną?
- Niezupełnie. W przeszłości nękali nas piraci. Mniejsze wyspy naszej grupy były szczególnie narażone na ich ataki.
- Więc używaliście tych maszyn w warunkach bojowych?
- Od czasu do czasu. – Cichy głos w mojej głowie nakazał mi trzymać język na wodzy.
- Naturalnie. – Kerris umilkła na moment. – Mam nadzieję, że rozumiesz nasz niepokój. Właśnie dowiedzieliśmy się o zamorskiej współpracy dysponującej sprawdzonymi w walce siłami powietrznymi.
- Czysto defensywnymi.
- Ale w razie potrzeby ofensywnymi?
- To prawda. – Uśmiechnąłem się i wrzuciłem ramionami. – Uwiercie mi, moi ziomkowie nie żyją marzeniami o panowaniu nad światem.
- Rory westchnął głęboko i utkwiał we mnie przenikliwy wzrok.
- Rozumiesz jednak nasz dylemat, Davidzie? Jesteśmy... a mam tu na myśli całą naszą społeczność... w trudnej sytuacji. Owszem, szukamy kontaktu ze światem, wyciągamy przyjazną dłoń, proponujemy wymianę towarów i myśli, ale jednocześnie ujawniamy, że jesteśmy dobrze prosperującym, samowystarczalnym państwem, z dostępem do takich surowców jak węgiel i drewno.

Skinałem głową.

– I obawiacie się, że jakaś grupa z Europy mogłaby dokonać inwazji i zabrać wam wszystko, co macie.

– Istnieje takie niebezpieczeństwo – odparł poważnie Gabriel. – My też mieliśmy kłopoty z piratami. Wielu z nas straciło przyjaciół i rodziny.

– Rozumiesz więc, dlaczego robimy się nerwowi na wieść o kimś, kto dysponuje flotą myśliwców i bombowców – dodała Kerris.

– Bo przecież – powiedział wolno Rory, patrząc mi prosto w oczy – moglibyście na przykład zbombardować nas i zabrać to, czego wam trzeba, zamiast bawić się w handel.

– Nie jesteśmy tacy – oświadczyłem twardo. – Wolimy pokój. My też chcemy budować mosty.

Gabriel rozluźnił się nieco.

– Miło mi to słyszeć.

– Bo przecież wolimy znajdować przyjaciół niż wrogów – dodał Rory z ostrożnym uśmiechem.

– A zresztą – zauważyłem – żaden z naszych odrzutowców nie ma wystarczającego zasięgu, by dotrzeć do Nowego Jorku.

– Czy to znaczy, że nie dysponujecie lotniskowcami?

Roześmiałem się lekko.

– Nie. Akurat na ten luksus nas nie stać.

Moi rozmówcy nagle odzyskali humor.

– W takim razie zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi – oznajmił Gabriel, wstając od stołu. – Moim zdaniem należy to uczcić.

Powrócił po chwili z butelką whisky, dobrej i mocnej. Po kilku łykach poczułem, że jej ogień dociera z żył do głowy. Spędziłem w ciasnym kokpicie jedenaście nocy i teraz zniecka dopadło mnie zmęczenie. Kerris zauważyła, że broda podejrzenie opada mi na piersi. Powiedziała, że moja kabina już czeka, po czym zaprowadziła mnie korytarzem do niedużego, lecz przytulnego pokoju ze świeżo zaścieloną koją.

– Davidzie – rzekła mi na pożegnanie, uśmiechając się przez szparę w drzwiach. – Sternik mówił, że rano powinniśmy dotrzeć do wyspy Wight. A tymczasem czuj się jak u siebie w domu.

Zdołałem jeszcze wymamrotać podziękowanie, a potem pogrążyłem się w cudownym, spokojnym śnie.

11. Noc

Między statkiem a łądem przemykały bezgłośnie sygnały radiowe. Przesyłano informacje. Zadawano pytania. Transmitowano rozkazy. Fale wędrowały przez eter tam i z powrotem, niczym niewidzialni posłańcy bogów.

Wtedy jednak nic o tym nie wiedziałem. Spałem, pogrążony w beztroskiej ignorancji, w mojej koi głęboko pod pokładem.

Odgłos silników zmienił się nieco.

Serie wstrząsów, z każdą chwilą silniejszych, przebiegły od tłoków przez cały kadłub statku. Palacze, obudzeni zbyt wcześnie, popędzili do kotłowni bez śniadania i bez wątpienia rzucali nie tylko węgiel do pieców, ale także kwieciste wiązanki pod adresem przelożonych. Nie mieli jednak wyboru – rozkazano im wydusić z silników tyle mocy, ile tylko się da. Sypali więc w czeluść palenisk tony węgla, parowiec zaś coraz szybciej ciął fale okrytego mrokiem oceanu.

O tym również nie miałem pojęcia. Spałem.

Wysoko nad pokładem kaskady iskier buchały z komina, lśniąc jaskrawo na tle zabójczo czarnego nieba. Kto stanąłby wtedy na rufie, zobaczyłby zadziwiająco wyraźny kilwater, podobny do białej linii nakreślonej kredą na tablicy. Do tej pory był prosty, teraz jednak zaczął zakrzywiać się lekko, gdy parowiec stopień po stopniu zmieniał kurs, kierując się ku nowemu portowi przeznaczenia. Na pokładzie statku znalazł się bowiem prawdziwy skarb – tak cenny, że kapitanowi rozkazano gnać ile sił w maszynach i nie zatrzymywać się pod żadnym pozorem.

A ja, trwając w błogiej niewiedzy, najspokojniej w świecie wstałem, włożyłem śmieszne, łaciate skarpetki, drelich i koszulę, po czym udałem się na śniadanie. Tym razem podano smażone jajka na bekonie i grzanki polane słodkim sosem. Co więcej, nie nabrałem nawet najmniejszych podejrzeń, gdy Gabriel Deedes wszedł do salonu i, pociągnawszy solidny łyk kawy, wygłosił następujący komentarz:

– Nie wiecie czasem, dlaczego stary każe dziś tak pędzić tę balię? Od rana zasuujemy jak ślizgacz.

Pozostali wzruszyli tylko ramionami i dalej jedli śniadanie. Po chwili Kerris zapytała mnie o infrastrukturę wyspy Wight.

Infrastrukturę?! Nawet nie wiem, czy zdołałbym przeliterować to słowo, nie mówiąc już o znajomości takich szczegółów, jak długość linii kolejowych czy rurociągów z wodą.

Głupiec, myślałem wtedy, że jestem najwyżej o godzinę drogi od domu... Kerris wyciągnęła ze statkowych zapasów rolkę ośmiomilimetrowej taśmy filmowej i załadowała ją do pięknej niemieckiej kamery. Z przyjemnością przyglądałem się smukłym palcom dziewczyny, sprawnie wprowadzającym film między rolki precyzyjnego mechanizmu, a potem przekładającym go przez zastawkę obiektywu. Choć kamera musiała mieć dobrych czterdzieści lat, pracowała jak szwajcarski zegarek. Pierwsze spotkanie przedstawicieli dwóch odradzających się kultur miało zostać uwiecznione dla potomności.

Nieco później postanowiłem zajrzeć na pokład. Załoga pracowała w pocie czoła. Na mostku zauważyłem sylwetkę kapitana Sharpstone'a. Stał z rękami złożonymi na plecach, zapatrzony w horyzont przed dziobem statku.

Jak się przekonałem, Amerykanie rzeczywiście nie zapuszczali się na obce wody nieprzygotowani: na dziobie parowca zamontowano czterofuntowe działo, a wzdłuż burt dostrzegłem stojaki ciężkich karabinów maszynowych.

Słońce stało już dość wysoko nad horyzontem – a raczej żalosa namiastka słońca, która

miała nam wystarczyć do przetrwania dni ciemności, wisząc obojętnie na niebie. Zapowiadał się kolejny ponury dzień, i choć był to czerwiec, czuło się przenikliwy chłód. Czymkolwiek było to, co odgradziło nas od słonecznego światła, równie skutecznie odebrało nam jego ciepło. Z każdym dniem powietrze było coraz bardziej zimowe.

Może pan Hartlow miał rację? Może to początek końca, przepowiadany w tak wielu religiach całego świata? Sądny dzień miała podobno poprzedzić nadzwyczajna ciemność...

Bez światła mogło dojść do zatrzymania fotosyntezy, a więc i do obumarcia roślin. Bez nich zaś zginęliby roślinożercy – i tak, ogniwo po ogniwie, łańcuchy pokarmowe przestałyby istnieć.

Podobne myśli przyprawiały mnie o dreszcz znacznie skuteczniej niż najzimniejsze nawet podmuchy wiatru.

Stałem tak pochylony, z łokciami na barierce, wpatrując się w rdzawe wody oceanu ciągnące się aż po horyzont i szukając wzrokiem znajomych, obłych kształtów wzgórz wyspy Wight. W tym momencie największą przyjemnością byłby dla mnie spacer portowym nabrzeżem w stronę miasta. Zobaczyłbym znajome twarze... usłyszał głosy dzieci bawiących się na szkolnym podwórzu... Wyobrażałem sobie nawet wygodny fotel w domowym zaciszu i opowieści o mojej dziwnej przygodzie, które snułbym przed rodzicami i siostrami. Już widziałem ich szeroko otwarte oczy... A potem, wieczorem, wybrałbym się z Mitchem Mitchellem do miasta. W zadumie wpatrując się w horyzont, poczułem nagle, że ktoś stoi obok mnie.

– Kerris? Przepraszam, nie zauważyłem, kiedy podeszłaś.

– Nie chciałam ci przeszkadzać.

– Wypatruję domu.

– I wypatrzyłeś?

– Jeszcze nie.

– Musimy znaleźć ci jakieś buty. Nie możesz stać tu w skarpetkach, jest za zimno.

– Nawet nie zauważyłem – odpowiedziałem nie całkiem szczerze. Naprawdę byłem skostniały.

– Przygotuj się na imponujący komitet powitalny – uprzedziłem, kiwając głową w stronę horyzontu. – Nie zdziwiłbym się, gdyby wszyscy wylegli na brzeg, żeby was powitać. Nie co dzień zawija tu statek pełen Amerykanów – dodałem z uśmiechem.

– Będę trzymać kamerę w pogotowiu – odparła. – Uchwycę ten twój przystojny profil, kiedy będziemy cumować.

– Kiepski pomysł. Na mój widok pękają soczewki w obiektywach.

– Nawet nie zauważysz... będziesz zajęty szukaniem żony w tłumie.

– Ja? Ależ skąd. Nie jestem żonaty.

– Ach tak. – Kerris zapatrzyła się w przestrzeń. Jej włosy rozwiewał silny podmuch wiatru. – Gabe ma rację. Płyniemy wyjątkowo szybko... Kapitan chce chyba jak najszybciej odstawić cię do domu.

– Nie wiesz, czy radiooficer skorzystał z tej częstotliwości, którą wam podałem?

– Oczywiście. Twoi odetchnęli z ulgą, kiedy usłyszeli, że jesteś cały.

– Szkoda tylko, że nie da się tego powiedzieć o moim pasażerze.

W ciszy, która teraz zapadła, słychać było tylko szum wody młóczonej przez śruby.

– Uratowałaś dziewczynę – odezwała się w końcu Kerris, wbijając we mnie spojrzenie zielonych oczu. – Wracasz jako bohater.

– Ale nie czuję się jak bohater – odparłem, kręcąc głową. – Szczerze mówiąc, niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę, jaki los spotkał Hinkmana.

– Lepiej przygotuj się na wygłoszenie mowy powitalnej. Twoi krajanie już uważają cię za Bóg wie jakiego herosa.

– Bardziej z powodu genów niż zasług.

Dziewczyna odgarnęła z twarzy kosmyk włosów, które wiatr zmienił we wzburzoną, rudawą masę.

– Davidzie, albo jesteś bardzo skromny... nieznośnie skromny... albo ukrywasz przede mną jakiś rodzinny sekret.

Pochyliłem się jeszcze głębiej nad relingiem i spojrzałem na spienioną wodę wokół dziobu.

– To żaden sekret. To mojego ojca, nie mnie, ludzie uważają za coś w rodzaju półboga.

– A ty czujesz, że zbyt wiele oczekują od ciebie?

– Coś w tym guście.

– I to ci nie daje spać?

– To nie całkiem tak... – odpowiedziałem, patrząc na nią z uśmiechem. – Mój ojciec jest świetny. Zresztą nikt z rodziny nie oczekuje, że będę Billem Masenem numer dwa. Chodzi raczej o innych...

– Może nie sprawisz im zawodu?

– Kerris, jak dotąd moim jedynym osiągnięciem jest rozbitcie dwóch samolotów w ciągu dwóch dni. Możliwe, że wszyscy oczekują, iż pójdę w ślady ojca, ale na razie mam na to za krótkie nogi.

Zanim obróciłem się twarzą ku morzu, zauważyłem jeszcze, jak białe są zęby Kerris, ukryte za pełnymi wargami.

– Nie chciałem, żeby zabrzmiało to jak użalanie się nad sobą. A twoja rodzina? Ujdzie?

– Ujdzie. Tylko trudno utrzymać z nią kontakt.

– Duża?

– Raczej tak.

– Mój kumpel, Mitch Mitchell, ma ośmiu braci i dwie siostry. Nie wiem, jak udaje mu się zapamiętać daty urodzin. Albo chociaż imiona – dorzuciłem, szczerząc zęby.

– Twój znajomy to szczęściarz.

– Chcesz powiedzieć, że masz więcej rodzeństwa?

– Uhhh – mruknęła, kiwając z uśmiechem głową. – Według ostatnich obliczeń stu piętnastu braci i sto dwadzieścia sióstr.

Roześmiałem się głośno, czekając na puentę dowcipu. Po chwili jednak przekonałem się, że Kerris mówi poważnie.

– A niech to.

– A ty myślałeś, że Mitch ma pełne ręce roboty? – spytała wesoło i dotknęła mojego podbródka. – Jeśli szczeka opadnie ci jeszcze trochę niżej, wyszczerbi pokład. – Pochyliła się nad relingiem, wystawiając twarz do wiatru. – Widać już ład?

Dopiero w tym momencie przyszła mi do głowy oczywista myśl. Izolowane od siebie społeczności muszą rozwijać się w odmienny sposób. My mamy nasze Domy Matek, a Nowy Jork rodziny z dwiema setkami dzieci – choć Bóg jeden wie, jakim cudem to osiągnęli. Uderzające było to, że zaczęliśmy myśleć nieporównywalnie bardziej otwarcie niż dawniej. Nadszedł czas filozofii *vive la difference*. Alternatywą były narodziny potencjalnie niebezpiecznych, nie znanych dotąd uprzedzeń.

Zastanawiając się, jaki też szok kulturowy przeżyją Amerykanie na mojej rodzinnej wyspie Wight, spojrzałem na mętne słońce. I wtedy pojąłem, że coś jest nie w porządku. Bardzo, bardzo nie w porządku.

12. Przeciwności

- Davidzie, o co chodzi? Posłałem Kerris tak wściekłe spojrzenie, że cofnęła się instynktownie.
- O statek! – warknąłem. – Płynie w złą stronę, do cholery!
 - Jak to w złą stronę? Odstawiamy cię do domu...
 - Nie, do diabła! Jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć?
 - Davidzie...
 - Przecież gapilem się na nie przez dwadzieścia minut...
 - Davidzie – powtórzyła Kerris, ze zdziwieniem potrząsając głową. – Nie rozumiem, co się...
 - Spójrz na słońce! – Trzęsąc się z gniewu, wskazałem na czerwony dysk jarzący się słabo na niebie.
 - Patrę. I co z tego? Nie widzę...
 - Ja też nie widziałem! – Wreszcie wziąłem głębszy oddech. – Kerris, mamy przedpołudnie. Słońce jeszcze wschodzi. Tylko że za rufą, a powinno przed nami! Płyniemy na zachód, nie na wschód!
 - Nic z tego nie rozumiem. Mieliśmy przecież...
 - Mieliście odstawić mnie do domu – wszedłem jej w słowo, zerkając posępnie w stronę mostka. – Ale zdaje się, że nastąpiła zmiana planu.
 - Davidzie...?
 - Idę porozmawiać z kapitanem Sharp... wszystko jedno, jak mu tam jest. Wściekły, że wzięto mnie za osła, pomaszerowałem na mostek.
 - Dzień dobry, panie Masen. – Kapitan Sharpstone stał jak zwykle z rękami założonymi za plecy. Witając mnie, nie oderwał wzroku od czerwonego horyzontu. – Mam nadzieję, że dobrze pan spał – powiedział uprzejmie, po czym zwrócił się do stojącego za nim oficera: – Zwiększyć prędkość do osiemnastu węzłów, panie Lehman.
 - Kapitanie Sharpstone – zacząłem – co się dzieje?
 - Suniemy z cholernie dobrą szybkością, panie Masen. Oto, co się dzieje.
 - Tak, ale w złym kierunku.
 - Kierunek jest jak najbardziej prawidłowy.
 - Zachód?
 - Północny zachód, panie Masen.
 - Ale dlaczego? Przecież mieliśmy płynąć na wyspę Wight.
 - Zmiana planu.
 - A skąd ten pośpiech? Nie mogliście najpierw wysadzić mnie w domu?
 - Rozkazy, panie Masen.
 - Przecież do wyspy zostało najwyżej dwanaście godzin drogi! Dlaczego nie...
 - Kiedy pański dowódca wydaje rozkazy, Masen, to pan je wykonuje, prawda? Otóż ja też je dostaję. Od najwyższych władz. Kazano mi zawrócić i gnać do portu macierzystego ile pary w kotłach. Nie mam wyboru; muszę wykonać rozkaz. A może uważa mnie pan za buntownika?
 - A gdyby tak skontaktował się pan z dowództwem i wyjaśnił sytuację? Jeżeli zaczyna wam brakować zapasów, mój kraj chętnie wam...
 - Panie Masen. Może w pańskim zawodzie kwestionowanie rozkazów starszych stopniem oficerów jest na porządku dziennym, ale u nas nazywa się to niesubordynacją i nie toleruje się podobnych ekscesów. – Sharpstone spojrział na mnie groźnie spod gęstych brwi. – Nie wątpię, że gdy

tylko będzie to możliwe, wróci pan do domu. Tymczasem jednak będziemy płynąć na północny zachód.

– Do Nowego Jorku?

Kapitan nie odpowiedział na to pytanie. Znowu zapatrzył się na horyzont.

Poczułem, że czyjeś palce dotykają mojego rękawa. Kerris ruchem głowy wskazała, że powinienem opuścić mostek.

Zgrzytając zębami, poszedłem za nią do salonu pasażerskiego, gdzie – co z przykrością wyznaję – musiała wysłuchać moich poglądów na temat rozkazów kapitana Sharpstone'a, a były to poglądy szczerze zaprawione dawką staroangielskiego slangu.

Co robić w takiej sytuacji? Jak się zachować, gdy wybawiciele zabierają człowieka za morze zamiast odstawić do domu? Wszczęć jednoosobowy bunt?

Chyba nie.

Przez większość dnia wędrowałem nerwowo po pokładzie, patrząc wilkiem na każdego, kto się nawinał. Kerris, Gabriel, Dek i dziewczyna o orientalnych rysach, Kim So, współczuli mi. Rozumieli jednak także sytuację dowódcy statku, który chcąc nie chcąc musiał podporządkować się rozkazom. Trzeba przyznać, że kapitan Sharpstone był człowiekiem surowym, ale i uczciwym. Po lunchu – składającym się głównie ze zdumiewająco wielkich befsztyków – zaprosił mnie do siebie i pozwolił wysłać wiadomość radiową do mojej kwatery głównej.

Niewolny od tęsknoty za domem, napisałem w depeszy, że jestem zdrow, ale nastąpiła zmiana planów, która opóźni mój powrót, najpewniej nie na długo.

Teraz nie pozostało mi już nic innego, jak tylko spróbować maksymalnie wykorzystać uroki morskiej podróży.

Zdażyłem już przyzwyczaić się do pomruku silników na tyle, że w ogóle go nie zauważałem. O zachodzie słońca – ceglastoczerwonej tarczy znikającej bezgłośnie gdzieś w oceanie – zakończyła się moja pierwsza doba na pokładzie.

Włożyłem nowe buty i jeszcze raz przespacerowałem się z Kerris po pokładzie. Wkrótce jednak chłodne powietrze nocy zagnało nas z powrotem do przytulnego salonu.

Gabriel, pochylony nad stolikiem, sporządzał notatki, Rory zaś od niechcenia brzdąkał na banjo. Mniej więcej przez godzinę grałem z Kerris w karty, nieświadom niespodzianki, która czekała mnie już wkrótce.

Zaraz po dziewiątej Kim So weszła do salonu z szelmowskim uśmiechem na ustach. Spodziewałem się, że knuje dowcip, którego ja miałem zostać bohaterem. Jej gruby warkocz śmignął w powietrzu, gdy niespokojnie obejrzała się przez ramię.

Po chwili spojrzała na nas kolejno, uśmiechając się coraz szerzej.

– Czy mogę przedstawić wam nowego gościa?

Kim So odwróciła się i wyciągnęła rękę po kogoś, kto stał w korytarzu.

Mniej więcej piętnastoletnia dziewczyna pojawiła się w drzwiach. Uśmiechała się, wędrując wzrokiem po naszych twarzach. Kiedy mnie zobaczyła, rozpromieniła się jeszcze bardziej. Wskazała na mnie palcem i zawołała:

– Pan bum–bum! Pan bum–bum!

Jakże się zmieniła moja dzikuska z wyspy!

W pierwszej chwili jej nie poznałem. Dmuchawcową szopę włosów przycięto starannie i elegancko. Dziewczyna wykapała się i przebrała w nowy strój. Transformacja była dla mnie równie szokująca, jak zachwycająca. Kim So skinęła głową zachęcająco, po czym zwróciła się do nas, nie

kryjąc dumy.

– Proszę, poznajcie Christinę.

Niedawna dzikuska poklepała się po policzku.

– Kiss–tina. Kiss–tina.

– Chris–tina – powtórzyła wolno Kim. – Chris... tina.

– Kiss–tina!

Kim skrzywiła się przepaszając.

– Może niewielkimi krokami, ale zbliżamy się do celu.

Azjatka spędziła całą noc i następny dzień, pomagając dziewczynie nabrać pewności siebie. Opowiedziała nam, jak chętnie Christina wzięła prysznic i przebrała się w świeżą odzież. Kim dodała też, że dzikuska musiała wychowywać się w cywilizowanej grupie, bo mycie twarzy, szczotkowanie zębów i czesanie włosów nie były jej obce, toteż z ochotą powracała do typowych dla naszej kultury zachowań. Już po kilku godzinach zaczęła oglądać rozmaite przedmioty – meble, obrazki, ubrania – i z wysiłkiem przypominała sobie ich nazwy.

I ja poczułem coś na kształt dumy, gdy Christina biegała po salonie przyglądając się wszystkiemu z dziecinną wręcz ciekawością.

– Krzesło... stół. Stół! – zawołała, triumfalnie bębniąc pięściami o blat. – Stół. Siadaj. Jedz. Ciocia Sue tutaj. – Wskazując dłonią na koniec stołu, Christina udała, że wyciąga coś z ust. – Faj! Ach! – krzyknęła, dotykając warg i pokasłując.

Kerris spojrzała na mnie.

– Jak rozumiem, ciocia Sue kopcila jak parowiec.

– Maxie łobuz... łobuz... niegrzeczny Maxie. – Teraz dziewczyna udawała psa, który oparł się łapami o stół.

Rory spojrzał na Christinę.

– Chyba nauczy się mówić jak trzeba... To znaczy, jej słownictwo nie zawsze będzie tak ograniczone, prawda?

– Diabelnie szybko się uczy. To bystry dzieciak.

Nagle Christina włożyła palec do ust i wyjęła go z odgłosem naśladującym wyciągnięcie korka, po czym naląła coś do kieliszka z nieistniejącej butelki. Kiedy znowu przemówiła, zaskoczył nas jej niski głos, zupełnie męski i zabarwiony szkockim akcentem.

– Za kolejny rok życia... Boże, chroń króla.

– Dobry Jezu... – mruknął Gabriel, z podziwem potrząsając głową. – Słyszałem już o fotograficznej pamięci, ale ona ma pamięć fonograficzną.

– Śmiem twierdzić – odezwała się zamyślona Kerris – że jeśli cztero – czy pięcioletnie dziecko nagle zostaje samo, to wspomnienia o domu i rodzinie zapisują się w jego pamięci tak silnie, że nigdy ich nie utraci.

Gabriel skinął głową.

– Biedactwo. Nie chcę wiedzieć, przez co musiała przejść.

– Na razie nie chce spać w koi – oznajmiła Kim. – Ściaga koce na podłogę i robi z nich coś w rodzaju gniazda w rogu kabiny. Ale jak widzicie, humor jej dopisuje. Jest nie tylko żywiołowa, ale i inteligentna.

Christina, wciąż rozpromieniona, podchodziła do każdego z nas, klepała po ramieniu i powtarzała:

– Cześć... cześć... cześć...

Kiedy znowu stanęła przede mną, powtórzyła słowa, którymi powitała mnie wchodząc do salonu.

– Pan bum–bum.

– No i zostałeś panem bum–bum – stwierdziła z rozbawieniem Kerris.

Skinałem tylko głową, nie przestając się dziwić niezwyklej przemianie Christiny.

– Pamięta, jak przestraszyłem ją strzałem z pistoletu. Musiałem unieszkodliwić tryfida... a ona omal nie umarła ze strachu.

– Nic się jej nie stało – zauważyła Kerris. – Znowu cię lubi – dodała, patrząc na mnie z uśmiechem – panie bum–bum.

Nagle Christina wybiegła z salonu. Mój uśmiech zgasł.

– Chyba za wcześnie to powiedziałaś.

– Spokojnie – odezwała się Kim. – Dla Christiny wszystko jest nowe. Możliwe, że chwilami to dla niej za wiele.

Podejrzewałem, że dzikuska schroniła się w swoim gnieździe, ale myliłem się – wróciła po chwili. Widać było, że jest z siebie dumna.

– Schowała – oznajmiła, wyciągając przed siebie w obu rękach małą walizeczkę. – Schowała! Ty... ty!

Dziewczyna pchnęła walizeczkę po stole w moją stronę.

– Chcesz, żebym ją schował? – spytałem zakłopotany. – Przecież jest twoja, Christino.

– Ty... to! – ponagliła natarcywie. – Ty... to!

Pokręciłem głową.

– Przykro mi, Christino, ale nie rozumiem.

– Ty... to!

Spojrzałem bezradnie na pozostałych, ale i oni tylko potrząsali głowami w zakłopotaniu.

– A! A! A! – Dźwięk, który wydobywał się z głębi jej krtani, przypominał szczekanie. – A! A!

Dziewczyna skoczyła zniecka w bok i chwyciła kartkę z notatkami Gabriela. – Ty... to! Ty... to! – powtarzała, przesuwając papier przed oczami, mniej więcej tak, jakby próbowała wytrzeć twarz.

– Ach... mam to przeczytać!

Oczy Christiny rozbliły triumfalnie.

– Czytać! Czytać! – powtórzyła, energicznie kiwając głową.

– Dobrze. Teraz rozumiem, Christino.

Usiadła blisko mnie, na miękko wyścielanym krześle, dziecinnym gestem obejmując kolana. Bacznie obserwowała, jak odpinam zamki.

Ściany walizeczki – pocięte, poplamione i naznaczone śladami zwierzęcych zębów – mogłyby opowiedzieć niezwykłą historię własnych przygód. Z sobie tylko znanych powodów dziewczynka zatrzymała nieporęczny pakunek i pilnowała go jak oka w głowie od dnia, kiedy los zmusił ją do samodzielnego życia. Z namaszczeniem uchyliłem klapę walizeczki i kolejno wydobyłem na stół ukryte w środku przedmioty. Pierwszym z nich była mała Biblia. Otworzyłem ją na pierwszej stronie i przeczytałem inskrypcję: „Christinie Jane Schofield z okazji chrztu – kochająca ciocia Susan Tourraine”.

Dzikuska wierciła się niecierpliwie, patrząc, jak rozkładam jej skarby.

– Lalka – powiedziałem, kładąc zabawkę obok Biblii.

– Becker – dodała Christina, dotykając twarzyczki lalki.

Następnie wyjąłem z walizeczki bryłę owiniętą w papier, którą w pierwszej chwili wziąłem za kamień.

– Chleb. Wysuszony, bardzo czerstwy chleb. Musiał tu leżeć przez lata.

Sięgnąłem po kolejne przedmioty – tym razem były to ubranka dla mniej więcej pięcioletniej dziewczynki. Poczuję się bardzo nieswojo. Wiedziałem, że lada chwila dotrę do pamiętek, które powiedzą nam coś o przeszłości dziewczynki. Nie chciałem kontynuować tego rytuału w obecności Christiny.

Dzikuska dotknęła zetłalej bawełny.

– Bl... uzek. – Zastanawiała się przez chwilę, zanim się poprawiła: – Bluzka. – W jej oczach, nagle zapatrzonych w przestrzeń, dostrzegłem przebliski powracającej pamięci. – Niegrzeczny pies, Max... Roślina ugryzła. – Christina posmutniała i znieruchomiała. – Roślina go ugryzła. Max w ziemi.

Nastrój udzielił się wszystkim obecnym. Chyba każdy z nas, przyglądając się skromnemu dobytkowi dziecka, próbował odtworzyć w myślach scenariusz wydarzeń, których bohaterką mogła być mała Christina. Oczami wyobraźni widziałem małą dziewczynkę biegnącą przez ciemny las z walizką w ramionach – z walizką, do której ktoś włożył namiastkę zapasów mających umożliwić dziecku przetrwanie. Nigdy niezjedzona piętka chleba; Biblia, której nie mogła przeczytać, a która miała przypominać jej o szczęśliwszych chwilach... O ile przeżyłaby w samotności, rzecz jasna.

W walizce było jeszcze kilka drobiazgów: sznurek, szczyryk, ołówki z połamanymi końcówkami, puste pudełko od zapalek, złoty medalion z kosmykiem jasnych włosów. Wygrawerowano na nim: Margaret Anne Schofield.

Czyżby matka dziewczynki?

Na samym dnie znalazłem ostatnią pamiętkę: metalowe opakowanie cygara wraz z zatyczką. Sądząc po rozmiarach, musiało zawierać havanę lub inne równie potężne cygaro. Może miało przypominać Christinie o ojcu? Ponure tajemnice...

Zacząłem już odkładać wyjęte przedmioty z powrotem do walizki, gdy dziewczyna chwyciła mnie mocno za rękę, pociągnęła w stronę pojemnika i zacisnęła moje palce na metalowej tubie.

Spojrzałem na towarzyszy. Wpatrywali się we mnie wyczekująco. Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć odległego pomruku silników.

– Czytaj – ponagliła Christina.

Na zewnętrznej ścianie cylindra nie było żadnych oznaczeń. Wyjąłem zatyczkę. W środku tkwił ciasno zwinięty kawałek papieru.

Wydobyłem go i rozwinąłem, a potem przycisnąłem dłońmi do blatu stołu. Słowa skreślono w pośpiechu, ale znać było rękę szkoloną w kaligrafii.

Spojrzałem na Christinę. Siedziała nieruchomo, ale jej bystre oczy płonęły oczekiwaniem.

Nie mogłem zrobić już nic, by jeszcze bardziej odwlec tę chwilę. Zacząłem na głos:

Do tego, kto odczyta te słowa.

Dziewczynka, która wręczyła ci ten list, jest moją córką. Nazywa się Christina Jane Schofield i ma pięć lat.

Nie mam dość czasu, by szczegółowo opisywać nasze dzieje. Wspomnę tylko, że od dwudziestu lat mieszkaliśmy w twierdzy na kornwalijskim wybrzeżu. Byliśmy społecznością mieszaną,

złożoną z widzących i ślepców. Śmiem twierdzić, że radziliśmy sobie całkiem nieźle, trudniąc się rolnictwem i od czasu do czasu rybołówstwem, by wzbogacić naszą dietę.

Mniej więcej rok temu flotylla jachtów zbliżyła się do naszego wybrzeża. Nie mieliśmy czasu, by zorganizować obronę. Najeźdźcy uprowadzili widzące kobiety oraz dzieci. Pozostałych mieszkańców enklawy wyrznięto.

Bardziej za sprawą szczęścia niż własnej przemyślności zdołałem uciec, zabierając ze sobą córeczkę Christinę. Wędrowaliśmy po okolicy przez długie miesiące, żywiąc się czym popadło i śpiąc pośród ruin. Staraliśmy się unikać tryfidów, które tropiły nas, jak wilki tropią ranne zwierzę. Porównanie tym celniejsze, że gdy opuszczaliśmy dom, byłem mężczyzną niemłodym, teraz zaś jestem także chory. Przejście kilometra dziennie to dla mnie męka ponad siły. A im wolniej szliśmy, tym szybciej doganiały nas tryfidy.

Podczas naszej dwunastomiesięcznej wólczygi nie spotkaliśmy ani jednego człowieka. Ani jednego. Wnoszę stąd, że jesteśmy jedynymi ludźmi w całym hrabstwie. Tryfidy albo zgładziły, albo wygnały tutejszą ludność. A teraz przeklęte rośliny chcą pożreć i nas.

Piszę więc te słowa do ciebie, człowieku, którego nigdy nie poznam. Znaleźliśmy z Christina tymczasowe schronienie w hangarze nadrzecznej przystani. Jest ciemno, ale choć nie widzę tryfidów, słyszę ich rozmowy – stukotem pałeczek o pnie sygnalizują swoim pobratymcom, że zagnały nas w pułapkę.

Christina śpi spokojnie. Nie wie nawet, że to nasz ostatni wieczór.

Choć nie jestem lekarzem, domyślam się, że mój czas dobiega końca. Wyczuwam w brzuchu twardą, rosnącą masę. Moja skóra nabrała chorobliwie żółtej barwy. Podejrzewam, że to nowotwór. Tak czy owak, jestem już zbyt słaby, by przejść więcej niż kilka kroków. Wkrótce nie zdołam dokonać nawet tego.

Nie to jest jednak ważne. Martwię się tylko o moją córeczkę. Serce mi pęka na myśl o tym, że zostanie sama, bezbronna, wydana na pastwę tych przeklętych roślin.

Zastanawiam się, czy nie opuszcza mnie zdrowy rozsądek. Osłabienie sprawia, że z trudem udaje mi się zachować przytomność dłużej niż kilka chwil. Dziś Christina wymknęła się z hangaru. Zdaje się, że zapytałam ją później, gdzie była. Odparła, że szukała jabłek, ale inne rośliny zaczęły bić ją gałęziami. Zaniepokojony, spytałem, czy uderzały wiciami. Odpowiedziała, że tak, i że trochę to swędziało, ale nie za bardzo. I rzeczywiście, na twarzy miała różowe ślady ciosów, ale nie dostrzegłem ani opuchlizny, ani objawów zatrucia.

A może śniłem o tym? Przecież ten list piszę także i po to, by umknąć przed rzeczywistością. Próbuję uciec przed nieuchronnym końcem i nie myśleć o tym, na co muszę skazać moją piękną córeczkę.

Za chwilę włożę ją do pontonu, który znalazłem w hangarze. Dam jej zapas jedzenia, wodę i ten list, zanim wyślę ją samotnie w ciemność. Nic więcej zrobić nie mogę. Ledwie się ruszam. Wiem, że nie starczy mi sił, by wraz z nią wsiąść do łódki. Moje dziecko, jeśli ma przetrwać, będzie musiało radzić sobie samo.

To najbardziej bolesna rzecz, jaką przyszło mi w życiu uczynić: patrzeć, jak Christina znika i wiedzieć, że nigdy jej nie zobaczę. I że być może posyłam ją na śmierć... Ale czy istnieje inny sposób?

Mogę tylko błagać z całego serca, byś zapewnił jej opiekę. To dobra dziewczynka.

Szczerze wdzięczny Benjamin Schofield

Kiedy skończyłem czytać, nie odezwałem się już ani słowem. Długo siedzieliśmy w absolutnej ciszy, pogrążeni w niewesołych myślach.

13. Naprzód

- Ile potrwa podróż?
- Do Nowego Jorku? Sądzę, że jeszcze trzy dni.
- Cieszysz się, że wcześniej wracasz do domu?
- Rozkazy to rozkazy. Ale miło będzie stanąć znowu na stałym lądzie. Nieźle ci idzie.
- Nabrałem praktyki, czekając w sali rekreacyjnej na poprawę pogody.

Gabriel Deedes był groźnym przeciwnikiem w tenisie stołowym. W jego czarnych ramionach czaiła się tak wielka siła, że niejedna piłeczka eksplodowała w zetknięciu z rozpędzoną raketką.

Ściany kabiny rekreacyjnej zdobiły plakaty wschodzących gwiazd sceny. Miały twarze otoczone aureolą platynowych włosów; najbardziej rzucały się w oczy ich wydęte, szkarłatne usta.

- No nie, Masen, kto cię nauczył tego podkręcania?
- Krykiet.
- Krykiet?
- Tak. Chociaż łapanie wychodzi mi lepiej niż gra kijem.
- Co to jest krykiet?
- Naprawdę nigdy nie słyszałeś o krykiecie?

Gabriel potrząsnął głową i posłał piłeczkę na drugą stronę stołu z prędkością mniej więcej miliona kilometrów na godzinę. Celuloidowa kulka uderzyła w moją raketkę i rykoszetem pomknęła pod sufit. Szukając jej w kącie kabiny, wyjaśniałem cierpliwie podstawowe zasady krykieta – gry, którą mój dawny nauczyciel, pan Pinz–Wilks, z uczuciem nazywał „boską”. Kiedy skończyłem, mina Gabriela wskazywała na to, że absolutnie nic nie zrozumiał. Po bardzo długiej chwili zastanowienia zadał wreszcie pytanie:

– Powiadasz, że obie drużyny mieszczą się z serią zagrań w czasie, powiedzmy, dwóch godzin?

– O, nie – odparłem z uśmiechem. – Mecze krykieta są nieco dłuższe. – Gdy powiedziałem mu, jak długie, posłał mi podejrzliwe spojrzenie. Był przekonany, że kpię.

– Dwa dni? – powtórzył. – Dwa dni!? – Potrząsając głową, wyprostował palcem wgniecenie na piłeczce. – Wy, Anglicy, musicie być wyjątkowo wytrzymali. Jak można grać tak długo bez jedzenia i snu?

– To nie tak. Drużyny mają przerwy na lunch i herbatę.

– Herbatę? – Gabriel znowu spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Wytłumaczyłem mu więc, że w Anglii słowo „herbata” oznacza nie tylko napój, ale także posiłek spożywany między popołudniem a wieczorem.

Gabriel skinął głową i zaserwował.

– Churchill miał rację: jesteśmy dwoma narodami podzielonymi przez wspólny język.

Nie po raz pierwszy przekonałem się, że z pozoru błahe różnice językowe i kulturowe mogą przyprawiać Amerykanów i Anglików o solidny ból głowy.

Mimo to znajomość z Gabrielem rozwijała się doskonale. Jego ciepłe i przyjacielskie usposobienie bardzo podniosło mnie na duchu. Graliśmy więc w ping–ponga, popijaliśmy kawę (prawdziwą kawę, nie tę lurę z żołądździ, na której się wychowałem i którą z niezrozumiałych powodów nazywano „francuską kawą”) i gawędziliśmy o najrozmaitszych sprawach, raz po raz wymieniając piłki, które z zadziwiającą częstotliwością rozpadały się pod atomowymi uderzeniami Gabriela.

Dowiedziałem się nieco więcej na temat zespołu badawczego podróżującego na pokładzie S/S „Beagle Minor”.

– Załoga traktuje nas dość podejrzliwie. Nazywają nas „Olami”.

– Olami?

– Zaczęli od „Ologów”, a potem przeszli na krótszą wersję. Choć osobiście podejrzewam, że możemy kojarzyć się im z Oliverem Hardym – dodał z szelmowskim uśmiechem. – Kiedy wchodziliśmy na pokład ze stertami książek i sprzętu laboratoryjnego, musieli odnieść wrażenie, że zadzieramy nosa... Świetny atak, Davidzie!... Ale to nie trwało długo. Ledwie wyszliśmy z portu, nosy nam opadły na kwintę i zajęliśmy się głównie haftowaniem.

– Haftowaniem? – spytałem z uśmiechem. – Ach, rozumiem. *Mai de mer*.

– Właśnie... A niech to, siatka się rusza!... Potem zaś *mai de mer* ustąpiła pola *mai du pays*.

Mai dupays? Użycie przez Gabriela niezbyt popularnego francuskiego idiomu oznaczającego tęsknotę za domem sporo mi o nim powiedziało. Jego wykształcenie było rzeczywiście wszechstronne.

– Rozumiem, że marynarze nazwali was Ologami z racji waszych profesji? – spytałem.

– W rzeczy samej, Davidzie. W rzeczy samej. Ja, na przykład, jestem biologiem. Specjalizuję się w biologii roślin.

– A Dek?

– Jest geologiem. Nie chcemy przegapić ani jednego złoża ropy czy rudy, które dałoby się wykorzystać. Kerris jest zoologiem. Próbuje ustalić, jak radzą sobie zwierzęta pod panowaniem uroczych tryfidów.

– Kiepsko, jak sędzę.

– Szczury akurat nie.

– Dojadają resztki większych zwierząt po ucztach tryfidów?

– Jakbyś zgadł, Davidzie... Do diabła, ta siatka rośnie mi w oczach. Koniecznie musisz mnie nauczyć tego podkręcania, chłopie. – Gabriel wyciągnął piłkę z siatki i rzucił do mnie. – Kim So zajmuje się antropologią. Ocenia, jak udaje się przetrwać niedobitkom ludzkości.

– A Rory?

– Jest z innej bajki. Służba dyplomatyczna. Coś w rodzaju wędrownego ambasadora. Próbuje nawiązać kontakt... a jeszcze lepiej zawrzeć sojusz... z każdą napotkaną społecznością.

– Co zapewne nie jest najłatwiejszą robotą?

– Nie jest... Punkt dla mnie, stary. – Gabriel zaserwował. Piłka świsnęła mi koło ucha. – Piłka meczowa – zameldował, a po chwili podjął poprzedni wątek. – Pewnie sami spotkaliście się z czymś takim. Ludzie boją się, że tę nędzną ilość pożywienia, którą udaje im się wyrwać ziemi, zabrają im bandyci. Dlatego zamykają się w dobrze strzeżonych twierdzach, stają się skryci i nieufni.

– To zrozumiałe.

– Tak, ale czas już zburzyć bariery. Nie możemy wiecznie żyć na marnych wysepkach, pracować w marnych gospodarstwach, zamknięci w marnych, mikroskopijnych światach. Trzeba nawiązywać kontakt z innymi grupami i próbować połączyć je w międzynarodową federację.

– Organizacja Narodów Zjednoczonych numer dwa?

– Czemu nie? Tylko że niektóre z osad na europejskich wyspach nie ośmielają się nawet używać nadajników radiowych, by nie przyciągać do siebie uwagi. Możesz za to założyć się o duże pieniądze, że uważnie nasłuchują sygnałów z eteru, próbując dowiedzieć się jak najwięcej na temat sąsiadów.

– Nie wiedzieliśmy, że Nowy Jork jeszcze się trzyma – powiedziałem. – Zdaje się, że wy też utrzymujecie ciszę radiową.

– A masz! Po meczu! – Celuloidowa kulka uderzyła w moją raketkę z taką siłą, że rozpadła się na dwie części. Gabriel nawet nie mrugnął, nie mówiąc już o przerwaniu rozmowy. – Jasne. Używamy nadajników małej mocy, żeby sygnał nie niósł się dalej niż na pięćdziesiąt kilometrów. My też mieliśmy kłopoty z piratami. Co więcej, jeszcze dwadzieścia lat temu byliśmy w opałach, póki nowa administracja nie wzięła się za sprawy obrony. Teraz za to jesteśmy gotowi odeprzeć każdy atak, i to tak, żeby napastnikom odechciało się agresji raz na zawsze. Kawy?

Tak kuszącej propozycji nie potrafiłem odrzucić. Przysiedliśmy więc na końcu stołu i sączyliśmy kawę, gawędząc z przyjemnością. Rozmawialiśmy o przyczynach ciemności, która na dobre spowiła Ziemię, o naszych rodzinach, dzieciństwie – o wszystkim, o czym chce się wiedzieć, poznając kogoś bliżej. Opowiedziałem Gabrielowi o moich wyczynach z własnoręcznie budowanymi samolotami, a nawet o sławetnym starciu mojego raketowca. A także o tym, jak kościelny popędził w panice do dzwonnicy, by ogłosić alarm, myśląc, że to latające bomby Hitlera powróciły, by znowu siać zniszczenie.

Ta historia naprawdę rozśmieszyła Gabriela. Śmiał się długo i głośno, tłukąc dłonią w udo z taką siłą, że – jak podejrzewałem – dorobił się solidnych siniaków.

Kiedy się uspokoił, w zamyśleniu potarł krawędź raketki.

– Łatwo się zapomina, jak dobrze jest być dzieciakiem... Hodowałem kiedyś króliki. Miałem ich całe mnóstwo. Mnożyły się tak szybko, że nie zauważałem, kiedy jeden lub dwa znikają. Widzisz, od czasu do czasu mój tata robił z nich potrawkę na obiad – wyjaśnił z uśmiechem. – A wiesz, co mnie kręciło? Filmy. W każdą sobotę byłem pierwszy w kolejce do Loews. To takie duże podziemne kino na Broadwayu. Uwielbiałem slapstickowe komedie, wiesz? Buster Keaton, Laurel i Hardy, Arkin Rossetta... Nie przepadałem za to za Chaplinem; był zbyt łzawy. Podobały mi się westerny... im więcej strzelaniny, tym lepiej... ale w końcu straciłem ochotę na oglądanie rewolwerowców.

– Tak?

– Tak. Widzisz, mój tata zastrzelił mamę. Pif-paf. Prosto w serce.

– Przykro mi, Gabrielu... Nie zamierzałem... – bąknąłem, naprawdę zszokowany.

– Nie szkodzi, Davidzie. – Machnął ręką, jakby sam chciał mnie przeprosić. – To stare dzieje. Podobno źle zareagował na chemidawkę.

Jakoś nie czułem się na siłach pytać, co to takiego „chemidawka”. Gabriel musiał jednak zauważyć moje niezbyt pewne spojrzenie.

– Chemidawka to dla ciebie nowość, prawda? – spytał beztrąsko.

Skinąłem głową. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, by nie wydać mu się wyjątkowo niewrażliwym typem. Gabriel uśmiechnął się ciepło.

– Chemidawka to lek sterylizujący dla mężczyzn – wyjaśnił, przykładając dłoń do przedramienia w geście naśladującym zastrzyk. – Zdaje się, że w wieku lat dwudziestu sześciu ojciec był po prostu za stary na taką kurację. Wyprowadziło go to z równowagi. – Gabriel postukał się palcem w skroń. – Ja nie miałem tego problemu, ale też nie tęskni się za tym, czego nigdy się nie doświadczyło, rozumiesz?

Rozumiałem. I w głębi duszy byłem przerażony. Gabriel wciąż się uśmiechał.

– A kiedy dostałem Różową Kartę, przyjeźli mnie do, jak to nazywamy, Szkoły Eunuchów – powiedział i roześmiał się. – Otrzymałem najlepsze wykształcenie, jakie tylko mogłem sobie wymarzyć.

A teraz mam ładne mieszkanie i najlepszą na świecie pracę. Ejże, Davidzie... rozlewasz kawę. Dolać ci?

Grzecznie odmówiłem. Bardzo chciałem wyjść na pokład i zaczerpnąć świeżego powietrza. Obiecałem więc rewanż i starając się nie zdradzić uczuć, które mną targaly, opuściłem kabinę.

Mijały godziny. Chwilami nikt nie potrafiłby odróżnić nocy od dnia – ciężkie chmury zasnuły czerwone niebo, skutecznie zasłaniając wątlą tarczę słońca. Ale statek obojętnie parł naprzód, mieląc śrubami wody Atlantyku i niezmiennie posuwając się na zachód. Podmuchy wiatru były coraz chłodniejsze. Z ciemności zaczęły spadać na pokład pierwsze płatki śniegu. Ktoś kiedyś powiedział, że śnieg w czerwcu to zły znak. Moim zdaniem był bardzo bliski prawdy. To powinien być przyjemny letni dzień, a ja patrzyłem na lodowate płatki błyszczące w świetle padającym z bulajów. Czy to możliwe, żeby odwilż nigdy nie nastąpiła? Czy czekają nas ponure lata, podczas których cały świat stopniowo zniknie pod grubą warstwą martwego lodu?

A co potem? Przez tysiąc czy milion lat, a może i całą wieczność, Ziemia będzie krążyć wokół Słońca w lodowej trumnie. Na jej powierzchni nie przetrwa nawet najodporniejsza bakteria.

Otarłem krople ze szyby bulaja. Za burtą rozciągała się nieskończona ciemność, rozpraszana tylko przemykającymi z rzadka, białymi płatkami śniegu.

Dawno nieżyjący poeta miał rację. Śnieg w lecie to fatalna rzecz.

– Cześć, panie bum–bum!

Rozradowana Christina patrzyła na mnie z przeciwległego krańca salonu pasażerskiego. Grubą świecową kredką rysowała cherlawe ludziki.

Uśmiechnąłem się do niej i dotknąłem własnej piersi.

– David – powiedziałem, rozciągając celowo „a”. – Daaa–vid.

– David Masen – odezwała się rezolutnie. – Tak. David Masen. Kolacyjka?

– Nie – odparłem, zdumiony jej postępaniem. – Do kolacji mamy jeszcze trochę czasu.

Kerris uniosła głowę znad raportu, który właśnie pisała.

– Christina uczy się w takim tempie, że za rok lub dwa zapisze się pewnie do naszego zespołu.

– Zostanie Olem, tak?

– Olem? O, widzę, że rozmawiałeś z załogą.

– Nie. Gabriel mi powiedział. Szczerze mówiąc, marynarze starają się mnie unikać.

– Nie przejmuj się. Do nas też się nie garną. Zresztą odrobina podejrzliwości nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Whisky?

– No, jeśli uważasz...

– Daj spokój. Napij się ze mną. Słońce musiało już minąć połowę drogi, nawet jeśli go nie widzimy. – Kerris zgrabnie wysunęła długie nogi spod stołu i przemierzyła kabinę tym rozkołysanym krokiem, który Gabriel, mrugając do mnie znacząco, nazwał kiedyś „seksownym”. – Jeśli chcesz znać moje zdanie – powiedziała, wkładając do szklanek kostki lodu – to załoga przede wszystkim zazdrości nam zawartości barku – dokończyła, machając w moją stronę butelką whisky. – Odkąd statek wyszedł w morze, obowiązuje ich surowy zakaz picia, więc nic dziwnego, że kiedy widzą nas ze szkłem w ręku, zgrzytają zębami. Tyle wystarczy? – spytała, unosząc szklankę hojnie napełnioną trunkiem.

– Jasne. Dzięki.

Christina spojrzała na mnie surowo.

– Wstrętne piwsko – powiedziała. Wykrzywiła usta, zrobiła szpetnego zeza i zakolysała głową na boki, sprawnie udając kogoś, kto wypił odrobinę za dużo.

Kerris uśmiechnęła się szeroko.

– Zdaje się, że za parę miesięcy nasza dzikuska niczym nie będzie się różnić od nowojorskich nastolatek. Zdrowie!

Już po kilku dniach czułem się jak wilk morski. Przyzwyczailem się też do nowego rozkładu zajęć i do nieprzyzwoitego dobrobytu – obfitych posiłków i kawy na zawołanie. Umiąłem sobie czas częstymi rozmowami z Olami. Najbardziej przyjacielscy byli Kerris Baedekker i Gabriel Deedes (choć Gabriel z rozkoszą gnębił mnie w meczach tenisa stołowego, pozwalając mi wygrać nie więcej niż dwa sety). W odwecie zacząłem uczyć go podstaw krykieta, używając w tym celu kartonowej rury i pary ciasno zwiniętych skarpet. Ach, słodka jest zemsta...

Kim So spędzała większość czasu na uczeniu Christiny, więc nieczęsto je widywaliśmy. Zauważyłem jednak, że wymowa mojej dzikuski nabrała amerykańskiej śpiewności, choć od czasu do czasu w wypowiedziach Christiny pojawiały się niespodziewanie słowa rodem ze szkockich wyżyn. Dek, osobnik miły, lecz wyjątkowo nieśmiały, najchętniej spędzał czas pracując. Zamykał się w kabinie i całymi dniami sporządzał szczegółowe raporty na temat próbek gruntu z rozmaitych miejsc, które statek odwiedził podczas wyprawy. O ile zdołałem się zorientować, istniała nagła potrzeba znalezienia łatwo dostępnych i wolnych od tryfidów pól naftowych. Nie było to takie proste. Najmniej serdecznie wspominam Rory'ego Masterfielda. Odpychało mnie jego ostre spojrzenie i coś na kształt wyrachowania, dobrze ukrywanego pod maską przyjacielskiego uśmiechu.

Ku swojemu zdziwieniu odkryłem, że niecierpliwie oczekuję przybycia do Nowego Jorku. Znowu obudził się we mnie duch przygody; znowu chciałem poznawać świat. Naturalnie po powrocie na wyspę Wight natychmiast sporządziłbym raport z podróży... Był jednak coś, o czym nietłumaczyłoby mi pisać. Gabriel Deedes bez ogródek oznajmił mi, że dał się chemicznie wykastrować w zamian za pewne przywileje. Na mojej wyspie, gdzie tak czci się płodność, sterylizacja zdrowego młodego mężczyzny byłaby zbrodnią. A przecież istnienie w społeczeństwie klasy eunuchów wcale nie było nowością. W starożytnym Rzymie, Bizancjum i w Imperium Otomańskim, a także w wielu kulturach Wschodu, przez wieki praktykowano kastrację mężczyzn. Eunuchów uważano często za elitę społeczeństwa i powierzano im wyspecjalizowane zadania – od pilnowania sułtańskich haremów, poprzez obowiązki kapłańskie, aż po pełnienie wysokich urzędów w bizantyjskiej służbie cywilnej. Jak koń, któremu zakłada się klapki na oczy, lepiej służy człowiekowi, tak i chłopiec, który zrzeka się swojej męskości, może bardziej skoncentrować się na swoich obowiązkach – nie traci czasu na, że tak powiem, hormonalne wybryki.

Bez względu na to, jak odrażająca wydawała mi się ta praktyka, wiedziałem jedno: w świecie Gabriela słowa „nowojorski eunuch” nie wzbudzały najmniejszej sensacji.

Pewnego wieczoru, gdy słońce było już ledwie ceglastą smugą na horyzoncie, na pokładzie zapanował rozgardiasz. Marynarze wyskakiwali ze wszystkich włazów, a na ich twarzach malowały się determinacja i napięcie.

Lekko oszołomiony stałem na pokładzie, gdy kapitan Sharpstone zawołał do mnie spokojnym acz stanowczym głosem:

– Panie Masen, proszę zejść na dół. – W wieczornym mroku widziałem tylko ciemną sylwetkę na mostku.

Zwyciężyła we mnie ciekawość.

– Co się dzieje?

– Nic, z czym nie potrafilibyśmy sobie poradzić. A teraz proszę zejść pod pokład.

Jego ludzie zdążyli już ściągnąć ochronny brezent z wieżyczki dział; inni zajęli się montowaniem karabinów maszynowych na statywach.

– Panie Masen – powtórzył natarczywie kapitan. – Jeśli pan nie usłucha, każę ludziom sprowadzić pana pod eskortą... dla pańskiego dobra.

Niechętnie opuściłem pokład i pomaszerowałem do salonu pasażerów.

Z twarzy naukowców również można było wyczytać napięcie. Nikt się nie odzywał. Gabriel nerwowo zaplatał i rozplatał palce, wyglądając przez zamknięty bulaj.

– Co się dzieje? – spytałem. – Załoga obsadziła działą i karabiny.

– To tylko na wszelki wypadek – odparł Rory. – Nie ma się czym martwić.

Gładko powiedziane, pomyślałem. Zauważyłem jednak, że Kim i Dek najwyraźniej mieli się czym martwić.

– Często zdarzają się takie sytuacje? – indagowałem dalej.

Odpowiedzi nie było. Dopiero teraz dotarło do mnie, że ci ludzie mają prawdziwych wrogów. Że tu, na mrocznym oceanie, ktoś czyha na ich życie.

Przysiadłem cicho obok nich, czekając na odgłos pierwszego strzału.

Kolacja, co zrozumiałe, opóźniła się znacznie. Dopiero gdy zjedliśmy naprędce przygotowane omlety, do salonu dotarł dźwięk gwizdka.

Słyszając westchnienia ulgi moich towarzyszy, zrozumiałem, że to sygnał, iż zagrożenie minęło. Wkrótce na korytarzach rozległ się tupot nóg marynarzy powracających do swoich kajut.

Kimkolwiek był wróg, spotkanie zakończyło się bez jednego wystrzału.

Mimo to widok załogi gorączkowo sposobiącej się do walki dał mi wiele do myślenia. Gdy wieczorem wracałem do swojej kabiny, wciąż jeszcze zastanawiałem się, co lub kogo kapitan Sharpstone spodziewał się napotkać na środku oceanu...

Rano słońce nie tyle wyszło, co wypełzło zza wschodniego horyzontu, z wolna rozlewając po niebie plamę ciemnego szkarłatu, podobną do krwi sączącej się przez czarne płótno.

Obudziłem się zmarznięty. Przy śniadaniu dowiedziałem się, że kapitan Sharpstone, chcąc maksymalnie zwiększyć prędkość statku, kazał skierować do silników każdy centymetr sześcienny wytworzonej w kotłach pary, przez co kabiny zostały pozbawione ogrzewania. Otulony kocem najszczelniej jak się dało, wyszedłem na pokład. Poranek był rzeczywiście zimny – tak zimny, że na brezencie okrywającym działą tu i ówdzie lśniły sople lodu. Patrzyłem w dal, na plamę czerwieni wznoszącą się coraz wyżej nad widnokregiem. Z każdą chwilą była jaśniejsza. Przed południem słońce przypominało już tę ciemną pomarańczę, którą znaliśmy z ostatnich kilku dni, i znowu zaczęło dawać odrobinę cennego światła.

Oparty łokciami o reling, wychyliłem się za burtę. Morze było spokojne i miało barwę krzepnącej krwi – czerwieni wpadającej w brąz.

Gdzieś w oddali rozległ się dziwny okrzyk. Samotny, błagalny, przedśmiertny okrzyk. Rozejrzałem się, szukając jego źródła. Wyobraźnia sama podsuwała mi obrazy jęczących dusz od dawna nieżyjących żeglarzy, ale rozsądek mówił, że to tylko mewa sunąca gdzieś wysoko po mrocznym niebie. Wpatrywałem się w ciemność przez dłuższą chwilę, ale nie dostrzegłem ani jednego ptaka. Posępny jęk wciąż trwał.

Nagle na dalekiej granicy morza i nieba pojawiła się biała linia. To tylko mgła, pomyślałem. Może chłodne powietrze styka się tam z nieco cieplejszym oceanem? Jednak w miarę jak

przyglądałem się dziwnemu zjawisku, dokonywała się w nim powolna transformacja.

Z oddali zaczęły się wylaniać pionowe kształty. Pośrodku wznosiły się najwyżej, po bokach były niższe. Nie było ich dużo i nie sprawiały wrażenia zbyt wielkich. Po chwili ich zarysy stały się wyraźniejsze. Z obłoku mgły wyloniły się sylwetki iglic i wież sięgających nieba, niczym w zaklętym Babilonie. Rozpostarła się przede mną panorama magicznej cytadeli unoszącej się nad falami.

Widok urzekł mnie tak bardzo, że nie zauważyłem nawet, gdy Kerris stanęła obok mnie.

– To jest coś, prawda? – mruknęła. Odwróciłem się i spojrzałem w jej zielone, błyszczące oczy. – Dom – szepnęła łagodnie, kiwając głową.

14. Metropolia

Zdjęcia, ilustracje, filmy, nawet obrazek na puszcze herbatników... Widziałem mnóstwo wizerunków tego miejsca. Ale widok wieżowców wylaniających się w niepojęty sposób z białej mgły po prostu mnie zadziwił.

Kerris, stojąca obok mnie z włosami rozwianymi chłodną bryzą, jak w transie wpatrywała się w panoramę miasta. Pomyślałem, że coś takiego musi działać na wyobraźnię za każdym razem.

– Niesamowity widok, prawda? – spytała po bardzo długiej chwili.

Musiałem przyznać jej rację.

Smukłe wieże przyjmowały z wolna kształty drapaczy chmur. Nawet teraz, z odległości dwudziestu paru kilometrów, z łatwością rozpoznawałem opływową, symetryczną sylwetkę budynku Chryslera i bardziej agresywne, megalityczne linie stojącego opodal Empire State Building. Dawno temu H.G. Wells pisał, że Nowy Jork to i zabawne miejsce, najeżone budynkami i pełne okien. Nie wydaje mi się, żeby mój wielki rodak oddał miastu sprawiedliwość, kreśląc te słowa. Zdecydowanie nie.

Mimo przenikliwego zimna, w milczącym porozumieniu postanowiliśmy pozostać na dziobie parowca i obserwować jego wejście do portu. Kapitan Sharpstone, którego obecność na mostku bardziej wyczuwaliśmy, niż dostrzegaliśmy, pewną ręką prowadził statek. W pobliżu główek portu dostrzegłem plamki kutrów rybackich i potężną sylwetkę niszczyciela, najeżoną lufami dział i tubami wyrzutni rakiet.

Woda zmieniła kolor na mętno-brązowy, gdy tylko wpłynęliśmy w wymieszane nurty rzek Hudson, Harlem i East. Silniki pracowały teraz wolniej i parowiec wytracał prędkość, zbliżając się do rosnącej w oczach bryły Manhattanu.

Chwilę później zostawiliśmy za lewą burtą słynną damę z brązu, Statuę Wolności. W marnym świetle słonecznym widać było, że wciąż połyskuje zielonkawą patyną. Ze smutkiem zauważyłem jednak, że jakiś barbarzyńca okaleczył posąg. Spękane oczy nadały twarzy statui przerażający wygląd. Na samej wysepce zauważyłem zaś dziesiątki stanowisk artyleryjskich. Połyskujące lekko lufy dział skierowano w stronę otwartego morza.

Kiedy znowu spojrzałem na Manhattan, wysokościewce już górowały nad nami, a w ich oknach odbijały się rdzawe promienie słońca. Wydawało mi się, że na mnie, Davida Masena, przybywającego do dziwnej krainy, patrzy milion czerwonych oczu.

Wokół naszego statku zaroilo się nagle od najrozmaitszych jednostek: holowników, kutrów, motorówek pilotów rzecznych i policji, barek, a także licznych żaglowców. Obecność tych ostatnich była dowodem na to, jak bardzo Nowemu Jorkowi brakuje paliwa. Dostrzegłem już ulice, ciągnące się w stronę centrum miasta kanionami ze stali i betonu. Widziałem też samochody – tysiące samochodów, ciężarówek, autobusów i furgonetek wszelkich kształtów i rozmiarów warczących i trąbiących donośnie. Odgłosy ulicy zlewały się w jeden basowy dźwięk, a światła pojazdów – włączone, choć było to samo południe – lśniły jaskrawo.

Kerris uśmiechała się swobodnie. Dla niej był to dom. Dla mnie... No cóż – nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego. Serce tłukło mi się jak oszalałe, a krew pulsowała w skroniach. Kręcąc głową, próbowałem ogarnąć wzrokiem wszystko naraz.

Dobry Boże... Miałem przed sobą kraj zadziwiających zjawisk i niemal nadnaturalnych wspaniałości. Obudziły się we mnie dziwaczne, zwierzęce uczucia. Chciałem – nie, pragnąłem z całej duszy – rzucić się w samo serce wirującego kłębowiska dźwięków i światła.

Po dłużącej się okropnie serii manewrów statek przybił wreszcie do kei. Chwilę później szedłem już po trapie na spotkanie z dziwnym, nowym światem.

Czekał na nas oficjalny komitet powitalny. Kim, opiekuńczo prowadząca za rękę Christinę, zniknęła gdzieś niemal natychmiast, zagarnięta przez orszak kobiet i mężczyzn. Czulem się poniekąd odpowiedzialny za dziewczynę, więc spytałem Kerris, dokąd zabrano moją dzikuskę. Zapewniła mnie, że Christina będzie pod dobrą opieką.

– Jedyne ryzyko polega na tym, że mogą z niej zrobić gwiazdę. Zresztą ciebie też to dotyczy, Davidzie – dodała Kerris, mrużąc oczy. Wiesz, przy tym nabrzeżu, którym teraz spacerujemy, w tysiąc dziewięćset dwunastym miał stanąć „Titanic”. Gdyby oczywiście udało mu się przebyć Atlantyck... Nie wiem tylko, czy uznasz to za dobry, czy zły omen – powiedziała, uśmiechając się do grupki umundurowanych mężczyzn, którzy właśnie do nas podeszli. – Wygląda na to, że trzeba będzie załatwić parę formalności, nim odwiozę cię do hotelu.

Wypełnianie formularzy w biurze celnym zajęło godzinę. Zrobiono mi zdjęcia z profilu i *enface* dla potrzeb urzędu imigracyjnego.

Potem człowiek w mundurze ze złotym sznurem uściśnął mi rękę, powitał w Nowym Jorku i wyprowadził za bramę, gdzie czekał już samochód.

Usiadłem z tyłu, obok Kerris, i zachwyciłem się urodą miasta, gdy wóz przeciskał się ruchliwymi ulicami. Cóż mogę powiedzieć? Widoki, dźwięki, nawet zapachy egzotycznych potraw – wszystko to przypuściło frontalny atak na moje zmysły. Z szeroko otwartymi oczami i głową obracającą się niemal dookoła próbowałem przyswajać je jak najpełniej. Widziałem ludzi najróżniejszych ras; przydrożne tablice z tajemniczo brzmiącymi nazwami – Tribeca, Chinatown, Little Italy, Broadway... Bary, sklepy, kawiarnie, restauracje, a wszystko kipiące życiem. Nowojorczyki zaś poruszali się w takim tempie, że nie sposób było żywić obaw co do witalności miejscowej populacji.

Nawet słońce świeciło jakby nieco jaśniej na ponurym niebie. Zalewało miasto piękną, czerwoną poświatą. Ściany i okna budynków lśniły ciepłymi barwami, od miedzi po złoto. Po dłuższej chwili gapienia się na połyskujące w słońcu drapacze chmur czulem się oszołomiony. Z chaosu pierwszych wrażeń z wolna wysnuwałem pierwszy wniosek: Nowy Jork był miastem czystym, uporządkowanym i dobrze prosperującym.

Nagle poczułem duchową więź z pierwszym Brytem, który, owinięty w zwierzęce skóry, odbył podróż do Rzymu cesarów. Jakże musiał podziwiać posągi herosów, olbrzymie świątynie, smukłe kolumny i samych Rzymian strojnych w jedwabie i klejnoty.

Zaraz potem pomyślałem o mojej ojczystej wyspie, rolniczej prowincji pociętej krętymi drogami, po których toczą się z wolna konne zaprzęgi. O zbieraniu nędznych wiosek zamieszkałych przez sennych ludzi. Bóg mi świadkiem, wyspa Wight wypadła w tym porównaniu fatalnie.

Samochód zatrzymał się przed majestatycznym gmachem.

– To twój hotel – wyjaśniła Kerris, uśmiechając się na widok mojej niedowierzającej miny. – Bez obawy, Davidzie. Czekają tu na ciebie. Nowe ubranie powinno już dotrzeć; przetelegrafowałam twoje wymiary. Możliwe tylko, że będziesz musiał poczekać na buty. Te marynarskie trepy nie nadają się na spacer po Manhattanie.

Zachowywałem się jak dzieciak w wigilijny wieczór – z oczami szeroko otwartymi z podniecenia spieszyłem od jednej niespodzianki do następnej. I tylko chwilami czulem w sercu lekkie ukłucie – kiedy odnosiłem wrażenie, że nie jestem lojalny wobec mojej sennej wysepki, odległej o tysiące kilometrów, która przecież przez lata była bezpieczną przystanią dla rodziny Masenów. Żywiły

mnie i ubierały plody tej ziemi. Społeczność wyspy robiła, co mogła, by wykształcić mnie, wychować i zabawić. A tu... Pulsująca życiem metropolia oferowała znacznie więcej.

– Co to? – spytałem barmana w hotelowym barze.

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Telewizja, proszę pana.

Poczułem, że oblewam się rumieńcem. Przecież powinienem doskonale wiedzieć, co to takiego. Nieraz widziałem zakurzone, szklane ekrany wielkich pudeł, porzucone gdzieś na tyłach ogrodowych szop. Tylko że nigdy nie widziałem telewizora... no, jakby to powiedzieć... żywego. A ten, który zawieszono wysoko na ścianie baru, nieustannie błyskał kolorowymi obrazami. W ciągu mniej więcej pięciu sekund pojawiły się na ekranie tancerki wywijające długimi nogami w rytm intrygującej muzyki, następnie młoda blondynka wyznająca, że bardzo kocha Prażoną Kukurydzą Tatusia, a po niej elegancka dama, która zwierzyła się, że zawsze robi zakupy u Macy'ego. Zaraz potem ujrzałem maszerujących żołnierzy i ich pracę – załatwianie tryfidów miotaczami ognia. Kamera uwieczniła też wojskowe buciory ubijające na miazgę przypalone łodygi roślin.

– Nie ma trudniejszej i gorętszej roboty niż ta – rozległ się poważny męski głos. – I dlatego najbardziej podchodzi mi duży, zimny Rheingold. Piwo, do którego wracają bohaterowie.

Barman podał mi zamówione piwo i przysiadłem na stołku ze szklanką w dłoni. Przez następną godzinę obserwowałem wyczyny jasnowłosego mężczyzny o nieprawdopodobnie misternej fryzurze; facet kolejno ratował zastępy dzieci i zawstydzająco wdzięcznych niewiast przed knowaniami jakiegoś sabotażysty, który porwał pasażerski liniowiec.

Do pasji doprowadzało mnie jednak to, że właśnie w chwili, gdy wydawało się, iż blondas zostanie rozerwany na strzępy granatem ręcznym lub wypadnie za reling wprost do morza pełnego głodnych rekinów, napięcie opadało, bo ktoś zaczynał krzykliwie zachwalać płaszcz najmodniejszego kroju, buty, w których „chodzi się jak na powietrznej poduszce” albo „gumę, za którą poleca dziewczyny”.

– Tylko nie patrz tak na mnie – odezwał się za mną pogodny głos.

Kerris przysiadła obok i zamówiła piwo. Miała na sobie intrygująco obcisłe spodnie i jasnobłękitny sweterek. Wokół szyi zawiązała luźno jedwabną apaszkę, mieniającą się złotą i niebieską nicią. Po chwili niezobowiązującej rozmowy wręczyła mi kopertę.

– Co to jest?

– Trochę gotówki.

– Kerris, nie mogę tego przyjąć.

– Ależ możesz. Będziesz potrzebował pieniędzy. Aha, dołożyłam też kartę do metra.

– Przecież nie będę mógł oddać...

– Nonsens.

– Ale...

– To nie moja forsa. Możesz ją uważać za prezent od miasta Nowy Jork – wyjaśniła, uśmiechając się triumfalnie. – A teraz dopij. Nie pozwolę, żebyś marnował czas, siedząc samotnie w hotelowym barze.

– Dokąd idziemy?

– Będziemy zwiedzać.

15. Wycieczka

Kerris Baedekker nie oszczędzała się, kiedy przyszło jej oprowadzić mnie po całym mieście. A dla mnie nawet jazda podziemną koleją była niesamowitym przeżyciem. Wielkie stalowe wagony metra pędziły tunelami, których rozmiary przywodziły mi na myśl wnętrze katedry. Obejrzelśmy także Empire State Building, który Kerris skwitowała jednym zdaniem:

– Tutaj mieści się biuro mojego taty.

Następnie wybraliśmy się do Greenwich Village, dzielnicy znacznie mniejszych budynków i egzotycznej, cygańskiej atmosfery, która wydała mi się ogromnie ekscytująca.

Od czasu do czasu Kerris wpadała w rolę rasowej przewodniczki, zasypując mnie gradem faktów i liczb.

– Wyspa Manhattan to trzydzieści kilometrów kwadratowych skały, która wynurzyła się z morza trzy miliardy lat temu. Woda pitna dociera tu rurociągami o długości dwustu kilometrów, z trzech niezależnych zbiorników. Elektrownie zasilamy węglem... Nazwę Manhattan ogłosił jako pierwszy odkrywca wyspy, który swoje osiągnięcie uczcił huczną imprezą dla tutejszych Indian. Po suto zakrapianym przyjęciu zaczął mówić o „Mannahattanink”, czyli „wyspie ogólnej nietrzeźwości”.

– Naprawdę?

– To raczej zmyślona historia. W rzeczywistości nikt nie wie, skąd wzięła się ta nazwa. Zgłodniałeś?

Zjedliśmy w przytulnej Tawernie pod Białym Koniem przy Hudson Street – ten lokal, o dziwo, pasowałby klimatem do pubów i gospód wyspy Wight.

Wędrując po mieście, na płaskich dachach budynków nieraz zauważałem lufy działek przeciwlotniczych, skierowane ku niebu. Kolejne dowody potencjału obronnego? A może nad Nowym Jorkiem wisiała całkiem konkretna groźba? Jeśli nawet, to mieszkańcy miasta w żaden sposób nie okazywali niepokoju.

Znowu pojechaliśmy szybkim podziemnym pociągiem. Tym razem na północ, do Central Parku, zajętego w całości pod uprawę ziemniaków i zboża. Dostrzegłem tutaj, że brak dziennego światła zaczął już wywierać negatywne skutki. Liście roślin były bladozielone, a lodygi zwisały żałośnie.

Kerris również przyglądała im się z troską.

– Jeżeli wkrótce nie pojawi się słońce, będziemy w opałach. Uprawy zmarnieją w ciągu tygodnia.

Ruszyliśmy na wschód, przez tereny niegdyś eleganckiego parku. Mimo półmroku zauważyłem mur ciągnący się wzdłuż trasy naszego marszu. Miał dobrych sześć metrów wysokości, a jeszcze wyżej wznosiły się ustawione w równych odstępach wieżyczki strażnicze.

– Kerris, co tam trzymacie?

– Ach, mówisz o ścianie wzdłuż Sto Drugiej ulicy? Dzieli wyspę na dwie części.

– Tak, ale po co?

– To stara historia, sprzed dwudziestu lat – odparła cokolwiek ogólnikowo. Liczyłem na rozwinięcie tematu, ale nie doczekałem się. – Chodź, masz jeszcze tyle do obejrzenia... – Wzięła mnie pod ramię i poszliśmy dalej, klucząc wśród pól nieco przywiędłego zboża.

Kerris miała absolutną rację. Było mnóstwo do obejrzenia: galerie sztuki, muzea, biblioteki, pomniki... W pewnej chwili przestraszył mnie ostry, metaliczny dźwięk, po którym jeden z samochodów sunących ulicą zatrzymał się gwałtownie. Miałem wrażenie, że silnik auta wydał właśnie ostatnie

tchnienie.

– Przyzwyczaisz się do tego widoku – zapewniła mnie moja przewodniczka. – Gwarantuję ci, że zobaczysz identyczną scenę na każdej ulicy.

– Brakuje wam części do silników?

– Nie, mamy już własną produkcję. Tylko że paliwem jest spirytus drzewny. Pali się jako tako, ale strasznie niszczy tłoki. Na dobrą sprawę należałoby rozbierać i remontować każdy silnik co trzy tysiące kilometrów.

– Byłoby wygodniej i taniej, gdybyście zaczęli stosować rafinowany olej tryfidowy. Musielibyście przebudować trochę silniki, rzecz jasna, ale za to działałyby bez zarzutu co najmniej przez sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów.

– Mój Boże... – Kerris naprawdę była pod wrażeniem.

Ryzykując podejrzenie o skłonność do przechwałek, dodałem:

– Mój ojciec, do spółki z gościem nazwiskiem Coker, wynalazł specjalną technologię. W tej chwili mamy już trzy rafinerie Masena–Cokera. Produkują jakieś dwadzieścia milionów litrów paliwa rocznie.

Kerris westchnęła głęboko.

– Chyba opatrność sprawiła, że cię znaleźliśmy, Davidzie. Jeżeli nauczycie nas budować maszyny Masena–Cokera, nasze problemy paliwowe rozwiążą się z dnia na dzień. To pewne.

– Jedyne, czego będziecie potrzebować, to wielkie ilości tryfidów.

– Tryfidów? Tego draństwa nigdy nam nie zabraknie. – Poszliśmy uliczką, która kończyła się na brzegu rzeki, nieco węższej niż Hudson, szerokiej może na dwieście metrów.

Kerris dotknęła mojego ramienia.

– Spójrz tylko na nie.

Podążyłem za jej wzrokiem. Po drugiej stronie rzeki grunt wznosił się, a na szczycie pagórka dostrzegłem ruiny budynków.

– Brooklyn Heights – wyjaśniła. – Rzadko tam bywamy. Z oczywistych powodów...

Teraz dopiero je zauważyłem. Tryfidy. Miliony przekłętych roślin, skąpanych w czerwonym świetle. Milczących. Nieruchomych. Zapewniam was, że nigdy w życiu nie widziałem ani takiego ich zagęszczenia, ani takich rozmiarów pojedynczych okazów. Jak okiem sięgnąć, tryfidowy las zajmował każdy skrawek ziemi, aż po brzeg rzeki. Niektóre rośliny stały wręcz korzeniami w wodzie, udając krajobraz namorzynowego bagniska.

Dobrze wiedziałem, dlaczego tu przyszły. Od apetycznego kąska – trzystu tysięcy ludzi – oddzielała je tylko wąska struga wody. Nie wiem, jakimi dysponowały zmysłami, ale w tym momencie z pewnością łakomie kierowały je ku wyspie, wyczuwając obecność pożywienia.

Przeszedł mnie dreszcz, gdy wyobraziłem sobie tę masę tryfidów wlewającą się w szerokie ulice Manhattanu.

– Jak widzę, surowca wam nie brakuje – zdobyłem się po dłuższej chwili na komentarz.

– Nie brakuje. I tak jest ze wszystkich stron. – Kerris przytuliła się do mnie i ścisnęła moje ramię, potrzebując widać bliskości drugiego człowieka w obliczu wspólnego wroga. Wreszcie uśmiechnęła się słabo. – Tak, Davidzie. To jest stan obłączenia.

Gdy wieczorem tego samego dnia szliśmy do restauracji w pobliżu mojego hotelu, Kerris automatycznie chwyciła mnie pod ramię. Ten prosty ludzki gest sprawił mi niezwykle przyjemność.

Gabriel, którego spotkaliśmy na ulicy, wyglądał na szczerze zadowolonego.

– Właśnie idziemy na kolację – powiedziałem, kiwając głową w stronę jaskrawo oświetlonej restauracji. – Dołączysz do nas?

Oczy Gabriela i Kerris spotkały się na moment. Zauważyłem, że nagle oboje poczuli się niezręcznie.

– Nie, muszę lecieć. Ale dzięki. Chciałem tylko zajrzeć do hotelu i zapytać, jak sobie radzisz.

– To miło z twojej strony. Dziękuję. – Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. – Wiesz, mógłbyś dać mi numer swojego telefonu. Czas najwyższy, żebym znowu złożył ci skórę w ping-ponga.

Gabriel roześmiał się serdecznie.

– Nigdy nie masz dość przegrywania, co? Proszę, to moja wizytówka. Nie patrz na numer do biura, ten na dole jest prywatny. – Postawił kołnierz, chroniąc się przed zimnym nocnym powietrzem, a potem oddalił się pospiesznie.

– Chodźmy, Davidzie. Stopy mam jak soople lodu.

Ruszyliśmy w stronę zachęcającego ciepła restauracji. Przez moment zastanawiałem się, skąd to niespodziewane zmieszanie Kerris i Gabriela, gdy zaprosiłem go na kolację. Czyżby dawniej łączyły go z panną Baedekker bardziej romantyczne stosunki? Moje rozmyślania szybko przerwał widok tabliczki na drzwiach lokalu: „Tylko dla białych i widzących”.

Zacisnąłem zęby i podążyłem za Kerris.

Straciłem apetyt po przeczytaniu szokującego napisu na drzwiach. Obojętnie bawiłem się jedzeniem. Kerris nie okazywała w żaden sposób, że wie, iż zauważyłem tabliczkę. Odcięła podłużny kawałek cielęciny i ułożyła go na środku talerza w kałuży sosu.

Rozmawialiśmy o tryfidach otaczających Manhattan. Dziewczyna zapewniała mnie, że nie są aż tak groźne, jak mi się wydawało.

– Wybacz, że użyję tych pyszności – zaczęła – ale przyjmijmy, że ten pasek mięsa to wyspa Manhattan. Od kontynentu amerykańskiego oddzielają ją trzy rzeki. Harlem River, nad którą byliśmy dzisiaj, jest największa, więc z jej brzegów najlepiej widać tryfidy. Gdybyś jednak przeszedł się nabrzeżem Hudson lub East River, przekonałbyś się, że tam sytuacja jest podobna. Ktoś kiedyś policzył, że na skrawkach ziemi tworzących niegdyś Queens, New Jersey, Brooklyn i Bronx, kłębi się siedemdziesiąt milionów tryfidów. Całe szczęście, że dzieli nas od nich bariera wodna. Nie muszę chyba dodawać, że na mostach i w tunelach łączących nas z lądem wznieśliśmy stosowne zapory.

Gwizdnąłem cicho.

– A w głębi lądu już czekają kolejne dziesiątki milionów roślin.

– Tak jest. Opanowały cały kraj.

– Znaleźliście jakieś ludzkie enklawy na wybrzeżu atlantyckim?

– Kilka, ale żadnej na lądzie stałym. Większość przetrwała na wyspach leżących dalej na południe. Jest też parę rozrzuconych po Wielkich Jeziorach.

– Macie z nimi kontakt?

– Sporadyczny. Przez trzydzieści lat ludzie zrobili się nieufni.

– Skąd bierzecie drewno do destylacji spirytusu?

– Nad Hudson River pracują ekipy drwali. Są dobrze strzeżone przed tryfidami. Spławiają pnie rzeką do przetworni, którą zbudowaliśmy na pomocnym krańcu wyspy.

– Mówiłaś, że żyje tu trzysta tysięcy ludzi?

– Z dnia na dzień coraz więcej.

– Więc jakim cudem udaje się wam wszystkich wykarmić? – Rozejrzałem się dookoła, zerkając

na talerze gości. – Cielęcina, wieprzowina, wołowina, ostrygi, sery, warzywa... W jaki sposób hodujecie to wszystko na wyspie, którą w dziewięćdziesięciu procentach pokrywa beton?

– Odpowiedź jest oczywista: nie hodujemy. Większość żywności importujemy z Karaibów.

– Tak?

– Oczyszciliśmy z tryfidów parę tamtejszych wysp.

– Musieliście się przy tym solidnie napracować.

– Jak to było po łacinie? – Kerris zastanawiała się chwilę. – *Labor omnia vincit*.

Zaryzykowałem tłumaczenie.

– Dla chcącego nie ma nic trudnego?

– Prawie. „Praca przewycięży wszystko”.

Gawędziliśmy dalej, ale przyznam szczerze, że wciąż jeszcze byłem zszokowany tym napisem „Tylko dla białych i widzących”. Nigdy przedtem nie napotkałem w życiu barier, które stawiano by między widzącymi a niewidomymi, czarnymi a białymi... Kiedy przybyłem do Nowego Jorku, czułem się tak, jakbym otrzymał w darze wspaniały tort, pięknie ozdobiony lukrem, a po kilku kęsach znalazł paskudną muchę wetkniętą w słodki krem. Co kraj, to obyczaj, wmawiałem sobie. Nie wszystko musi być w moim guście. Czy miałem prawo oceniać kogokolwiek, mając świadomość, że zwyczaje przyjęte na mojej wyspie mogłyby wydać się komuś skandaliczne?

Cokolwiek myślałem sobie o imponującej nowojorskiej metropolii i jakiegokolwiek plany na przyszłość pozwalałem sobie snuć – wszystko to i tak nie miało znaczenia. Możliwe, że właśnie wtedy, gdy jedząc kolację, rozmawiałem z Kerris, czyjś chłodny, okrutny umysł zastanawiał się, co ze mną zrobić. I jak wytrawny szachista przygląda się pionkom czy figurom i dostrzega szansę wygranej w ich nowym układzie, tak ten tajemniczy gracz patrzył na mnie oczami wyobraźni. Miałem być znaczącym elementem jego przyszłej strategii. Nieświadomie stałem się kluczową figurą wielkiej partii szachów.

I może właśnie wtedy, gdy dowcipkując, zamawialiśmy z Kerris kawę, ten człowiek podjął ostateczną decyzję i wydał rozkazy, a potem zasiadł wygodnie w fotelu, by obserwować dalszy przebieg wydarzeń.

16. Rytm nocy

Kiedy wyszliśmy z restauracji, Kerris zaproponowała wyprawę do lokalu z muzyką na żywo. Spodziewałem się, że wypijemy koktajl, słuchając recitalu pianisty siedzącego dyskretnie gdzieś w kącie sali. Tymczasem dane mi było poznać jeszcze jeden szokujący aspekt tutejszej kultury. Na końcu długiego baru wzniesiono scenę, na której stali muzycy. Dźwięk instrumentów – gitar i perkusji – był wzmacniany elektrycznie. Hałas, który wytwarzały, przechodził ludzkie pojęcie. Lawina dźwięku zasypała mnie, gdy tylko przekroczyłem próg klubu. Na parkiecie kłębił się tłum wywijających dzikie harce bywalców.

Kerris krzyknęła coś prosto w moje ucho. Pewnie zrobiła to bardzo głośno, bo poczułem ból w bębenku, ale i tak nie zrozumiałem – muzyka była zbyt hałaśliwa.

Gestem dałem jej znak, że nie słyszę.

Krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem, tym razem z bliska, muskając wargami moje ucho.

– Manhattan Blues!

Nie wiedziałem, czy to tytuł piosenki, nazwa zespołu, czy też styl muzyczny. Ale było coś przejmującego w przysłuchiwaniu się z bliska grzmiącemu rytmowi perkusji i śpiewowi gitary, do złudzenia przypominającemu ludzki głos. Z urzeczenia otrząsnąłem się dopiero, gdy dokonałem zdumiewającego odkrycia: gitarzystą był nie kto inny, tylko Gabriel Deedes.

Stałem jak w transie pośrodku piekielnie nagrzonej sali, wibrującej narkotycznym rytmem bębnów, i obserwowałem spoconych tancerzy. Koncert trwał dobrych dwadzieścia minut, a gitara Gabriela wiele razy przechodziła płynnie od łagodnych, lirycznych tematów do ostrzegawczych zgrzytów i jęków, które kojarzyły mi się z odgłosami nisko przelatującego odrzutowca. Natchnione brązowe oczy mojego ciemnoskórego przyjaciela w zachwycie patrzyły w przestrzeń ponad naszymi głowami, jak gdyby przeciwległa ściana klubu przestała istnieć, a za nią rozpościerał się rajski ogród. Im bardziej wsłuchiwałem się w dźwięki gitary, tym lepiej rozumiałem jej muzyczną opowieść.

Gdy zespół skończył występ, Kerris złapała mnie za rękę i pociągnęła przez tłum w kierunku sceny. Gabriel oparł gitarę o wzmacniacz wielkości skrzyni do przewozu herbaty i wytarł rącznikiem mokry kark, po czym strząsnął z czoła krople potu.

– Kerris? David? – powitał nas z uśmiechem. – Załapaliście się na końcówkę koncertu?

Powiedziałem mu, że muzyka zrobiła na mnie piorunujące wrażenie i że nigdy przedtem nie słyszałem czegoś podobnego.

– Świetnie – ucieszył się. – Wiesz, to najlepszy sposób na strząśnięcie z siebie pajęczyn po całym dniu siedzenia w biurze.

– Wiedziałaś, że cię tu znajdziemy – odezwała się Kerris. – Chciałam pokazać Davidowi, co potrafisz. – Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, głównie na temat panującego na zewnątrz mroku. Okazało się, że Gabriel był tego dnia na konferencji, na której przedstawiono kilka hipotez (i parę dość fantastycznych koncepcji) w tej materii.

– Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest to – rzekł Gabriel – że światło zostało zasłonięte przez szczątki lub ogon komety, przelatującej między Ziemią a Słońcem.

– Owszem, może to i trafne przypuszczenie – odparłem – ale minął prawie miesiąc. Nie sądzisz, że powinniśmy już wyjść z cienia komety?

– Eksperci mają nadzieję, że niedługo tak się stanie. Zauważyli, że mamy coraz więcej światła, a średnia temperatura dzienna podniosła się o kilka stopni.

– Czy to znaczy, że wkrótce wszystko wróci do normy?

– Może. Ale powiem ci, że na razie to tylko pobożne życzenie. Nie sądzę, żeby już było po kłopotach. I jeszcze jedno – dodał Gabriel po chwili, zarzucając ręcznik na szyję. – Może to kwestia ciemności, a może innej, niezbadanej jeszcze przyczyny, ale tryfidy stały się nerwowe. Podobno słychać je aż z drugiego brzegu East River. Tłuką tymi swoimi pałeczkami, jakby ich życie od tego zależało.

Skinąłem głową.

– Jeżeli brak światła zabija wasze uprawy, to i tryfidy muszą cierpieć.

– I bardzo dobrze – wtrąciła twardo Kerris. – Oby wszystkie zgnily, padalce.

– Niestety, jak wiadomo, gdy pozbawi się je światła, po pewnym czasie albo zapadają w śpiączkę, albo...

– Zmieniają dietę.

Gabriel spojrzał na nas posepnie.

– A to oznacza, że będą potrzebowały mięsa.

– Skoro jest ich w okolicy siedemdziesiąt milionów, nie zadowolą się cheeseburgerem czy dwoma – stwierdziła drwiąco Kerris. – Marzy im się bankiet.

– To prawda. – Gabriel zerknął na zegarek. – Koniec przerwy. Zostaniecie trochę?

– Spróbuj tylko nas wypędzić.

Gdy zespół znowu zaczął grać, szczęśliwy tłum powrócił na parkiet, by dać się ponieść grzmiącej muzyce. Rozbawieni nowojorczyki wyglądali, jakby nie obchodziło ich nic poza narkotycznym rytmem.

– Dziękuję ci za uroczy wieczór – zacząłem, gdy wyszliśmy na ulicę i ruszyliśmy spacerkiem w stronę hotelu – ale... rzecz w tym, że...

– Że co? – spytała Kerris, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Że czuję się winny. Narzucam ci się w taki sposób; zabieram ci czas, gdy...

– „Narzucam ci się” – powtórzyła. – Jakie to angielskie. Co chcesz przez to powiedzieć? „Pa, zadzwonię mniej więcej nigdy”?

– Słucham? O, nie. Absolutnie. – Czuję, że ją uraziłem. – Ale jeżeli twoi przełożeni kazali ci dotrzymywać mi towarzystwa, to chyba nie byłoby fair...

– Nie kazano mi robić niczego, na co nie miałabym ochoty.

– Więc nie masz nic przeciwko? Nie narzucam ci się?

– Co ty wygadujesz, Davidzie?

Zatrzymaliśmy się na moment, by spojrzeć sobie w oczy. Mimo późnej pory ulice były pełne ludzi. W oczach Kerris odbijał się blask latarni, a wysoko nad nami wznosiły się iglice rzeźbiście oświetlonych wysokościowców, podobnych do smukłych kolumn ozdobionych klejnotami.

Dziewczyna uśmiechnęła się i figlarnie przekrzywiła głowę.

– Prawda jest taka, że poproszono mnie, żebym pomogła ci się zaaklimatyzować i oprowadziła po mieście.

– I o to właśnie chodzi. Jeśli ci przeszkadzam, to...

– Ale... – przerwała mi, unosząc palec. – Po pierwsze: nie chciałam, żebyś tłukł się samotnie po okolicy. Po drugie: uwierz lub nie, ale naprawdę lubię twoje towarzystwo. Sama nie wiem; może to twoje zabawne słownictwo, a może akcent – dodała, uśmiechając się jeszcze ładniej.

– W takim razie ze spokojnym sumieniem mogę zaproponować... – Ale zamiast to zrobić,

wydałem cichy okrzyk zaskoczenia. – Kto wyłączył światło?

Na moich oczach uliczne latarnie, światła w budynkach i cała reszta jasnych punktów w okolicy po prostu zgasła. Pozostały tylko reflektory gwałtownie hamujących samochodów – choć z głośnego huku, który rozległ się pół sekundy później, wywnioskowałem, że co najmniej jeden wyhamował nie dość szybko. A potem, zanim zdążyłem mrugnąć, z jakiegoś niezrozumiałego powodu wszyscy kierowcy jak na komendę wyłączyli światła.

Krótką chwilą wystarczyła, by Manhattan pogrążył się w całkowitej ciemności. Nawet palacze czym prędzej zgasili papierosy. Mrokowi towarzyszyła dziwna cisza, jakby wszyscy nagle wstrzymali oddech i zastygli w niemym oczekiwaniu.

Poczułem, że czyjaś dłoń ściska mocno moje ramię.

– Prędko, do bramy! – usłyszałem nagłą szepot Kerris.

Nie widziałem jej, ale po omacku znalazłem załom muru i po chwili uderzyłem barkiem w zamknięte drzwi.

– Cholera... – W cichym przekleństwie słysząc było nutkę żalu.

W pierwszej chwili pomyślałem, że po prostu wyłączono prąd.

Ale dlaczego kierowcy niemal natychmiast zgasili samochodowe reflektory? Ledwie zacząłem się nad tym zastanawiać, gdy z dachu któregoś z budynków wystrzelił do góry snop światła. Po chwili dołączyły do niego następne. Wkrótce po nocnym czarnym niebie błędził już tuzin białych, skoncentrowanych wiązek. Poruszały się w najzupełniej przypadkowych kierunkach, wyluskując z ciemności jasne plamy chmur.

Na dachu sąsiedniego budynku rozległ się nagle głośny trzask. Kerris syknęła cicho. Trzaski powtarzały się teraz z dużą częstotliwością, a na niebie pojawiły się białobłękitne iskry. Po chwili nad miastem rozległ się donośny huk eksplozji.

Gdzieś w pobliżu Empire State Building odezwało się drugie działko przeciwlotnicze. Z początku ostrzał był chaotyczny, podobnie jak ruchy reflektorów. Albo nieuchwytny obiekt zygzakował jak szalony, albo kanonierzy strzelali na ślepo.

Nagle jednak wiązki światła zbiegły się w jednym punkcie, jakby ich operatorzy otrzymali zgodne koordynaty celu. Strzelcy zareagowali natychmiast, kierując w to miejsce ogień kilkunastu dział.

Przez dziesięć długich sekund ogniste smugi mknęły ku jaskrawo oświetlonej wycinkowi chmury, aż z hukiem eksplodowały na wysokości mniej więcej dwóch tysięcy metrów nad miastem. Potem zapadła cisza. Reflektory jeszcze przez chwilę przeczesywały niebo, tropiąc obiekt, który albo nigdy nie istniał, albo też zdążył umknąć.

Manhattan pozostał zaciemniony jeszcze przez godzinę. W absolutnym mroku nie było mowy o tym, by ruszyć się z miejsca. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. A to dlatego, że przez tę godzinę tuliłem Kerris w ramionach, mając świadomość tylko jednego: miękkości jej warg przycisniętych do moich.

17. Raj odnaleziony

Wciągu następnych dwóch tygodni słońce z dnia na dzień świeciło coraz jaśniej. Wprawdzie ranki i wieczory nadal tonęły w piekielnej czerwieni, za to około południa niebo nabierało czystego błękitu. Jeśli chodzi o tarczę słoneczną, to nie była już mętnie czerwona, ale jaskrawopomarańczowa. Naturalnie nie świeciła jeszcze z taką mocą jak dawniej, lecz wydawało się, że dni są coraz cieplejsze i sytuacja ma się ku lepszemu.

Regularnie spotykałem się z Kerris Baedekker. I w którymś momencie, najzupełniej niezauważenie, staliśmy się – jak to się mówi – parą.

Nocny nalot nie powtórzył się więcej. Już następnego ranka po przygodzie, którą wam opisałem, gazety i telewizja donosiły, że „bandyci zostali odesłani do domu”. Przypominały też o dawnych aktach terroru, takich jak bombardowanie bezbronnych kutrów rybackich przez „frakcję Quintlinga”. Na pewien czas mieszkańcy Manhattanu popadli w błogie samozadowolenie, potem zaś zapomnieli o całej sprawie i powrócili do normalnego życia.

Ja tymczasem oddawałem się hedonistycznej eksploracji skarbów wielkiego miasta. Często towarzyszyła mi Kerris, czasem także Gabriel Deedes i Christina. Moja dzikuska z pływającej wyspy poczyniła zdumiewające postępy. Teraz, gdy ostrzyżono ją i ubrano w modną odzież, nie różniła się od innych nowojorskich piętnastolatek. Słownictwo Christiny poszerzało się z każdym dniem, ale nie przestawała nazywać mnie panem bum–bum, choć teraz uśmiechała się przy tym przewrotnie i groziła palcem. Chodziliśmy razem do lunaparku, jeździliśmy metrem, podziwialiśmy galerie i bywaliśmy w barach, w których Gabriel Deedes i jego przyjaciele grali swoją hipnotyczną muzykę.

Od czasu do czasu łapałem się na zaskakującej myśli: przypominałem sobie, że Nowy Jork nie jest moim domem. Była nim przecież mała wyspa na przeciwległym krańcu Atlantyku. A jednak czułem się tak, jakbym przespał pierwsze trzy dekady mojego życia i ocknął się dopiero teraz, w chwili, gdy postawiłem stopę na amerykańskiej ziemi.

Działo się tak w dużej mierze za sprawą Kerris. Choć spędziłem z nią tak niewiele czasu, nie wyobrażałem sobie, że mógłbym zostawić ją i samotnie powrócić na wyspę Wight.

Gdyby moje myśli mogły przenieść się w eterze jak fale radiowe i dotrzeć do tego zimnego, makiawelicznego umysłu, o którym wcześniej wspominałem, jego właściciel zapewne skinałby głową z zadowoleniem. Jego strategia sprawdzała się doskonale. Kerris i ja byliśmy tylko pionkami w grze – ustawiał nas na szachownicy tak, jak sobie tego życzył. Nie wiem, czy jakimś sposobem wiedział, jakie myśli rodzą się w mojej głowie, ale zaczął działać: odbył jedną rozmowę telefoniczną. To wystarczyło, by zaaranżować dalszy bieg wydarzeń...

– Davidzie? – Kerris obróciła w palcach kieliszek wina. Siedzieliśmy w barze podczas przerwy w seansie filmowym. – Czy mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście – odparłem z uśmiechem. – Strzelaj.

– Może zabrzmi to staroświecko, ale... czy chciałbyś poznać mojego ojca?

– Jasne. Z przyjemnością.

Zgodziłem się ochoczo, choć byłem zaskoczony. Do tej pory prawie nigdy nie wspominała o rodzicach.

– Czy poznam także twoją matkę?

– Niestety, nie.

Poczułem się niezręcznie.

– Przepraszam, Kerris. Nie chciałem...
– Daj spokój – przerwała mi, machając ręką. – Umarła przy porodzie.
– Tak mi przykro...
– Niepotrzebnie – stwierdziła, kładąc dłoń na moim kolanie. – Skąd mogłeś wiedzieć? Dokończ wino, pora wracać na salę.

Plakat wiszący w wagonie kolei podziemnej zdobił wielki, jaskrawoczerwony napis: „Nowy Jork – ojczyzna najbłyskotliwszych umysłów, najwspanialszych mężczyzn i największych budowli świata!”.

Gabriel Deedes zauważył, że czytam krzykliwe hasło i uśmiechnął się.

– To na wypadek, gdybyśmy zapomnieli.

– Sugerujesz, że niektóre z triumfalnych trąb mogą brzmieć fałszywie?

Gabriel uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ależ skąd, panie Masen. Moim zdaniem grają perfekcyjnie.

– Zdaje się, że słyszę ironiczną nutę.

Deedes wzruszył tylko ramionami i spojrzął przez okno na jaskrawe światła mijanej właśnie stacji. W wagonie nie było tłoku – towarzyszyło nam tylko kilku pasażerów: trzy Murzynki i dwaj niewidomi. Spojrzałem przez szklane drzwi dzielące nas od sąsiedniego wagonu i przekonałem się, że jadą w nim wyłącznie biali i widzący. Gdy wsiadaliśmy, nie zauważyłem napisu na oknie: „Dla kolorowych i niewidzących”. Zdziwiły mnie tylko trochę ciekawe spojrzenia ciemnoskórych kobiet.

– Bez obawy, panie Masen – powiedział spokojnie Gabriel. – Przepisy nie zabraniają panu podróżowania w tym wagonie.

Nagle poczułem się nieswojo.

– Gabrielu, nie zapominaj, że mam na imię David.

– Będzie lepiej, jeśli w niektórych miejscach publicznych będę używał formy „pan”.

– W takim razie ja będę mówił do ciebie „panie Deedes”.

– Mógłby pan narobić sobie diabelnych kłopotów z policją, panie Masen, a mnie jeszcze większych. Rozumie pan?

– Rozumiem, Gabrielu.

– Proszę się nie przejmować, to tylko lokalny zwyczaj. Przywyknie pan.

Nie był to miły zwyczaj, ale nie odezwałem się już ani słowem.

Pociąg wtoczył się na stację przy Columbus Square. Tym razem wysiedli wszyscy prócz mnie i Gabriela. Dwaj niewidomi mężczyźni oddalili się szybko, postukując laskami o posadzkę peronu.

Kiedy drzwi zamknęły się z sykiem, Gabriel odezwał się cicho:

– I jak ci się podoba nasz raj?

– Ma wiele do zaoferowania, ale nie podoba mi się dyskryminacja czarnych i niewidomych.

– Moim zdaniem to tylko...

„Wypaczenie”, spodziewałem się usłyszeć.

– Moim zdaniem to tylko przejściowa sytuacja.

– A moim ohydna – odparowałem.

Gabriel zbył moją ripostę wzruszeniem ramion.

– Nie wyobrażasz sobie, jaki chaos zapanował, gdy na miasto spadła plaga ślepoty. Dziewięćdziesiąt osiem procent z siedmiu milionów ludzi straciło nagle wzrok. Ludzie umierali z głodu w mieszkaniach lub na ulicy. Tylko tryfidy nie narzekały na brak pożywienia – dodał, kiwając znacząco głową. – Weszły wszystkimi mostami. Zabiły większość z tych, co jeszcze żyli, ale też, co trzeba im

przyznać, wykonały dobrą robotę, oczyszczając miasto z rozkładających się zwłok. Dopiero dwadzieścia lat temu na Hudsonie pojawiła się armada statków. Dziś mówi się, że to był Cud Stu Okrętów. Co roku w kwietniu świętujemy tamten dzień... Przybysze oczyścili miasto z pomocą ostatnich grup trzymających się jeszcze cudem na skraju Manhattanu i Long Island.

– Musiała tu być niezła rzeźnia...

– I była. Ale ci, którzy wyobrazili sobie Manhattan jako twierdzę cywilizacji, byli prawdziwymi wizjonerami. Dokonali rzeczy niemożliwej. W oceanie pochowano miliony ciał. Przywrócono zasilanie, dostawy wody, wymieciono tryfidy. Sprowadzono tu ludzi z odizolowanych enklaw, dano im wygodne mieszkania, pracę, a co najważniejsze, nadzieję.

– A kto właściwie rządzi miastem?

– Tetrarchowie.

– Tetrarchia to, o ile dobrze pamiętam, rzymski ustrój?

Gabriel skinął głową.

– Dobrze pamiętasz. Kraj dzielono na cztery części i każdą z nich władał kto inny. Tutaj przyjęto kryteria administracyjne, nie geograficzne. Każdy z tetrarchów odpowiada za pewną sferę rządów. Generał Fielding dowodzi siłami zbrojnymi, prowadzi politykę zagraniczną i koordynuje walkę z tryfidami. Polityka wewnętrzna i surowce są domeną doktora Wisemana. Odbudowa populacji to działka Valerie Zito, a odbudowa przemysłu – Joego Garibaldiego.

– Czy to władza z wyboru?

– A wasza?

– Kiedyś będzie.

Gabriel uśmiechnął się krzywo.

– Ano właśnie.

– Uważasz, że są skuteczni?

– Bardzo.

– Lubisz ich?

– Czy lubię? Szanuję.

– Ale czy lubisz?

– A jakie to ma znaczenie, kiedy oceniamy czyjąś skuteczność?

Tym razem to ja się uśmiechnąłem.

– Słusznie.

– Kerris zadawałeś te same pytania?

– A sądzisz, że powinienem?

Gabriel wzruszył ramionami.

– Ciekaw jestem, co by ci powiedziała... Szczególnie na temat generała Fieldinga.

– Dlaczego akurat jego?

– Nie mówiła ci?

– O czym znowu? – spytałem zaskoczony.

– Generał Fielding jest ojcem Kerris. – Pociąg wjechał między perony, Gabriel kiwnął głową w stronę drzwi. – To nasza stacja, panie Masen.

18. Dyskusja

Nie uważałam, żeby to było specjalnie ważne – odpowiedziała mi beztrąsko Kerris podczas wieczornej przechadzki.

– To, że twój ojciec rządzi miastem? Większość ludzi nie robiłaby z tego tajemnicy. Wyobrażasz sobie, jak by ci to pomogło w karierze? – spytałem z uśmiechem.

– Sprawy mogłyby się skomplikować. Wiesz, jak to jest być dzieckiem szefa. Koledzy mają wtedy skłonność do złośliwości. A zresztą – dodała, chwytając mnie pod ramię – on jest tylko jednym z czworga, a nie samodzielnym przywódcą. Przybył tu z Anglii, więc macie ze sobą coś wspólnego.

– Może to niezbyt inteligentne pytanie, ale dlaczego nosisz nazwisko Baedekker, a nie Fielding?

– Baedekker to nazwa ośrodka opiekuńczego, w którym się wychowałam. Musisz zrozumieć, że mój ojciec nie jest ojcem w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Nigdy nie woził mnie w wózecku po parku i nie zabierał do kina. Jest moim ojcem wyłącznie w sensie biologicznym.

– Ach tak.

– Prawdą jest jednak i to, że spotykałam się z nim nieraz. Zadzwoił do mnie na przykład w zeszłym tygodniu i zaprosił nas na przyjęcie dziś wieczorem.

Zamyśliłem się. Kerris nie wyglądała na niezadowoloną z takiego obrotu spraw. Dla niej była to sytuacja całkiem normalna.

Chcąc nie chcąc przypomniałem sobie Domy Matek na wyspie Wight. Rozumiałem, że nowojorczyki zachowywali się podobnie jak my, dążąc do ponownego zaludnienia planety w jak najkrótszym czasie. W Starym Świecie, przed Oślepieniem, takie praktyki traktowano by z wielką rezerwą. Teraz jednak o najintensywniejszej reprodukcji mówiło się bez mrugnięcia okiem.

– Jesteś na miejscu – powiedziała Kerris, uśmiechając się promiennie. – U taty.

Spojrzałem na mury budynku, połyskujące złotem i czerwienią w wieczornym słońcu. Parter otaczała kolumnada zdobiona motywami papirusów i liści palmowych, budzącymi skojarzenia ze starożytnym Egiptem. Z obu stron wielkich drzwi ustawiono rzeźby wyobrażające orły. Uniosłem głowę, wędrując wzrokiem coraz wyżej i wyżej, ale nie dostrzegłem szczytu gmaszyska. Rynny lśniły, jakby wykonano je ze szlachetnego metalu, a całość sprawiała wrażenie klejnotu o niebywałych rozmiarach.

– Gotów? – spytała.

– Jak najbardziej.

Ramię w ramię weszliśmy przez olbrzymie wrota, nad którymi złotymi literami napisano: „Empire State Building”.

Do obszernego holu. Po marmurowej posadzce, między posągami greckich i rzymskich bohaterów (był wśród nich fenomenalny Aleksander Wielki z brązu). Do windy, wyłożonej szkarłatnym pluszem.

Windziarz pociągnął za mosiężną dźwignię. Kabina płynnie ruszyła w górę. Kerris chwyciła moją rękę i ścisnęła ją lekko, całując mnie w policzek.

– Odpręż się, Davidzie – mruknęła z uśmiechem. – Nie zje cię, obiecuję.

– Pierwsze spotkanie z ojcem dziewczyny zawsze jest stresujące – odparłem pogodnie.

– Pewnie masz sporą praktykę. Taki przystojniak jak ty...

Poczułem, że od kołnierzyka w górę oblewam się rumieńcem, i to z szybkością dorównującą pędowi naszej windy.

Spodziewałem się spotkania w skromnym rodzinnym gronie, ale myliłem się grubo. Kiedy wyszliśmy z kabiny, wkroczyliśmy wprost do obszernej sali, niewiele mniejszej od boiska piłkarskiego. Eleganckie damy i dżentelmeni raczyli się koktajlami i konwersowali w rzęsistym świetle ozdobnych żyrandoli. Wielu gości natychmiast rozpoznało Kerris – witali ją ciepło pocałunkiem w policzek. Tu, w sercu miasta zamieszkanego niemal wyłącznie przez młodych ludzi, znalazłem się niespodziewanie pośród siwych głów klasy rządzącej Nowego Jorku. Pośród tych, którzy przetrwali Oślepienie i odziedziczyli – jeśli nie Ziemię, to przynajmniej ten jej niewielki, lecz wspaniały zakątek.

Poczucie niezachwianej pewności siebie przepelniało atmosferę sali – podobnie jak kłęby cygarowego dymu. To tu wielcy Manhattanu dyskutowali, snuli plany i przygotowywali dekrety. Tu mieścił się dwór Króla Manhattanu.

Kerris poprowadziła mnie w stronę okna, za którym rozciągała się panorama miasta, błyszczącego w wieczornym mroku feerią świateł. Po chwili zjawiała się kelnerka z tacą pełną drinków. Ja wybrałem wytrawne martini, Kerris – szampana. Niedaleko nas rozbrzmiewała muzyka w wykonaniu kwartetu smyczkowego. Jakże żałowałem, że mój ojciec nie może tego zobaczyć! Koktajl na szczycie najwyższego budynku świata!

W tamtej chwili poprzysiągłem sobie, że sprowadzę moją rodzinę do Nowego Jorku. Z błęgiego rozmarzenia wyrwała mnie dopiero Kerris, delikatnie ściskając mój łokieć.

– Widzę ojca – powiedziała. – Chodź, przedstawię cię.

Zobaczyłem postawnego mężczyznę. Mógł mieć sześćdziesiąt lat, lecz trzymał się prosto. Jego krótkie rude włosy zaczynały dopiero siwieć. Przemawiał z emfazą do łysiejącego faceta w podobnym wieku.

– Ojciec – odezwała się grzecznie Kerris. – Poznaj, proszę, Davida Masena.

– Generale Fielding – powiedziałem, wyciągając rękę.

Zmartwiałem, gdy mężczyzna obrócił się w moją stronę. Jego prawy profil, który oglądałem aż do tej chwili, był przystojny, wręcz bohaterski. Lewa połowa oblicza generała Fieldinga wyglądała zgoła inaczej.

Jego prawe oko połyskiwało tym samym odcieniem zieleni, co tęczęwki Kerris. Lewe zaś miało intensywny kolor żółtka jajka. Ta żółć rozlewała się na całą gałkę oczną. Tęczęwki w ogóle nie dostrzegłem, za to doskonale zachowała się czarna źrenica. Wokół oczodołu skórę generała szpeciła sieć blizn, rozciągająca się aż do granicy włosów.

Staralem się ukryć zaskoczenie, gdy Fielding witał mnie z uśmiechem.

– David Masen... Proszę mi wierzyć, bardzo chciałem pana poznać. Jak się panu podoba nasze miasto?

Ściskając jego dłoń, odparłem, że jest niezwykle. Sposób, w jaki podał mi rękę, skojarzył mi się bardziej z gestem polityka niż wojskowego.

Generał odwrócił się.

– Pan pozwoli, że przedstawię mu doktora Wisemana.

Akcent łysiejącego rozmówcy Fieldinga nie pozostawiał żadnych wątpliwości: doktor Wiseman pochodził z dalekiego południa Stanów Zjednoczonych.

– Miło mi, panie Masen. Cieszymy się, że możemy tu pana gościć. Mamy nadzieję, że opowie pan o nas swoim rodakom same dobre rzeczy.

Generał Fielding popatrzył na mnie uważnie, jakby chciał przewiercić mnie na wylot spojrzeniem żółtego oka.

– Pan Masen – odezwał się wreszcie – przywiózł nam informację, która może oznaczać kres naszych najpoważniejszych problemów.

– Niemożliwe – odparł jowialnie Wiseman.

– Podobno powstało urządzenie zwane procesorem Masena–Cokera, służące do przetwarzania oleju tryfidowego w doskonale paliwo. Czy to prawda, Davidzie?

Przytaknąłem, ale cichy wewnętrzny głos kazał mi zachować ostrożność w dzieleniu się sekretami mojej ojczyzny. Skoro tutejsza społeczność była pozbawiona dostępu do złóż ropy naftowej i zapasów paliw, to może się okazać, że procesor stanie się kurą znoszącą złote jajka... Niestety, było już za późno. Powściągliwość w słowach nie jest moją najmocniejszą stroną. Prawda wyszła na jaw już podczas morskiej podróży przez Atlantyk, więc teraz mogłem tylko żywić nadzieję, że nie będę żałował mojej gadatliwości.

Doktor Wiseman wycofał się taktownie w poszukiwaniu drinka. Pozostaliśmy więc z Kerris i jej ojcem we troje, racząc się napojami i rozmową. Zachęceni przez generała, ruszyliśmy w stronę pary pluszowych kanap, przedzielonych niewysokim stolikiem. Były zajęte, lecz na widok Fieldinga siedzący na nich mężczyźni natychmiast poderwali się i odeszli. Usadowiliśmy się z Kerris na jednej z nich, generał zaś zajął drugą. Siedząc naprzeciw siebie, rozmawialiśmy o tym i owym, słuchając ciepłych dźwięków muzyki Straussa.

Zdażyłem już otrząsnąć się z zaskoczenia, którym był dla mnie widok twarzy generała. Prawdę mówiąc, widziałem już kiedyś podobną deformację. Żółte oko to typowy objaw nieudanego ataku tryfida; mój ojciec przed laty cudem uniknął identycznego losu. Natychmiastowe płukanie oka solą fizjologiczną sprawiło, że nie doszło do trwałego uszkodzenia. Fielding najwidoczniej nie miał tyle szczęścia – jad zniszczył jego lewe oko.

Tymczasem zdrowe prawe oko generała wciąż błędziło po mojej twarzy, jakby próbowało odczytać zapisane na niej słowa. Niewątpliwie był to człowiek, który potrafił w ciągu sekundy rozpoznać i ocenić czyjś charakter według własnej miary.

– Powiedz no, Davidzie – odezwał się Fielding – czy masz rodzinę na wyspie Wight?

Odpowiedziałem, że mam ojca, matkę i dwie siostry.

– Zostawiłeś ich w dobrym zdrowiu?

– Ależ oczywiście. Ojciec większość sił poświęca pracy. To dla niego coś w rodzaju świętej krucjaty.

Generał żywo interesował się moim ojcem. Opowiedziałem więc o przeszłości: o tym, jak przeżył Oślepienie i niesławną inwazję tryfidów przed trzydziestu laty. Tak jak moi towarzysze podróży przez Atlantyk, tetrarcha wypytywał o gospodarkę mojej wyspy, o infrastrukturę i – z pozoru obojętnie – o jej siły zbrojne.

Znowu odezwał się cichy głos w mojej głowie: trzymaj karty blisko piersi. Nie pokazuj zbyt wiele.

– Mamy pewną liczbę okrętów wojennych i samolotów bojowych – odparłem wymijająco, nie przestając się uśmiechać.

– A, tak. Słyszałem, że musiałeś przymusowo lądować odrzutowcem. To była maszyna myśliwska?

– Myśliwsko–bombowa.

– A w jej silniku spalał się olej tryfidowy?

– Tak. Rafinowany.

– Domyślam się jednak, że brakuje wam części zamiennych i amunicji.
– Sami produkujemy jedno i drugie. A także bomby. – Ten wewnętrzny głos, choć taki cichy, był głosem mądrości. Kazał mi utwierdzić generała w podejrzeniach, że wyspa Wight nie jest bezbronną, rolniczą kolonią; że mamy zęby i w razie potrzeby potrafimy gryźć.

Fielding pokiwał głową, rozważając moje słowa, po czym zapytał bez ogródek:

– Ile macie myśliwców odrzutowych?

– Wystarczająco dużo, żeby się obronić – odparłem jeszcze bardziej ogólnikowo.

– Ach, rozumiem, wolisz zachować dyskrecję, gdy mowa o waszym arsenale. W porządku.

W końcu jeszcze nie znamy nawzajem swoich intencji, prawda?

Uśmiechając się pojednawczo, przytaknąłem skinieniem głowy.

– Pora zadbać o zawartość kieliszków. – Nieznacznym ruchem brody generał przywołał kelnerkę, która natychmiast przybiegła do nas z tacą. – A może masz ochotę na coś jeszcze, Davidzie? Cygaro? Coś na ząb?

– Ależ nie, dziękuję – odparłem, wznosząc kieliszek.

– Będę z tobą absolutnie szczerzy, Davidzie. Kerris zapewne powiedziała ci już, że naszym celem jest ustanowienie łączności z innymi wspólnotami, bez względu na ich położenie geograficzne. – Nie czekając na odpowiedź, Fielding mówił dalej: – Stworzymy nowe szlaki handlowe, będziemy wymieniać informacje i kadry...

– Tylko że podobno niektóre społeczności nie są zainteresowane waszymi propozycjami.

– Ano właśnie. Kilku naszych emisariuszy brutalnie zamordowano, choć zbliżali się pod białymi flagami. To jeden z powodów, dla których musimy utrzymywać prężne siły zbrojne.

– Zamierzacie skłaniać do współpracy grupy, którym, mówiąc delikatnie, zabraknie śmiałości, by zasiać do negocjacji?

– Ależ skąd, Davidzie. Musimy jednak być przygotowani do obrony samego miasta i szlaków handlowych.

– Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to impertynencko, generale Fielding, ale... do czego pan tak naprawdę dąży?

– Do podboju świata, rzecz jasna.

Tetrarcha przyglądał mi się bacznie, oczekując żywej reakcji, ale ja nawet nie mrugnąłem.

Na jego usta wypłynął z wolna uśmiech, a skóra wokół żółtego oka zmarszczyła się lekko.

– A raczej, jeśli chodzi o ścisłość – dodał – do ponownego opanowania świata. Dla nas wszystkich. Dla rodzaju ludzkiego. Trzeba zetrzeć z powierzchni ziemi prawdziwego wroga.

– Tryfidy?

Fielding skinął głową.

– Zdaje się, że to niełatwe zadanie. Prawda?

– Mam broń, Davidzie. Cudowną broń.

– Bombę atomową?

– To też – odparł lapidarnie. – Ale to zbyt prymitywne narzędzie. I zbyt brutalne. Co z tego, że hurtowo spalimy tryfidy, kiedy pozostaną po nich miliony akrów skażonej ziemi? Nie, Davidzie, ja mówię o broni ostatecznej. O najstarszej i najpotężniejszej broni ludzkości. – Generał uśmiechnął się nieszczerze i przekrzywił głowę, czekając chyba, aż zgadnę.

– Zaintrygował mnie pan. Zdaje się, że to naprawdę niezwykła broń.

– O, tak. – Fielding pochylił się, wyraźnie ucieszony, że za chwilę zaskoczy mnie dobrą nowiną.

– Tą bronią jest sam człowiek. A raczej ludzie. Nie dziesiątki i nie tysiące ludzi. Mam na myśli miliony kobiet i mężczyzn. – Generał mówił teraz cichym, ale pełnym entuzjazmu głosem. – Wyobraź sobie nasze miasto jako wielką fabrykę, Davidzie. Fabrykę produkującą ludzi.

– Ludzie są pańską tajną bronią?

– Naturalnie. Nowy Jork to wylęgarnia ludzi. Przybywa nas w takim tempie, że wkrótce przeżyjemy eksplozję demograficzną.

– Wydawało się, że żółte oko Fieldinga płonie własnym światłem.

– Za dziesięć lat populacja będzie tak liczna, że nawet to olbrzymie miasto nie będzie w stanie jej pomieścić. Graniczne mury runą, a ludzie rozbiegną się na wszystkie strony, po drodze rozrywając na strzępy i tratując lasy tryfidów, by skończyły tam, gdzie ich miejsce: w ziemi.

– Nie obawia się pan, że rozrost populacji może sprawić, iż przestaniecie być samowystarczalni?

– Jeśli tak się stanie, głód będzie ostrogą, która skłoni ludzkość do czynu.

– Chyba jednak powolniejsza, bardziej kontrolowana ekspansja byłaby bezpieczniejsza...

– Do diabła z bezpieczeństwem. To jest wojna. Człowiek przeciwko tryfidowi. Przetrawanie przeciwko zagładzie. Jasne, że czekają nas wielkie ofiary, ale mając nieograniczone rezerwy mężczyzn i kobiet, natychmiast uzupełnimy straty. Tam, gdzie jeden człowiek padnie w walce z tryfidem, natychmiast zjawi się tuzin nowych żołnierzy.

– Nie sądzi pan, że tak dramatyczny rozrost populacji to proces zbyt czasochłonny?

– Owszem, dlatego prowadzimy prokreację na skalę przemysłową – odparł. – To już nie jest rozmnażanie, Davidzie, to masowa produkcja. – Generał złączył dłonie opuszkami palców. – Wizja kobiety marnującej dziewięć miesięcy swojego cennego wieku rozrodczego tylko po to, by wydać na świat jedno dziecko, jest w dzisiejszych czasach nie do przyjęcia.

– Sugeruje pan, że kobiety powinny rodzić cały miot dzieci, jak zwierzęta?

– Użył pan słowa „miot”, które ma w przypadku ludzi raczej pejoratywne znaczenie. Ja wolę mówić o „szczodrym macierzyństwie”.

– Przecież niepodobna sprawić, by kobiety na zamówienie rodziły bliźnięta...

– Nie mówimy o bliźniętach. Normą mają być trojaczki i czworaczki. Właściwie to już jest norma... od dobrych dwudziestu lat. Podajemy kobietom leki hormonalne, by wywołać ciążę mnogie.

Z minuty na minutę czułem się coraz bardziej nieswojo. Beztrioskie słowa tego człowieka, opisującego, jak to sprowadza się rolę kobiety do pełnienia obowiązków kury-nioski, odarły Nowy Jork z kolejnej warstwy blichtru.

– Rodzicielkom oszczędza się, rzecz jasna, praco – i czasochłonnego wychowywania dzieci. Rola ta przypada w udziale kobietom bezpłodnym, starym lub w inny sposób pozbawionym przywileju macierzyństwa. – Bystre oko generała błyskawicznie zarejestrowało niesmak, który musiał pojawić się w moich oczach. – Ale pan tego nie pochwała, prawda? A jednak pańscy rodacy także mają swoje metody przyspieszania odbudowy populacji.

Pomyślałem o radosnej atmosferze Domów Matek, pełnych szczęśliwych, darzonych miłością dzieci.

– Owszem – przyznałem – tyle, że proces „produkcji” jest znacznie mniej naukowy.

– Chciał pan powiedzieć: „znacznie bardziej przypadkowy”? A może chodzi panu o to, że nie potraficie eliminować defektów rozwojowych? Albo o to, że wasze kobiety męczą się przez dziewięć miesięcy, by urodzić jedno dziecko?

- Może pańskim zdaniem to zbyt przypadkowa metoda, ale u nas się sprawdza.
- Ilu was jest? Ze trzydzieści tysięcy?
- Mniej więcej.
- Z czego, powiedzmy, pięćdziesiąt procent poniżej dwudziestego piątego roku życia?

Skinąłem głową.

– A tutaj – ciągnął Fielding – dziewięćdziesiąt procent populacji stanowią ludzie w tej kategorii wiekowej. Jak pan widzi, mamy tu pod dostatkiem energicznej, żywiołowej młodzieży. Ci ludzie mają swoje ambicje i potrzeby... tak, potrzeby, które zmuszą ich do kreowania nowej przestrzeni życiowej. – Generał westchnął i zaplótł dłońe na kolanie. – Zjrzyj do książek historycznych, Davidzie. Imperia rozkwitały, gdy przyrost naturalny był w nich wysoki. Upadały, gdy trend ulegał odwróceniu. Pomyśl i o tym, w jaki sposób w niektórych społeczeństwach zachęcano do swobodnej prokreacji. W jednych rezygnowano z kontroli urodzeń, w innych sownie wynagradzano wielodzietne rodziny. Wszyscy, od żebraków po królów, wnosili swój wkład... Krótko mówiąc, Davidzie, ludzie to potęga. Jeden człowiek może unieść kamień. Tysiąc ludzi przeniesie góry.

Rozmowa przekształcała się stopniowo w monolog generała Fieldinga. Kerris przez cały czas siedziała potulnie obok mnie, a ja zastanawiałem się, jaki czeka ją los. Czy i ona miała zostać matką dwadzieściora lub trzydzieściora dzieci?

Co więcej, wiedziałem, że generał Fielding bardzo pragnie dostać w swoje ręce procesor Masena-Cokera. Rozważałem więc i to, czy odwdzięczy się moim rodakom, eksportując na wyspę Wight swoją filozofię rozrostu populacji oraz stosowną ilość hormonalnych leków. Możecie być pewni, że miałem o czym rozmyślać przez resztę wieczoru.

19. Omen

Mów, Davidzie. Skąd ta kwaśna mina? Minęła północ. Spacerowaliśmy pod rękę Piątą Aleją, przyglądając się wartkiej rzece oślepiających samochodowych świateł.

Któryś z pojazdów zgrzytnął nagle przeraźliwie i zatrzymał się na środku drogi. Rozległy się dźwięki klaksonów.

– Davidzie? – ponagliła Kerris.

– Ech, to nic takiego...

– I to „nic takiego” tak popsło ci humor?

– Chodzi o tę sprawę... – zacząłem niepewnie i urwałem, wzruszając ramionami.

– Nie polubiłeś mojego ojca?

– Nie... Nie chodzi o niego. To z pewnością niezwykły człowiek. – Celowo nie powiedziałem, że go polubiłem. Za jego profesjonalnym uśmiechem wyczułem lodowatą bezwzględność. – Rzecz w tym, że ta produkcja dzieci na skalę przemysłową wydaje mi się trochę... dziwna, mówiąc delikatnie.

– Szczerze powiedziawszy, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Panie Masen, proszę pamiętać, że co kraj, to obyczaj.

– A obyczaje dalekich krajów bywają dziwne, panno Baedekker. – Uśmiechnąłem się. – To prawda, ale kiedy pomyślę, że pewnego dnia i ty... Do licha, Kerris, nie podoba mi się to, że będziesz matką Bóg wie ilu dzieciaków.

Moja dziewczyna stanęła jak wryta, spojrzała na mnie szeroko otwartymi, zielonymi oczami, a potem zasłoniła usta ręką i roześmiała się.

– O co chodzi? – spytałem zdziwiony.

– Och, Davidzie.. Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Ja i tuziny dzieci? To śmieszne!

– Dlaczego? Twój ojciec powiedział...

– Nie, nie. Posłuchaj mnie uważnie – poleciła, ocierając łzy. – Ja nie mam Karty Macierzyństwa.

– Karty Macierzyństwa?

– Tak. Dziewczęta są badane w wieku lat trzynastu i przyznaje im się Certyfikaty Życiowe. Ja na przykład mam Kartę Kariery, co oznacza, że mogłam pójść na studia i rozpocząć, jak sama nazwa wskazuje, karierę zawodową w wybranej dziedzinie. Inne dziewczęta zostają zawodowymi matkami.

– Aha...

– Mieszkają w wygodnych pokojach, dobrze się odżywiają i oglądają telewizję, aż im uszami wychodzi... Życie zawodowej matki nie jest takie złe, wiesz?

– Rozumiem.

– Powinieneś wiedzieć jeszcze o czymś – dodała, ściskając mój łokieć. – Kiedy dojdę do wniosku, że najwyższy czas mieć dzieci, zabiorę się do tego bardziej staroświeckim sposobem.

Jej słowa były niewielką pociechą. Wizja generała Fieldinga, zakładająca wysłanie rzeszy ludzi do walki z tryfidami, nie podobała mi się ani trochę. Szczególnie niefortunny wydał mi się pomysł kreowania mnogich ciąż za pomocą środków farmakologicznych. W końcu jeśli – przepraszam za porównanie – suka zbyt często wydaje na świat szczenięta, czeka ją przedwczesna śmierć. Muszę jednak przyznać, że choć plan Fieldinga napawał mnie odrazą, dostrzegałem także jego dobre strony. Przyrost naturalny na wyspie Wight, który uważałem dotąd za imponujący, zmalął nagle w porównaniu z osiągnięciami Nowego Jorku. Jeżeli istotnie czekała nas totalna wojna z tryfidami, należało stworzyć armię tak liczną, jaką dysponował przeciwnik. Najważniejszy jednak był cel, który przyświecał

Fieldingowi: wysłanie ludzi w głąb lądu po to, by raz na zawsze odebrali Ziemię tryfidom. Tymczasem my, mieszkańcy małej wysepki u wybrzeży Anglii, zadowoliliśmy się leniwą roślinnością i całkowitą ignorancją wobec spraw świata zewnętrznego. Byliśmy statyczni, powiedziałbym nawet – gnuśni; wcale nie zamierzaliśmy zakładać kolonii na stałym lądzie. Wróciłem myślą do rozmowy, którą przeprowadziłem z ojcem tego pamiętnego wieczoru, kilka tygodni temu. Ostrzegał mnie wtedy, że wyspiarska społeczność, którą współtworzył, znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. Choć do tej pory nie dostrzegaliśmy zagrożenia, wkrótce mogło się okazać, że pokojowy izolacjonizm wspólnoty wyspy Wight stanie się główną przyczyną jej upadku.

Kerris zauważyła, że pogrążyłem się jeszcze głębiej w ponurych rozmyślaniach i łagodnie pociągnęła mnie za rękę.

– Czas na kawę i pączki – zarządziła. – A potem do łóżka.

Jak by na to nie patrzeć, miło spędzałem czas. Czasem jednak gnębiło mnie poczucie winy wywołane beczynościami przeplatana spotkaniami z Kerris. Postanowiłem zacząć pomalutką drażnić temat mojego powrotu na wyspę Wight. Podjąłem też decyzję, że zaproponuję Kerris Baedekker, żeby zabrała się ze mną.

Jednak często bywa w życiu, że bieg wydarzeń wyprzedza najlepsze nawet plany. Dni mojej słodkiej beczynności dobiegały końca. Zadbały o to wielkie umysły rządzące miastem, kreujące strategię jego przetrwania. Znowu zagrały mną jak pionkiem na szachownicy.

Następnego popołudnia po pierwszej wizycie u ojca Kerris spotkałem się z Gabrielem Deedesem, by wyrównać z nim rachunki przy pingpongowym stole. Łudziłem się. Potężne przedramiona przyjaciela znowu posyłały w moją stronę atomowe strzały, a piłki jak zwykle odbijały się od mojej rakiety i szybowwały pod sufit sali stowarzyszenia YMCA.

Gabriel jak zwykle uśmiechał się i zachowywał bardzo delikatnie.

– Zdaje się, że punkt dla mnie, panie Masen.

– Dla ciebie – zgodziłem się, z trudem łapiąc oddech. Powiedziałem mu, że zamierzam zabrać się do domu najbliższą okazją.

– To może zależeć od rozkładu rejsów – rzekł Gabriel, wyciągając z pudełka nową piłkę w miejsce tej, której zmiażdżone szczątki leżały teraz na podłodze. – Transatlantyckie podróże nie są tu codziennością.

– Widziałem w porcie duże wodnopłaty. Czymś takim wróciłbym do domu w ciągu dwudziestu godzin.

Gabriel rozejrzał się uważnie, sprawdzając, czy nikt nas nie podsłuchuje.

– Te wodnopłaty – powiedział, zniżając głos do szeptu, jakby dzielił się ze mną pikantnym dowcipem – są tylko na pokaz.

– Na pokaz? Moim zdaniem były w świetnym stanie.

– Może i tak, ale brakuje im paliwa.

– Nie przerobiono ich tak, żeby spalały spirytus drzewny?

– Owszem, ale takie paliwo nie jest wystarczająco oczyszczone, by zasilić silnik samolotu. – Gabriel zaserwował. – Być może udałoby się poderwać którąś z tych maszyn do lotu, ale mogłaby najwyżej okrążyć wyspę, nic więcej.

Odbiłem piłkę, podkreślając ją sprytnie; udało mi się zaskoczyć przeciwnika.

– Doskonale, panie Masen – pochwalił, wzruszając ramionami. – Próba przelotu nad Atlantykiem tego typu maszyną byłaby samobójstwem. Widziałeś przecież, jak działają nasze

samochody. Spirytus drzewny masakruje cylindry w silnikach. Trzy tysiące kilometrów i bum! – zawołał, podkreślając ostatnie słowo kolejnym mocnym uderzeniem w piłkę. – Tłoki po prostu stają.

Nie miałem zatem wyboru – czekała mnie podróż morska w bliżej nieokreślonym terminie. Jednak, jak już mówiłem, tak zwany zbieg okoliczności przyspieszył bieg wydarzeń.

W sali pojawiła się Kerris.

– Witaj, Gabrieli. Cześć, Davidzie... Powiedziano mi, że cię tu znajdę.

– Witaj. Zdaje się, że masz szpiegów dosłownie wszędzie – zażartowałem. – Kto ci powiedział, gdzie jestem?

– To proste: zadzwoniłam do twojego hotelu. Recepcjonistka powiedziała, że widziała cię, jak wychodziłeś z rakieta w dłoni i z desperackim błyskiem w oku – wyjaśniła, uśmiechając się do Gabriela. – Przegrywa sromotnie?

Murzyn wzruszył ramionami.

– Młody dżentelmen oddał dopiero sześć meczów.

– Ale odrabiam straty – zaprotestowałem z udawaną urazą.

– Powoli, Davidzie. Bardzo powoli.

– Posłuchaj mnie teraz – przerwała nam Kerris. Była zarumieniona, jakby miała za sobą długi bieg. – Mam dla ciebie nowiny. Na spotkaniu Departamentu Badań dyrektor oznajmił, że wysyła kolejną ekspedycję do Europy. Postanowiono, że w jej ramach zostanie przeprowadzona misja dyplomatyczna na wyspę Wight. – Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. – Wracasz do domu, Davidzie. Statek wypływa pojutrze.

– Tak szybko? – spytałem, patrząc na nią ze zdziwieniem.

Gabriel kiwnął głową w moją stronę.

– No i masz swój rejs, Davidzie. Gratulacje.

To była, jak mawiają nowojorczyki, zupełnie nowa zagrywka. Chyba nie dość dokładnie maskowałem uczucia, bo Kerris przechyliła głowę i spytała:

– Nie cieszysz się?

– Cieszę, naturalnie... tylko nie spodziewałem się, że mój powrót nastąpi tak szybko. – Po chwili spojrzałem jej w oczy. – Wyjadę stąd tylko pod jednym warunkiem, Kerris.

– Pod jakim?

– Popłyniesz ze mną.

To Gabriel Deedes zasugerował, że powinniśmy wybrać się na pożegnalnego drinka. Wieczorem, dzień przed wyjściem statku w morze, weszliśmy z Kerris do klubu bluesowego, z którego okien widać było daleką wysepkę ze Statuą Wolności. Wokół metalowego giganta błysnęła bezgłośnie piorun. Czuło się, że wilgotne powietrze jest naładowane elektrycznością. Kerris była pewna, że na pełnym morzu wkrótce rozpęta się burza. Dopelnieniem naturalnych fajerwerków widocznych na zewnątrz była oszalamiająca suknia mojej dziewczyny, uszyta z czerwonego połyskliwego materiału.

Znaleźliśmy wolny stół, zamówiłem drinki dla siebie, Kerris oraz dla Gabriela, który krzątał się po scenie, zajęty podłączaniem kabli do wzmacniaczy i strojeniem gitary. Po chwili spojrzał w naszą stronę i pozdrowił nas, unosząc w górę kieliszek.

Klub wypełniał się z wolna tłumem rozbawionych, gadatliwych bywalców. Po raz pierwszy od pamiętnego spotkania z generałem Fieldingiem, z takim entuzjazmem rozprawiającym o trojaczkach i czworaczkach, zauważyłem w tłumie ludzi bliźnięta. A potem zacząłem dostrzegać kolejne pary

identycznych twarzy i wkrótce naliczyłem ich kilkanaście. Fakt ten nie miał oczywiście najmniejszego wpływu na atmosferę klubu. Gdzieś w kącie sali dostrzegłem parę raczących się szampanem nastoletnich bliźniaczek świętujących z przyjaciółmi wspólne urodziny.

– Nie będzie ci tego brakowało? – spytałem.

– Myślę, że się przyzwyczaję – odpowiedziała pogodnie, błyskając ku mnie zielonymi oczami w półmroku nocnego klubu. – Jestem bardzo ciekawa, jak się żyje na twojej wyspie. To spotkanie może być przełomem i dla was, i dla nas.

– Wypiję za to – rzekłem, stukając kieliszkiem o kieliszek.

W tym momencie zespół zaczął grać. Ściana dźwięku sprawiła, że nie sposób było rozmawiać. Po chwili jednak oderwałem wzrok od artystów, by w blasku okalających scenę świateł popatrzeć na piękną twarz Kerris. Tymczasem muzykę zdominowało gitarowe solo Gabriela, na przemian anielsko łagodne i piekielnie drapieżne. Dałem się ponieść fali dźwięku. Przymknąłem oczy i poczułem się tak, jakbym mknął w przestrzeni na niewidzialnych saniach. Płacz gitary chwycił za serce, budząc uczucie niepojętej tęsknoty.

Poczułem, że ktoś chwycił mnie za rękę. Uchyliłem powieki i zobaczyłem Kerris, zapatrzoną w muzyków i rytmicznie kiwającą głową.

Znowu zamknąłem oczy. Zasluchany i zamyślony, pogrążyłem się w stanie absolutnej błogości.

Po koncercie Gabriel odprowadził nas do taksówki. Nad oceanem wciąż jeszcze błyskały błękitne i srebrzyste nitki wyładowań. Mój przyjaciel otworzył drzwi przed Kerris.

– *Bon voyage*, panno Baedekker – powiedział, powracając do oficjalnego tonu, bo znowu znaleźliśmy się na ulicy. – Panie Masen... Proszę na siebie uważać.

– Oczywiście, Gabrielu. Ty także uważaj.

Zawsze będę pamiętał tę chwilę. Szeroki, serdeczny uśmiech i silny uścisk dłoni Gabriela, gdy tak staliśmy przy otwartych drzwiach taksówki.

Będę to pamiętał, bo wtedy właśnie z ciemności wyłonił się mężczyzna z pistoletem. Popchnął Gabriela w stronę wozu, odstał o krok i strzelił mu prosto w pierś.

Gabriel padł plecami na tylne siedzenie taksówki, obok Kerris. Rzuciłem się rozpaczliwie w jego stronę, by podtrzymać osuwające się ciało.

Zanim jednak zdążyłem go dotknąć, czyjaś ręka chwyciła mnie od tyłu za gardło i zaczęła dusić. Poczułem ostry, palący ból z boku szyi. Jak przez mgłę słyszałem krzyki Kerris.

Nagle światła portowe zlały się w jeden wir z jaskrawymi liniami błyskawic. W wir, który kręcił się coraz szybciej i szybciej, wciągając mnie w ciemność. Absolutną, bezdenną ciemność.

20. Jonasz

Zostałem połknięty przez lewiatana. Czułem, jak faluje woda wokół niego. Słyszałem przelewające się płyny i syk wypchanego powietrza, a także bicie wielkiego serca. Dziwny głos intonował monotennie:..

– Dziesięć sążni... osiem sążni... pięć sążni... cztery sążnie... Otworzyłem oczy. Ujrzałem przed sobą stalową grodz i otwarte drzwi, a za nimi korytarz skąpany w elektrycznym świetle. Nagle pojawiła się nade mną niewyraźna postać. Udało mi się skoncentrować wzrok na kroplach płynu kapiących ze strzykawki; po chwili igła wbiła się w moje ramię. Usłyszałem rozpaczliwe wycie. Z trudem dotarło do mnie, że to mój głos. Światła znowu zamigotały; wir powrócił i raz jeszcze wciągnął mnie w ciemność.

Otworzywszy oczy, natychmiast zauważyłem zmianę otoczenia. Powietrze pachniało inaczej – jakby ziołami... Pomieszczenie, w którym leżałem, było znacznie większe, a posłanie szersze. Nawet dźwięki były inne. Słyszałem dalekie grzechotanie, jakby ktoś przygrywał na wygłuszonym ksylofonie.

Naprawdę powinienem był bezbłędnie i natychmiast zidentyfikować ten dźwięk. Wtedy jednak wydawało mi się, że ktoś wypchał mi głowę bawełnianym puchem; z oczu ciekły mi łzy, a język przysechł do podniebienia, słowem – czułem się tak, jakbym miał za sobą tęgą pijatykę i teraz płacił za to wysoką cenę. Z wysiłkiem przysiadłem na skraju łóżka.

Na podłodze stał blaszany kubek, a obok niego dzbanek z wodą. Wpatrywałem się w nie przez długi czas. Wiedziałem tylko, że bardzo, wręcz desperacko pragnę nalać tej cudownej, zimnej wody do kubka i wychylić wszystko jednym haustem. Niestety, od zrozumienia tego faktu do wykonania prostego ruchu ręką dzieliła mnie jeszcze długa droga. Łzawiącymi oczami patrzyłem więc to na kubek, to na dzban. Wreszcie, po długotrwałych próbach, udało mi się mniej więcej zapanować nad ruchami. Mimo braku koordynacji zdołałem nalać wody do kubka. Podniosłem go z ziemi, lecz zanim przytknąłem do ust, był już pusty, a to za sprawą moich rozdygotanych rąk.

Nie poddałem się. Z wysiłkiem podniosłem dzbanek i opróżniłem go do ostatniej kropli. Uwiercie mi, ta woda była najslodszy napitkiem, jaki kiedykolwiek miałem w ustach. Pochłonawszy dobry litr płynu, poczułem się dużo lepiej. Ból głowy zelżał i mogłem nieco bardziej zainteresować się otoczeniem.

Po kolei, pomyślałem. Najpierw rozejrzyj się po okolicy, Davidzie. Ściany? Z bali. Okna? Ani jednego. Pod dachem belki, a dach... z falistej blachy? Tak jest, z pordzewiałej i połatannej falistej blachy. Podłoga z ubitej ziemi. Światło dawała pojedyncza żarówka zawieszona pod belką stropową. Siedziałem na łóżku polowym, nieprzykrytym nawet pojedynczym kocem.

Jak dotąd nieźle mi szło. Niepewnie podszedłem do drzwi, które najwidoczniej broniły niegdyś wstępu do znacznie elegantszego domostwa.

Zamknięte. To niedobrze.

Mój odurzony umysł oczyścił się już na tyle, bym mógł zrozumieć, że jestem więźniem. Chwiejnym krokiem powróciłem do łóżka, po czym zasnąłem na siedząco. W końcu ktoś otworzył drzwi. Do izby wkroczyła smukła, mniej więcej dwudziestopięcioletnia ciemnoskóra kobieta w żółtej opasce na głowie. W rękach mocno trzymała karabinek półautomatyczny, który bezceremonialnie wycelowała prosto w moją twarz. Ani drgnąłem. Wpatrywałem się w nią sennym, nieobecny wzrokiem.

Kobiecie towarzyszył śniady Latynos, który nappełnił mój dzbanek wodą ze znacznie większego

naczynia, a potem położył obok mnie, na łóżku, tacę z owocami i chlebem.

Nikt z nas nie odezwał się ani słowem. Gdy tylko milcząca ceremonia dobiegła końca, nieoczekiwani goście opuścili pokój. Biorąc pod uwagę to, jak zachowywał się mój wymęczony żołądek, postanowiłem wstrzymać się z jedzeniem. Zadowolilem się wypiciem kilkoma głębokimi łykami całej zawartości dzbanka.

Rytuał dolewania wody powtarzał się co cztery godziny. Dokonywała go zawsze ta sama para – kobieta z pistoletem maszynowym i mężczyzna z dużym dzbanem. Wszystko odbywało się bez słów. Gdy wychodzili, natychmiast wypijałem wodę.

Po pewnym czasie zacząłem dostrzegać w otoczeniu coraz więcej szczegółów. Pająk wielkości spodka wędrował po jednej z belek stropowych. Nie wątpiłem, że obserwuje mnie wypukłymi oczami. Nagle gdzieś w górze rozległo się narastające bębnienie. Dość szybko domyśliłem się, że to krople deszczu uderzają w blaszany dach. Ulewa nie trwała długo i skończyła się równie niespodziewanie, jak zaczęła. Niemal natychmiast poczułem przyjemny zapach mokrej ziemi. Pająk przestał się mną interesować i zajął się wysysaniem życia z dorodnej muchy.

Jedzenie...

Spojrzałem na leżącą obok tacę. Chleb wyglądał na czerstwy, za to plaster różowego arbuza prezentował się obiecująco. Wbiłem zęby w mięsz i nie zważając na pestki połknąłem solidny kęs. Poczulem, że wraca mi apetyt. Idąc za przykładem mojego ośmionogiego towarzysza niedoli, zająłem się jedzeniem i wkrótce pochłonałem wszystko, co znajdowało się na tacy.

Znowu usłyszałem dalekie, rytmiczne grzechotanie. Przekrzywiłem głowę i nasłuchiwałem. Cienkie pałeczki nie przestawały bębnić o grube, zdrewniałe pniaki. Zmarszczyłem brwi, usiłując przypomnieć sobie, skąd znam ten dźwięk.

I wreszcie mój nasączony narkotykami umysł zaskoczył. Słowo, którego tak długo szukałem, teraz samo wyszło z moich ust:

– Tryfidy.

Nie mając okien ani zegarka (mój zatrzymał się nie wiedzieć kiedy na wpół do czwartej), nie potrafiłem precyzyjnie określić upływu czasu. Obserwowałem tylko smugę światła pod drzwiami, która teraz ciemniała z wolna, aż wreszcie znikła. Tryfidowe hałasy przybrały na sile, zwiastując nadejście nocy. Świerszcze także odezwały się głośniejsze. Wydawało mi się też, że słyszę gdzieś w pobliżu kumkanie żab. Kiedy przyłożyłem ucho do drzwi, wyłowiłem z wieczornych szmerów głosy ludzkie, ale były zbyt stłumione, bym mógł rozróżnić pojedyncze słowa.

Wróciłem do łóżka. Oczy nareszcie przestały łzawić, za to swędziały niemilosierdzie. Przemylem je, wykorzystując w tym celu resztkę wody z dzbanka. Potem przyjrzałem się bliżej prawemu przedramieniu. W okolicy żyły zauważyłem sześć śladów po nakłuciu igłą. Dotknąłem także szyi i skrzywiłem się, czując skaleczenie po jej lewej stronie. Przed klubem bluesowym ktoś musiał mi założyć tak zwany krawat, a jego współnik zafundował mi szybki zastrzyk w tętnicę szyjną. Mogłem się tylko cieszyć, że porywacze postanowili dostarczyć mnie tu w jednym kawałku.

Wciąż jednak miałem przed oczami przeraźliwie wyrazisty widok: obraz Gabriela Deedesa padającego na tylne siedzenie taksówki po strzale zamachowca. Kerris krzyczała... Na Boga, co się z nią stało? Czy i ją postrzelono? Gdzie była? Może w niewoli, gdzieś w sąsiedniej chacie? A jeżeli tak, to co z nią robili? Ogarnęły mnie jak najgorsze przeczucia.

Odgłosy tryfidowych pałeczek jakby osłabły. Gdy kładłem się na łóżku, panowała już nocna cisza.

Zamknąłem oczy, nie przestając myśleć o Kerris Baedekker.

Obudził mnie stuk otwieranych z rozmachem drzwi. Do izby wpadła smuga słonecznego światła. Przez chwilę sądziłem, że powtórzy się ceremoniał dolewania wody, ale dziewczyna w żółtej opasce machnęła w moją stronę lufą karabinu.

– Idziemy. Tylko nie próbuj żadnych głupot, na przykład ucieczki. Nie zastrzelę cię; tryfidy same zachłoszczą cię na śmierć. – Ku mojemu zdumieniu mówiła z irlandzkim akcentem.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Ktoś chce z tobą pogadać.

– Kto?

Pomyślałem, że strażniczka wyczerpała już dzienny zapas słów, bo nie otrzymałem odpowiedzi. Wyszedłszy przed dom, w milczeniu skierowała lufę broni w moją stronę.

To nie był dobry moment na nieoczekiwane przedsięwzięcia. Podniosłem więc ręce na wysokość barków i starałem się wyglądać na zrelaksowanego, by przekonać dziewczynę, że nie zamierzam uciekać. Mimo to przez moment miałem przed oczami obraz zbryzganego krwią pala i plutonu czekających na mnie uzbrojonych mężczyzn... Zamrugalem energicznie, by odpędzić złe myśli, po czym wziąłem głęboki wdech i przekroczyłem próg.

Od wielu tygodni nie widziałem tak jasno świecącego słońca. Natychmiast też poczułem na skórze dotyk gorącego, wilgotnego powietrza. Moje oczy przez dłuższą chwilę przyzwyczały się do blasku. Oslaniałem je ręką, próbując rozejrzeć się po okolicy. Stałem na łagodnym stoku biegnącym ku brzegom szerokiej rzeki o mulistych, brązowych wodach. Po prawej i po lewej widziałem rzędy chat, budzące skojarzenia z wojskowym obozowiskiem. Dalszą obserwację uniemożliwiła mi niecierpliwa strażniczka. Ruchem lufy wskazała mi kierunek i ponagliła do marszu.

Miała karabin, więc usłuchałem bez wahania.

Mimo wszystko, gdy zbliżaliśmy się do niezbyt okazałego domku z bali, ukradkiem rozglądałem się na boki. Zauważyłem grupkę mężczyzn i kobiet w mundurach. Niektórzy pracowali przy pojazdach, inni nosili skrzynki w stronę drewnianej przystani. Dostrzegłem przy niej dwa ciemne, smukłe kształty łodzi podwodnych, cumujących burta w burtę. Podejrzywałem, że to jedna z nich przywiozła mnie tutaj...

Nieco dalej w górę rzeki zauważyłem imponującą kolekcję wodnopłatów – od skromnych jednomiejscowych maszyn aż po wielkie jednostki pasażerskie, zdolne zabrać na pokład ponad pięćdziesięciu pasażerów. Gdyby tylko zatankować którąś z nich właściwym paliwem, mogłaby zabrać mnie na drugą stronę Atlantyku – do domu.

Od drewnianego domostwa dzieliło mnie już tylko kilka kroków. Spojrzałem przelotnie na szczyt wzgórza, szukając źródła nerwowego grzechotania, które wcześniej słyszałem. Oczywiście, były tam... Tryfidy. Tysiące tryfidów. Na szczęście od obozu oddzielała je solidna stalowa siatka, wysoka na dobre trzy metry. Dostrzegłem na niej ślady spalenizny – mieszkańcy obozowiska bez wątpienia od czasu do czasu odstraszali tryfidy pojedynczymi strzałami z miotaczy ognia. Odniosłem dziwne, irracjonalne wrażenie, że wredne rośliny przyglądają mi się uważnie. Spotęgował je fakt, iż ciemnozielone liście tryfidów zatrzęsy się nagle, a kielichy wieńczące łodygi zakolysały się miarowo. Stukot pałeczek o pnie rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Czyżby tryfidowy alfabet Morse'a?

„Uwaga, tryfidy... syn arcymordercy, Billa Masena, został zlokalizowany... przekazać wiadomość... przygotować się do ataku... zabić na miejscu...”

Otarłem z czoła strużkę potu. Zgoda: irracjonalne pomysły. Może wsparte halucynogennym

działaniem prochów, którymi mnie naszprycowano, a jednak... Wrażenie było mocne. I irytujące.

Nie miałem czasu snuć rozważań na ten temat.

Dziewczyna z karabinem maszynowym zapędziła mnie za róg domu. Zaskoczony widokiem, stanąłem jak wryty. Miałem przed sobą najdziwniejszy pojazd, jaki w życiu widziałem.

– Sam – zawołała dziewczyna w stronę mężczyzny ukrytego po pas we włazie wehikułu. – Sam, mam tu Masena. Co z nim zrobić?

21. Przejazdźka

Mężczyzna wynurzył się z czeluści dziwnego pojazdu. Jednym ruchem długiego ramienia zamknął z trzaskiem właz i stanął prosto, wycierając uwalane smarem dłonie w brudną szmatę.

Zdumiewający wehikuł mógłbym opisać dwoma słowami: stalowy stoń. Pomalowano go jasnoszarą farbą. Dwie obszerne, zaokrąglone kabiny, umieszczone obok siebie, przypominały rozpostarte uszy słonia. Z przodu sterczała metalowa rura kojarząca się nieodparcie z trąbą. Niezwykłą konstrukcję zdobił także system rur wentylacyjnych i wydechowych, a całość spoczywała na potężnych gaśnicach. Sądzę, że rozmiarami przewyższała nieco spory czołg.

Podobieństwo pojazdu do afrykańskiego zwierzęcia nie umknęło także uwagi jego właścicieli. Na szarej burcie nakreślono wielkimi literami napis JUMBO. Tuż za przeszkloną kabiną zauważyłem barwny rysunek Indianina o zadartym podbródku i wzroku utkwionym gdzieś daleko za horyzontem. Obok widniał napis: „Do diabła z nimi!”.

Na dolnej części pancerza dostrzegłem jeszcze kilka inskrypcji, ale były tylko prozaicznymi opisami, takimi jak „wlot sprężonego powietrza” czy „stosować wyłącznie paliwo stuoktanowe”.

– Dzień dobry, panie Masen. – Mężczyzna, który przed chwilą majstrował w silniku maszyny, wyciągnął do mnie rękę. Był wysoki i szczupły; miał jasne włosy i błękitne oczy. Oceeniłem go na nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Charakterystyczne zaciąganie w jego wymowie zdradziło mi, że mam do czynienia z południowcem. Mężczyzna zauważył na dłoni jeszcze jedną smugę smaru; wytarł rękę o nogawkę wojskowych spodni i znowu wyciągnął ją na powitanie.

Nie zareagowałem. Uśmiechnąłem się.

– Nie mam pretensji, przyjacielu. Ja też nie miałbym ochoty na takie gesty. – Jego głos był równie wesoły i przyjacielski jak niebieskie oczy. – Dobrze się pan czuje? Nie ma pan skurczów czy mdłości?

Pokręciłem głową.

– Czuję się nieźle... biorąc pod uwagę okoliczności – odparłem nieco sztywno.

– No to dobrze. Jazmay – zwrócił się do dziewczyny ze spokojnym uśmiechem – nie wiem, co pan Masen myśli o tym, że celujesz w jego stronę, ale mnie to denerwuje. – Po chwili znowu odezwał się do mnie. – Nie zastrzeli mnie pan i nie ucieknie, prawda? Nie, oczywiście, że nie. Jazmay, odłóż broń i uruchom starego Jumbo, dobrze?

Dziewczyna otworzyła kabinę pojazdu, wsunęła karabin w specjalny uchwyt, wdrapała się do wnętrza i zsunęła w dół, do kokpitu kierowcy. Silnik jęknął i obudził się do życia. Za „uszami słonia” uniosły się w powietrze dwie smugi niebieskawego dymu.

– Brzmi doskonale, prawda? – spytał entuzjastycznie mężczyzna, czule klepiąc burtę maszyny. – Na pańską cześć zafundowałem jej nowe świece – powiedział, ruszając w stronę kabiny pojazdu. Zatrzymał się jednak w pół kroku i odwrócił w moją stronę. – Nazywam się Sam Dymes. Pisze się inaczej, ale wymawia tak samo jak „dimes”. Pamięta pan jeszcze stare dziesięciocentówki? – Po raz trzeci wyciągnął do mnie rękę i znowu uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Nie podaje pan... Przykro mi. A przy okazji, przepraszam za... – tu wykonał ruch naśladujący wykonanie zastrzyku. – Uznaliśmy, że to najlepszy sposób na bezpieczne dostarczenie pana na miejsce.

Spojrzałem na niego bez słowa, choć setka pytań kłębiła się wściekle w mojej głowie. Byłem po prostu zbyt wkurzony, żeby je zadać.

– Sam Dymes – powtórzył, dotykając piersi. – A teraz zapraszam na pokład. Chcę panu coś

pokazać.

Wehikuł toczył się żwawo na gąsienicach, mijając rząd bliźniaczo podobnych maszyn – słoniowatych pojazdów z wielkim napisem JUMBO. Na ich pancierzach, tuż za kabiną, wymalowano najróżniejsze obrazki: potężne szczęki rekina, postacie z kreskówek, ponętne dziewczyny... Każdemu nadano także imię: Szczęściara, Dzikus, Ogniojad. Na końcu długiego rzędu stał pojazd nazwany Mielącą Martą, na którym namalowano podobiznę groźnej kobiety beztrzesko pożerającej tryfidy w całości, jakby były młodymi pędami selera.

Rozparłem się w fotelu obok Sama Dymesa. Jazmay, pewnie prowadząca stalową bestię, siedziała na obniżonym stanowisku kierowcy przede mną, z głową na wysokości moich stóp.

Wstrząsy towarzyszące jeździe po nierównym terenie miały co najmniej jeden pozytywny skutek: uwolniły pytania, które do tej pory bezskutecznie próbowały przebić się przez moje zaciśnięte zęby.

– Po co, u diabła, mnie tu sprowadziliście?

Sam Dymes spojrzał na mnie niewinnie szeroko otwartymi oczami.

– Mówiłem już, że chcę panu coś pokazać. Proszę się trzymać, zaraz miniemy bramę. Dalej będzie nieco bardziej wyboiste...

– Nie, do jasnej cholery! Po co sprowadziliście mnie do tego obozu!? Dlaczego zabiliście mojego przyjaciela?! I co, w imię Boże, zrobiliście z Kerris?!

– Kerris? – powtórzył, w zamyśleniu trąc podbródek. – Nic jej nie jest.

– Skąd pan wie?

– Musi mi pan zaufać.

– Jest tutaj?

– Nie. Została w Nowym Jorku, panie Masen. I jest bezpieczna.

– Pańscy siepacze jakoś nie mieli skrupułów zabijając mojego przyjaciela.

– Przykro mi, ale nie wiedziałem, że były jakieś ofiary. Proszę mi wierzyć, nie to było naszym zamiarem.

– A co nim było?

– Sprowadzenie pana tutaj w bezpieczny sposób.

– Tutaj, czyli gdzie?

– Do południowych Stanów – odparł ogólnikowo. – Nie musi pan wiedzieć dokładnie, gdzie jesteśmy.

– W porządku, panie Dime. Do czego jestem wam potrzebny?

– Nazywam się Dymes. Do czego? To proste jak pański nos. Sądzę, że wkrótce się pan dowie

– dodał, znowu uśmiechając się nieśmiało. – A teraz proszę wybaczyć. Pora powalczyć ze szkodnikami.

Przez przednie okno kabiny zauważyłem, że dotarliśmy do solidnej bramy, którą otworzyło przed nami czterech ludzi. W ciągu sekundy znaleźliśmy się po drugiej stronie, a wrota natychmiast zamknięto i zabezpieczono grubymi łańcuchami.

– Jazmay, przełączysz kontrolę strumienia na moje stanowisko? Dziękuję.

Tryfidy zastąpiły nam drogę, kołysząc miarowo do przodu i do tyłu długimi łodygami i kielichami kryjącymi wici.

Choć byłem wściekły, wyciągnąłem szyję, starając się ogarnąć wzrokiem to, co działo się na zewnątrz. Sam Dymes chwycił dźwignę sterową i wcisnął kciukiem czerwony guzik.

Ze stalowej „trąby” bluznął strumień pomarańczowych płomieni. Sekundę później trzy rośle tryfidy znalazły się w samym środku imponującej kuli ognia. Zielone, mięsiste liście czerniały, a kielichy marszczyły się szpetnie. Po chwili pierwsza spalona roślina runęła w poprzek drogi.

Sam Dymes uśmiechnął się do mnie.

– To jedyna rzecz, którą my mamy, a te przekłete chwasty nie. Ogień. Boski ogień! – Znowu wypalił z miotacza płomieni. Tryfidy przypominały teraz starotestamentowe płonące krzaki. – Są coraz sprytniejsze. Wystarczy zwęglić parę, żeby pozostałe zaczęły schodzić nam z drogi – zawołał Sam.

Potężny wehikuł zmiażdżył dymiące resztki tryfidów. Choć otaczały nas tysiące roślin, żadna nie ośmieliła się już zastąpić nam drogi. Kilka próbowało jednak dotrzeć do nas wiciami. Na szybach kabiny pojawiły się charakterystyczne smugi jadu.

– Jesteśmy bezpieczni jak w domu. – Sam postukał palcami w przezroczystą taflę. – Szkło pancerne.

Las tryfidów otaczający obozowisko wyglądał na dość stary. Tuż przy siatce rośliny kłębiły się najgęściej; widać było, że sprawdzają jej wytrzymałość i gdzieś w głębi swoich botanicznych mózgów – o ile rzeczywiście je miały – wierzą, że pracując wspólnie zdołają rozerwać druty. Im bardziej jednak oddalaliśmy się od zagrody, tym mniej ich widzieliśmy. Możliwe, że te tutaj pełniły w roślinnej armii funkcję odwodów lub strażników piklujących tyłów. Naturalnie w tym czasie nie widywało się już przestrzeni całkowicie wolnych od tryfidów. Gdy pojazd wypełznął na rozległą równinę, wciąż dostrzegaliśmy to tu, to tam pojedyncze smukłe rośliny. Większość z nich stała nieruchomo, jednak były i takie, które „słyszac” dźwięk silnika transportera, przebierały „nogami” tak, by ustawić się przodem do kierunku, z którego dochodził. Jednym słowem zachowywały się jak typowe drapieżniki wypatrujące zdobyczy.

Sam Dymes siedział teraz nieco swobodniej, wspierając rękę na drążku kontrolującym ruchy „trąby” miotacza płomieni. Muszę przyznać, że machina, którą jechaliśmy, zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Zastanawiałem się nawet, jak bardzo przydałby się taki terenowy niszczyciel tryfidów w moich ojczystych stronach.

Tymczasem jednak nie wiedziałem nawet, po co mnie tu sprowadzono.

– Dziękuję za przejażdżkę – odezwałem się lodowatym tonem. – Ale nadal nie udzielił mi pan odpowiedzi.

– Szczera prawda, panie Masen. Przepraszam.

– Kim właściwie jesteście? Co to za społeczność?

– Pańscy niedawni gospodarze nazywają nas frakcją Quintlinga.

– A, tak. Słyszałem o was.

– Nic dobrego, jak sędzę.

– To, że jesteście bandą wygnańców – odparłem. – Że kradniecie i mordujecie.

– Joshua Quintling był jednym z założycieli obecnej kolonii nowojorskiej, ale generał Fielding, który zjawił się ze swoimi statkami, postanowił wprowadzić bardziej... – Dymes urwał i wzruszył ramionami. – Bardziej zdecydowane metody działania. Dlatego dwadzieścia lat temu Quintling opuścił miasto wraz z najbliższymi i z grupą rodzin, które wybrały życie według bardziej humanitarnych zasad.

– I cała frakcja Quintlinga postanowiła uciec tutaj?

– Niezupełnie. Generał Fielding wysłał za nieuzbrojonym parowcem Quintlinga jeden ze swoich okrętów wojennych. Pociski z jego dział omal nie rozerwały statku na strzępy. Zginęły dziesiątki ludzi, w tym żona i dziecko Quintlinga, który, chcąc ratować pozostałych przed pewną śmiercią, poprowadził

parowiec w górę rzeki, zbyt płytkiej, by okręt mógł podążać jego śladem. Gdyby nie to... – Sam znowu wzruszył ramionami, a potem spojrział na mnie poważnie błękitnymi oczami. – Ale pan i tak mi nie wierzy, prawda, panie Masen?

– Muszę polegać na pańskim słowie – wycedziłem, ale mój sceptycyzm był aż nadto wyraźny.

– Jak pan chce, panie Masen. Przecież nie będę utwierdzał pańskiej wiary kolbą karabinu, prawda?

– Nie wiem. Jestem zdany na pańską łaskę. – Choć nie dawałem tego poznać po sobie, zacząłem się zastanawiać, czy za chwilę dziewczyna nie zatrzyma pojazdu i nie wyrzuci mnie na ziemię, żebym sam sobie radził na tym tryfidowym pustkowiu.

Dymes przyglądał mi się przez chwilę.

– Naprawdę sądzi pan, że poświęciliśmy tyle czasu i paliwa... jakże cennego paliwa... żeby przywieźć pana tu i zmasakrować?

– Nie mam pojęcia.

– To niedorzeczność. – Mężczyzna wyglądał na urażonego. – Zadaliśmy sobie wiele trudu, żeby pana ocalić.

– Ocalić?

– Tak jest.

– Czyja wyglądałem na takiego, co potrzebuje wybawienia? Szkoda, że mnie pan nie widział: świetnie się bawiłem. Poza tym następnego dnia miałem płynąć do domu.

– Wiemy.

– Więc w co, do ciężkiej cholery, zabawiacie się moim kosztem?!

– Wiedzieliśmy, że wraca pan do Anglii – powiedział, spokojnie patrząc mi w oczy. – Wiedzieliśmy także, że zaraz za pańskim statkiem, tuż za linią horyzontu, miał płynąć pancernik w eskorcie kilku niszczycieli.

– Chce pan powiedzieć, że generał Fielding zamierza dokonać inwazji na wyspę Wight?

– To wynika z naszych informacji, panie Masen.

– Ale po co? Przecież przyjęlibyśmy gości z otwartymi ramionami.

– Jest pan tego pewien?

– Najzupełniej.

Sam odetchnął głęboko i zapatrzył się na skąpany w słońcu krajobraz pełen tryfidowych strażników.

– Zdaje się, że trzymano pana w ciemności, panie Masen. Mówiąc metaforycznie i dosłownie zarazem.

– No, proszę, niech mnie pan zaskoczy.

– Wie pan, że Nowy Jork rządzonej przez generała Fieldinga cierpi na chroniczny brak paliw, czy choćby źródeł surowca do ich produkcji?

– Wiem. Przerobili samochody tak, by spalały spirytus drzewny.

– Który jest tak zanieczyszczonym paliwem, że szlag trafia silniki już po paru tysiącach kilometrów.

Skinąłem głową.

– A my – ciągnął Dymes – mamy parę szybów naftowych oraz rafinerię produkującą miliony litrów benzyny rocznie. Przyznaję, że to niewiele, ale przynajmniej możemy jeździć tymi maleństwami – tu poklepał czule fotel – i uzyskać dobrą benzynę lotniczą dla wodnopłatów.

- Której brakuje nowojorczykom.
- W rzeczy samej, panie Masen. Mogą co najwyżej tłuc się po oceanie tymi swoimi parowcami. Widzi pan, gdy tylko położą łapy na waszych procesorach Masena... Jak to się właściwie nazywa?
- Procesor Masena–Cokera.
- Dymes skinął głową.
- Procesorach Masena–Cokera... Wtedy generał Fielding zacznie sobie rafinować olej tryfidowy i będzie miał pod dostatkiem paliwa dla samochodów i samolotów, w tym także bojowych.
- I co z tego?
- To, że nasza kolonia zostanie zmieciona z powierzchni ziemi. Tu, w górze rzeki, jesteśmy bezpieczni przed jego okrętami.
- Ale jeśli będzie miał do dyspozycji bombowce i myśliwce... No cóż, zrobi z nas sieczkę.
- Więc dogadajcie się z nim.
- Mamy się poddać?
- Nie – odparłem szczerze. – Wyślijcie delegację. Negocjujcie.
- Nie zgodzi się na to. Wkrótce będzie miał na nas bat. O, tak... zabierze nasze kobiety i dzieci, żeby przyspieszyć rozrost tej swojej populacji. A mężczyzn? Ześle do kopalń albo obozów pracy, w których pozyskuje się drewno.
- Naprawdę uważa pan, że on jest aż tak nierozsądny? – Wyobraziłem sobie ojca Kerris, generała Fieldinga, człowieka z jaskrawożółtym okiem. Zgoda, wyglądał na twardego przywódcę, może nawet wizjonera, ale na krwiożerczego tyrana? Zdecydowanie nie.
- Sam Dymes przyglądał mi się uważnie, poklepując palcami o wargi. Oceniał mnie. Odpowiedział dopiero po długiej chwili namysłu:
- Tak, panie Masen. Uważam, że generał Fielding jest bardzo nierozsądny. Myślę też, że nie powstrzyma się przed niczym, byle tylko zniszczyć nas i podbić wyspę Wight. Co więcej, wierzę, że jest brutalnym dyktatorem.
- To wyłącznie pańska opinia.
- Nie tylko, panie Masen.
- Nie? A czyj a jeszcze?
- Nie zgadnie pan? – Dymes uśmiechnął się, celowo budując napięcie.
- Wzruszyłem ramionami.
- Czyja?
- Pańskiego ojca, Billa Masena.
- Mojego ojca? Przecież on nawet nie słyszał o generale Fieldingu.
- Słyszał. Spotkał go wiele lat temu. Pan zresztą też, jeszcze jako dziecko.
- Potrząsnąłem głową, marszcząc brwi.
- Nie przestając się uśmiechać, Sam Dymes pochylił się i wyciągnął rękę. Gdy się wyprostował, trzymał w niej teczkę. Otworzył ją, wyciągnął książkę i podsunął ją okładką w moją stronę. Przeczytałem tytuł i nazwisko autora: William Masen.
- Zdziwiłby się pan, gdzie można dziś znaleźć dzieło pańskiego ojca. Pięć lat temu kupiliśmy je za dwadzieścia litrów benzyny od portugalskiego rybaka. Mam nadzieję, że pański rodzic nie będzie nas ściagał, żądając tantiem, ale skopiowaliśmy tę książkę w tysiącu egzemplarzy i rozdaliśmy naszym ludziom. Generał Fielding był mu znany pod innym nazwiskiem: Torrance.
- Torrance? – Znałem to nazwisko dość dobrze, by zeszywnieć na jego dźwięk. – Mój ojciec

uciekł przed nim dwadzieścia pięć lat temu.

– Zgadza się. Pańscy rodzice spili Torrance'a i jego kompanów, gdy ci chcieli zająć Shirning. Kiedy „goście” zasnęli, pański ojciec unieruchomił ich pojazd i wymknął się cichcem wraz z resztą mieszkańców dworu. Gdy Torrance się ocknął, stwierdził, że ptaszki wyfrunęły. Co gorsza, rezydencja była otoczona przez tryfidy. Torrance był jednak pomysłowy: z drutu i płótna sporządził sobie strój ochronny. Miał pecha: gdy tylko wyszedł z domu, jeden z tryfidów strzelił wicią w drucziany hełm tak skutecznie, że trucizna przedostała się do środka i zniszczyła mu lewe oko.

– A potem Torrance jakimś cudem trafił do Nowego Jorku, już pod nowym nazwiskiem?

– I z diabelską zadrą w sercu.

– Musiał wiedzieć, że jestem synem Billa Masena.

– Oczywiście. Zamierzał się panem posłużyć.

Sprawy wyglądały teraz nieco jaśniej. Wiedziałem jednak, że wymagają znacznie głębszego przemyślenia.

– Ale... przecież znam córkę Torrance'a. Znam ją bardzo dobrze.

– Właśnie – przytaknął. – I dlatego Kerris także stała się pionkiem w grze ojca... Jesteśmy na miejscu.

– Ależ...

– Proszę zostawić sobie resztę pytań na później. Chcę pokazać panu coś jeszcze.

22. Algonkinowie

Jazmay zatrzymała transporter na skraju równiny. Dalej rozciągała się dolina opadająca ostro ku rzece, błyszczącej złością w południowym słońcu. Sam stanął na stalowej poprzeczce oddzielającej nasze siedzenia, odblokował właz w dachu i wypchnął klapę na zewnątrz. Przez chwilę przyglądał się krajobrazowi wokół wehikułu, aż wreszcie spojrzął na mnie.

– Droga wolna. Najbliższy tryfid stoi o pięćset metrów stąd. – Dymes podciągnął się i wysunął przez właz na pancierz pojazdu. – To nic trudnego, panie Masen. Kiedy stanie pan na poprzeczce, podciągnięcie się wyżej pójdzie jak z płatka.

Po chwili stałem już obok niego na stalowym grzbiecie maszyny. Obejrzałem się i zobaczyłem bliźniacze linie śladów gąsienic, ciągnące się prosto jak okiem sięgnąć. Dymes miał rację co do tryfidów: jedyny okaz rzeczywiście stał w przyzwoitej odległości. Teraz jednak wyczuł naszą obecność – Bóg jeden wie jakim zmysłem – i zaczął kroczyć niezgrabnie na swoich krępych „nogach”.

Sam również dostrzegł jego ruchy.

– Mamy mnóstwo czasu, zanim tu doczłapie. A tymczasem pokażę panu coś ważnego. Wtedy łatwiej będzie panu zrozumieć wiele spraw.

Podał mi lornetkę.

– Prawda, że miło znowu oglądać słońce? – spytał, delektując się widokiem. – Mieliliśmy tu dziesięć dni kompletnej ciemności. Tryfidy tak się podnieciły, że włożyły jedno na drugie, żeby wedrzeć się do obozu... – Dymes westchnął głęboko. – Słońce, wspaniałe słońce. – Oślonił oczy dłonią i wskazał na dno doliny. – Widzi pan coś, Masen?

Spojrzałem uważniej.

– Rzekę. Drzewa. I z tysiąc tryfidów, w trzech grupach.

– Proszę użyć lornetki. Co teraz?

– Dym. Mniej więcej kilometr stąd. Jakaś osada?

– Dobrze pan kombinuje, panie Masen. Proszę patrzeć.

Dostrzegłem mały cypel na brzegu rzeki.

– Widzę kilka łodzi na plaży i... cztery, pięć... osiem drewnianych domków z... Wielki Boże! – wykrzyknąłem. – Co tam się dzieje, u licha?! Przecież oni zginą!

Sam spokojnie spojrzął w dolinę.

– Co dokładnie pan widzi?

Początkowy szok zmieniał się stopniowo w zdumienie.

– Ludzi – odpowiedziałem, nie wierząc własnym oczom. – Mieszkają w obozie bez ogrodzenia. Widzę dzieci bawiące się w zagajniku tryfidów. Nawet nie zwracają uwagi na rośliny...

– A rośliny na nie – uzupełnił Dymes, odbierając mi lornetkę. – Jest tam także starzec siedzący w cieniu tryfida.

– Chwileczkę... – mruknąłem, przymykając oczy i poszczypując palcami grzbiet nosa. – Coś tu jest nie w porządku. To... to jest...

– Niemożliwe?

– Absolutnie. Chyba że te świństwa, które we mnie wpompowaliście, jeszcze działają. Czy ja mam halucynacje? – spytałem, spoglądając badawczo na Dymesa.

Gdy się uśmiechnął, wokół jego oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki.

– Ci ludzie w dolinie, panie Masen, to rdzenni Amerykanie; Indianie z plemienia Algonkinów.

Mniej więcej sto lat temu przybyli tu misjonarze, żeby ich ucywilizować. Działali tak skutecznie, że w chwili Oślepienia plemię było już właściwie na wymarciu. Ostatni Algonkinowie byli tylko bandą nieszczęśliwych alkoholików. Proszę spojrzeć, jak wyglądają teraz.

Dzieci biegały pośród tryfidów, śmiejąc się bez troski. Jeden z chłopców, półnagi ośmiolatek o oliwkowej skórze i długich czarnych włosach, wskoczył na pękaty pniak jednej z roślin i zakręcił się wokół łodygi, z zapalem pokrzykując coś do swych kolegów.

Ludzie, których widziałem na nadrzecznym cyplu, byli po prostu szczęśliwi.

Nie było mi łatwo pogodzić się z implikacjami tego, co zobaczyłem.

– Tryfidy nawet nie próbują ich atakować. Obcięto im wici?

– Nie. Wyjaśnienie jest bardzo proste: ci ludzie są uodpornieni. Tryfidy nie mogą im nic zrobić.

Dymes odczekał chwilę, bym przetrawił jego słowa.

– To nie wszystko, Przecież widziałem, że nawet nie próbują atakować... Nigdy tego nie robią?

– W przeszłości zapewne usiłowały, ale gdy zrozumiały, że to nic nie daje, przestały marnować jad.

– Powiedział pan „zrozumiały”. Przypisuje im pan inteligencję?

– Naturalnie. A pan nie?

Przypomniałem sobie słowa ojca sprzed zaledwie kilku tygodni. Siedzieliśmy wtedy w cieplarni. Powiedział, że jego zdaniem tryfidy potrafią się porozumiewać, myśleć strategicznie, planować inwazje i poruszać się w zorganizowany sposób, walcząc przeciwko nam.

Ale skąd nagle wzięłyby się taki fenomen natury, jak to, co zobaczyłem w nadrzecznej dolinie? Byłem świadkiem pokojowej koegzystencji mężczyzn, kobiet i dzieci z tryfidami. To, co dla większości z nas byłoby placem śmiertelnego boju, dla wesołych algonkińskich dzieci było placem bezpiecznych zabaw.

– Proszę sobie wyobrazić – odezwał się po chwili Dymes – co by było, gdybyśmy byli takimi szczęściarzami jak oni. Moglibyśmy odzyskać świat.

Przez jakiś czas staliśmy tak na dachu wehikułu, przyglądając się obozowisku. Czułem się tak, jakby udało mi się wdrapać na wielki mur oddzielający nas od raję i zajrzeć do środka. Rozumiałem jednak i to, że cud, którego byłem świadkiem, to zjawisko delikatnej natury, a szansa, którą stwarzał, łatwo mogła zostać zaprzepaszczona.

– Oho, panie Masen, mamy towarzystwo.

Obejrzałem się przez ramię. Samotny tryfid był już blisko. Za kilka sekund mogliśmy znaleźć się w zasięgu rażenia jego pięciometrowej wici.

Dymes wyciągnął rękę w stronę otwartego włazu.

– Proszę przodem, panie Masen.

Zanim masywny Jumbo dotarł do wrót obozu – po drodze niejedną raz traktując tryfidy płynnym ogniem – wiedziałem już znacznie więcej o moich gospodarzach.

Sam Dymes, z wykształcenia inżynier, minął właśnie półmetek swojego „turnusu” na stanowisku „szefa i generalnego popychadła” tej wojskowej placówki Leśników. Nazwa „Leśnicy”, jak mi wyjaśnił, nie miała nic wspólnego z zamięłowaniem do wycinki drzew; pochodziła raczej od lasów tryfidowych, w których przyszło im żyć.

– Tak naprawdę nazwaliśmy się Zjednoczoną Konfederacją Wolności, ale jak pan widzi, a raczej słyszy, ciężko to wymówić.

W przeciwieństwie do kolonii nowojorskiej, skoncentrowanej w jednym punkcie, Leśnicy

stworzyli kilkaset dość niezależnych osad rozsianych po całym wschodnim wybrzeżu, od stanu Maryland po kraniec Florydy.

– Początkowo osiedliliśmy się na wysepkach i nad samym oceanem – wyjaśnił Sam. – Niestety, Torrance, znany już wtedy jako generał Fielding, wysłał za nami swoje kanonierki. Wynieśliśmy się więc w głąb lądu, podróżując rzekami, na które okręty wojenne nie mogły się zapuścić. Fielding nie mógł, rzecz jasna, wyekspediować przeciwko nam sił lądowych, a to z powodu tryfidów – powiedział, kiwając głową w stronę krwiożerczej rośliny, która właśnie smagnęła wicią okno kabiny. – Wyszło więc na to, że te diabły stały się naszymi sprzymierzeńcami. Zabawnie bywa w życiu, prawda?

Gdy Jumbo zatrzymał się na dobre, zeskoczyłem na ziemię i niemal natychmiast zauważyłem, że jedna z łodzi podwodnych opuściła przystań. Widziałem, że Sam również dostrzegł zmianę, ale nie skomentował jej ani słowem.

– Zdaje się, że jest pan już gotów na porządny posiłek, panie Masen – rzekł z uśmiechem. – Proszę się umyć, uczesać, czy co tam pan chce... Zjemy w kantynie. To ta chata z czerwonym dachem.

Przez moment stałem niepewnie, obserwując, jak Dymes wędruje w stronę sąsiedniego budynku. Jazmay również przestała się mną interesować. Rozmawiała z dwoma niewidomymi mężczyznami, którzy siedzieli przy maszynach do pisania pod lekkim daszkiem.

Sam obejrzał się i zauważył wreszcie moje niezdecydowanie.

– Koniec z uzbrojoną strażą, panie Masen. Proszę się czuć jak u siebie w domu.

Kończyłem właśnie drugą miskę ostro przyprawionej potrawy i kolejną kromkę chleba, gdy usłyszałem trzask w wiszącym na ścianie głośniku. Kobięcy głos obwieścił przylot hydroplanu i zaprosił grupę pasażerów zwaną Drużyną Everglades na zbiórkę przy stanowisku trzecim.

Po chwili rzeczywiście zjawił się nad rzeką wielki srebrzysty wodnopłat i wykonał perfekcyjne lądowanie opodal przystani. Ten widok wzburzył we mnie krew – jestem przecież pilotem. Czego bym nie dał, żeby znowu zasiąść za sterami i wzlecieć w błękitne niebo, słysząc słodki pomruk pary silników rolls royce'a na skrzydłach...

– O czym pan tak дума, panie Masen?

Uniosłem głowę i spojrzałem na Sama Dymesa stojącego nade mną z tacą i talerzem pełnym parujących warzyw.

– Mogę się przysiąść?

– Naturalnie.

– Przyzwyczajają się pan pomału do nowego otoczenia?

Odpowiedziałem twierdząco.

– To dobrze, bardzo dobrze – mruknął, zaciągając po swojemu. – Później znajdziemy panu łóżko. Przydałaby się także brzytwa.

Pogładziłem szczękę palcami. Niechlujny zarost przeistaczał się z wolna w przyzwoitą brodę.

– Byłbym wdzięczny, gdyby udało się skombinować nowe ubranie.

– Zrobione, panie Masen. Czy to chili? Nie zauważyłem, że było w menu... – Dymes zawrócił i dobrodusznie zawołał po imieniu niewidomą kobietę, która zza kontuaru serwowała posiłki. – Irene... Powiedz no, zostało jeszcze trochę tego ognistego chili?

– Młody dżentelmen wybrał wszystko, do ostatniej kropli.

– Gratuluję apetytu, panie Masen. Ale też prawdą jest, że przetrzymaliśmy pana trochę

o pustym brzuchu.

– Jak...

– Jak długo pan spał? Pełne dwie doby. Proszę, niech pan weźmie moje ciasto. Przynajmniej tyle mogę dla pana zrobić.

Kiedy jedliśmy, myśli, którymi żyłem podświadomie przez ostatnich kilka tygodni, wreszcie doszły do głosu.

– Panie Dymes, kiedy...

– Sam. Wystarczy Sam, proszę. – Mężczyzna wyszczerzył zęby i wyciągnął ku mnie chudą rękę. – Bardzo mi miło... ach, zapomniałem: pan przecież nie podaje ręki, prawda? – spytał, zerkając na mnie przekornie.

– Sam... – zgodziłem się z uśmiechem, który miał oznaczać coś w stylu: „Dobra, wygrałeś”. – W takim razie daruj sobie „pana Masena”. Mam na imię David.

– Jasne, Davidzie. O czym chciałeś mi powiedzieć? Zacząłeś z dość poważną miną.

Skinąłem głową.

– Nie wydaje mi się, żeby Algonkinowie, których dziś widzieliśmy, byli wyjątkowi.

– Co ty powiesz?

– Są i inni ludzie odporni na jad tryfidów.

– Dlaczego tak sądzisz?

Sam pochłaniał imponującą porcją placka z jabłkami, a ja opowiadałem mu o przymusowym lądowaniu na pływającej wyspie i o spotkaniu z dzikuską, Christiną Schofield. Słuchał w milczeniu, na pozór bardziej zainteresowany ciastem niż dramatyczną historią o tym, jak dziewczyna wbiegła w gęszcz tryfidów i jak smagały ją ich wici. Zakończyłem opowieść opisem jej cudownego powrotu.

– I co? – spytałem, gdy wkładał do ust ostatni kęs deseru.

– Irene, znajdzie się jeszcze kawałek tego pysznego placka? Przez moment zastanawiałem się, czy w ogóle słyszał co mówiłem.

– Christina Schofield. Tak... – odezwał się po chwili poważnym tonem. – Masz rację. Jad tryfidów zupełnie na nią nie działa.

– Zdaje się, że sporo wiesz o tym, co się dzieje w Nowym Jorku.

– Dobra informacja jest warta tyle co tuzin kanonierek – odparł, gdy niemłoda kobieta stawiała przed nim talerz z ciastem. – Dziękuję, Irene. Wygląda wspaniale... – Zauważyłem, że rozmowa na poważny temat odebrała mu trochę apetyt. – Davidzie... Obawiam się, że przyszłość Christiny nie wygląda różowo.

– Dlaczego?

– Według najnowszych informacji Torrance zarządził rozpoczęcie akcji na wielką skalę, zwanej Operacją Lawina. – Sam odsunął talerz na bok. – Kobieta rodzi się z dwoma jajnikami. Każdy z nich zawiera tysiące komórek jajowych. Jak wiesz, każda zapłodniona komórka może rozwinąć się w nową istotę ludzką.

– Mów dalej.

– Spece Torrance'a opracowali metodę podawania leków hormonalnych w taki sposób, by wywoływały powstawanie ciąży mnogich. Jak już słyszałeś, chodzi o to, by doprowadzić do eksplozji demograficznej. Rzesza młodych ludzi miałaby pokonać nacierające tryfidy i od nowa zasiedlić Long Island, New Jersey i inne tereny. A skoro już o tym mowa, musisz wiedzieć, że Torrance nieustannie wysyła grupy uderzeniowe, których zadaniem jest porywanie kobiet i dzieci z innych społeczności –

dodał, popijając kawę. – A teraz w jego ręce wpadła Christina, dziewczyna odporna na tryfidową truciznę. Domyślasz się, co przyszło mu do głowy? Gdyby miał milion ludzi takich jak ona, mógłby po prostu wkroczyć na kontynent i rozpocząć budowę imperium.

– Wyjaśnijmy sobie coś: chcesz powiedzieć, że lekarze usuną Christinie jajniki, zapłodnią wszystkie komórki jajowe i wszczepią embriony innym kobietom?

– To będzie akcja na kolosalną skalę. Każda kobieta zdolna do rodzenia dzieci będzie nosić w sobie potomstwo Christiny. Naprawdę każda: młoda czy stara... Dotyczy to także Kerris Baedekker, o ile nasze źródła informacji są wiarygodne... a zwykle są. Krótko mówiąc, Christina Schofield będzie matką setek tysięcy dzieci. Torrance ma naturalnie nadzieję, że staną się one załącznikiem superrasy, odpornej na jad tryfidów, dzięki czemu on sam stanie się najpotężniejszym człowiekiem na całej planecie. – Sam westchnął ciężko. – A Christina zostanie uśmiercona, poddana sekcji i drobiazgowo przebadana, by można było ustalić przyczynę jej cudownej odporności. – Dymes machnął kilka razy ręką z góry na dół, by podkreślić wagę własnych słów. – Davidzie, Torrance to kompletny fanatyk. I dobrze wie, jak osiągać cele, które sobie wyznacza. Wydał już zarządzenie, by wszystkie kobiety w ciąży... hmm... przestały być w ciąży. Mają być gotowe na przyjęcie potomstwa Christiny.

– Mój Boże... to potworne. Gdybym... gdybym tylko wiedział, jaki los czeka tę dziewczynę, nigdy nie sprowadziłbym jej do Nowego Jorku. Ja... – Urwałem w pół zdania, wstrząśnięty nieludzkim postępowaniem Torrance'a. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego statek, który mnie ocalił, pędził do Nowego Jorku z maksymalną szybkością. – Wielkie nieba... – mruknąłem cicho. – Chciałbym coś dla niej zrobić. Biedna Christiną... Od dziecka wychowywała się sama. Może i jest odporna na jad tryfidów, ale przeszła w życiu piekło... a teraz będzie jeszcze gorzej. – Poczulem gorycz w ustach. – Gdybym tylko dorwał Torrance'a, udusiłbym go własnymi rękami...

Sam spojrzał na mnie jasnyniebieskimi oczami.

– Może nie zdołamy osiągnąć samego Torrance'a, ale nie siedzimy beczynnie.

– Nie?

– Wiemy, że dziewczyna trafiła do szpitala. Pierwsza faza Operacji Lawina potrwa mniej więcej cztery tygodnie, bo tyle czasu potrzeba na przygotowanie wszystkich matek. Mamy więc szansę uratować Christinę, zanim pójdzie pod nóż. – Skinął głową w stronę okna, za którym widać było pustą przystań łodzi podwodnej. – Wysłaliśmy ekipę, która spróbuje odbić ją i przywieźć tutaj. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinna tu być już za tydzień.

– Sądysz, że jest szansa?

– Trzeba spróbować, Davidzie. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

23. Wskrzeszony

Jeden komunikat przez radio. Tylko jeden! Chyba tyle możecie mi dać?

Jak grochem o ścianą.

Sam Dymes pokręcił głową ze szczerym żalem. Nie ustępowałem.

– Przecież muszę wysłać im tę wiadomość. Muszę ostrzec moją wyspę. Nie rozumiesz?

– Rozumiem.

– Muszą wiedzieć, że Torrance żyje i że wysłał flotę inwazyjną.

Dyskutowaliśmy, stojąc nad brzegiem rzeki. Słońce nikło już za horyzontem, bardziej purpurowe niż czerwone.

– Pogoda będzie idealna do nadawania na falach krótkich – nalegałem.

– Przykro mi. Naprawdę. Niestety, muszę odmówić. – Byłem coraz bardziej rozgorączkowany, Sam zaś niezmiennie odpowiadał mi ze spokojem południowca. – Davidzie, okręty Torrance'a szukają nas wszędzie. Jeżeli któryś z nich przechwyci nasz sygnał, zostaniemy namierzeni. A wtedy zwali nam się na głowy zionąca ogniem flota i zapewniam cię, że sprawi nam łaźnię, jakiej jeszcze nie widziałeś.

Przezesiałem palcami włosy. Prawda była cholernie frustrująca: facet miał rację. Od tego, czy lokalizacja ich baz pozostanie tajemnicą, zależało przetrwanie Leśników. W ciągu trzech dni pobytu w obozie sporo się nasłuchiwałem o barbarzyńskich wyczynach ludzi Torrance'a.

Westchnąłem ciężko.

– Rozumiesz, o co mi chodzi? Ja tu sobie siedzę na słoneczku, a tam siły inwazyjne lada chwila urządzają rzeź moich rodaków.

– Posłuchaj mnie, Davidzie, tak się nie stanie.

– Skąd ta pewność?

– Torrance skoncentruje wszystkie siły na Operacji Lawina. Będzie potrzebował wszystkich lekarzy w szpitalach. Ktoś przecież musi się zająć tym masowym zapładnianiem. Będą mu potrzebni także wszyscy marynarze i żołnierze; w końcu jaja same się nie zapłodnią, prawda?

– Racja – przyznałem, wzdychając ponownie.

– Z tego co mówiłeś wynika, że wyspa Wight ma sporą flotę bombowców i myśliwców. Torrance nie zaryzykuje utraty statków, nie jest tak naiwny, by wierzyć, że twoi nie zamierzają walczyć. Postanowił, że użyje ciebie jako konia trojańskiego, że z twoją pomocą wprowadzi na wyspę sabotażystów i komandosów w cywilnych ubraniach. Łatwo sobie wyobrazić, że na początek przejęliby kontrolę nad lotniskami i utrzymali ją aż do przybycia posiłków. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Gotów na zimne piwo?

I już było po rozmowie.

Mimo wszystko nie mogę powiedzieć, żebym nieprzyjemnie spędzał czas w bazie Leśników. Przyjacielski Sam Dymes był świetnym kompanem. Polubiłem jego dziwny sposób mówienia, pełen przeciągłych „uuu”, „aaa” i „hmmm”. Zacząłem też wierzyć, że nie mógł być odpowiedzialny za zastrzelenie Gabriela Deedesa. Co więcej, nie wątpiłem w prawdziwość jego słów, gdy opowiadał, jak świetnie prosperująca społeczność Torrance'a buduje swoją przyszłość na pracy niewolników. To oni zajmowali się ścinaniem drzew, z których pozyskiwano alkohol służący jako paliwo. To oni pracowali w kopalniach węgla i umierali – na pylicę lub z wycieńczenia – miesiącami nie oglądając słońca. Kobiety–niewolnice zamykano w fabrykach dzieci i zmuszano do zachodzenia w ciążę rok po roku.

Dowiedziałem się, że wolność tracili nie tylko kolorowi i niewidzący, ale także ci, którzy ośmielili się krytykować reżim Torrance'a. Większość niewolników przetrzymywano w północnej części wyspy Manhattan, w dzielnicach znanych dawniej jako Harlem i Washington Heights, a obecnie nazywanych niewinnie Strefą Przemysłową Numer Jeden. Właśnie to getto rozciągało się za murem, który widzieliśmy z Kerris przy Sto Drugiej ulicy. Faktem jest, że pewna liczba kolorowych mężczyzn i kobiet pracowała także w innych częściach Manhattanu, ale dawano im do zrozumienia, że cieszą się wyjątkowymi przywilejami i że najmniejszy przejaw nieposłuszeństwa będzie oznaczał natychmiastową surową karę.

Torrance i jego poplecznicy nie byli aż tak głupi, żeby nie dostrzegać, że spośród kolorowych i Ślepców można wyłowić nadzwyczaj utalentowane jednostki, a potem eksploatować ich uzdolnienia dla dobra całej kolonii. Jednak ci „szczęśliwcy” musieli zapłacić wysoką cenę za uniknięcie losu niewolników. W zamian za wysoką pozycję zawodową i społeczną musieli wyrzec się własnej płci. Czy był to tylko symbol całkowitego poddania się woli Torrance'a, czy też dobrze przemyślany proceder kreowania bardziej potulnych obywateli, tego nie wiedział nikt. Tak czy inaczej, dla króla Manhattanu eunuchowie byli bardzo użyteczną grupą.

Staralem się uczestniczyć w codziennym życiu bazy Leśników – brałem udział w patrolach antytryfidowych, rąbałem drewno i obierałem całe góry ziemniaków. A w ciepłe, spokojne wieczory rozmawiałem i żartowałem z gospodarzami przy zimnym piwie. Mimo to wciąż myślałem o Kerris Baedekker. Tysiąc razy dziennie zadawałem sobie te same pytania: co teraz robi? Czy zastanawia się, gdzie jestem? Czy nadal jest mi przyjacielem, czy może wrogiem? Czy gdybym w jakiś sposób mógł zabrać ją z Nowego Jorku, zechciałaby pójść ze mną? Czy pogodziłaby się z faktem, że jej ojciec jest bandytą, brutalnym tyranem, któremu należałoby odebrać władzę?

Nie wiedziałem.

W nocy, gdy zamykałem oczy, widziałem jej twarz; czasem też przychodziła do mnie we śnie.

Dopiero siódmy dzień w obozowisku Leśników okazał się dniem wielkiej zmiany.

Świt roztoczył czerwonawą poświatę nad urwiskiem po drugiej stronie rzeki.

Tryfidy powitały dzień terkotaniem zdrewniałych pałeczek o smukłe łodygi. Próbowałem wyobrazić sobie, co mówią: „Nadchodzi słońce... nadchodzi słońce...”. Może wciąż jeszcze były niespokojne po tygodniach mroku spowijającego ziemię? A może przewidywały własną zagładę? Tak czy owak, powitalne stukanie narastało i wkrótce słychać było donośny chóralny łomot drewnianych „palców”.

Goliłem się właśnie, słuchając tryfidowego koncertu. Na półce obok umywalki postawiłem kubek gorącej aromatycznej kawy. Wspólna łazienka składała się właściwie wyłącznie z rzędu umywarek umocowanych pod dachem z falistej blachy. Ścian nie było, więc mogłem przyglądać się tryfidom witającym nowy dzień gwałtownym potrząsaniem ciemnozielonymi liśćmi. A nowy dzień oznaczał dla nich to samo co zwykle: napieranie tysiącami smukłych ciał na solidne ogrodzenie bazy. Był to z ich strony akt ślepej wiary w to, że pewnego dnia bariera runie niczym mury Jerycha. Niedaleko umywalni wzniesiono barak z prysznicami, który z oczywistych względów musiał mieć ściany, ale dobiegał z niego plusk wody i głęboki, męski, zaskakująco melodyjny głos, śpiewający nieznaną mi piosenkę.

Udało mi się zgolić połowę zarostu (i dzięki Bogu nie zaciąć się ani razu), gdy zauważyłem, że obok umywalni zaczął się dziwny ruch i że wszyscy biegną w jednym kierunku. Ktoś krzyczał, ale nie byłem pewien, czy z podniecenia, czy po to, by wszcząć alarm.

Chwyciłem ręcznik i starłem resztę mydła. Moja ciekawość szarpała się jak pies na uwięzi,

więc dołączyłem do tłumu biegnących w stronę rzeki. Spojrzałem na mętne wody, szukając przyczyny zgiełku. I wtedy zobaczyłem: w zakolu rzeki wylaniał się ciemny, smukły kształt okrętu podwodnego.

Z tonu głosów, które odzywały się tu i ówdzie, wywnioskowałem, że coś jest nie tak... Teraz i ja zauważyłem, że łódź jest przechylona na burtę, przez co kiosk sprawia wrażenie zdeformowanego. Usłyszałem, że ktoś woła lekarza.

Poruszając się wolno jak ranny lewiatan, okręt zatoczył łuk i ustawivszy się równolegle do przystani z bali, zaczął płynąć małą naprzód.

Teraz, w czerwonym świetle świtu, uszkodzenia były doskonale widoczne. W bocznej ścianie kiosku widać było czarne otwory przestrzelin, a górna jego część była tylko masą rozerwanych blach. Obudowy peryskopu i radaru rozniesiono na strzępy. Tylko sam kadłub okrętu zachował się w nie najgorszym stanie. Mieszkańcy obozu stłoczyli się na drewnianym pomoście, by powitać zmęczoną załogę.

Zwieszane głowy marynarzy sugerowały jednak nie tylko znużenie, ale także coś znacznie gorszego.

Moje złe przeczucia wkrótce się potwierdziły.

– Zabrali Christinę ze szpitala – powiedział Sam. – Przykro mi, Davidzie. Pewnie jesteś mocno zawiedziony – dorzucił, odwracając wzrok w stronę trapu, po którym z pokładu łodzi znoszono rannych. – Straciliśmy wielu dobrych ludzi. Wróciła zaledwie połowa drużyny komandosów. Okręt oberwał od baterii nadbrzeżnych, zanim zdążył się zanurzyć. Gdyby nie to, że zniknął we mgle, w ogóle nie dotarłby do bazy.

– Co teraz?

– Teraz? – Sam Dymes wyglądał na zmartwionego. – Plan B.

– A cóż to takiego?

– Wiesz co, Davidzie? Nie mam pojęcia.

Po tych słowach odszedł, by pomówić z rannymi, których ostrożnie przenoszono do sanitarek.

Po kilku godzinach od przybycia okrętu w obozie znowu zapanował spokój. Kapitan łodzi i Sam Dymes przystąpili do oceny uszkodzeń. Tymczasem ciężej rannych marynarzy i komandosów przewieziono wodnopłatami do większych osad na południu, gdzie można było zapewnić im lepszą opiekę w szpitalach z prawdziwego zdarzenia.

Postanowiłem przydać się na coś – narąbać drewna. Poszedłem więc na skraj obozowiska, w pobliże ogrodzenia, za którym zaczynał się las milczących tryfidów. Nie poruszały się, ale czułem, że obserwują nasze poczynania z chłodną obojętnością. Udzielił mi się ponury nastrój moich towarzyszy: rozmyślałem o parszywych roślinach z narastającą nienawiścią.

Tryfidy ewoluowały. Potrafiły chodzić. Słyszały. Zabijały. Były mięsożerne. Zaczynały wykształcać coś w rodzaju wzroku. Wielu naukowców uważało, że są inteligentne. Ile czasu potrzebowały, by przeskoczyć próg rozwojowy osiągnięty przez człowieka i dodać do swojego repertuaru nowe umiejętności? Może zdolność czytania w naszych myślach? Albo telekinezę? Przeczuałem, że nie trzeba będzie długo czekać, by poznać odpowiedź. A wtedy przekonamy się na własnej skórze, jakie też diabelskie sztuczki opanowało to przekłete zielsko...

Snując takie właśnie myśli, rąbałem pniaki na kawałki, którymi można było palić w piecu kuchennym i pod kotłami z wodą. Słońce tymczasem wędrowało coraz wyżej, choć jakoś nie mogło odzyskać blasku, którym zachwycało nas przez kilka ostatnich dni.

Pozostało wielką pomarańczą, wiszącą ponuro na niebie i okrywającą horyzont krwistą

poświęcą.

Wczesnym popołudniem miałem już zapas niewielkich szczap na cały następny dzień. Ochlapałem ciało wodą z wiadra i poszedłem na lunch do kantyny. Na pokładzie okrętu podwodnego krzżeli się już robotnicy. Widziałem błękitnobiałe błyski palników acetylenowych, którymi próbowali łątać poszarpane blachy.

U wejścia do kantyny minąłem jakiegoś mężczyznę; jego sylwetka wydawała mi się znajoma, ale jej nie skojarzyłem, bo nie pasowała do tego miejsca.

– Hej, kolego... Macie tu może stół do ping-ponga?

Wybałuszyłem oczy.

– Gabriel?!

– Już myślałem, że mnie nie poznajesz, Davidzie.

– Ależ poznaję, tylko... Na Boga, myślałem, że nie żyjesz!

– To był występ godny Oscara, prawda? – Gabriel Deedes wyszczerzył się w uśmiechu i wyciągnął do mnie mocarną rękę.

– Widzę, że już się znacie. – Sam siedział przy stole, a przed nim spoczywała na talerzu solidna porcja placka z jabłkami. Jego uśmiech, zmęczony, ale ciepły, wiele mi wyjaśnił.

W końcu rozprostowałem zdrętwiałe palce.

– No, Gabe, rozumiem, że nie znalazłeś się tu przypadkiem?

Sam Dymes przestał żuć ciasto.

– Nie mylisz się – powiedział i wskazał łyżeczką na Gabriela. – Davidzie, poznaj naszego człowieka w Nowym Jorku. A teraz ja zajmę się konsumpcją tego niebywale smacznego placka, a Gabriel przekaże ci wieści, na które tak czekałeś... Irene!... Irene? Znajdzie się dokładka tego genialnego ciasta?

24. Zwrot

Jedliśmy lunch, a Gabriel opowiadał mi, co się właściwie stało, zaczynając od porwania mnie z Nowego Jorku, które miało miejsce ponad tydzień wcześniej.

– To ja wszystko zaaranżowałem – wyznał. – Wiedziałem, że generał Fielding, a raczej, jak już ci wiadomo, niejaki Torrance, planował wysłać cię z powrotem na wyspę Wight z misją dyplomatyczną. A raczej z czymś, co miałeś uważać za misję dyplomatyczną.

– A w rzeczywistości miałem otworzyć drogę siłom inwazyjnym. Tak, Sam już wtajemniczył mnie w tę sprawę.

Gabriel kontynuował opowieść.

– Stało się dla mnie jasne, że albo będę musiał wyrwać cię jakoś z Nowego Jorku, albo zabić choćby gołymi rękami.

Spojrzałem na jego potężne łapska, a potem w uduchowione oczy – tym razem śmiertelnie poważne. I zrozumiałem, że nie żartuje, wspominając o drugiej opcji.

– Uwierz mi, Davidzie, błagałem swoich przełożonych na kolanach, żeby wyciągnęli cię z miasta – powiedział i pociągnął łyk kawy. – Rozumiesz jednak, mam nadzieję, że nie uratowaliśmy ciebie i twojej wyspy z pobudek czysto humanitarnych?

Skinałem głową.

– Jeżeli Torrance zajmie wyspę Wight, zdobędzie procesor Masena-Cokera.

– A wraz z nim wysokooktanowe paliwo, dzięki któremu jego bombowce raz na zawsze unicestwią Leśników i wszystkie inne kolonie, które nie spieszą się z zaakceptowaniem jego... jakby to powiedzieć... ochrony.

– A co z Kerris?

– Jest bezpieczna – zapewnił mnie Gabriel. – Dopilnowałem, żeby znalazła się w taksówce, zanim zjawili się nasi ludzie.

– Jak się teraz czuje?

– Niepokoi ją twoje zniknięcie, ale jakoś sobie radzi.

– Nie wie, że jesteś...

– Szpiegiem? Nie, nie wie nic o moim prawdziwym życiu. Niestety, nie wie także, czy żyjesz. Musiałem, rzecz jasna, zachować nadzwyczajną dyskrecję.

– Nie ufasz jej?

Gabriel nie podzielał mojego oburzenia.

– Przykro mi, Davidzie, ale mimo wszystko Kerris jest córką Torrance'a. Nie mogłem ryzykować. Mamy w Nowym Jorku znacznie więcej agentów. Gdyby zostali zdemaskowani...

– Dobrze już, dobrze. Rozumiem. Ale powiedz mi chociaż, czy Kerris wiedziała o tym, że Torrance planuje inwazję na wyspę Wight?

Gabriel spojrzał mi w oczy.

– Jestem pewien, że nie. Podobnie jak ty, była tylko pionkiem w jego grze.

Odetchnąłem z ulgą. Rozstanie z Kerris, choć bolesne, byłoby po stokroć bardziej gorzkim doświadczeniem, gdybym wiedział, że mnie oszukała.

Jedliśmy dalej, a Gabriel relacjonował przebieg wyprawy po Christine. Większość faktów znałem z opowieści Sama – przede wszystkim wiedziałem już, że dziewczyna została wyprowadzona

i dobrze ukryta na chwilę przed pojawieniem się w szpitalu uzbrojonej grupy komandosów.

– To pech – wtrącił z uczuciem Sam. – Cholerny pech.

– Był kiedyś taki bluesowy kawałek – skomentował Gabriel. – „Gdyby nie spotkało nas nieszczęście, moglibyśmy mówić, że nie mieliśmy szczęścia”. Kiedy odwoziłem drużynę na brzeg Hudsonu, wpadłem prosto na... Rory’ego Masterfielda we własnej osobie. Wiedziałem, że mnie rozpoznał, więc jestem spalony. Nie miałem wyjścia, musiałem wynieść się stamtąd do wszystkich diabłów. Zabrałem się łodzią razem z chłopakami. Sprawa miała być prosta: zanurzenie, kurs na otwarte morze i gotowe. Niestety, namierzyły nas reflektory baterii nadbrzeżnych. Walili do nas jak do kaczek. Szczęście w nieszczęściu, że nie przekazali koordynatów stanowiskom ciężkiej artylerii. Pociski śmigaly nad nami i lądowały w wodzie dobre pół kilometra za nami. Gorzej było z haubicami. Przyznaję, były niezłe. Porobiły nam w kiosku tyle dziur, że więcej w nim teraz powietrza niż metalu. A potem załatwiły osłonę peryskopu i radaru. Mieliśmy tyle uszkodzeń poszycia, że nie mogliśmy się zanurzyć. Jedyne, co nam pozostało, to ucieczka w morze. Tak się złożyło, że trafiliśmy na pasmo mgły i zgubiliśmy pościg kanonierek. – Gabriel potrząsnął głową. – Dziękuję bardzo, nigdy więcej nie chciałbym odbyć podobnej podróży.

Zaczęło się, zanim przebrzmiały ostatnie słowa jego opowieści. Właściwie nie był to dźwięk, tylko twarda jak beton fala uderzeniowa, która huknęła w kantinę, strącając talerze ze stołów i przewracając jedzących. Szyby w oknach roztrzaskały się na drobne kawałeczki. Podobny do grzmotu odgłos eksplozji powrócił echem, odbity od urwiska po drugiej stronie rzeki. Usłyszałem też krzyki i wycie syreny alarmowej.

Podniosłem się z rumowiska mebli, talerzy i resztek jedzenia. Sam i Gabriel już biegli w stronę drzwi. Pierwszy pognął w stronę swojego biura, przebierając długimi nogami niczym rasowy sprinter, drugi zaś zatrzymał się w pół drogi.

– Niech ich cholera – parsknął wściekle Gabriel. – Niech ich jasna cholera!

Spojrzałem na rzekę. Na powierzchni leniwie płynącej wody widać było linie piany układające się w kształt litery V.

– Kutry torpedowe. – Gabriel także dostrzegł ślady podwodnych pocisków. – Jakim cudem trafili za nami aż tutaj?

Obserwowałem zbliżające się do brzegu kutry. Były to małe, smukłe jednostki, niewiele dłuższe od wyrzutni torped, które umocowano po obu stronach ich nadbudówek. Mknęły ku obozowi niczym ślizgacze, by z jak najmniejszej odległości wypluć swój śmiercionośny ładunek.

Widząc, że torpedy są już niebezpiecznie blisko brzegu, pociągnąłem Gabriela za ramię.

– Chodź. Stoimy zbyt blisko.

Pociski były bardzo szybkie. Zbyt szybkie, byśmy zdążyli odbiec dalej niż kilka kroków. Wściekłość Gabriela była jednak tak wielka, że był gotów – jak mi się zdawało – gołymi rękami zatrzymać pędzące torpedy.

Oddaliliśmy się o parę metrów i mogliśmy tylko przyglądać się beczynnemu nieuniknionemu. Dwie torpedy trafiły w burtę drugiej, w pełni sprawnej łodzi podwodnej. W powietrze wystrzelił gejzer białej piany. Okręt rozpadł się na dwie części i natychmiast zatonął.

Trzecia torpeda uderzyła w muliste nabrzeże, wyrwijąc krater o średnicy dobrych siedmiu metrów. Lej w okamgnieniu wypełnił się brązową wodą, burzącą się i parującą jak wywar w kotle czarownicy. Wystrzeliwszy wszystkie torpedy, kutry zasypały nadrzeczny stok gradem pocisków z broni maszynowej.

Stojąc nieruchomo jak wielki czarny posąg, Gabriel Deedes kipiał z wściekłości.

– W jaki sposób nas znaleźli? Przecież robiliśmy wszystko, co trzeba, żeby ich zgubić. Trzymaliśmy wachty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na pewno nikt za nami nie płynął... więc jak to możliwe, że tu są?! – wrzasnął, nie zwracając uwagi na świszczące wokół niego kule.

– Gabriel! – krzyknąłem. – Kryj się!

Ale on był już przy Jumbo i wdrapywał się na dach.

– Tam! – zawołał. – Tak nas, dranie, znaleźli!

Dołączyłem do niego, choć nie bardzo mi się podobało, że mamy być tarczą strzelniczą dla ludzi Torrance'a. Kule przelatywały niepokojąco blisko naszych głów.

Spojrzałem w kierunku wyciągniętej ręki Gabriela. Na wodzie, z dala od toczącej się bitwy, unosił się nieruchomo – skoro spełnił już swoją misję – dziwny pojazd. Pomalowany tak, by nie odcinał się zbyt wyraźnie na tle granatowozielonych wód oceanu, przypominał płaską rybę i nieznacznie tylko wystawał grzbietem ponad niskie rzeczne fale. W przedniej części kadłuba mieściły się dwie przezroczyste bańki kokpitów. Niewielki pojazd bez trudu mógł niezauważenie śledzić umykający okręt podwodny, a następnie przez radio naprowadzić na cel zespół uderzeniowy.

– Cholera – warknął Gabriel. – Powinniśmy byli zrozumieć, o co im chodziło. To dlatego największe działa nie trafiły w nas u ujścia Hudsonu... Chcieli nas przepędzić, żeby to draństwo mogło nas śledzić aż tutaj i... – Gabriel zakończył zdanie kunsztowną wiązką przekleństw.

Wprawdzie rzeka była zbyt płytka, by mogły na nią wpłynąć okręty liniowe, za to już po chwili na wodzie pojawiła się cała flotylla mniejszych jednostek. Sunęły w stronę przystani najeżone lufami działek pokładowych, ciężkich karabinów maszynowych i moździerzy oraz tubami wyrzutni rakiet, niczym stado wodnych hien rzucających się na swoją ofiarę.

Jednak nie zamierzaliśmy poddać się bez walki. Z wielu miejsc rozległy się strzały armatnie i nad lustrem wody przemknęły srebrzyste pociski. Niektórym udało się trafić w cel – trzy barki desantowe zamieniły się w kule ognia. Widziałem palących się ludzi, w panice skaczących do wody.

Gabriel podskoczył z radości na grzbiecie potężnego transportera, który zatrzęsł się tak, że omal nie pospadaliśmy na ziemię. Wreszcie seria z karabinu maszynowego, która zabębniła o burtę wehikułu, przypomniała nam, że jesteśmy – delikatnie mówiąc – nie najlepiej ukryci. Szybko zeskoczyliśmy na trawę, by obserwować przebieg bitwy zza stalowej bryły pojazdu.

Sytuacja nie wyglądała najlepiej. Mimo zjadłego ostrzału z dobrze okopanych stanowisk artyleryjskich i wieżyczek, kilkunastu barkom udało się dotrzeć do brzegu. Nie zważając na ogień z broni maszynowej, żołnierze Torrance'a rozpoczęli szturm na wzgórze.

Strzelali w biegu, od czasu do czasu miotając granaty w kierunku okopów. Czułem, że przegramy. Torrance wysłał przeciwko nam doborowy oddział piechoty. Leśnicy ginęli dziesiątkami...

I wtedy zdarzyło się coś kompletnie niedorzecznego.

Z głośników zamocowanych na tyczkach wokół obozu rozległa się muzyka. Miękki kobiecy głos zaczął śpiewać rzewną balladę, która niosła się echem po całej dolinie. Nawet huk strzałów, zmieszany z krzykami umierających, nie zagłuszył czarującej melodii.

Poczułem na ramieniu czyjaś dłoń.

– To nasz sygnał do odwrotu! – Gabriel otworzył właz w dachu Jumbo. – Właż! – W pośpiechu wcisnąłem się do wnętrza i zająłem jedno z przednich siedzeń. Obok mnie prześliznął się młody Latynos. Usadził się niżej, w kabinie kierowcy, i sekundę później silnik ryknął pełną mocą.

Wehikuł sunął już dość szybko na szerokich gąsienicach, gdy Gabriel zatrzęsął za sobą klapę

i opadł na fotel obok mnie.

– Widziałeś gdzieś Sama? – krzyknąłem.

– Widziałem. Jakiś czas temu biegł w stronę biura.

Gabriel odwrócił się, żeby spojrzeć na budynek dowództwa, z którego Leśnicy w pośpiechu wynosili sterty co ważniejszych dokumentów. Ładowali je wprost do czekających transporterów.

Łomot kul o pancierz naszego pojazdu kazał mi spojrzeć w stronę rzeki. Do brzegu przybijały kolejne barki desantowe, pełne ludzi w zielonych mundurach. Niektóre próbowały lądować na zbyt stromych odcinkach plaży – żołnierze wyskakiwali na piach i natychmiast osuwali się do wody, gdzie tonęli pod ciężarem własnego ekwipunku.

Mimo to większość napastników zdołała dotrzeć na suchy ląd. Nie wszystkim jednak udało się wdrzeć w głąb obozu. Z wieżyczek z karabinami maszynowymi sypał się na nich grad kul. Żołnierze padali jak muchy przy akompaniamencie ryku pocisków, huku eksplozji i wycia wyrzutni rakiet. Obozowisko znikło powoli w chmurach dymu, gęstszych od jesiennej mgły.

– Co z Samem? – zawołałem do Gabriela.

– Zabierze się transporterem... A tymczasem wynośmy się stąd.

– Dokąd?

Gabriel kiwnął głową w kierunku ogrodzenia i stojących za nim tryfidów.

– Tam, gdzie ludzie Torrance'a na pewno za nami nie pójda.

Nasz pojazd dołączył do pozostałych, sunących rzędem po trawiastym stoku. Jeden z nich zahaczył o podporę, na której spoczywał dach umywalni. Konstrukcja runęła na stalowy grzbiet transportera, ale ten jechał dalej, nie zważając na potężny balast. Niektóre pojazdy wyposażono w gniazda ciężkich karabinów maszynowych. Ich lufy pluły teraz czerwonymi liniami pocisków smugowych, dziesiątkując szeregi nieprzyjaciół.

Aż do tej chwili miałem cichą nadzieję, że jest szansa wygrać tę bitwę. Teraz jednak stukot kul bijących w pancierz naszego wehikułu przekonał mnie, że stanie się inaczej. Coraz więcej żołnierzy Torrance'a przedzierało się w pobliże siatek otaczających obóz i poruszało się wzdłuż nich, wykonując klasyczny manewr okrążający. Leśnikom pozostało już tylko jedno: ewakuacja.

To, co z początku zdawało się chaotyczną strzelaniną, zmieniało się stopniowo w uporządkowany odwrót. Jadące dotąd rzędem pojazdy rozpiezchły się na wszystkie strony, kierując się ku wyznaczonym sektorom ogrodzenia. Kolejno taranowały słupy, zrywały druty i siatkę, burząc strażnice i wyrwijąc się na wolność – w tryfidowy gąszcz.

Gabriel uśmiechnął się ponuro.

– Teraz obronę przejmą nasi duzi zieloni przyjaciele – rzekł, ruchem głowy wskazując czekające cierpliwie tryfidy. – Nie wydaje mi się, żeby ludzie Torrance'a chcieli stawić im czoło.

Nagle, jak na komendę, tryfidy ruszyły ku wyrwom w ogrodzeniu, by szukać zdobyczy w zrujnowanym obozowisku.

– To ta muzyka! – wrzasnąłem, przekrzykując ryk silnika. – Wabi je dźwięk!

Gabriel skinął głową, uśmiechając się z ponurą satysfakcją.

– Dlatego właśnie puszcza im piosenkę, a nie muzykę instrumentalną. One wprost uwielbiają dźwięk ludzkiego głosu.

Nasz Jumbo zbliżał się już do ogrodzenia, więc po raz ostatni obejrzałem się, by spojrzeć na pole walki. Napastnicy kontrolowali już trzy czwarte terenu. Pierścień umundurowanych sylwetek zaciskał się teraz wokół budynku dowództwa. Ostatnie transportery odjeżdżały w pośpiechu, unosząc

Leśników i ich cenny ładunek. Na dziedzińcu pozostał już tylko jeden, wyjątkowo duży wehikuł. Umieszczona w jego bliźniaczych wieżyczkach para karabinów maszynowych ze zdumiewającą skutecznością siała śmierć i zniszczenie w szeregach najeźdźców. Ludzie Torrance a kilkakrotnie przypuszczali szturm i za każdym razem załoga pojazdu odpierała atak.

Wreszcie zauważyłem Sama Dymesa, który wybiegł z biura niosąc worek z dokumentami nazbyt cennymi, by mogły dostać się w ręce wroga. Tuż za nim mknęła Jazmay, ostrzeliwując się z automatu.

Prędeż, prędeż... – powtarzałem w myślach, życząc im z całego serca, by zdążyli wskoczyć do transportera i bezpiecznie wymknąć się z okrążenia. I wtedy dostrzegłem żołnierza z długą czarną tubą, zajmującego pozycję nie dalej niż trzydzieści kroków od pojazdu. Potrzebował tylko chwili, by wycelować i nacisnąć spust. Z otworu wyrzutni wyrzelił kłęb dymu i pocisk, który rozpruł pancierz i zniszczył wnętrze wehikułu.

Wewnętrzna eksplozja oderwała wieżyczki od kadłuba maszyny, a płonący wrak jeszcze przez chwilę toczył się po trawie.

Patrzyłem na to wszystko z niedowierzaniem. Podmuch rzucił Sama i Jazmay na ziemię, ale już podrywali się do biegu, szukając schronienia za ścianami kantyny. Nawet gdyby udało im się tam dotrzeć, drewniane bale nie chroniłyby ich zbyt długo.

Odwrociłem się do Gabriela i chwyciłem go za ramię.

– Musimy zawrócić!

– Nie ma mowy. Zaraz będziemy bezpieczni...

– Sam i Jazmay są w pułapce.

Ciemne oczy Gabriela błyskawicznie oceniły sytuację. Włącznik mikrofonu pstryknął cicho.

– Kierowca?... Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. I przygotuj się na przyjęcie pasażerów. – Gabriel spojrzał na mnie spokojnie. – Pora zmówić paciorek, Davidzie. Wkładamy głowy w paszczę lwa.

25. Odwrót

Pędząc coraz szybciej i szybciej w dół, ku rzece, Jumbo zbliżał się z rykiem do budynku kantyny. Stojąc w oknie, Jazmay prula seriami w stronę zbliżających się napastników; Sam ukrył się za drzwiami i ostrzeliwał przedpole z rewolweru.

Sytuacja nie wyglądała najlepiej. Mimo ciężkich strat jeszcze trzydziestu żołnierzy podkradało się ku kantynie, zasypując solidne drewniane ściany deszczem kul.

– Musimy działać szybko – zawołał Gabriel. – Gdy tylko wyhamujemy przed budynkiem, otworzysz górny właz i wpuścisz ich do środka. Jasne?

Skinałem głową, mocno trzymając się stalowego drążka.

Nie czułem się bezpieczny w przezroczystej kabinie transportera. Wrażenie, że osłania nas tylko szkło, nie było przyjemne. Wiedziałem, rzecz jasna, że jest to szkło pancerne, ale jakoś nie miałem ochoty sprawdzać, czy nie da mu rady kula.

Nasz Jumbo stoczył się wreszcie ze skarpy i popędził dalej ubitą drogą, ku niedalekiemu już budynkowi.

Niekiedy o sukcesie lub porażce przesadzają sekundy. Wystarczyło przecież, żeby któryś z żołnierzy cisnął granat w otwarte drzwi kantyny... Tymczasem przed nami gromadził się coraz gęstszy tłum... Kierowca zwolnił nieco.

Gabriel był innego zdania.

– Jedź! – wrzasnął prosto w mikrofon, tupiąc w podłogę kabiny, by zaakcentować kategorię rozkazu. – Jak się świni nie rozstąpią, przejedziesz po nich!

Świnie się rozstąpiły.

Żołnierze prysnęli na boki przed rozpędzonym wehikułem. Obsypał ich tylko żwir, wyrzucony w powietrze przez pracujące zaciekle gaśnice.

– Przygotuj właz! – krzyknął Gabriel, po czym pochylił się nad kierowcą, by kazać mu podjechać nieco bliżej budynku.

Obserwowałem tłum żołnierzy, rozstępujący się przed nami jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Nie mogłem uwierzyć, że w tak krótkim czasie do obozu wdarło się aż tylu mężczyzn w zielonych uniformach.

Pospiesznie rozejrzałem się dokoła. Teraz już nie miałem wątpliwości: siedziba Leśników wpadła w ręce wroga. Prawda jednak była też taka, że ich triumf mógł być krótkotrwały. Ze wszystkich stron zbliżały się już tryfidy, w pospiesznym marszu groteskowo wychylające do tyłu i do przodu długie, zakończone kielichami łodygi. Dziesiątkami forsowały obalone w wielu miejscach ogrodzenie, nieomylnie podążając za zapachem świeżej krwi – zarówno obrońców, jak i napastników. Tej nocy czekał je bogaty w białko posiłek.

– Do diabła! – zaklął z uczuciem Gabriel.

Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem grupkę mężczyzn. Tym razem żaden nie zamierzał uskakiwać przed nami. Dwaj przyklękli i wymierzili w naszą stronę z długiej, czarnej rury.

Gabriel błysnął szeroko otwartymi oczami.

– Bazooka! Spadamy stąd!

To zdumiewające, ale w takich momentach sam instynkt przetrwania popycha człowieka do działania z nieprawdopodobną szybkością. Bez zastanowienia sięgnąłem po drążek sterzący z podłogi tuż przede mną i kciukiem wduśłem czerwony klawisz na jego szczycie.

Płomień iście biblijnych rozmiarów wystrzelił z miotacza umocowanego na przedzie pojazdu. Szybując z rykiem w powietrzu, kula ognia przypominała piękną, w pełni rozkwitłą różę.

Zanim wróg zdążył odpalić pocisk, dosięgły go płomień.

Zwolniłem spust. Strumień piekielnych ogni ustał. Zamknąłem oczy. Nie chciałem oglądać własnego dzieła.

Na szczęście nie musiałem. Sekundę później pojazd przemknął po tym, co pozostało z nieszczęsnych żołnierzy.

– Davidzie... Otwórz właz.

Pojazd stanął bokiem do budynku, zaledwie metr od wejścia. Sam Dymes, wciąż z torbą pełną dokumentów, przebiegł pod naszpikowaną kulami framugą. U wjazdu zatrzymał się nagle i gestem nakazał Jazmay odwrót. Dziewczyna zgrabnie skoczyła przez okno.

Zdażyła sięgnąć kłapy i spojrzeć na mnie ciemnymi oczami, i wtedy dosięgła ją kula. Jazmay skuliła się na ziemi, a jej piękne włosy szybko zabarwiły się czerwienią. Po chwili w niewidzących oczach zgasł ostatni płomyk życia.

Sam patrzył na to wszystko z niemą furią. Zeskoczył na ziemię i chwycił automat dziewczyny. Wyglądał tak, jakby chciał pobiec za zabójcą i natychmiast pomścić jej śmierć.

– Sam! Jest za późno! Wsiadaj! – zawołałem.

Dryblas niepewnie zatrzymał się w pół kroku. Pałał żądzą odwetu, ale, spojrzawszy na skulone ciało Jazmay, opanował się, z żalem potrząsnął głową i wskoczył z powrotem do kabiny.

– Kierowca, jazda!

Spojrzałem na niego, gdy przecisnął się obok i zajął miejsce za mną. W jego błękitnych, zwykle spokojnych oczach płonęły teraz żal i gniew. Płonęły z taką siłą, że poczułem na plecach ciarki.

– Dzięki – odezwał się zaskakująco cicho. A potem zapatrzył się w przestrzeń za oknem kabiny i pograżył w posepnych myślach.

Tym razem, gdy Jumbo pelzył po stoku wzgórza, nie miałem już skrupułów: gdy któryś z napastników próbował zastąpić nam drogę, posyłałem go do piekła strzałem z miotacza płomieni.

Zanim przekroczyliśmy granicę ogrodzenia, ślady naszego transportera – aż do miejsca, gdzie zginęła Jazmay – znaczył pas ognia, w którym smażyły się poskręcane ciała. Tym razem jednak nie zamknąłem oczu.

Gdy zapadła noc, uratowane z pogromu transportery stanęły kręgiem, niemal stykając się pancierzami. Znajdowaliśmy się dobrych piętnaście kilometrów od obozu, na równinie, która rozciągała się jak okiem sięgnąć. Widoczne gdzieś tam tryfidy spieszyły w stronę naszej zrujnowanej bazy.

Najwyraźniej zdążyły już przekazać sobie wiadomość:

„Przybywajcie na ucztę”...

Pojedynczo i grupkami wędrowały więc na północ.

Kiedy zebraliśmy się wszyscy, okazało się, że z bitwy udało się ujść z życiem nieco ponad setce Leśników. W zdecydowanie melancholijnym nastroju rozpaliliśmy ognisko pośrodku wolnej od tryfidów polany, wytyczonej przez masywne kształty pojazdów. Suchy prowiant i woda z manierek wystarczyły nam jako namiastka kolacji. A potem, pod ochroną strażników zbrojnych w karabiny i potężne latarki, ułożyliśmy się do snu.

Leżałem na trawie, spoglądając w gwiazdy. Orion – w dzieciństwie moja ulubiona konstelacja – wyglądał ostatnio nieszczęśliwie. Dawniej pięknie połyskujące pasmo gwiazd straciło swój blask. Czymkolwiek była ta mglista zasłona oddzielająca Ziemię od kosmosu, zachowywała się dość dziwnie –

jej gęstość wahała się znacznie. Czasem słońce przebijało się przez nią zaledwie jako krwistoczerwony dysk, czasem zaś świeciło z niemal normalną mocą. Tamtej nocy gwiazdy przykrywał mętny całun i tylko najjaśniejsze z nich prześwitywały szarawym blaskiem niczym zęby wiekowej czaszki.

Leżałem więc i patrzyłem na ten smutny widok, zanim zapadłem w sen pełen płonących ciał, okrzyków trwogi i wykrzywionych strachem twarzy. Bez końca przewijał się przed moimi oczami obraz padającej na ziemię Jazmay. Tyle że w moim śnie z jej głowy nie tryskała krew, lecz pędy tryfidów, które rosły błyskawicznie i spowijały budynki, kraje, a wreszcie cały świat...

Obudził mnie silny dreszcz. Tuż obok dojrzałem w mroku postać siedzącego mężczyzny. Smuzka dymu unosiła się z papierosa, którego trzymał między palcami. Był tak zamyślony, że zapomniał o strząsaniu popiołu, a ogień zdążył już strawić tytoń niemal do końca. Krótko mówiąc, Sam Dymes wyglądał tak, jakby troski całego świata zwały się nagle na jego barki.

Nie poruszył się, ale musiał wyczuć, że już nie śpię.

– Fatalna sprawa, Davidzie – szepnął. – Fatalna sprawa.

Usiadłem, z trudem poruszając zeszywniałymi członkami.

– Powiedziała mi wczoraj, że spodziewa się dziecka... – ciągnął Sam nieobecny głosem. – A jutro miała lecieć do domu. Do męża. Na urlop macierzyński... Jazmay była dobrą dziewczyną. Nie, nie dziewczyną... kobietą. Znałem ją od dziecka; odkad jej rodzina przyплыnęła z Irlandii jachtem połatanym papierem pakowym i obwiązany sznurkiem. Dziwna rzecz, to nasze życie... Nie zabawna, ale dziwna: czasem rzuca się na nas i gryzie. Jazmay czuła się taka szczęśliwa, że będzie mamą, a parę godzin później leżała martwa na ziemi... Takie sytuacje skłaniają do myślenia. O losie. O przeznaczeniu. – Choć Sam nie przestał mówić szeptem, z miękkim południowym akcentem, w jego głosie pojawiła się nuta gniewu. – Jak mogłem być taki głupi, Davidzie? Jak mogłem pozwolić, żeby tak nas zaskoczyli?

– Kutry torpedowe są szybkie. Zaatakowały, zanim się połapaliśmy.

– Przecież mieliśmy posterunki w dole rzeki! Nie wiem, widocznie minęły je tak szybko, że nikt nie zdążył nadać alarmu.

– Pewnie tak.

Sam umilkł i przez dłuższą chwilę dumał nad ludzkim przeznaczeniem, wpatrując się w ciemność oczami, w których płonęły teraz zimne, niebieskie ogniki.

– Wiesz, co najbardziej mnie wnerwia? To, że nie doceniłem obsesji zemsty, która opętała Torrance'a. Jasne, wiedziałem, że jest bezwzględny. Eliminuje każdego, kto mu się przeciwstawi. Ale nie podejrzewałem, że stać go na taką akcję. Nie dysponuje zbyt liczną armią i brakuje mu surowców, ale jego żądza zemsty jest... nieskończona. Musiał rzucić przeciwko nam całą swoją armię, spalić większą część rezerw paliwa i posłać w morze połowę floty... Mógł przy tym doprowadzić swoją kolonię do bankructwa, ale to się nie liczyło, bo przecież on czegoś chciał...

– No właśnie, czego? Mówiłeś przecież, że ta baza jest tylko jedną z kilkudziesięciu.

– Daj spokój, Davidzie, nie bądź naiwny.

– Słucham?

– Przyjrzyj się temu – powiedział, zgniatając w palcach papierosa i sięgając do kieszeni. – Odebrałem to jednemu z ludzi Torrance'a. Nie, nie miał nic przeciwko temu, bo właśnie zaczynał karierę nieboszczyka... Co ty na to? Zaczekaj, przecież nic nie widzisz w tej ciemności... Zaraz ci poświęcę. – Usłyszałem trzask zapalniczki. – O ile wiem, wszyscy żołnierze mieli takie drobiazgi

w kieszeniach albo za otokami hełmów. Teraz już wiesz, na czym tak bardzo zależało Torrance'owi.

W migotliwym świetle zapalniczki ujrzałem zdjęcie.

– Na mnie – powiedziałem, wzdychając ciężko.

– Ano właśnie. Szpiegdy Torrance'a obserwowali cię nieustannie, odkąd pojawiłeś się w Nowym Jorku. – Sam wsunął fotografię do kieszeni. – I od czasu do czasu pstrykali zdjęcia.

– Dlaczego ryzykował życie tylu najlepszych żołnierzy, żeby mnie dostać?

– Żywy czy martwy, jesteś dla niego bardzo cenny. Pamiętaj, że on wini twojego ojca za to, że stracił oko i został upokorzony. Gdybyś wrócił do Nowego Jorku w chłodni, wysłałby na wyspę Wight twoją głowę w słoiku. Gdybyś wrócił żywy, wykorzystalby cię jako zakładnika. Tak czy inaczej, użyłby ciebie, żeby dobrać się do twojego ojca i zemścić się.

– Wiesz, jak się teraz czuję? Zginęło dziś kilkudziesięciu twoich ludzi.

– Jak by na to nie patrzeć, jest tylko jeden winny: Torrance. To on ponosi wyłączną odpowiedzialność. To na jego rękach jest krew.

– Co teraz?

– Zostaniemy tu parę dni. Kiedy żołnierze się wyniosą, wrócimy do bazy, oczyścimy ją z tryfidów, naprawimy ogrodzenie, odbudujemy co trzeba... I pogrzebiemy to, co pozostanie ze zmarłych. Trochę to potrwa, ale damy sobie radę.

– Macie przecież samoloty bojowe. Możecie polecieć za ich statkami i zbombardować je w cholerę.

– Możemy – przyznał Sam. – Tylko że wielu naszych dostało się dziś do niewoli. I będą płynąć tymi statkami. Możemy tylko mieć nadzieję, że kiedyś odzyskają wolność.

– Ale do tego czasu czeka ich niewolnicza praca?

– Tak. – Sam skinął głową, w zamyśleniu gładząc palcem grzbiet nosa. – A schwytane kobiety wezmą udział w wielkiej operacji Torrance'a. Zostaną przymusowo zapłodnione i urodzą dzieci – ciągnął coraz bardziej znużonym głosem. – Najwyższy czas odpocząć – dodał po chwili, klepiąc mnie po ramieniu. – Ty też spróbuj pospać. Przed nami pracowite dni.

Sam oddalił się niespiesznie i usadowił się plecami do koła jednego z transporterów. Myślę jednak, że tej nocy nie udało mu się zasnąć. A jeśli nawet, to jestem pewien, że koszmary dręczyły jego poczciwą duszę aż do świtu.

26 Obraz i dźwięk

Następnego ranka ledwie zdążyłem włożyć buty, gdy Gabriel Deedes zaczął ciągnąć mnie za ramię.

– Davidzie... Chodź, spójrz i powiedz mi, co o tym myślisz. – Wyglądał jak człowiek, który właśnie odnalazł zaginiony skarb.

Poszedłem za nim na skraj obozu otoczonego linią szarzejących w porannej mgle masywnych kadłubów.

– Spodziewałem się, że wkrótce będziemy mieli towarzystwo – odezwał się po chwili. Rzeczywiście, pierwsze tryfidy kuśtykały już w naszą stronę. Choć nie mogły przedrzeć się przez stalową zaporę, musieliśmy uważać na ich wici tnące powietrze szybciej niż bykowiec we wprawnych rękach.

– Stań na tym pniaku, żeby cię dobrze widziały.

– Gabrielu – odparłem, posyłając mu spojrzenie, które moja matka nazwałaby staroświeckim. – Gabrielu, ja wiem, jak wygląda tryfid.

– Wiem. Mimo to stań na pniaku. Zaufaj mi; zaraz zobaczysz coś ciekawego.

– Przecież one...

– Nie, posłuchaj mnie – przerwał mi pospiesznie. – Coś się w nich zmieniło.

– Co masz na myśli?

– O ile się nie mylę, opanowały nową sztuczkę.

Stanąłem posłusznie na pniu, mniej więcej półtora metra nad ziemią. Jeśli nie liczyć szczytów łodyg i kielichów z wiciami, najbliższej stojących tryfidów nie widziałem, bo zasłaniały je nasze transportery. Za to mniej więcej sto metrów dalej grunt wznosił się nieco, a to oznaczało, że stojące na wzgórku rośliny widziałem w całości – od korzeni po czubek. I te właśnie postukiwały niespokojnie pałeczkami o włochate pniaki.

Spojrzałem na Gabriela pytająco.

– Co słyszysz? – spytał.

– Nic, poza terkotaniem tryfidów.

– Nie zauważyłeś, co się stało, kiedy wdrapałeś się na górę?

– A co się stało?

– Stań teraz nieruchomo na parę sekund.

– Gabrielu...

– Zaufaj mi, dobrze? – Mój przyjaciel mówił poważnie, choć sprawiał wrażenie dziwnie podnieconego, jakby właśnie odkrył coś bardzo istotnego.

– Dobrze. Co mam zrobić?

– Na mój znak staniesz nieruchomo na pięć sekund. Potem szybko uniesiesz ręce nad głowę i będziesz słuchał, co robią te tryfidy na pagórku.

Zrobiłem, co kazał.

Kiedy stałem spokojnie, słyszałem jednostajne bębnienie – brzmiało mniej więcej tak, jakby ktoś w zadumie stukał palcami o blat stołu. Kiedy tylko wzniosłem ramiona, stukanie zmieniło się w oszalały warkot, który ustał, gdy znowu przestałem się ruszać.

– Słyszałeś to? – spytał Gabriel z napięciem w głosie.

– Tak, ale co to oznacza?

– Te, które stoją najbliżej nas, tuż za maszynami, nie dołączyły do wrzawy. Tylko te, które cię widziały, nagle dostały szału. Zaczęły terkotać jak dzięcioły albo karabiny maszynowe. Nie „puk–puk–puk”, tylko „trrrr”.

– Twierdzisz, że zareagowały na mój ruch? Przecież zawsze wiedzieliśmy, że reagują.

– Tak, ale teraz coś się zmieniło. Odpowiadają na bodziec z większej odległości, a przy tym te, które stoją na górcie, skierowały w twoją stronę kielichy. Namierzały cię, jakby posługiwały się antenami radarowymi.

– Powiadasz, że przeszły przyspieszoną ewolucję? Dlaczego akurat teraz?

– A dlaczego nie? Kiedy zmieniają się warunki życia, wszystkie istoty muszą się do nich zaadaptować. Jeśli tego nie zrobią, idą do piachu, jak dinozaury, ptaki dodo czy tygrysy tasmańskie. – Gabriel w zamyśleniu potarł podbródek. – Moim zdaniem, kiedy słońce przestało świecić, doszło do błyskawicznych zmian w organizmach tryfidów. Do ewolucyjnego skoku.

– Przecież ewolucja wymaga tysięcy lat...

– Zwykle tak. Ale my nie mamy do czynienia ze zwykłymi istotami. Te rośliny najpierw swoim istnieniem zaprzeczyły prawom natury, a teraz piszą je na nowo. A wszystko to w jednym celu: by odziedziczyć po nas Ziemię.

Znowu poruszyłem ramionami i znowu to usłyszałem: tryfidy grzechotały pałeczkami tak szybko, że dźwięki zlewały się w jeden warkot.

– Tylko te na górcie reagują. Te za transporterami stoją spokojnie.

– Bo cię nie widzą – zawołał triumfalnie Gabriel. – Oczywiście słowo „widzą” należy ująć w cudzysłów.

Uśmiechnąłem się.

– Podejrzewam, że gdyby tu był mój ojciec, mielibyście o czym pogadać. Moja wiedza z botaniki jest cokolwiek skąpa – dodałem, zeskakując z pniaka. – Ale powiedz mi, Gabe, jak miałyby to funkcjonować? Przecież nikt jeszcze nie znalazł u nich oczu.

– Nie sądzę, żeby posługiwały się zmysłem optycznym.

– Nie? Chyba nie nadażam za tobą... Przecież...

– Nie, nie – przerwał mi, unosząc do góry palec. – Nie wszystkie zwierzęta używają oczu, żeby coś zobaczyć. Pamiętaj, że powiedziałem „widzą” w cudzysłowie. – Gabriel westchnął głęboko. – Weźmy na przykład delfiny. Mają oczy jak my, ale tropiąc ryby czy unikając kolizji ze skałami, polegają raczej na echolokacji.

– Mówisz o naturalnym sonarze?

– Tyle że nieskończenie bardziej wyrafinowanym niż te, które sami potrafimy budować. Sonar delfina wysyła sygnały mniej więcej trzysta razy na sekundę. Dźwięk odbija się od obiektu, a echo powraca do dolnej szczęki zwierzęcia, gdzie mieści się ucho środkowe, skąd trafia do mózgu, gdzie podlega obróbce. Zdumiewające jest to, że delfin nie słyszy dźwięku, lecz „widzi” go w sposób, który nie jest dla nas do końca zrozumiały. Wiemy, że postrzega obiekty trójwymiarowo. Co więcej, ponieważ dźwięk z łatwością penetruje miękkie tkanki organizmu, delfin widzi nie tylko zewnętrzne kształty ryby, ale także jej wnętrze: szkielet i niektóre bardziej spoiste organy wewnętrzne.

– Chwileczkę, Gabrielu. Chcesz powiedzieć, że tryfidy „widzą” echo dźwięków, które wydają tłukąc pałeczkami o pnie?

– Oczywiście. Uważam też, że odbierają to echo kielichami. Zastanów się tylko, przecież to idealne anteny. – Deedes kiwnął głową w stronę pojazdów. – Za to te, które są ekranowane przez

pancerze, nie mogą nas „zobaczyć”, bo sygnał napotyka przeszkodę. Gdybyśmy jednak usunęli transporter, dostrzegłyby nie tylko nasze kształty, ale najprawdopodobniej i to, co jedliśmy wczoraj na kolację.

– To dość przygnębiająca wiadomość. Roślina, która chodzi, słyszy i zabija, to wystarczający dopust boży. Teraz mają jeszcze widzieć w ciemności? – spytałem retorycznie. – To poważnie zwiększa ich szansę, prawda?

– Niestety – przytaknął Gabriel z obawą. – Pora zadać sobie pytanie, jaką jeszcze niespodziankę trzymają w zanadrzu.

Jeżeli tryfidy rzeczywiście szykowały dla nas przykrą niespodziankę, to na razie doskonale się maskowały. Tłum roślin wokół naszego tymczasowego obozowiska gęstniał z każdą godziną. Zachowywały się dość spokojnie, jeśli nie liczyć kiwania się na wietrze i sporadycznego postukiwania pałeczkami, ale bez wątpienia uważnie nas obserwowały – i to na wskroś, jeżeli hipoteza Gabriela była słuszna.

Kordon pojazdów zapewniał nam dobrą ochronę, ale i tak zachowywaliśmy czujność, by nie dać się zaskoczyć zatrutym wiciom. I na tym właściwie kończyła się nasza działalność. Pozostało nam tylko skracać sobie czas oczekiwania rozmową, pochłanianiem żelaznych racji prowiantu i urządzaniem sporadycznych wycieczek po chrust – naturalnie wyłącznie w strojach ochronnych, których najważniejszą częścią były pleksiglasowe cylindryczne hełmy.

Przez parę dni Sam Dymes właściwie się nie odzywał. Jeżeli już coś mówił, to urywanymi zdaniami, jakby ostatnie przeżycia odebrały mu wiarę we własne możliwości. Dopiero trzeciego dnia zaczął pomału wracać do siebie. Nadal odzywał się niechętnie, nie szczędząc nam typowych w jego mowie pochrząkiwań i pomruków, ale gdy już spodziewaliśmy się, że utknie na dobre i umilknie, słowa zaczynały wypadać z jego ust tak szybko, że trudno je było zrozumieć. Wprawiał wtedy w ruch całe swoje szczupłe i wysokie ciało; zaczynał gestykulować z ożywieniem i przechadzać się tam i z powrotem. Trudno było przerwać taki nagły słowotok.

Sam wysłał jeden z transporterów z dyskretną misją zbadania zrujnowanego obozu. Z raportu załogi wynikało, że żołnierze Tor-rance’a wynieśli się stamtąd na dobre.

Późnym wieczorem trzeciego dnia, jeszcze przed powrotem zwiadowców, odwiedzili nas goście – no, w pewnym sensie odwiedzili. Strażnicy zauważyli trzech mężczyzn maszerujących równiną w spokojnym rytmie wędrowców, którzy przywykli do przebywania pieszo dużych odległości. Natychmiast ogłoszono alarm. Leśnicy sięgnęli po broń, ale nie musieli jej użyć: przybysze postanowili obejść obozowisko szerokim łukiem.

Jeśli wzrok mnie nie mylił, byli to dwaj młodzi mężczyźni i starzec. Wszyscy trzej mieli długie, związane z tyłu włosy. Ubrani byli w bluzy z jaskrawej tkaniny, a na plecach dźwigali ciężkie plecaki, wypchane – jak sobie wyobrażałem – upolowaną zwierzyną lub skórami. Każdy niósł także na ramieniu łuk i kołczan pełen strzał.

Podobnie jak Indianie, których widziałem wcześniej, najspokojniej w świecie zagłębili się w tryfidowy zagajnik, jakby śmiertelnie niebezpieczne rośliny nie stanowiły dla nich większego zagrożenia niż dla nas jabłonie.

Algonkińscy myśliwi zatrzymali się tylko na chwilę, by spojrzeć na nas trochę podejrzliwie. Kiedy jednak przekonali się, że niczego nie knujemy, spokojnie ruszyli dalej, coraz głębiej w tryfidowy las, nie oglądając się za siebie.

Choć rośliny doskonale wyczuwały obecność Indian – widziałem, jak obracały ku nim kielichy z wiciami – to żadna z nich nawet nie próbowała atakować. Gabriel Deedes pilnie obserwował malejące sylwetki wędrowców.

– Gdyby udało się nam opanować taką sztuczkę, życie byłoby piękniejsze – rzucił zwięźle.

Mniej więcej godzinę później powrócił transporter wysłany z misją rozpoznawczą do obozu nad rzeką. Po krótkiej rozmowie z załogą Sam Dymes podszedł do mnie.

– Odpłynęli – stwierdził z kamienną twarzą. – Pora wracać. – Gestem nakazał swoim ludziom, by wsiadali do pojazdów.

Wracaliśmy do domu. Przyznaję, że bałem się trochę tego, co mieliśmy tam zobaczyć.

27. Powrót

Cóż mogę wam powiedzieć? Nic prócz paru banalnych zdań. Podróż do zrujnowanej bazy Leśników minęła nam w nastroju posępnego wyczekiwania. Rzeczywistość jednak okazała się jeszcze bardziej ponura niż nasze myśli.

Siły inwazyjne Torrance'a istotnie zniknęły i teraz zapewne pełną mocą silników sunęły na pomoc, do Nowego Jorku. A przed naszymi oczami rozpościerał się krajobraz po straszliwej rzezi. Gdy tylko minęliśmy dziury w ogrodzeniu, wpadliśmy w nowy gąszcz tryfidów, uczujących na ciałach żołnierzy – i naszych, i wrogów. Na plaży wały się szczątki barek desantowych rozbitych przez działa Leśników. Nieco dalej w górę rzeki dostrzegliśmy częściowo zatopione wraki wodnopłatów, zniszczonych przez wycofujących się najeźdźców. To było do przewidzenia – chcieli utrudnić nam życie tak bardzo, jak tylko się dało. Podobny los spotkał zapasy żywności i paliwa – to, czego nie zagrabili, zniszczyli. Po drewnianych zabudowaniach pozostały tylko czarne prostokąty spalonej ziemi.

Gdy tylko udało nam się oczyścić z tryfidów spory fragment obozowiska i odgradzić go linią pancernych transporterów, Sam Dymes wdrapał się na dach jednego z nich, by wygłosić mowę.

Powiedział, że czeka nas przykre zadanie i że ludziom, którzy oddali życie w obronie obozu, należy sprawić godny pochówek z wojskowymi honorami, a także wznieść pomnik na ich cześć. Wielu z nas dopiero wtedy zdało sobie sprawę z tego, jak wielkie było żniwo śmierci i zniszczenia. Niektórzy padli na kolana, Sam zaś ciągnął:

– Torrance sprawił nam krwawą jatkę, ale nas nie pokonał. A ten... barbarzyński atak nie powiódł się tak, jak planowano. Jego celem było przecież odbicie Davida Masena. Ta porażka oznacza, że strategia Torrance'a tkwi w martwym punkcie. Bez Masena niepodobna przeprowadzić inwazji na wyspę Wight, bo jej obrońcy mają dość samolotów, by zmiażdżyć nieprzyjacielską flotę. A jeżeli Torrance nie przejmie kontroli nad wyspą, nie położy łapy na maszynie rafinującej olej tryfidowy. Bez niej zaś nie będzie miał własnych sił powietrznych, więc... – Sam odwrócił się niespodziewanie na północ i w ataku nienawiści zaczął wymachiwać pięścią w stronę horyzontu. – Więc siedź sobie w tym swoim niebosiężnym pałacu, Torrance! Dla nas możesz tam nawet zgnieć! Zdradą i brutalnością osiągnąłeś tylko jedno: zbudowałeś sobie cholernie dobre więzienie. I choćbyś pękł, twoje zasmarkane, śmierdzące, chore imperium nie powiększy się ani o metr! – Przez chwilę myślałem, że Sam wyciągnie pistolet i w ślepej furii opróżni magazynek, mierząc w stronę dalekiego Nowego Jorku. Nagle jednak jego gniew ulotnił się bez śladu, a głos stał się normalny, spokojny. – No, dobra. A teraz bierzmy się do pracy.

Drużyny Leśników posuwały się metodycznie naprzód, tępiąc tryfidy. Wszyscy, którzy mogli, ubrani w ochronne kombinezony i połyskujące w słońcu, przezroczyste hełmy, wycinali roślinom wici i przewracali bezbronne ciała. Nadrzeczna dolina wypełniła się wkrótce wyciem pił łańcuchowych. Wydzielone grupy żołnierzy zajmowały się zbieraniem i identyfikacją zwłok. Ludziom Torrance'a zgotowano prawie równie uroczysty pogrzeb jak naszym.

Wkładałem właśnie gruby płócienny kombinezon, w którym zamierzałem latać porwane ogrodzenie, gdy znalazł mnie Gabriel. Zanim wyrzucił do pustej beczki zawartość kubelka, który przyniósł ze sobą, pozwolił mi do niego zajrzeć: pojemnik był pełen strzykawek.

– Znalazłem je przy żołnierzach Torrance'a – powiedział.

– Morfina?

Gabriel potrząsnął głową.

– Amfetamina. Byli tak napompowani, że pewnie wysiadając na brzeg, czuli się tak, jakby ktoś dolał im do żył paliwa raketowego – wyjaśnił, wycierając szmatą ręce, jakby dotykał czegoś nieczystego. – Biedacy, byli na takim haju, że nawet nie zauważali, kiedy dopadała ich kula. Torrance... Przemiliły gość, co?

Ogrodzenie było w oplakany stanie. Pocąc się w grubym skafandrze i hełmie, zacząłem od użycia nożyc do metalu. Wyciąłem splecione resztki siatki, przygotowując słupki dla zespołu zakładającego nowe druty nośne. Po mojej prawej stronie, sto metrów dalej, ktoś – przez obszerny skafander trudno było powiedzieć, czy to kobieta, czy mężczyzna – robił dokładnie to samo. Zwijalem porwane druty w niezbyt przyjaznych warunkach: drapieżne rośliny albo miały mnie, spiesząc do obozu (gdzie czekały na nie dobrze uzbrojone drużyny antytryfidowe), albo też przystawały i dla sportu celowały wiciami w moją głowę. Co pewien czas w hełm łomotały zatrute bicze, a ja irytowałem się coraz mocniej.

Mimo to pracowałem bez wytchnienia. Ciąłem drut, wyrywałem go z gąszczy stratowanych podczas naszej ucieczki tryfidów i oczyszczałem z najdziwniejszych przedmiotów, takich chociażby jak jasnozielona deska sedesowa, która jakimś cudem znalazła się aż tu.

Zastanawiałem się przy tym, czy dowództwo Leśników, odległe o dobrych kilkaset kilometrów na południe, wiedziało już o ataku Torrance'a na nasz obóz. W czasach gdy nawet duże miasta bały się ujawniać światu swoje istnienie, wiele społeczności całkowicie rezygnowało z używania nadajników radiowych. Zamiast nowoczesnej łączności stosowano bardziej tradycyjną metodę – doręczanie wiadomości przez posłańców. Wobec tak daleko posuniętej podejrzliwości, graniczącej z paranoją, czarno widziałem perspektywy przyszłego formowania sojuszy obronnych czy usprawniających handel. Może mój ojciec miał rację? Może ludzkość jest skazana na życie w odizolowanych koloniach, które z czasem zdegenerują się i przestaną istnieć?

Nawet teraz, gdy owoce podłej roboty Torrance'a mogłem nie tylko oglądać, ale także wyczuć – a to za sprawą wysokiej temperatury i legionów bakterii pożywiających się martwymi ciałami – nie przestawałem zastanawiać się nad dziwną naturą dyktatora. Owszem, był brutalny. Tak, wywoływał wojny. Rzeczywiście stosował drakońskie metody. A jednak... do parcia naprzód zmuszała go wizja lepszej przyszłości. Metody przyjął niesłuszne, za to cele – bardzo szczytne.

Pograżyłem się w myślach, kłapiąc rytmicznie nożycami. Pograżyłem się tak głęboko, że nie zauważyłem, kiedy się zjawili. W jednej chwili widziałem tylko kudłate pniaki tryfidów i masę ciemnozielonych liści, a w następnej zdałem sobie sprawę, że patrzę na cztery istoty ludzkie obserwujące mnie z uwagą.

Odruchowo spojrzałem na strzelbę, którą oparłem o słupek. W tej samej chwili młoda kobieta o kruczoczarnych włosach napięła cięciwę łuku i wypuściła strzałę. Pocisk przemknął obok mnie z głośnym świstem i wbił się w drewnianą kolbę broni, rozszczepiając ją niemal na dwoje.

Zamarłem, wpatrując się w tajemniczą czwórkę. Przez zaokrągloną ściankę hełmu wyglądali dość niezwykle, bardziej jak upiory niż jak prawdziwi ludzie. A jednak bez trudu dostrzegłem, że dziewczyna znowu zakłada strzałę na cięciwę i unosi łuk tak, by celował wprost w moją pierś. Cięciwa naprężyła się mocno...

28. Przybysze

Mój ojciec napisał kiedyś: „Z tego rodzaju ostrzeżeniami nie zwykłem dyskutować”. A jego syn przypomniał sobie te słowa aż nadto wyraźnie, spodziewając się, że lada chwila ostra strzała wbije się ze świstem w jego serce.

Na znak pełnej uległości uniosłem ręce do góry. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem; ja – ubrany w ochronny kombinezon z przezroczystym hełmem i czworo Indian w barwnych tunikach, w żaden sposób nie broniących smagłych ciał przed jadem roślin. A jednak stali w gęstwinie tryfidów. Młody mężczyzna rozchylił liście, które zasłaniały mu widok... dziwny widok, zdałem sobie sprawę. Troje Indian nie przekroczyło dwudziestki; czwarty mógł mieć pięćdziesiąt albo nawet siedemdziesiąt lat i przyglądał mi się uważnie czarnymi oczami.

– Naome, opuść łuk – polecił, kiwając głową w moją stronę. – Nie szukamy kłopotów.

Wpatrywałem się w niego nieruchomo.

Stary Indianin uśmiechnął się.

– Chyba nie spodziewał się pan, że powiem coś w stylu: „Moja skalpować biały człowiek”?

Z elegancją zawodowego dyplomaty skinął lekko głową.

– Dzień dobry. Nazywam się Ryder Chee. To moja córka, Naome, a to synowie, Isa i Theo. – Sposób mówienia zdradzał, że mam do czynienia z doskonale wykształconym człowiekiem.

– David Masen – przedstawiłem się. Mój niespokojny oddech okrył parą wewnętrzną powierzchnię hełmu. – Pozwoli pan, że opuszczę ręce?

– Ależ naturalnie, Davidzie Masenie. Przepraszam, że uszkodziliśmy ci strzelbę, ale woleliśmy upewnić się, że nie wypali pan w naszą stronę, a potem dopiero zacznie pytać.

Odzyskując z wolna pewność siebie, zapytałem, czy mogę im w czymś pomóc.

Chee uśmiechnął się.

– To my przychodzimy wam z pomocą. W końcu jesteście naszymi najbliższymi sąsiadami.

Podziękowałem grzecznie i zaprosiłem przybyszów do obozu, gdzie szybko odszukaliśmy Sama Dymesa pogrążonego w dyskusji z Gabrielem na temat harmonogramu prac.

Gdy znaleźliśmy się wewnątrz ogrodzenia, z ulgą zrzuciłem niewygodny skafander. Świeże powietrze pachniało wprost oszałamiająco. Wziąłem głęboki wdech i przedstawiłem przyjaciółom czworo niespodziewanych gości.

Chee uklonił się Samowi.

– Pan jest dowódcą – raczej stwierdził niż zapytał. – Proszę wybaczyć najście w tak pracowitej godzinie, ale, jak rozumiem, macie tu sporo rannych.

– Zgadza się – odparł nieufnie Sam. – Wie pan na pewno, że parę dni temu przeżyliśmy tu ciężkie chwile.

– Owszem, widzieliśmy bitwę. – Indianin miękkiem głosem powiedział coś do swoich dzieci. Młodzi szybko zsunęli z ramion plecaki i ustawili je na ziemi. – Przedyskutowaliśmy waszą sytuację i doszliśmy do wniosku, że będziecie potrzebować medykamentów. Przynieśliśmy czyste bandaże, sterylne opatrunki, mydło i penicylinę.

– Penicylinę?

– Tak. Produkujemy ją wyłącznie w tabletkach, bo brakuje nam igieł do strzykawek. Mamy też środki przeciwbólowe.

Sam był wyraźnie poruszony. Przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa, ale kiedy wreszcie

się odblokował, zaczął mówić aż za bardzo kwieciście.

– Dziękuję. Po stokroć dziękuję. Nie ma pan pojęcia, jak wiele to dla nas znaczy. Skończyły nam się zestawy pierwszej pomocy, a zapas lekarstw spłonął razem z kliniką. – Uśmiechając się od ucha do ucha, Sam zaczął entuzjastycznie ścisnąć ręce gości. – Raz jeszcze najserdeczniej dziękuję. Dziękuję... Nie będę oszczędzał tego słowa... Przyznaję, drodzy przyjaciele, że ratujecie nam życie... choć sami doskonale wiecie, że tak właśnie jest. Do licha, naprawdę nie wiem, jak się wam odwdziaczyć. Tak się cieszę, że przyszliście...

– Jesteśmy sąsiadami, a wy potrzebowaliście pomocy.

– Jaki piękny, chrześcijański gest... że tak powiem. No, ale gdzie moje maniery? Siadajcie, proszę... Tak, tak... Tam, na poduszkach. Tak się złożyło, że przyjmujemy was w tej prowizorce, ale... Na pewno mamy gdzieś trochę kawy i świeżego chleba. Znaleźliśmy jedną sprawną kuchnię. Trzeba dziękować Opatrzności za te drobne cuda...

– Dziękujemy za kawę – odezwał się Chee dystygowanym tonem. – Wolałbym, jeśli to możliwe, napić się herbaty.

– Herbaty? Gabrielu, mamy jeszcze herbatę? Chyba nie... Zaraz, czy nie przywieźliśmy jednej puszki w schowku transportera?

Gabriel uśmiechnął się.

– Zaraz się tym zajmę. – Po chwili młodzik, z którym zamienił kilka słów, popędził w stronę wehikułu. – Kawa i herbata w drodze – oświadczył mój przyjaciel. – A nasi medycy zajmą się prezentami – dodał, wskazując na plecaki.

Gabriel przysiadł obok mnie. Stary Indianin przypatrywał się spod półprzymkniętych powiek resztkom obozowiska, nie kryjąc smutku.

– Czy waszych kłopotów nie dałoby się rozwiązać w sposób pokojowy? – zapytał po dłuższej chwili.

Sam westchnął ciężko.

– Mam nadzieję, że kiedyś dojdziemy i do tego. Na razie jednak druga strona nie pali się do rozmów.

– Musi wam się nieźle powodzić, skoro sami produkujecie leki i opatrunki – stwierdził Gabriel.

– Nie ma mowy o masowej produkcji, ale na nasze potrzeby wystarcza. Widzę, że próbujecie ciągnąć mnie za język – zauważył z uśmiechem Chee.

Sam kiwnął głową.

– Owszem. Jesteśmy ciekawi, jak sobie radzicie. Cholernie ciekawi.

Chee nie wyglądał na obrażonego tym szczerym wyznaniem.

– To zupełnie naturalne. Cóż, należę do plemienia Algonkinów. Swego czasu studiowałem medycynę, ale przeniósłem się na psychiatrię po błyskotliwym wykładzie pewnego szwajcarskiego psychologa. Korespondowałem z nim nawet i po paru miesiącach zaprosił mnie, żebym dołączył do grupy studentów w jego domu koło Bazylei. Spędziłem tam całą zimę. Naprawdę inspirujące doświadczenie.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Gabriel, unosząc brew. – Słynny szwajcarski psycholog? Chyba nie mówi pan o Carlu Gustavie Jungu?

– Właśnie o nim. Interesowały go przede wszystkim sny rdzennych mieszkańców różnych stron świata, a ja akurat zaliczałem się do tej kategorii. Tak się jednak złożyło, że dowiedziałem się od niego więcej niż on ode mnie. W kwietniu, dokładnie trzydzieści lat temu, powróciłem do Ameryki, do

rodzinnego rezerwatu. Na miejscu stwierdziłem, że nasz szaman, stary i wyjątkowo kłótlivy typ, popadł w nową obsesję. Na początku maja dosłownie zmusił całą wioskę do zejścia w tunele nieczynnej kopalni srebra. Twierdził, że musimy schronić się tam przez Zagładą. Większość z nas usłuchała go dla świętego spokoju. Zostaliśmy pod ziemią przez trzy dni i trzy noce. Szaman przez cały czas kreślił na piasku znaki, sypiąc kolorową glinę i ziarna pszenicy. Twierdził, że wróżby ostrzegły go o katastrofie i że nie wolno nam wyjść na powierzchnię, póki nie minie niebezpieczeństwo. Tak, panowie, uwierzyłem mu. Nie przez wzgląd na dawną religię mojego plemienia, lecz dlatego, że pamiętałem sentencję, którą Jung lubił powtarzać przy stole. Był to krótki cytat z Goethego: „Nadchodzące zdarzenia rzucają przed sobą cień”. I rzeczywiście, nim doszło do Oślepienia, wydawało mi się, że dostrzegam dziwne zachowanie zwierząt. Jeden z naszych pasterzy został stratowany przez bydło. Ptaki, zamiast wic gniazda, zaczynały migrować. Ryby odpływały na głębokie wody, jakby to była zima, nie wiosna. – Chee rozłożył szeroko otwarte dłonie. – Szaman miał rację. Zagłada istotnie nadeszła, w dobrze wam znanej formie. Podczas tej pamiętnej nocy zielone błyski rozświetliły niebo. Wiedzieliśmy o tym od dwóch młokosów, którzy zlekceważyli ostrzeżenia starca i wyszli na powierzchnię, żeby się rozejrzeć. Rankiem obaj byli już niewidomi. Jednak z grupy liczącej trzysta osób dwieście osiemdziesiąt przetrwało Oślepienie.

– I to w świetnej formie – dorzucił Sam. – Widzę, że ma pan wspaniałą rodzinę.

– To moje najmłodsze dzieci. Tak się składa, że mają bratanków i siostrzenice starszych od siebie.

– A więc wasze plemię powróciło do starych zwyczajów?

– Do niektórych. Dawno temu, kiedy przybyli tu biali, udało im się odebrać nam nie tylko ziemię, ale i złudzenia. Widzi pan, przez tysiące lat wierzyliśmy, że jesteśmy strażnikami słońca. Że to nasze rytuały sprawiają, że słońce świeci, dając ciepło wszystkim ludziom na Ziemi. Byliśmy dumni z tej odpowiedzialności. Misjonarzom udało się jednak, jak już powiedziałem, odebrać nam te złudzenia. Niestety, nie potrafili zaszczepić nam nowych. Ci z nas, którzy mieli szczęście, byli tylko zawiedzeni... wielu jednak cierpiało znacznie poważniej. Mnożyły się depresje, niejednokrotnie przechodzące w ostre psychozy. Straciliśmy wolę życia. Wielkie Oślepienie sprawiło, że zaczęliśmy na nowo odkrywać siebie. I choć brakowało nam wiary w starych bogów, spróbowaliśmy odkryć ich i zinterpretować na nowo, pomagając sobie nauką Junga. W taki sposób stworzyliśmy silną wiarę, opartą bardziej na duchowości niż dogmatach. – Indianin zmierzył nas wzrokiem spod półprzymkniętych, ciężkich powiek. – Ale podejrzewam, że to panów raczej nie interesuje. Musicie jednak pamiętać, że żyjemy w nowej erze. Oślepienie unicestwiło Stary Świat, a nowa era domaga się nowej wiary. Proszę spojrzeć na dawne społeczeństwa. Rozkwiwały, odkrywając nowych bogów i przyjmując nowe religie. Upadały, gdy zaczynały tracić wiarę.

– Sugeruje pan, że powinniśmy przyjąć nową religię? – spytał Gabriel, marszcząc brwi. – Moim zdaniem to tylko jeszcze jedno narzędzie ucisku.

– A dlaczego nie? Proszę jednak nie mylić Boga z religią. Te sprawy trzeba rozpatrywać osobno. Proszę rozważyć kwestię religii jako nowego sposobu na życie. Porównałbym ją do zbioru praw, tworzących konstytucję państwa.

Młody Leśnik przyniósł kubki z herbatą i kawą. Gabriel nie mógł dłużej powstrzymać się przed zadaniem najważniejszego pytania.

– Chcielibyśmy wiedzieć jeszcze jedno...

– Nie wątpił, że dojdziemy i do tego – przerwał mu Chee, kiwając głową. – „Jak to możliwe,

że wasi ludzie przechadzają się bezpiecznie po tryfidowym lesie?”.

Sam ścisnął w dłoniach gorący kubek.

– Ano właśnie. To prawdziwa zagadka.

– Czy mogę dotknąć pańskiej twarzy? – Chee wyciągnął rękę w stronę mojego podbródka.

Zaskoczony, skinąłem głową. Ciemne palce, twarde jak garbowana skóra, dotknęły lekko mojej szczęki.

– Zarost – powiedział. – A teraz proszę dotknąć mojej.

Zrobiłem to.

– Czuje pan? – Indianin uśmiechnął się szeroko. – Gładka jak skórka arbuza. Ani śladu zarostu.

– Nie odpowiadając wprost na pytanie Gabriela, Chee ciągnął dalej: – Dwadzieścia lat temu tryfidy po raz ostatni zabiły człowieka z mojego plemienia.

– A potem?

– Od czasu do czasu atakowały kogoś, ale nigdy ze skutkiem śmiertelnym. Od piętnastu lat już tryfidów nie ma na nas żadnego wpływu. Czujemy tylko siłę uderzenia wici.

Gabriel zmarszczył brwi.

– Ale w jaki sposób, pańskim zdaniem, staliście się tak odporni?

– Myślę, że częściową odpowiedzią na to pytanie jest demonstracja, którą przed chwilą widzieliście. Macie zarośnięte twarze. To dla nas coś nietypowego. Mam pięćdziesiąt pięć lat i nigdy w życiu nie miałem na brodzie nawet jednego włosa. Zapewne wiedzą panowie o istotnych różnicach biologicznych między Indianami amerykańskimi a przybyszami z Afryki i Europy. Proszę na nas spojrzeć: proste, czarne włosy, masywne powieki, nieco azjatyckie rysy... szerokie twarze, miedziana skóra. – Chee dotknął swojego policzka. – Wystarczy spojrzeć głębiej, żeby dostrzec więcej różnic. Niewielu z nas ma owłosione ciało, za to często miewamy szerokie siekacze; nie spotyka się u nas krwi grupy B i rzadko stwierdza się obecność aglutynogenów N, za to badania odczynu Diego często dają pozytywny wynik. Krótko mówiąc, panowie, matka natura zmontowała nas nieco inaczej niż was.

– I na tym polega cały sekret? – Byłem niemal zawiedziony. Spodziewałem się, że usłyszymy coś na temat szczepionki przeciwko jadowi tryfidów. – Różnica w składzie krwi i ustawieniu chromosomów sprawia, że jesteście odporni, a my nie?

– Być może.

Gabriel myślał nieco szybciej niż ja.

– Przecież wspominał pan, że był to stopniowy proces. Ponad dwadzieścia lat temu zdarzały się jeszcze śmiertelne przypadki, a potem, po kilku sezonach, nagle staliście się odporni.

– To prawda – przyznał Chee. – Podejrzewam, że naturalną skłonność organizmu wzmocniła dieta, oparta w dużym stopniu na przetworzonych tryfidach. Pamiętam, że w młodości regularnie jadłem sałatki warzywne przyprawiane miazgą z wici tryfida. Nie był to oczywiście produkt naszej kulinarnej fantazji, tylko efekt przymusu ekonomicznego.

– Tak więc stopniowe pochłanianie jadu tryfidów, rozciągnięte w czasie, przyspieszyło powstanie przeciwciał? – Gabriel w zamyśleniu szczyptał dolną wargę. – A teraz, po latach, dysponujecie swobodą ruchów, która daje wam wielką przewagę nad innymi społecznościami.

– Wyjątkową przewagę – dodał bez złośliwości Chee. – Przyznaję też, że daje nam sporą satysfakcję.

Nie bardzo wiedzieliśmy, jak odpowiedzieć na te słowa. Oto mieliśmy przed sobą człowieka, który wraz ze zdrową i liczną rodziną należał do silnej, niezależnej wspólnoty spojonej nową wiarą. Wiarą dającą moc, poczucie celu i godność. Po raz pierwszy spotkałem ludzi, którzy nie ucierpieli

wskutek Oślepienia i inwazji tryfidów. Dla nich kataklizm sprzed trzydziestu lat nie był początkiem końca, lecz wybawieniem.

Gdy czworo Indian opuściło nasz obóz, powróciliśmy do przerwanej pracy. Usuwałem zerwaną siatkę tak skutecznie, że o zmierzchu słupki były gotowe do przyjęcia nowych drutów nośnych. Wyczerpany, wsunąłem się pod koc w bezpiecznym kręgu transporterów. Na pancerzu jednego z nich przysiadł wartownik z gitarą. Grał melancholijną, piękną melodię. Balansując na granicy jawy i snu, przypominałem sobie rozmowę z Chee i jego mądre, stare oczy. Mówił o biologicznych różnicach w składzie krwi, a ja wciąż wracałem myślą do chwili, kiedy wraz z rodziną maszerował przez zwarty, tryfidowy gaj.

W pewnej chwili usiadłem na posłaniu.

– Christina – szepnąłem. Ta myśl pojawiła się w mojej głowie nagle, jakby z boskiego natchnienia: Christina także biegła pośród tryfidów. Widziałem to na własne oczy. Jest odporna na jad.

Ale niech mnie diabli, jeśli ta dziewczyna ma w swoich żyłach choćby kroplę indiańskiej krwi...

29. Rekonstrukcja

Nie sądzisz, że to niezły cwaniak? – spytał Gabriel, gdy staliśmy na brzegu rzeki.

– Ryder Chee?

Gabriel skinął głową.

– Gadał o stworzeniu dla swoich ludzi czegoś w rodzaju religii według Junga, a moim zdaniem po prostu wpaja im wiarę w jeszcze jedną iluzję.

– A czy my, w pewnym sensie, nie żyjemy złudzeniami? Czy nie mówi się, że sama cywilizacja jest iluzją? Że jeśli przestaniemy w nią wierzyć, to przestanie istnieć? A skoro cywilizacja, która jest dla nas tylko.. – zawahałem się, szukając odpowiedniego słowa – ...wygodną iluzją, sprawdza się doskonale w naszym przypadku, to dlaczego złudzenia kreowane przez Rydera Chee miałyby być gorsze?

– Dlatego, że nie patrzy prawdzie w oczy. Przecież musi wiedzieć, co powiedział sam Jung: że iluzje psychotycznego umysłu są próbą wykreowania nowej wizji świata. Chee, jak by na to nie patrzeć, stworzył z gruntu psychotyczną społeczność.

– Może jestem ciemniakiem, Gabe, ale moim zdaniem, jeśli dzięki temu ludzie są pełni energii, szczęśliwi i z optymizmem patrzą w przyszłość, to... dlaczego nie mieliby żyć iluzjami?

Gabriel spojrział na mnie z ukosa.

– Wiesz co, Davidzie?

– Co?

– Wiesz, na czym polega mój problem z Ryderem Chee? – spytał, rozciągając wargi w uśmiechu. – Jestem zazdrosny. Wprost zielony z zazdrości, jak te tryfidowe liście. A to dlatego, że Chee i jego ludzie mają coś więcej niż naturalną odporność na jad tego diabelstwa – rzekł, kiwając głową w stronę zagajnika rozpoczynającego się tuż za siatką ogrodzenia. – Mają społeczność, w której wszystkie trybiki pracują gładko jak silnik rolls royce'a.

– Więc czy byłoby sensownie skorzystać z ich pomysłów?

– Może – przyznał, szczerząc zęby. – Nowi bogowie zamiast starych, co, Davidzie?

Kobieta płynąca łodzią machnęła do nas ręką.

– To znak. Ciągnij linę.

Podał mi koniec sznura, a sam chwycił go nieco bliżej wody. Czterdzieści kroków dalej w górę rzeki dwaj mężczyźni uczynili to samo i razem zaczęliśmy ciągnąć. Spodziewałem się, że nie będzie to zbyt trudne, tymczasem lina zachowywała się tak, jakby przykuto ją do dna.

– Diabelstwo – stęknął Gabriel, naprężając potężne mięśnie ramion. – Kto by pomyślał, że łowienie ryb to taka ciężka praca.

Ciągnęliśmy z całych sił i wreszcie coś się ruszyło. Na powierzchni wody ukazał się półokrągły kontur sieci i z wolna zbliżał się do plaży. Pięć minut później wydobyliśmy ciężar na brzeg. Błyskając kroplami potu na czole, Gabriel z niesmakiem pokręcił głową na widok naszej zdobyczy.

– Tyle wysiłku dla czegoś takiego?

W sieci trzepotało się nie więcej niż tuzin ryb, i to wątpliwej wartości odżywczej. Przyjrzawszy się mizernym efektom naszej pracy, zaczęliśmy rozplątywać sieć. Najmniejsze ryby wrzucaliśmy z powrotem do wody, większe – od razu do kosza.

– Zupa rybna z pędami tryfidów. – Gabriel z obrzydzeniem zmarszczył nos. – Coś wspaniałego.

Wyrываяc z sieci garść wodorostów zaklął nagle, skrzywił się i oderwał od małego palca szczypcę raka. Possał przez moment rankę i uśmiechnął się do mnie krzywo.

– Czy ja wpadam w paranoję, Davidzie, czy też matka natura uwzięła się na nas? – spytał, wrzucając skorupiaka do kosza, skąd miał trafić do zupy. – Co ja bym dał za soczysty stek. Za stertę sałatki ziemniaczanej. Za złociste frytki. Kremowy majonez. Chrupiącą sałatę. Słodkie pomidory. Kufel lodowatego piwa. Ile...

– Cii... – przerwałem mu, unosząc dłoń. – Słyszysz coś?

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, nasłuchując. Spojrzałem na ginące w oddali wody rzeki, skąd zdawał się dochodzić dźwięk. Zauważyłem jednak tylko srebrzyste błyski fal. Stado ptaków, zaniepokojonych dźwiękiem, poderwało się do lotu z pobliskich wierzb.

Rysy Gabriela stwardniały.

– Do diabła, tylko nie znowu...

Nasi towarzysze już biegli w stronę obozu, by zabrać pozostawioną tam broń. Nieco dalej wieżyczka jednego z transporterów obróciła się w stronę górnego biegu rzeki, celując w dal dwiema lufami ciężkich karabinów maszynowych.

Ja tymczasem wsłuchiwałem się w daleki odgłos silników. Dźwięk był niezupełnie taki, jaki powinien być, ale nie mogłem się mylić.

– Zaczekajcie! – krzyknąłem. – Wstrzymać ogień! – Zbiegłem na sam brzeg, by jeszcze raz spojrzeć na rzekę.

– David! Wracaj do okopu, zanim zaczniesz się strzelanina! – zawołał Gabriel.

– Nie! To silniki samolotu! – Wreszcie domyśliłem się, co zdziwiło mnie w ich odgłosie. Hydroplan nie leciał, lecz sunął po wodzie.

Zobaczyłem go chwilę później. Zza zakrętu rzeki płynął ku nam potężny, czterosilnikowy wodnopłat. Natychmiast rozpoznałem elegancką sylwetkę boeinga clippera, czemu trudno się dziwić, skoro w dzieciństwie przez lata spałem pod pięknym, kolorowym plakatem przedstawiającym taką właśnie maszynę.

Silniki hydroplanu ryczały basowo, a rozpędzone wirniki przypominały srebrne talerze. Samolot płynął w stronę przystani, popychając ku brzegom fale tak silne, że docierały prawie do moich stóp.

Leśnicy witali go gromkimi wiwatami.

Gdy załoga dotarła na brzeg, dowiedzieliśmy się, że to jedyna maszyna, która przetrwała niedawny atak na bazę. Tak się złożyło, że grupka pilotów gawędziła z personelem naziemnym w pobliżu samolotu, gdy na rzece pojawiły się kutry torpedowe. Zachowali się przytomnie: wskoczyli do hydroplanu, odpalili silniki i czym prędzej wynieśli się z rejonu bitwy. Zamierzali dotrzeć do sąsiedniego obozu i powrócić z posiłkami, jednak gdy kobieta pilot spojrzała na wskaźnik poziomu paliwa, stało się jasne, że nic z tego nie będzie. Dlatego też, pokonawszy dystans pięciu kilometrów, posadziła maszynę na wodach jednego z dopływów rzeki. Tam, podobnie jak my w naszych transporterach, piloci przyczaili się na kilka dni, zanim doszli do wniosku, że nie zaryzykują zbyt długo, płynąc maszyną z powrotem do obozu.

Sam trawił przez chwilę te nowiny.

– Dzięki temu, że nie straciliście zimnej krwi, mamy choć jeden sprawny samolot. Myślę, że przede wszystkim trzeba załatwić dwie sprawy: po pierwsze, piloci muszą polecieć do Stawu Kolumba po nowe maszyny. Po drugie, trzeba zawiadomić Kwaterę Główną o ataku. Dowództwo nie wie jeszcze, że nie udało nam się wyrwać Christiny z Nowego Jorku. Zdaje się, że szefowie będą wściekli, kiedy się

o tym dowiedzą... – dodał po chwili z kwaśną miną. – Cóż, tak bywa na wojnie – zakończył, wzruszając ramionami.

Podczas gdy personel naziemny tankował hydroplan resztkami paliwa, znalezionymi w porzrzucanych tu i ówdzie kanistrach i beczkach, udało mi się złapać na chwilę Sama Dymesa.

– Co to właściwie jest ten Staw Kolumba? – spytałem.

– Jezioro. Mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów stąd w górę rzeki. Trzymamy tam rezerwę samolotów – odparł i ruchem głowy wskazał na otaczające nas wypalone ruiny. – Na wypadek takiej właśnie sytuacji.

– Ile ich macie?

– Chyba z pół tuzina.

– I tylko czterech pilotów?

– Mów dalej.

– Nie byłoby źle, gdybym poleciał z nimi, prawda? Przydam się, potrafię przecież latać.

Sam spojrział na mnie jasnoniebieskimi oczami i poczułem, że właśnie dokonuje całkiem nowej oceny człowieka, którego poznał w niecodziennych okolicznościach, po narkotycznym śnie i dwudniowej podróży z Nowego Jorku na południe.

– Czy to znaczy, że... oferujesz nam pomoc?

– Tak. Czemu nie?

– Rzecz w tym, że... Powiem ci, co myślę, Davidzie. Myślę, że to bardzo ważna chwila. To punkt zwrotny w naszych stosunkach, a ściślej, w stosunkach między tobą a nami, Leśnikami.

– Chyba nie kojarzę, o co ci chodzi. Sądziłem po prostu, że przyda wam się pomoc...

– Przyda się i jestem wdzięczny, że ją zaproponowałaś. Dziękuję też Opatrzności, że zesłała nam jeszcze jednego doświadczonego pilota. Ale najpierw muszę cię o coś zapytać, Davidzie. Czy ty... przyłączasz się do nas?

Teraz dopiero zrozumiałem, o co mu chodziło. Dotarliśmy do punktu, w którym musiał wiedzieć, czy opowiadam się po stronie Leśników i przyjmuję wszystkie konsekwencje tego faktu: zobowiązuję się do pomocy i ostatecznie odrzucam związek z reżimem Torrance'a.

– Tak – odparłem stanowczo. – Jestem po waszej stronie; nie waham się ani trochę.

– A Kerris Baedekker?

– Co z nią?

– Nie tylko jest obywatelką wrogiego reżimu, ale także córką jego przywódcy – wyjaśnił, patrząc mi w oczy. – Przecież wiąże was uczucie.

– I dlatego bardzo żałuję, że została w Nowym Jorku. Mimo to stoję po waszej stronie i po stronie ludzi z mojej wyspy. Jestem pewien, że wyspa Wight będzie waszym sprzymierzeńcem, a z czasem i partnerem handlowym.

– Dobrze powiedziane. – Sam Dymes uśmiechnął się lekko. – Davidzie Masenie... będę zaszczycony, jeśli zechcesz ucisnąć moją prawicę.

Potrząsnąłem nią z zapalem.

– No dobra – rzekł po chwili. – A teraz proponuję szybką kawę. Wylatujemy za pół godziny.

30. Staw Kolumba

Rzeczywiście, po trzydziestu minutach byliśmy już w powietrzu. Lecieliśmy maszyną, która spełniała co najmniej trzy funkcje: wozila pocztę, ładunki i pasażerów. Usiedliśmy z Gabrielem we względnie komfortowej kabinie pasażerskiej w połowie długości kadłuba, a chwilowo wolni piloci udali się na zasłużony odpoczynek w okolice ogona maszyny, gdzie urządzono kilka miejsc do spania.

Rozpędziwszy się z biegiem rzeki, samolot poderwał się w powietrze i zawrócił nad obozowisko. To, co przez ostatnie dni było całym moim światem, z góry wyglądało jak mała leśna polana naznaczona czarnymi plamami zgliszcz.

Wodnopłat wzniósł się wyżej. Słońce porządnie przygrzewało, a przesuwająca się pod nami rzeka wyglądała jak srebrzysta nitka wijąca się leniwie w stronę oceanu. Właściwie nie widziałem miast, choć dobrze wiedziałem, że musiały gdzieś tu być. Z biegiem lat tereny tak pracowicie odbierane niegdyś naturze znowu znalazły się w jej władaniu. Pnącza, drzewa, krzewy, osty i całe polacie dorodnych pokrzyw spowijały zielonym całunem drogi, linie kolejowe i szczątki miast. Nie wątpiłem, że i w tym gąszczu tryfidy mają swoich wartowników.

Muszę przyznać, że po paru dobach spędzonych na gołej ziemi z przyjemnością rozpierałem się w wygodnym fotelu.

– Trzeba będzie się napracować – odezwał się Sam Dymes, przyglądając się odebranym człowiekowi obszarom. – Nasze dzieci, a może i dzieci naszych dzieci, będą miały co robić przez lata.

– Dobrze, że chociaż ty jesteś optymistą – skomentował Gabriel. – Poczekaj, aż zaczniemy wreszcie na serio trzebić te przekłete tryfidy.

– Jasne, że jestem optymistą. W końcu po co mielibyśmy walczyć, pracować i planować, gdybyśmy nie wierzyli, że czynimy choćby symboliczne postępy? – Sam skrzywił się i machnął ręką. – Gdybym myślał inaczej, otworzyłbym te drzwi i skoczył w wielki błękit.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, głównie o tym, co widzieliśmy w dole. A zobaczyliśmy tam między innymi rozległy kompleks przemysłowy, zalany wodami jeziora. Zatkane dreny sprawiły, że z trudem osuszone niegdyś tereny znowu stały się dnem rozlewisk i rzek. Na zatopionych nizinach widzieliśmy ruiny fabryk, szkół i domów – prostokątne wysepki na bezkresnych przestrzeniach wody.

Samolot mknął wysoko, a ja nie mogłem oderwać oczu od srebrnych skrzydeł lśniących w słońcu. Cztery wielkie silniki, o mocy tysiąca sześciuset koni mechanicznych każdy, bez wysiłku unosiły potężną maszynę w powietrzu. Lecieliśmy z prędkością trzystu kilometrów na godzinę, na wysokości pięciu tysięcy metrów. Bez ładunku samolot tego typu pokonałby trasę z Ameryki na wyspę Wight w ciągu piętnastu godzin. Dla zabicia czasu zająłem się dalszymi obliczeniami i wciąż zastanawiałem się nad logistyczną stroną takiego przelotu, gdy hydroplan zaczął schodzić do lądowania.

Manewr został wykonany bezbłędnie. Ocenilem to okiem zawodowego pilota, podziwiając właściwy kąt, pod jakim potężna maszyna zsunęła się nad powierzchnię wody i dotknęła jej, rozbryzgując na boki chmurę piany i drobnych kropel. Silniki przycichły niemal natychmiast, reagując na przymknięcie przepustnicy. Samolot sunął po wodzie, stopniowo zmniejszając prędkość.

Przez moment sądziłem, że wylądowaliśmy na ogromnym jeziorze, które tylko dla żartu nazwano Stawem Kolumba. Wkrótce jednak przekonałem się, że to jedno z „nowych” jezior uformowanych przez wody występujące z zaniedbanych rowów i kanałów. Wodnopłat płynął wolno w stronę czegoś, co mogło być tylko zbudowaną z cegieł wieżą zatopionego kościoła, sterzącą na

dobrych siedem metrów nad powierzchnią. Lustro wody dzieliło na pół tarczę zegara, którego wskazówki przed laty zatrzymały się dziesięć minut przed drugą. Na prawo od wieży wystawały z wody gnijące belki dachu; pod nimi, jak sądzę, mieściła się niegdyś bryła kościoła.

Do murów wieży przycumowano odrapany kadłub bardzo starego tylnokołowca. Do niego z kolei uwiązano parę drewnianych platform unoszących się na kilkudziesięciu pustych beczkach po ropie. W tej prowizorycznej przystani cumowały trzy wielkie hydroplany – dorównujące rozmiarami maszynie, którą właśnie przylecieliśmy – oraz kilka mniejszych.

Nasi ludzie szybko otworzyli drzwi i gdy tylko zbliżyliśmy się do platformy, zeskoczyli na nią, by wprawnie uwiązać liny. Po chwili silniki zakrzuszyły się i zgasły.

Gdy stanęliśmy na pływającym nabrzeżu, powitała nas dziwna cisza. Na pokładzie parowego tylnokołowca, służącego załozce za koszary, również nic się nie działo. Niewielka fala na powierzchni jeziora zakłósała dzwonem. Jego cichy dźwięk rozplynał się szybko w otaczającej nas pustce. Zapanowało milczenie tak przejmujące, że poczułem ciarki na kręgosłupie.

Gabriel także nie wyglądał na ubawionego.

– Nie ma komitetu powitalnego? – W kompletnej ciszy jego głos nie brzmiał tak głęboko jak zwykle..

Sam podejrzliwie przyglądał się zacumowanym wokół wieży maszynom...

– To dziwne... Powinniśmy tu zastać siedmiu ludzi. Gdzie oni się podzieli, u licha?

Staliśmy tak wraz z całą załogą naszego wodnopłata, na próżno wypatrując śladów życia.

Sam złożył dłonie wokół ust.

– Hop, hop! Jest tu kto? – Nienasycona pustka połknęła jego wołanie. – Hop, hop!

Bez odpowiedzi. Nawet dzwon przestał pobrzękiwać. Pozostała tylko zimna, przeraźliwa cisza.

– O, nie... – mruknął Sam, przeczuwając nieszczęście. – Nie, tylko nie to...

Fala zakłósała lekko tratwę, a spomiędzy beczek dobiegł nieprzyjemny plusk i coś jakby cmokanie. Sam wszedł na kładkę i ruszył w stronę sąsiedniej platformy. Po chwili przystanął, przyłożył palec do warg, nakazując nam zachować ciszę, i wy dobył z kabury rewolwer.

Woda zafalowała mocniej, a dźwięki stały się jeszcze głośniejsze. Znowu odezwał się dzwon i tym razem wreszcie go zauważyłem: pomalowany na czerwono, wisiał na drewnianej konstrukcji przypominającej szubienicę, umocowanej do kładki. Pod metalową skorupą ktoś umieścił tabliczkę z napisem: „Zadzwoń i zwiewaj w cholerę”. Najwyraźniej był to system alarmowy tutejszej placówki.

Posuwając się wolno kładką, Sam dał nam znak, żebyśmy szli za nim. Dopiero teraz spostrzegłem ślady świadczące o tym, że naprawdę coś się tu wydarzyło. Z drewnianej barierki pomostu sterczała potężna siekiera, a po pokładzie barki wały się szczątki porcelanowego kubka. Stanęliśmy w miejscu, które służyło mechanikom jako prowizoryczny warsztat. Leżał tam częściowo rozebrany silnik, a obok, na pompie paliwowej, spoczywał sobie jak gdyby nigdy nic błyszczący klucz. Wyglądało to tak, jakby mechanik odszedł tylko na moment; może zrobił sobie przerwę na papierosa? Nieco dalej natknęliśmy się na kolejne ślady walki. W szopie, na stoliku, stała filiżanka napełniona do połowy zimną kawą, a na stalowym blacie roboczym widać było głębokie rysy i wgniecenia świadczące o tym, że ktoś atakował go siekierą.

– Do diabła – warknął Sam. – Co tu się mogło stać?

– Ludzie Torrance’a – rzucił Gabriel, trzymając w pogotowiu karabin maszynowy.

– Niby jak? Przecież nie mieli samolotów, żeby tu dotrzeć, a jesteśmy dobrych trzydzieści kilometrów od najbliższej rzeki, na którą mogliby jeszcze wpłynąć. Gdyby nawet wiedzieli o istnieniu tej

bazy, musieliby ciągnąć łodem te swoje kutry, i to przez tryfidowy las, żeby dotrzeć do brzegu jeziora – wyjaśnił, z niedowierzaniem kręcąc głową. – To się nie trzyma kupy. Gabriel podniósł z ziemi porzucony karabin.

– Ktoś użył go w charakterze maczugi. Kolba jest roztrzaskana. Za to amunicja nienaruszona – dodał, sprawdzivszy magazynek.

– Pewnie się zaciął.

Gabriel wycelował w niebo i pociągnął za spust. Huk wystrzału o mało mnie nie ogłuszył, lecz zgasł szybko, nie wzbudzając nawet echa.

– Działa bez zarzutu – stwierdził Gabriel. – Dlaczego ktoś miałby używać spluwy z pełnym magazynkiem jako pałki?

– Na pokładzie nie widać ani jednej łuski – dodałem. – Na pewno rozegrała się tu walka, tyle że bez broni palnej.

Przechodziliśmy z barki na barkę, by dotrzeć do parowca uwiązane go na zawsze do kościelnej wieży. Z bliska wydawał się większy: ponad burtą wznosiły się dwa piętra kabin otoczonych szeroką promenadą obramowaną kunsztownie kutym żelazem. Dawniej statek był zapewne ozdobą rzecznych szlaków i woził hazardzistów milionerów. Na pokładach rozbrzmiewały śmiechy i muzyka, w kabinach zaś grano w pokera i uwodzono piękne arystokratki... Teraz był to statek widmo.

Drzwi kajuty skrzypiały, gdy tylko kadłubem szarpnęła wyższa fala. Na talerzach leżało prawie nie ruszone jedzenie. Dno czajnika, z którego dawno wyparowała woda, było przepalone. Poślania pozostawiono w najlepszym porządku.

– Ktokolwiek to był, zaatakował za dnia – odezwałem się cicho. – Nikt nie leżał w łóżku. O ile się nie mylę, to, co widać na talerzach, to raczej lunch niż śniadanie.

– Zgadzam się. – Sam wyglądał tak, jakby poczuł w ustach przykry smak. – Nie ma ciał ani śladów krwi. A jednak załoga wiedziała o ataku i miała czas sięgnąć po broń.

– Tyle że po siekiery i maczugi, choć karabiny były naładowane.

Przeszukaliśmy tylnokołowiec od dołu do góry. Nie znaleźliśmy śladów ani naszych ludzi, ani napastników. Zameldowałem o tym Samowi, który stał przy bogato zdobionym relingu, wpatrując się w głębinę między wieżą kościelną a burtą parowca. Spojrzałem w dół i zobaczyłem zatopiony wrak ciężarówki, celujący w niebo reflektorami podobnymi do oczu, które ktoś osadził w martwej czaszce. Wysoka fala musiała przed laty porwać ten samochód i nieść ze sobą, aż trafił na zaporę w postaci murowanego kościoła. Teraz rdzewiejący szkielet marniał w gąszczu wodorostów, falujących ponuro niczym włosy topielca. Sam zapalił papierosa.

– Poddaję się, Davidzie. Co się stało z naszym światem? Jak to możliwe, że wszystko stanęło na głowie? – spytał i zaciągnął się głęboko. – Jak to się stało, że przed trzydziestu laty jakieś parszywe zielone światła na niebie oślepiły większość ludzi? Jakim cudem daliśmy się stłamsić tym kulawym roślinom o idiotycznych liściach? Dlaczego słońce nie świeci już jak dawniej? I jak, w imię boże, grupa dorosłych ludzi może zniknąć zniemacka, jakby ich diabeł porwał? – Sam spojrzał na mnie uważnie. – Powiedz, że znasz odpowiedzi na te pytania, a zrobisz mnie cholernie szczęśliwym człowiekiem.

Z żalem wyznałem mu prawdę: nie znałem odpowiedzi. Papieros rzucony do wody zgasł z cichym sykiem.

– No to jest nas dwóch, Davidzie. Powiem ci, że chciałbym być teraz w domu, z żoną i dziećmi. Nie musiałbym budzić się każdego ranka i borykać z coraz to dziwniejszymi zjawiskami tego świata. Leżałbym sobie w niedzielne przedpołudnie z kubkiem kawy, gazetą i dobrą kobietą przy

boku. – Sam błędził teraz wzrokiem po horyzoncie, nie widząc ani zatopionego kościoła, ani statku widma, na którym staliśmy. Minęła dłuższa chwila, nim znowu skoncentrował się na otoczeniu i wziął głęboki wdech. – No cóż, trzeba będzie zamknąć tę sprawę – rzekł, wskazując na opuszczoną bazę. – I nadać jej kryptonim „Marie Celeste”. Na tym koniec.

Och, gdyby to było takie proste...

Przez następną godzinę z okładem krzątaaliśmy się po platformach, przygotowując hydroplany do lotu ku zniszczonemu obozowi. Mechanicy pompowali do zbiorników benzynę lotniczą, sprawdzali poziom oleju i stan cięgieł oraz napinali obluźowane linki. Piloci – a więc i ja – siedzieli w kokpitach, badając kondycję instrumentów pokładowych.

Sam przyglądał się nam przez pewien czas; pewnie czuł, że nie na wiele się przyda. Wreszcie zwinął dłonie w tubę i zawołał z wysokiego pokładu parowca:

– Robię kawę! Przyjdźcie za dziesięć minut!

Ten, kto porwał czy zgładził załogę bazy, nie trudził się plądrowaniem zapasów żywności. Kiedy zebraliśmy się na pokładzie statku, Sam postawił dla nas po kubku cudownej, gorącej kawy i dołożył pudełko herbatników.

– Możecie zjeść wszystkie – mruknął ponuro. – Coś mi mówi, że ich właściciele już tu nie wrócą.

Jeden z pilotów zameldował mu, że powinien wylecieć natychmiast, jeśli przed zmrokiem ma dotrzeć do Kwatery Głównej.

– W porządku. Masz tu mój raport i list do szefowej. Spytaj, czy może przygotować na jutro rano odpowiedź i nowe rozkazy dla mnie.

Gdy pilot ruszył w stronę swojej maszyny, Sam zapalił kolejnego papierosa, po czym przemówił do nas powoli, jakby ważył w myśli to, co chciał nam przekazać:

– Jak wiecie, nieprzyjaciel zabił lub uprowadził trzydziestu naszych. Mamy też kilkoro ciężko rannych, których czeka dłuższy pobyt w szpitalu. To oznacza, że pozostała nas dokładnie setka. W jaki sposób zrekompensować takie straty? – Sam wzruszył ramionami, nie oczekując odpowiedzi. Bo też, prawdę mówiąc, odpowiedzi nie było. Wiedziałem już, że ogółem w rozrzuconych po ogromnym terytorium osadach Leśników żyje nie więcej niż sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Dla tak skromnej populacji nawet zdobycie pożywienia czy zaopatrzenie w odzież było nie lada wyzwaniem, nie mówiąc już o konieczności ciągłej walki z tryfidami i nieustannego naprawiania siatek okalających obozowiska.

Gabriel w zamyśleniu żuł ciastko.

– Widzę tylko jedną możliwość: szefowa będzie musiała przekwaterować do nas ludzi z innych baz – mruknął.

Sam skinął głową.

– Też tak myślę. Tyle że tym sposobem pozbawiamy się rezerw... – urwał i uśmiechnął się. – Przypomina mi się stary wojskowy dowcip. Co robić, kiedy koc jest za krótki? Uciąć pasek u góry i przyszyć na dole... No, ale teraz to przestaje być śmieszne. Jakkolwiek by na to patrzeć, właśnie tak działamy.

Gabriel spojrzał na mnie.

– Może udałoby się wynegocjować jakąś formę pomocy z rodakami Davida? Moglibyśmy przecieżyć...

– Przepraszam cię... – przerwał mu Sam, unosząc rękę. – Słyszeliście?

Spojrzelśmy po sobie i pokręciliśmy głowami.

Sam podszedł do relingu. Domyśliłem się, że zobaczył coś, co przykuło jego uwagę, bo nagle pochylił się i wyciągnął szyję.

– Michael leży plackiem na platformie!

Ruszyłem za nim; najpierw po trapie z pokładu na pierwszą barkę, a potem kładkami na następne. Przed nami, na nieco niższym poziomie, pozostała już tylko duża tratwa. Pilot leżał na plecach, jakby opalał się na słońcu, z szeroko rozrzuconymi ramionami. Tuż obok zobaczyłem na deskach kopertę z raportem Sama.

Usłyszałem za sobą podniesione głosy. Zmieszanie. Gniew. Troska.

Moi towarzysze rzucili się na pomoc koledze, a w mojej głowie odezwał się głos z dalekiej przeszłości, z czasów, kiedy chodziłem jeszcze do szkoły:

„Jeżeli znajdziesz kogoś, kto leży nieruchomo na ziemi, zatrzymaj się. Rozejrzyj się uważnie, a potem ostrożnie obejrzyj twarz i szyję leżącego, szukając charakterystycznych znaków...”.

I zobaczyłem je.

– Stać! – wrzasnąłem w stronę mężczyzn, którzy minęli mnie i już zbiegali po kładce na pokład tratwy. – Stać, powiedziałem! – powtórzyłem, przepychając się na czoło.

– Z drogi, koleś – odezwał się krępy facet. – Nie widzisz, że Mike zasłabł?

– Nie! – odparłem, odsuwając go z trudem. – Zostańcie tu. Nie zauważyliście, co ma na szyi? – spytałem, dotykając skóry tuż pod uchem. – Czerwony ślad.

– To co?

– Nie poznajecie?! – wykrzyknąłem. Nie rozumieli, że próbuję ratować im życie. – To od wici tryfida!

– Od wici tryfida? Chyba oszalałeś, chłopie. Widzisz tu jakiegoś?

Rozejrzałem się i... nie dostrzegłem niczego nowego: przypadkową zbieraninę jednostek pływających, parę hydroplanów i zatopiony kościół. I nic poza tym, jeśli nie liczyć szarosrebrnej, połyskującej w słońcu tafli jeziora.

– No i? – spytał facet, porządnie już zirytowany. – Widzisz tu choć jednego cholernego tryfida?

– Uwierzcie mi, to ślad po wici...

Sam spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Przykro mi, Davidzie, ale musisz się mylić. A teraz chodźmy, trzeba pomóc biedakowi.

– On nie żyje. Nie widzicie, że...

– Z drogi, koleś. – Rozumiałem go: krępy mężczyzna po prostu chciał pomóc koledze. Popułił błąd.

Sapiąc z wysiłku, odsunął mnie i przycisnął do relingu. Chwilę później już biegł po pokładzie w stronę leżącego pilota. Zanim jednak dotarł do celu, woda za burtą zakotłowała się nagle, jakby wielka ryba chwyciła zdobycz tuż pod powierzchnią. Jednocześnie usłyszałem dziwny świst.

Nie powiem wam dziś, czy naprawdę to widziałem, czy tylko wmówiłem sobie, że widzę w powietrzu rozmazany kontur czegoś długiego, wąskiego i giętkiego.

Krępy facet jęknął z cicha i przycisnął dłoń do czoła. Było po wszystkim: zakręcił się na pięcie, kolana ugięły się pod nim i padł na twarz tuż przy krawędzi tratwy, jedną ręką sięgając lustra wody.

– Cofnąć się! – krzyknąłem ku zmartwiałym Leśnikom. – Wracać do warsztatu! – Pędziłem ich przed sobą, póki nie znaleźliśmy się za grubymi drzwiami zbitej z bali, bezpiecznej szopy.

Oniemiały Sam w milczeniu kręcił głową.

– Co to było? – jęknął wreszcie, westchnąwszy głęboko dla uspokojenia oddechu.

– Jestem pewien, że wić tryfida – odparłem stanowczo.

– Tutaj? Na samym środku wielkiego rozlewiska? Czy widziałeś tu choćby jednego tryfida?

Przypomniała mi się tryfidowa tratwa z pni i gałęzi spojonych gliną, na której miałem wątpliwą przyjemność przymusowo lądować. Rozejrzałem się teraz uważniej, ale nigdzie nie dostrzegłem choćby śladu podobnej konstrukcji.

Wzruszyłem ramionami, nie mniej zdumiony.

– Uwierz mi, Samie, tam musi być tryfid. Gdzieś jest... tylko z jakiegoś powodu nie mogę go dojrzeć.

Gabriel zrobił krok naprzód. Był tak wysoki, że swobodnie mógł patrzeć w dół na wodę nawet z wnętrza warsztatu. Po chwili odezwał się cicho:

– Wiem, gdzie są.

– Gdzie?

– W wodzie.

Sam stanął na odwróconym kubku i popatrzył na spokojną taflę jeziora.

– Nie, Gabe – mruknął po chwili. – Nie widzę ich. Gdzie są, twoim zdaniem?

– Pod wodą. To kwestia mutacji.

– Czego?

– Mutacji. Te potwory zmieniają się bez przerwy. Umieją już chodzić, zabijać, komunikować się między sobą. Używają też czegoś w rodzaju sonaru.

Sam aż się zająknął.

– Za... zaraz. Chcesz powiedzieć, że to draństwo nauczyło się pływać?

– Raczej nie. – Gabriel zniżył głos do szeptu, jakby się bał, że tryfidy go podsłuchują. – To zupełnie nowy gatunek. Wodny. To, co w pierwszej chwili wziąłem za wodorosty, musiało być gąszczem tryfidowych łodyg.

– No to mamy rozwiązanie zagadki zaginionej załogi. Te nowe wodne tryfidy załatwiły jednego po drugim...

– To nie tak – wtrąciłem. – Atak musiał być dobrze zaplanowany. W ciągu kilku chwil zginęli wszyscy bez wyjątku.

– Zasadzka?

Gabriel skinął głową.

– David ma chyba rację. Tryfidy musiały śledzić naszych ludzi, a potem wybrać najdogodniejszą chwilę do ataku.

– A niech to... – mruknął Sam, potrząsając głową. – Trzeba jak najszybciej zawiadomić o tym dowództwo. Możliwe, że tryfidy wędrują już po dnie rzek i strumieni. Lada chwila mogą się zjawić w samym środku naszych miast. Przeklęte zielsko...

Gabriel znowu wyjrzał przez okno.

– Najpierw zastanówmy się, co dalej. Ktokolwiek stąd wyjdzie, zginie, zanim dotrze w pobliże któregoś z wodnopłatów.

– Słuszna uwaga. – Sam w zamyśleniu pogładził brodę. – Bardzo słuszna. Jak dostaniemy się do maszyn?

31. Potrzeba matką wynalazku

Po dziesięciu minutach poszukiwań miałem już niezbędne materiały. Sam Dymes stanął na straży przy drzwiach, a ja, mimo tłoku panującego w ciasnej szopie, zabrałem się do roboty. Z kawałka galwanizowanej siatki uformowałem hełm. Zdecydowanie wolałem połączenia spawane, ale tym razem zadowolilem się solidnie splecionym drutem. Szew połączył dwa kawałki siatki tak, że powstało pudło otwarte u dołu. Brzegi przyciąłem lukowato, by w miarę szczelnie przylegały do barków. Na dnie schowka znalazłem parę bardzo starych skórzanych rękawic lotniczych. Utwardzone przez upływ czasu, świetnie nadawały się do nowej roli. Oczy osłoniłem lotniczymi goglami, a korpus i ręce – skórzaną kurtką pilota. Na nią narzuciłem poncho wycięte z grubego brezentu. Dopelnieniem groteskowego stroju były nogawice z tegoż brezentu, w których wyglądałem jak kowboj startujący w rodeo. Z pewnością nie prezentowałem się ponętnie, ale nie o to przecież chodziło. Liczyła się skuteczność.

Poprosiłem jednego z ocalałych pilotów o zagięty myśliwski nóż. Wsunąłem ostrze za cholewę, a jako dodatkową broń wybrałem poręczną siekiere.

Opancerzony i uzbrojony, stanąłem przed drzwiami warsztatu. Na zewnątrz panował spokój. Zdziwiło mnie tylko to, że gdy pracowaliśmy, zniknęło gdzieś ciało krępego mężczyzny, który tak się spieszył z pomocą pilotowi.

Gapiłem się tępo na deski pokładu. Zwłoki leżały tam dziesięć minut temu, a teraz ich nie było... Tak czy owak, nie było czasu na roztrząsanie tej zagadki. Trzeba było bezpiecznie przeprowadzić ludzi z szopy do samolotu, a potem przewieźć ich do bazy. Niepewnie przestąpiłem próg i ruszyłem w stronę kładki. Miałem nadzieję, że mój naprędce sklecony strój antytryfidowy spełni swoje zadanie, ale nie zapomniałem o tym, że nie był testowany. W razie uderzenia wici o siatkę hełmu do wnętrza mogły przedostać się krople jadu i wylądować prosto na mojej twarzy. Dobrze, że chociaż gogle chroniły mi oczy.

Rozglądając się i nasłuchując uważnie, zszedłem kładką na pokład tratwy, który zakołysał się pod moimi nogami. Woda między pustymi beczkami zabulgotała z cicha.

Jedno spojrzenie na leżącego pilota wystarczyło mi, by stwierdzić, że mężczyzna nie żyje. Na szyi, w miejscu, gdzie trafiła go wić tryfida, widać było jaskrawoczerwoną pręgę. Ruszyłem dalej. Zamierzałem pociągnąć za cumę, by hydroplan zbliżył się do brzegu tratwy, a następnie wskoczyć do kabiny i rozgrzać silniki przed lotem.

Gdyby jeszcze udało mi się uwiązać maszynę bardzo blisko pokładu, tryfidy nie mogłyby razić nas wiciami ze szczeliny między kadłubem wodnopłata, a beczkami utrzymującymi tratwę na powierzchni.

Zacząłem właśnie z wysiłkiem ciągnąć ku sobie linę, a wraz z nią wielki samolot, gdy zostałem trafiony po raz pierwszy. Zatruta wić uderzyła mnie w pierś, a ja pomodliłem się szybko, by płótno okazało się dość wytrzymałe. Kolejny cios trafił w hełm. Mgielka drobnych kropel trucizny opadła mi na policzki. Mocno zacisnąłem usta, więc jad tylko parzył mi niemiłosiernie skórę. Na szczęście tę dolegliwość można było usunąć po prostu myjąc twarz – o ile dożyłbym tej miłej chwili, ma się rozumieć.

Spod powierzchni jeziora wynurzało się coraz więcej wici. Widziałem, jak woda marszczy się w miejscach, z których za chwilę miały wytrysnąć śmiercionośne bicze, a potem czułem smagnięcia na rękawicach, ramionach i hełmie.

Kiepsko celujecie, pomyślałem. Jesteście zbyt rozdrażnione, żeby się skoncentrować.

Tak sobie w duchu mówiłem, ale już po chwili zauważyłem, że te rzekomo niecelnie wyrzucone wici łądzą tuż za mną i jakimś sposobem zaczynają owijać się wokół moich nóg.

Z początku sądziłem, że to przypadek, że po prostu się zaplątały, ale zaraz poczułem, że rośliny zaczynają mnie ciągnąć. Sekundę później wici były już napięte jak struny gitary i wibrowały tak silnie, że opadały z nich ostatnie krople wody.

Gdy zdałem sobie sprawę, z jaką siłą działają tryfidy, porzuciłem cumę i spojrzałem w dół, na nogi. Każdą z nich opasywał teraz co najmniej tuzin wici. To nie mógł być przypadek. Tryfidowe wypustki naprawdę były chwytne. Szarpały mnie z wielką siłą i od razu pojąłem, że próbują wciągnąć mnie pod wodę.

W taki właśnie sposób musiało zniknąć ciało krępego, a przedtem – ciała wszystkich mechaników z tej bazy: zwłoki trafiały pod wodę, gdzie służyły tryfidom jako pożywienie.

Spróbowałem zerwać wici, ale bez powodzenia; były zdecydowanie zbyt mocne. Oczami wyobraźni widziałem już ciąg dalszy: jak wciągają mnie, szamoczącego się, pod wodę. Niemal czułem zamykające się nade mną odmęty. Widziałem już, jak ciągną mnie głębiej, topią i... uczują.

Klnąc pod nosem, dobyłem noża. Krzywe ostrze błysnęło w słońcu i – dzięki Bogu – bez wysiłku przecięło pierwszą wić. Gdy tylko uwolniłem się od pozostałych, ze zdwojoną energią zabrałem się do przyciągania ogromnej maszyny.

– Pomyślałem, że przyda ci się pomoc.

Obejrzałem się gwałtownie.

– Gabriel?

Murzyn uśmiechnął się szeroko za drucianą siatką i ciemnymi goglami.

– Daj trochę liny – polecił. – Nie bądź taki pazerny.

Teraz poszło łatwiej i wkrótce hydroplan unosił się burtą przy nabrzeżu. Zdałem sobie sprawę, że uruchamianie silników w sytuacji, gdy łopaty śmigła znajdują się w odległości trzydziestu centymetrów od pokładu tratwy, jest zbyt wielkim ryzykiem. Zrezygnowałem więc z rozgrzewania maszyny, za to akcja przeprowadzenia ludzi do wjazdu powiodła się znakomicie – w ciągu paru chwil nasi towarzysze, zabezpieczeni przed atakami tryfidów przez masywny kadłub samolotu, znaleźli się w jego wnętrzu.

Wkrótce też wodnopłat – w towarzystwie bliźniaczej jednostki – uniósł się w powietrze, pozostawiając bazę i resztę maszyn pod „opieką” zmutowanych roślin.

Resztę dnia wypełniły mi rutynowe już przeloty między obozowiskiem a pływającą bazą. Jeden z pilotów odleciał na południe niewielkim hydroplanem z misją jak najszybszego dotarcia do Kwatery Głównej. Na sąsiednim fotelu wioził kopertę z raportem Sama, z ostrzeżeniem o wodnych tryfidach i prośbą o nowe rozkazy.

Ja zaś, wraz z pozostałymi pilotami, zająłem się transportowaniem namiotów, żywności, amunicji i paliwa lotniczego z bazy do obozu.

Mimo stresujących przeżyć tego dnia dobrze czułem się w powietrzu. Rozkoszowałem się tym, że znowu czuję w rękach stery, zerkam od czasu do czasu na żyrokompas, wysokościomierz czy wskaźnik stanu mieszanki paliwowej. Dźwięk czterech silników brzmiał jak najpiękniejsza muzyka.

Lecąc kolejny raz maszyną niemal pękającą w szwach od tak potrzebnych nam zapasów, podśpiewywałem sobie beztrosko, popatrywałem na zachodzące słońce i długie cienie drzew przesuwające się tysiąc metrów pode mną.

Nagle przyszła mi do głowy myśl, że mógłbym teraz zwrócić dziób maszyny na wschód i nazajutrz przed południem lądowałbym już na którejś z zatok u brzegów wyspy Wight. Wiedziałem jednak, że tego nie zrobię – choć nie tylko dlatego, że chciałem być lojalny wobec Sama Dymesa i jego ludzi. Nie, nie... Miałem też inne plany, tyle że chwilowo musiałem zatrzymać je wyłącznie dla siebie.

32. Planowanie

Praca, praca i jeszcze raz ciężka praca. Oto, jak wyglądał mój dzień nazajutrz po pamiętnej wyprawie do pływającej bazy-widma. Wdychając tumany pyłu i sadzy, pomagałem w rozbiórce wypalonych domów. Co gorsza, pośród zwęglonych bali co rusz napotykałyśmy szczątki ludzkie. Musiałem obwiązać nos i usta chustą, by znieść jakoś fetor i uratować płuca przed drażniącym pyłem.

Dobrze, że chociaż zaczęliśmy robić postępy. Drużyny antytryfidowe dość szybko rozprawiły się z gąszczem roślin, które wdarły się do obozu przez wyrwy w ogrodzeniu. Samą siatkę ochronną naprawiono zresztą jeszcze wcześniej. Byliśmy wdzięczni Opatrzności, że nie skąpiła nam małych cudów, takich choćby jak uratowanie pomocnika mechanika, który podczas ataku wskoczył do studni i przeżył w niej kilka dni. Tego samego ranka dotarły do obozu dwie wycieńczone kobiety w strojach ochronnych. Tylko one ocalały z załogi posterunku obserwacyjnego, zaatakowanego przez ludzi Torrance'a na krótko przed bitwą.

Gdy w obozowisku zapanował względny porządek, gdy rozbiliśmy namioty i uruchomiliśmy kuchnię, nieśmiało pojawiła się nadzieja na powrót do normalnego życia. Umocnił ją powrót dwóch czterosilnikowych transportowców, które o świcie wysłaliśmy na południe.

Z ich przepastnych kadłubów wysypała się na to, co do niedawna było przystanią, gromada pięćdziesięciu doskonale uzbrojonych mężczyzn i kobiet. Wszyscy nieśli prócz plecaków także skrzynki z amunicją. Hydroplany wkrótce znowu poderwały się w powietrze i aż do zmierzchu kursowały między naszym obozem a Kwaterą Główną.

Kąpiąc się przed dobrze zasłużonym lunchem, nie mogłem się nadziwić, jak czarna od popiołów była woda, która ze mnie spływała. Odświeżony, zasiadłem wreszcie przed talerzem, jak zwykle pełnym ryb i tryfidowego gulaszu.

Po chwili dołączył do mnie Gabriel.

– Przystali posiłki – obwieścił, wrzucając do swojej miski kawałki chleba. – Elitarną jednostkę. A to oznacza, że dowództwo szykuje nam niespodziankę.

– Jaką?

– Dwadzieścia minut temu Sam dostał od dowódcy tych marines zapieczętowane rozkazy. Powiedział, że po południu będzie odprawa. A skoro już o tym mowa, ciebie też zaprasza – dodał, patrząc mi w oczy.

Zaczerpnąłem łyżką ostro przyprawionego sosu.

– Dadzą nam więcej wsparcia? Pięćdziesięciu komandosów to dobry początek, ale przydałoby się więcej.

– Wszędzie brakuje ludzi. Reszta marines ma pełne ręce roboty na Florydzie, na rozlewiskach Everglades. Odpierają ataki piratów. Siły powietrzne i marynarka robią to samo, tyle że na wodach Zatoki Meksykańskiej. Dowództwo ma więc poważniejsze zmartwienia niż planowanie frontального ataku na Torrance'a.

Znowu wróciłem myślą do mojej wyspy. Teraz wydała mi się miejscem jeszcze spokojniejszym niż dawniej, od lat nienękanym ani przez ludzi, ani przez tryfidy. Z Leśnikami było inaczej: zostali przyparci do muru. Bandyci, piraci, nawet zwykli kłusownicy wdzierali się do ich enklaw ze wszystkich stron.

– Smutne jest to – ciągnął Gabriel – że atakują nas głównie bandyci z przypadku. Zauważyliśmy, że gdy tylko zdarzy się nieurodzaj albo ciężka zima, liczba napadów wzrasta trzykrotnie.

Czasem złodziejom opłaca się ukraść parę sztuk bydła czy kilka worków ziemniaków. Prawda jest taka, że zwykli ludzie chwytają za broń głównie dlatego, że przyciska ich głód. Czy gdyby twoje dzieci umierały z niedożywienia, siedziałbyś z założonymi rękami i patrzył na pełną spiżarnię sąsiada? Zrobiłbyś coś, prawda?

– Skąd się biorą ci ludzie?

– Najczęściej nawet nie wiemy. Pewne jest tylko to, że nie mają nic wspólnego z Torrance'em. Podejrzewam, że to mieszkańcy małych niezależnych osad wiodący skromny żywot gdzieś wysoko, w górach – odparł i wzruszył ramionami. – Kiedy robi się ciężko, schodzą na niziny i starają się, żeby i nam nie było łatwo.

– No, ale chyba można jakoś temu zaradzić?

– Tracimy mnóstwo paliwa i czasu pilotów, próbując wypatrzeć z powietrza te osady. Ale nawet jeżeli się udaje, to trudno nam z przekonaniem bombardować domy głodujących rodzin.

– Chodziło mi raczej o negocjacje. A kiedy sobie nie radzą, moglibyście dać im trochę żywności.

– Dać? Masz na myśli akcję dobroczynną czy coś w rodzaju płacenia haraczu mafii za spokojne życie i „ochronę”?

– Jeżeli dacie im tyle zapasów, żeby przestali głodować, nie będą mieli powodu, by urządzać najazdy na wasze osady.

– Dobrze kombinujesz, Davidzie. Ale już tego próbowaliśmy. Kiedy tylko zaczynamy rozmowy, wszyscy nabierają podejrzeń. Sytuacja jest podobna jak z Ryderem Chee i jego rodziną. Żyjemy obok nich co najmniej od dwudziestu lat, a kiedy przyszli wreszcie z wizytą, pierwszy raz zamieniliśmy choć słowo.

– To oni zrobili pierwszy krok – zauważyłem. – Przynieśli lekarstwa.

– I dziękuję im za to z głębi serca.

– Gabrielu, jestem pewien, że...

– A ja jestem pewien, że przyszli tu, paradując między roślinami–zabójcami, jakby przechadzali się po sadzie, tylko po to, żeby okazać nam swoją wyższość i samozadowolenie – przerwał mi stanowczo, błyskając groźnie oczami. – Ale gdy tylko sytuacja wróci do normy, nigdy więcej nie usłyszymy o Ryderze Chee i jego klanie.

Przełknąłem ostatni kęs gulaszu.

– Teraz rozumiem, co miałeś na myśli, mówiąc o wzajemnej podejrzliwości – rzuciłem na odchodnym.

Wkrótce potem dostałem informację, że Sam Dymes zwołuje zebranie na trzecią. Z radością zostawiłem za sobą szerniałe resztki dachu, wykapałem się, przebrałem i zjawiłem w tymczasowym biurze o minutę za wcześnie.

Sam nie przejmował się zbytnio ceremoniałem odpraw. Bez słowa machnął ku nam ręką, nalewając kawę do kubków. Rozejrzałem się dokoła. Za stołem zasiedli piloci, Gabriel Deedes, dowódca nowo przybyłych marines i dwoje Leśników, zwykle zajmujących się robotą biurową. Sam wyjął z teczki list, rozłożył go i nie patrząc na nas zaczął mówić:

– Porucznik Truscott właśnie dostarczył mi to pismo. Posłuchajcie, proszę. To z Kwatery Głównej w Chapel Hill. „Do dowódcy Fortu Comanche, Samuela J. Dymesa. Z polecenia Komitetu Wykonawczego zajmie się pan ponownie wykonaniem zadania opisanego w rozkazie 93C/1, to jest dostarczeniem obiektu C do Kwatery Głównej nie później niż w poniedziałek dwudziestego

pierwszego. Przypominam, że misji tej należy nadać priorytet i wypełnić ją za wszelką cenę. Posiłki oraz dostawę amunicji i zapasów otrzymał pan wraz z niniejszym pismem. Kwestie logistyczne pozostawiam w pańskiej gestii. Proszę mieć pełną świadomość znaczenia tej misji. Na zakończenie pragnę zapewnić, że pokładam niezachwianą wiarę w pańskich zdolnościach przywódczych oraz w kompetencji pańskich ludzi. Razem macie szansę wyświadczyć naszej społeczności nieocenioną przysługę. Szczerze oddana, generał major Cordelia Ramirez”. – Sam upił solidny łyk kawy. – Tym, którzy nie słyszeli o rozkazie 93C/1, wyjaśniam, że obiekt C to Christina Schofield... choć pewnie sami zdążyliście już na to wpaść. Pismo jest dość lakoniczne, ale myślę, że rozumiecie, o co chodzi szefowej. Mamy wyrwać Christinę z Nowego Jorku i bezpiecznie dostarczyć ją do Kwatery Głównej przed przyszłym poniedziałkiem, a to oznacza, że mamy na to dokładnie dziesięć dni.

Gabriel z niedowierzaniem klepnął dłonią w czoło.

– To niemożliwe – oświadczył. – Nie wiemy nawet, gdzie ją trzymają. Co gorsza, mamy tylko pięćdziesięciu marines.

Porucznik Truscott poczuł się urażony.

– Panie Deedes, moi ludzie są w stanie wypełnić ten rozkaz co do joty.

Gabriel położył na stole zaciśnięte pięści.

– Bez obrazy, poruczniku. Nowy Jork to spore miasto, doskonale strzeżone przez stanowiska artylerii i wyrzutnie rakiet, nie wspominając o radarach, okrętach patrolowych, piętnastu tysiącach żołnierzy i dziesięciu tysiącach cywilów z oddziałów ochotniczych...

– Gabrielu – przerwał mu Sam. – Nikt nie twierdzi, że opanujemy Nowy Jork. To tylko porwanie. Znajdziemy Christinę i przyskamy, to wszystko.

– Mogę spojrzeć? – spytał Gabriel, ruchem głowy wskazując na list.

– Oczywiście – odparł Sam, podając mu złożoną kartkę. Gabriel czytał aż do pewnego miejsca, po czym jego oczy rozszerzyły mu się złowieszczo.

– O, tutaj: „Kwestie logistyczne pozostawiam w pańskiej gestii”.

Sam uśmiechnął się krzywo.

– To taki elegancki sposób na powiedzenie: „Nie mamy pojęcia, jak przerzucicie komandosów do Nowego Jorku, ale na pewno coś wykombinujecie”.

Gabriel skierował kciuk w stronę zatopionych okrętów podwodnych.

– Jedyne sprzęt pływający, który nam pozostał, to parę kajaków i gumowy ponton – rzekł ponuro, po czym spojrzał na mnie i na pozostałych dwóch pilotów. – Ale, jak rozumiem, masz inne plany?

– Jasne, Gabe. Drogą powietrzną przerzucimy oddział na Manhattan w niespełna trzy godziny.

– Powiedz, że żartujesz, Sam. Powiedz, że żartujesz, a ja będę zrywał boki ze śmiechu. Kiedy skończę, zajmiemy się bardziej realną strategią.

Sam pokręcił głową.

– Nie żartuję, Gabe. Tak właśnie zrobimy. Mamy trzech pilotów i trzy dobre samoloty. Bez trudu przewieziemy nawet dziewięćdziesięciu ludzi tam i z powrotem.

Gabriel wyglądał na wystraszonego.

– Daj spokój, Sam. Przecież słyszałeś, co mówiłem: radary, reflektory, sto stanowisk artylerii przeciwlotniczej... Będą walić do tych wielkich hydroplanów jak do kaczek.

– Nie powiedziałem przecież, że na wszystko mam odpowiedź, prawda? – Sam wykrzywił usta w cierpkim uśmiechu. – I dlatego zaprosiłem pilotów. Niech nam powiedzą, jak przechytryć radary.

Gabriel westchnął ciężko.

– Zdaje się, że przypadła mi dzisiaj w udziale rola adwokata diabła... Oczywiście, nie życzyłbym sobie, żeby nasze samoloty skończyły... wybaczenie złowieszczą metaforę... w piekielnym ogniu, ale... zacznijmy od tego, że mamy tylko dwóch pilotów.

– Dwóch naszych i Davida Masena, razem trzech.

– Po tym, jak się namęczyliśmy, żeby go wyrwać z łap Torrance'a?! Chyba oszalałeś, skoro chcesz go tam posłać.

Sam uśmiechnął się lekko.

– Witaj wśród czubków, Gabe.

– Ale dlaczego, na miłość boską? Jeżeli Torrance znowu złapie Davida, wrócimy do punktu wyjścia. Co gorsza, zamknie go i ukryje, a potem wykorzysta jako zakładnika, żeby opanować wyspę Wight i przechwycić tę mądrą maszynę, która robi paliwo lotnicze z oleju tryfidowego. A wtedy będzie po nas.

Sam zaplótł palce.

– Nie mamy wyboru, Gabe. Trzeba wyciągnąć Christinę z Nowego Jorku. Oprócz pięćdziesięciu marines potrzebujemy doświadczonych inżynierów i saperów, razem dziewięćdziesięciu ludzi.

– Czyli wystarczą dwa samoloty, nie trzy.

Tym razem Sam zwrócił się do mnie.

– Nie jestem lotnikiem, Davidzie. Wyłumacz Gabrielowi, w czym problem.

– Dwa samoloty rzeczywiście mogą przewieźć taki oddział, ale im więcej pasażerów lub ładunku będą miały na pokładzie, tym więcej zużyją paliwa. Trzeba więc rozdzielić dziewięćdziesięciu ludzi na trzy maszyny, jeżeli mają pokonać taki dystans. W przeciwnym razie nie dolecą z powrotem do bazy.

– Więc pożyczmy pilota z innej osady.

– Gabe, przecież wiesz, że to niemożliwe – odparł łagodnie Sam. – I bez naszych żądań pozostałe bazy mają kłopoty kadrowe.

Zniecierpliwiony Gabriel machnął ręką.

– W porządku. Niech ci będzie. Nawet jeśli zapomnimy o tym, że posyłamy Davida do jaskini Iwa, pozostaje jeszcze kilka fundamentalnych problemów. Po pierwsze: nie wiemy, gdzie szukać Christiny Schofield.

– Wiemy. Empire State Building, dziewięćdziesiąte piętro.

– Tak szybko znaleźliście zmiennika na moje miejsce?

– Zmiennika albo zmienniczkę – odparł tajemniczo Sam – mieliśmy na miejscu przez cały czas. Ty byłeś najlepszy, ale musieliśmy się zabezpieczyć.

– Tak na wszelki wypadek?

Sam tylko skinął głową i zapalił papierosa. Na stole pojawił się kolejny dzbanek z kawą. Rozmowy ciągnęły się przez całe popołudnie.

Mętne słońce robiło, co mogło, by ogrzać i oświetlić świat. Stado gęsi sunęło po niebie na południe. Ich głosy niosły się z wysoka słabym echem. Stożące za ogrodzeniem tryfidy bębniły pałeczkami i potrząsały liśćmi, robiąc wszystko, byśmy nie zapomnieli o ich obecności.

Jeden po drugim omawialiśmy wszystkie punkty planu Sama: wymogi paliwowe, zasięg samolotów, przestrzeń ładunkową dla materiałów wybuchowych, typy amunicji, zestawienie racji

żywnościowych, czas trwania misji, trasę przelotu... Była to żmudna robota, ale, jak to mówią, diabeł siedzi w szczegółach. Wystarczy czasem zapomnieć o jednym detalu, by cała precyzyjnie zaplanowana akcja wzięła w łeb.

Wyznaję szczerze: podczas długiej debaty między Samem Dymesem a porucznikiem Truscottem na temat pocisków kumulacyjnych i podkalibrowych pozwoliłem sobie uciec myślą ku nieco innym sprawom. Na kartce papieru, którą znalazłem pod stołem, nakreśliłem parę szkiców.

Jakoś dotrwałem do przerwy. Kanapki, które nam podano, były z pieczoną wołowiną. Nie muszę chyba dodawać, że fakt ten podniósł nas nieco na duchu, bo mieliśmy już dość ryb i tryfidowych pędów.

Gdy powróciliśmy do przerwanej dyskusji, Gabriel przypomniał o sprawie, która jego zdaniem czyniła cały plan niemożliwym do wykonania.

– Radar – powtórzył. – Nowy Jork jest chroniony ze wszystkich stron przez gęstą sieć stacji radarowych. Jak chcecie dotrzeć niezauważeni w pobliże wyspy?

Uniosłem do góry palec.

– Właśnie się nad tym zastanawiałem – odezwałem się z namysłem. – Po pierwsze, trzeba wyruszyć w nocy. Pełnia będzie już za nami, ale jeszcze przez parę dni powinno być dość księżycowego światła, by coś zobaczyć.

– W porządku. – Gabriel wzruszył ramionami. – Polecimy w piękną księżycową noc. Tylko że radar wykryje nas równie łatwo, jak w samo południe.

– I tu właśnie potrzebna jest mała sztuczka. Ukryjemy się, lecąc na bardzo niskim pułapie, nie większym niż trzydzieści metrów.

– Przecież nawet tak niski pułap nie uratuje nas przed wykryciem nad otwartymi wodami, prawda?

– Prawda. Ale, jak powiedziałem, posłużymy się fortem – odparłem, rozkładając na stole naprędce naszkicowaną mapę. – Oto wyspa Manhattan. Z pomocy biegnie ku niej rzeka Hudson. O ile dobrze pamiętam, brzegi rzeki na tym odcinku to strome urwiska, sięgające dobrze ponad trzydziestu metrów. Polecimy więc nad wodą, poniżej krawędzi klifów – wyjaśniłem, wskazując trasę na mapie. – Tylko w taki sposób możemy dotrzeć do Nowego Jorku niewidoczni na ekranach radarów.

Tym razem to jeden z pilotów omal się nie udławił, słuchając mojego wyводу.

– To szaleństwo. Mówi pan poważnie, że mamy lecieć wielkim czterosilnikowcem w dolinie rzeki, trzydzieści metrów nad lustrem wody? I to w ciemności?

– To się da zrobić.

– To samobójstwo.

– Uda się.

– Wysokościomierz jest nieprecyzyjny na tak niskim pułapie. W jaki sposób zamierza pan ocenić, że lecimy akurat trzydzieści metrów nad wodą?

Wyłożyłem na stół szkic numer dwa.

– Do każdego skrzydła przymocujemy małe reflektorki. O tu, do wsporników pływaków. Jeżeli skierujemy wiązki światła w dół, pod precyzyjnie ustalonym kątem, powinniśmy zobaczyć na wodzie dwie jasne plamy. Ustawimy na zewnątrz kokpitu lusterka tak, by nawigator widział światła. Jak już wspominałem, precyzyjnie ustalimy kąt nachylenia wiązek. Nawigator będzie dawał sygnał pilotowi, gdy tylko plamy światła zejdą się w jednym punkcie – urwałem, bębniąc palcami po zarysowanej kartce

papieru. – Będzie to znak, że samolot leci dokładnie trzydzieści metrów nad lustrem wody. A to wystarczy, by ukryć się przed radarami.

Sam klasnął w dłonie.

– Panie i panowie, tym sposobem David Masen właśnie zapracował na swoje utrzymanie... Davidzie, szczerze gratuluję wynalazku. Nazwiemy go... – tu uśmiechnął się złośliwie – ... Wskaźnikiem Pułapu Masena. Proponuję, żebyś natychmiast zabrał się do pracy. Za dwa dni ruszamy do Nowego Jorku.

33. Nocny lot

Nie mam pojęcia, skąd pochodzą te słowa – czy z piosenki, czy ze sztuki teatralnej, z ludowej legendy czy może ze starożytnego, orientalnego przysłowia: „Pomalutku, powolutku chwytaj małpę!”.

Tak czy owak, to właśnie zdanie kołatało się w mojej głowie, gdy trzy hydroplany odrywały się od gładkiej tafli rzeki, by skręcić na północ i odbyć trzygodzinny lot do Nowego Jorku.

„Pomalutku, powolutku chwytaj małpę!”. Przysłowie (jeżeli to rzeczywiście było przysłowie) nakazywało ostrożność, spokój, wręcz delikatność w działaniu, jeśli chce się osiągnąć cel. A ja dobrze wiedziałem, co było moim celem; jakież to ukryte motywy kazały mi teraz pilotować jedną z maszyn, których silniki mruczały tak słodko pod nocnym niebem. Chciałem odnaleźć w Nowym Jorku Kerris Baedekker, a potem zabrać ją w moje ojczyście strony. Zrozumcie mnie dobrze: przekonanie, że tak właśnie powinienem zrobić, przeniknęło tak głęboko każdy nerw, każde ścięgno i kość w moim ciele, że... po prostu wiedziałem, iż tego dokonam. I że już zawsze będziemy razem.

Szczerze mówiąc, zastanawiało mnie tylko jedno: jak mam osiągnąć ten cel.

„Pomalutku, powolutku chwytaj małpę!”. Naturalnie nikt inny nie wiedział o moich planach. O moich żałośnie nieprecyzyjnych planach.

– Kawy?

– Poproszę. – Nie stać nas było na luksus drugiego pilota, toteż na fotelu obok mnie usadowił się Gabriel Deedes, który właśnie nalewał mi kawę z termosu.

– Jak dotąd świetnie? – spytał, podając mi kubek.

– Jak dotąd – przytaknąłem. – A teraz odrobina magii, o której pasażerowie wolą nie myśleć. – Pstryknąłem klawiszem na konsolce, po czym puściłem stery.

– Automatyczny pilot? – spytał Gabriel, obserwując z niepewną miną drążek, poruszający się jakby za sprawą sił nieczystych.

– Najlepszy przyjaciel pilota – dodałem z uśmiechem. – Pójdę się zdrzemnąć, do lądowania mamy jeszcze trochę czasu.

Gabriel wybałuszył oczy.

– Żartuję, Gabe. Zostaję tu, ale mogę się trochę odprężyć... No, przynajmniej spróbować się odprężyć – poprawiłem się, pociągając łyk kawy.

– Niebrzydki zachód słońca. – Gabriel skinął głową w stronę szyby, za którą widać było płonący czerwienią i złotem horyzont. – Wolałbym jednak podziwiać go, czując twarde gruntu pod nogami.

– Raczej nie tutaj. Jesteśmy nad krainą tryfidów. Spójrz tylko... Są ich tysiące.

Przyjaciel z trudem przełknął ślinę.

– Mimo to chętnie spróbowałbym szczęścia.

– Widzę, że nie jesteś entuzjastą podniebnych podróży.

– To mój pierwszy raz – mruknął oschle.

– Nie martw się. Za dziesięć minut przyzwyczaisz się, za pół godziny pokochasz latanie, a za dwie będziesz śmiertelnie znudzony.

Gabriel kiwnął głową, ale jego spojrzenie przekonało mnie dobitnie, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. Odwróciłem się do nawigatora.

– Jak nam idzie?

– Idealnie. Przed zmrokiem prowadzący włączą tylne światła pozycyjne. Pierwszy zielone, drugi

niebieskie. Trzymaj się niebieskiego.

– Dobra. – Znowu spojrzałem w dół, na krajobraz kontynentalnej Ameryki, okryty kobiercem zieleni. Zieleni ciemnej, ponurej i złowrogiej, barwy mięsistych liści tryfidów. Nowi władcy tej krainy zapewne sposobili się teraz do snu, wciskając korzenie w leżącą odłogiem ziemię, która kiedyś była polem, parkiem czy ogrodem. Widziałem ich oczami wyobraźni, jak kiwają długimi łodygami tak, by stożki kielichów mogły śledzić źródło dźwięku – nasze samoloty. Zgranym ruchom łodyg towarzyszyło pewnie nerwowe bębnienie palczek o pnie: wymiana uwag z sąsiadem lub komunikat dla stojących nieco dalej pobratymców...

Choć mogłem ogarnąć wzrokiem obszar pięćdziesięciu kilometrów, nie dostrzegłem ani jednej smużki dymu wskazującej na istnienie siedzib ludzkich. Pod nami niepodzielnie panowały tryfidy.

Hydrauliczny autopilot świetnie radził sobie z utrzymaniem kursu i zachowywał ekonomiczną prędkość trzystu kilometrów na godzinę, ale od czasu do czasu zerkałem na zegary, sprawdzając pułap, prędkość przyrządową i parę innych danych. Nie traciłem też z oczu pozostałych dwóch maszyn tworzących naszą formację. Widok końcówek skrzydeł, błyszczących złotem w promieniach zachodzącego słońca, radowałby serce każdego doświadczonego pilota.

Ta część podróży miała być – z bożą pomocą – w miarę prosta. Za to dyskretne lądowanie u brzegów Manhattanu to zgoła inna historia. Z pomocą elektryków udało mi się zmajstrować układ świateł, który Sam Dymes żartobliwie nazwał Wskaźnikiem Pułapu Masena. Próbnny lot nad rzeką wykazał, że pomysł jest dobry. Całe szczęście... bo już wkrótce system miał zostać sprawdzony w warunkach bojowych.

Gabriel chyba zdołał już przyzwycząić się nieco do nowej sytuacji, bo odpiął pasy i poszedł sprawdzić, co słychać u pasażerów: dwudziestu marines – elity sił zbrojnych Leśników, ośmiu saperów – speców od ładunków wybuchowych (ich „bagaż”, głównie plastik, upchnęliśmy do przedniej ładowni), pary techników łączności oraz kobiety inżyniera telewizyjnego, której obecności nie potrafiłem sobie wyjaśnić. Nie podejrzewałem jednak Sama Dymesa, że zaprosił tę damę tylko po to, by odbyła przyjemną wycieczkę.

Samoloty, którymi lecieliśmy, służyły niegdyś cywilnym pasażerom i muszę przyznać, że urządzono je niemal luksusowo – z pewnością nie tak jak typowe, wojskowe transportowce. Nasi żołnierze mieli więc do dyspozycji gniazdko do golarok elektrycznych, ciepłą i zimną wodę, gustowne toalety oraz dobrze wyposażoną kuchnię z kompletem garnków, testerem i termosami na gorące posiłki. Jeśli któryś z nich w ogóle mógł myśleć o jedzeniu, ma się rozumieć. A wspominam o tym dlatego, że poprzedniego dnia widziałem, jak wielu pisało ostatnie listy do rodziny – na wypadek, gdyby nie powrócili z tej wyprawy.

Gabriel wrócił do kokpitu i zameldował, że pasażerowie są w świetnej kondycji. Wielu zasnęło zaraz po starcie, a ja nie potrafiłem pojąć, jak mogą spać w takim momencie.

Niebo za owiewką ciemniało szybko. Zapadła noc. Tajemniczy całun, który za dnia okrywał słońce, po ciemku tłumiał światło gwiazd i księżyca. Satelita z całą pewnością nie był taki jak dawniej – przypominał połówkę pomarańczy, którą ktoś zawiesił nad lewym skrzydłem mojej maszyny.

Spojrzałem na Gabriela. Odniosłem wrażenie, że jego początkowy lęk zmienił się w zainteresowanie. Ciemne oczy badawczo przyglądały się sztuczному horyzontowi, prędkościomierzowi i wysokościomierzowi. Bystry umysł już zaczynał dostrzegać sens w pozornie bezładnej płątaninie wskaźników i zegarów.

– Chcesz spróbować, Gabe? – spytałem, kiwając głową w stronę drugiej pary sterów. – To

całkiem proste.

– Tym razem sobie daruję – odparł z uśmiechem. – Prawdę mówiąc, denerwuje mnie trochę myśl o ładowni pełnej materiałów wybuchowych.

– Przyznaję, że mnie też. Podobnie jak o piętnastu tonach paliwa, które mamy w zbiornikach... Mam nadzieję, że tam w tyle nikt nie próbuje uśmierzyć niepokoju papieroskiem.

Uśmiech Gabriela był cokolwiek wymuszony.

– Ja też.

Po chwili zapytałem o sprawę, nad którą zastanawiałem się od dłuższego czasu.

– Słyszałem, że Sam Dymes leci w pierwszym samolocie. Zdawało mi się, że jako dowódca bazy powinien zostać na miejscu?

– Szefom bardzo zależy, żeby akcja zakończyła się stuprocentowym sukcesem. Nie chcę umniejszać zasług i możliwości naszych pasażerów, ale Sam wie, że tym razem wszystko musi zagrać jak należy.

– Widzisz, Gabe, tak sobie myślałem...

– Naprawdę? – zakpił, spoglądając na mnie z ukosa.

– Jest jeszcze parę szczegółów, które nie dają mi spokoju...

– To zrozumiałe. Misja nie jest łatwa.

– Wiem, że jej podstawowym celem jest wyrwanie Christiny Schofield z rąk Torrance'a.

– Tak jest.

– Ale czy Leśnicy nie zamierzają użyć dziewczyny do wyhodowania własnej superrasy? W końcu gdybyście mieli ludzi odpornych na jad tryfidów, zyskalibyście przewagę nad innymi grupami.

– To prawda. Ale nie martw się, nie zamierzamy posuwać się do tak radykalnych kroków, jak wycięcie jej jajników i przeszczepienie naszym kobietom zapłodnionych jaj.

– Naprawdę?

– Czyżbym słyszał nutę niedowierzania, Davidzie?

– Może po doświadczeniach ostatnich paru miesięcy stałem się nieco podejrzliwy.

– Nasza społeczność szczydzi się tym, że szanuje wartości humanistyczne. I właśnie z tego powodu odłączyliśmy się od junty Torrance'a.

Spojrzałem na kolorowe światła prowadzących maszyn.

– Ale sama myśl na pewno przemknęła waszym dowódcom przez głowy. Wyobrażam sobie także, że kazali Samowi przygotować plan awaryjny.

– Na przykład jaki?

– Taki, że ze względów bezpieczeństwa narodowego, gdyby nie udało się uwolnić Christiny, należałoby ją zabić, a ciało zniszczyć, by jajniki nie mogły zostać wykorzystane.

Rysy Gabriela stwardniały.

– Sądziś, że Sam Dymes byłby zdolny do takiego okrucieństwa?

– W desperackiej sytuacji sięga się po desperackie środki. Przecież wiesz, Gabe.

– Ty rzeczywiście robisz się podejrzliwy, Davidzie.

– Zgadza się. Ale powiedziałbym, że to tylko rozsądna taktyka przetrwania.

– Tak?

– Może to, że powierzono mi pilotowanie tej maszyny, dało mi poczucie prawdziwego znaczenia, jakie ma dla was moja osoba? A może mówię więcej niż powinienem, ale... marines zachowaliby się w sposób absolutnie logiczny, nie pozwalając mi znowu trafić w ręce Torrance'a.

- Naprawdę sądzisz, że zrobilibyśmy coś takiego?
Wzruszyłem ramionami.
- Myślę, że byłoby rozsądnie, gdybyście prędzej posłali mi kulę w łeb niż oddali wrogowi – rzekłem stanowczo, patrząc Gabrielowi prosto w oczy. – W końcu, o ile pamiętam, kiedy porywaliście mnie z Nowego Jorku, mieliście w zapasie plan B, prawda? Na wypadek, gdyby coś poszło nie po waszej myśli.
- To prawda. – Gabriel powoli skinął głową. – Powiem ci tylko tyle: zaufaj nam. Kiedy już znajdziemy się w mieście, dopilnujemy, żeby włos ci nie spadł z głowy.
- To nie będzie takie proste.
- Jest jeszcze jeden ważny powód, który powinien podbudować twoje zaufanie. Potrzebujemy twoich umiejętności, jeśli mamy uciec z Christiną z wyspy.
- Mam nadzieję, że wzięliśmy sztuczne wąsy i ciemne okulary dla wszystkich żołnierzy. Może zabrzmi to głupio, ale nadal nie wiem, jakim sposobem mamy wtopić się w tłum.
- Gabriel potarł szczękę.
- Chyba rzeczywiście przekazaliśmy ci zbyt mało informacji – mruknął, nalewając sobie kawę. – Jak wiesz, wysadzamy desant na pomocnym krańcu Manhattanu. Wiesz także, że to teren zamknięty, nazwany Sto Drugą Równoległą.
- Tak, ale nikt mi nie powiedział, co się tam właściwie znajduje.
- To proste. Cała północna część wyspy to jedno wielkie więzienie.
- A więc trzeba będzie minąć legiony strażników.
- Niezupełnie.
- Czyżby wyjątkowo łagodne więzienie?
- Gabriel spojrzał na mnie z wyrzutem.
- Gdybyś wiedział, jak tam jest, nie żartowałbyś w taki sposób. – Czułem, że jest rozdrażniony.
- W ogóle byś nie żartował.
- W porządku. Powiedz mi, jak tam jest i dlaczego więźniowie nie uciekają, skoro nie ma straży.
- Torrance jest sprytny. Wystarcza mu mur dzielący Manhattan na dwie części, jak ten w Berlinie. Jedna połowa to City, rzęsiście oświetlone, pełne kafejek, kin, luksusowych apartamentów. Powyżej Sto Drugiej ulicy rozciągają się slumsy; getto dla kolorowych, niewidomych i niechętnych tak zwanym świątym rządóm Torrance'a. Więźniowie nie są w stanie pokonać muru, bo strzegą go strażnicy na wieżach, psy i pola minowe. Nie mogą też popłynąć przez rzekę na kontynent, bo tam czekają na nich miliony tryfidów. – Gabriel mówił z coraz większym podnieceniem. – W wałujących się rudkach mieszkają rodziny, którym daje się tylko tyle żywności, by ludzie nie marli masowo z głodu, ale pod warunkiem, że pracują chętnie i do upadłego w fabrykach. Kto tego nie robi, nie dostaje dziennej racji dla siebie i swoich dzieci. A cały system działa perfekcyjnie, z korzyścią dla Torrance'a i jego kumpli, głównie dlatego, że dziesięć lat temu ktoś wpadł na pomysł, żeby wstrzykiwać więźniom heroinę. To był naprawdę genialny krok. – Oczy Gabriela płonęły gniewem. – Bo widzisz, heroina tłumi świadomość. Niewolnicy przestali dostrzegać niektóre niedogodności swojej żałosnej egzystencji. A to oznaczało, że Torrance mógł zmusić ich do jeszcze cięższej pracy. Ale to nie wszystko. Heroina uzależnia, więc już po kilku zastrzykach wielu więźniów nie mogło bez niej żyć. Torrance zarządził wtedy przerwanie akcji. Osiągnął to, że niewolnicy próbowali wspinać się na mur, błagając o działkę. I co wtedy zrobił? – Gabriel nie czekał na moją odpowiedź. – Zaoferował im regularne zastrzyki heroiny

w zamian za wypełnianie wyśrubowanych norm produkcyjnych. I bardzo słusznie. Produkcja zwiększyła się znacząco, bo ludzie zabijali się pracą, by dostać narkotyk. Zaspokajali głód na kilka godzin, a potem pracowali jeszcze ciężiej, żeby zasłużyć na repetę. Proste, prawda? – zakończył i umilkł na pełną minutę, zaciskając pięści i poruszając żuchwą, jakby przeżywał własną wściekłość. – Widzisz, Davidzie, miasto powyżej Sto Drugiej ulicy nie jest najmilszym miejscem – odezwał się po chwili i napił się kawy. – To samosterujące się więzienie. Brutalnie skuteczne. Dzień i noc wre w nim praca, a wszystko po to, by Torrance i jego ulubieńcy mogli wieść życie, do jakiego przywykli. Dla nas jednak najważniejsze jest to, że napotkamy niewielu strażników. A także to, że mamy tam sprzymierzeńców, którzy zapewnią nam schronienie do chwili, gdy nasi ludzie powrócą i będziemy mogli odlecieć do domu... jeśli Bóg pozwoli. Jak widzisz, Davidzie, nie bez powodu obiecałem ci, że będziesz bezpieczny – zakończył, zerkając na mnie posępnie.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Pograżyłem się w myślach, ale nie na tyle, by zapomnieć o instrumentach pokładowych i światłach pozycyjnych lecących przed nami transportowców. Mój zegarek wskazywał, że czeka nas jeszcze godzina lotu. Poczułem nagłą suchość w ustach. Za chwilę mieliśmy rozpocząć bezwzględną ciszę radiową, by celowo słabych sygnałów naszych radiostacji nie wykryły potężne anteny odbiorcze Nowego Jorku. Zanim jednak przerwaliśmy łączność, poprosiłem pilotów, by sprawdzili lampy zainstalowane jako prowizoryczny system mierzenia pułapu. Spod skrzydeł lecących przede mną maszyn wystrzeliły zniecka smugi światła. Skierowane w dół pod precyzyjnie dobranym kątem, wiązki przecinały się dokładnie trzydzieści metrów niżej. Przez moment wyglądało to tak, jakby stutonowe kolosy stały w powietrzu na krzyżujących się smugach jasności, tworzących w mroku wydłużoną literę X.

Gdy tylko potwierdziłem sprawność świateł i poprosiłem o ich wyłączenie, w słuchawkach rozległ się głos Sama Dymesa, który rozkazał, by transmisję przekazano także do przedziałów pasażerskich.

– Za kilka minut rozpoczynamy ciszę radiową – usłyszeliśmy wszyscy charakterystyczny głos Sama, najwyraźniej spłoszonego faktem, że mówi do mikrofonu. – Chciałbym tylko życzyć wam wszystkim powodzenia i udanego lądowania. Znam naszych pilotów i wiem, że jesteśmy w dobrych rękach. Jak wiecie, ta misja mnie przeraża... i to bardzo. Niech mnie diabli, jeśli nie wolałbym siedzieć teraz w domu z żoną i dziećmi. Wiem, że wielu z nas może nie powrócić na łono rodziny. Ci, którym się to uda, zostaną bohaterami. Ci, którzy polegą, staną się kimś więcej. Ofiara ich życia stanie się pomostem do lepszej przyszłości dla ich przyjaciół, rodzin, dzieci, wnuków... Nic nie zostanie zapomniane. Chciałbym powiedzieć coś więcej o was i o tym, jak ważna jest nasza misja, ale nie znajduję dość mocnych słów. Zapewniam więc tylko, że tej nocy tysiące ludzi będą się za was modlić. Powodzenia.

Głośnik szczęknął cicho. Zapadła cisza.

Zgodnie z planem zatoczyliśmy łuk o dobrych sto pięćdziesiąt kilometrów na pomoc od Nowego Jorku, z całą pewnością poza zasięgiem radarów, i w bladopomarańczowym blasku księżycy ruszyliśmy na południe. Trzy samoloty kolejno spłynęły nad dolinę Hudsonu – wielkiej, połyskującej autostrady, która miała doprowadzić nas od Catskills do samego Manhattanu.

Przez pewien czas mogliśmy jeszcze pozwolić sobie na luksus lotu na pułapie tysiąca metrów. Wkrótce jednak mieliśmy zejść znacznie niżej, w strefę niedostępną dla radarów – trzydzieści metrów nad powierzchnią wody. Wysokie klify i okoliczne wzgórza były niemal czarne w słabym świetle księżycy. Miałem nadzieję, że będziemy umieli odróżnić je od niegroźnych plam cienia...

Zerknąłem na instrumenty. Gabriel obserwował mnie przez chwilę, zanim przemówił.

– Davidzie... może to nie najlepszy moment, żeby o tym wspomnieć...

Spojrzałem na niego beznamiętnie.

– Twoja podejrzliwość nie była tak do końca bezpodstawna – przyznał. – Mamy w mieście kogoś, kto dopilnuje, żeby Torrance nie miał pożytku z Christiny, gdyby nie udało nam się jej uwolnić.

– Tak?

– Jeżeli dziewczyna nie znajdzie się w naszych rękach w ciągu siedmiu dni, Kerris Baedekker ją zabije.

– Kerris Baedekker?! Więc to ona...

– Jest jedną z nas. – Gabriel kiwnął głową, uśmiechając się krzywo. – Dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj. Ona też nie miała pojęcia, że jestem agentem – powiedział, potrząsając czupryną. – Szpiegostwo... Śmieszna rzecz, prawda?

Na usta cisnęły mi się setki pytań... nie, tysiące! Tyle że brakowało czasu, by je zadać.

Zamiast tego energicznie pchnąłem stery.

– Trzymaj się. Schodzimy.

34. „Nie moja ręka...”

Po uratowaniu rozbitków z „Titanica” kapitan Rostron z „Karpatii” tak oto wspominał niemal samobójczy rajd między górami lodowymi: „Kiedy spojrzałem na te masy lodu, między którymi lawirowaliśmy tej nocy, przeszły mnie ciarki. Czuję, że to nie moja ręka prowadziła wtedy mój statek”.

A ja doświadczałem teraz identycznego wrażenia. Sunęliśmy w mroku coraz niżej i niżej, trzymając się świateł pozycyjnych prowadzącej maszyny. Wreszcie po obu stronach pojawiły się ciemne masywy klifów ciągnących się wzdłuż rzeki. Słaba poświata księżyca wywoływała na lekko zmarszczonej powierzchni wody niepokojące błyski. Być może był to wpływ pędu nisko lecących hydroplanów – tak czy owak, efekt był denerwujący i przykuwał uwagę do tego stopnia, że w pewnej chwili zacząłem prowadzić maszynę śladem tych błysków. Skoncentrowałem się jednak w porę i skupiłem wzrok na światłach samolotów lecących przede mną. Wiedziałem, że jeśli zwolnię, zgubię je w mroku. Jeśli przyspieszę – zderzymy się w powietrzu.

O dziwo, napięte nerwy spełniły rolę dyrygenta koordynującego działanie wszystkich zmysłów. Instynktownie wyczuwałem równowagę samolotu, słyszałem dźwięk spokojnie pracujących silników, widziałem podświetlone tarcze wskaźników, sylwetki pozostałych dwóch maszyn i gigantyczne wały skalne osłaniające nas z obu stron. Prześwit między tymi ostatnimi zmniejszył się w oczach; w końcu już nie byłem pewien, czy nie zahaczmy końcami skrzydeł o urwiska, co równałoby się gwałtownej i bolesnej śmierci.

Niżej... niżej... i jeszcze niżej.

Wreszcie pstryknąłem włącznikiem świateł.

– Uważaj – odezwałem się do Gabriela głosem tak spokojnym, że sam się zdziwiłem. – Patrz w lusterko. Widzisz światła na wodzie?

– Widzę.

– Powiesz mi, kiedy zaczną zbliżać się do siebie.

– Już się zbliżają... Czekał, stanęły.

– Zejdę jeszcze niżej. Nie spuszczaś ich z oczu.

– Dobra...

– Powiedz mi, gdy tylko nałożą się na siebie.

– W porządku.

Przymknąłem nieco przepustnicę i basowy pomruk silników opadł o ton niżej.

– Starczy – odezwał się Gabriel. – Plamy już się stykają. Tak... teraz się pokryły.

– Świetnie. Będę trzymał ten pułap, a ty melduj, gdyby zaczęły się rozchodzić. Jasne?

– Jasne.

Trzy wielkie hydroplany mknęły wąwozem. Póki znajdowały się poniżej jego krawędzi, były dla nowojorskich radarów równie niewidoczne, jak gdybyśmy ukryli je pod ziemią. Tyle że czekało nas piętnaście minut mrozącego krew w żyłach lotu. Obniżenie pułapu oznaczało wodowanie. Drgnienie sterów w prawo lub lewo – zderzenie ze skałami.

Skoncentrowany na pilotażu, popadłem w dziwny stan umysłu: zdawało mi się, że wlecieliśmy do wnętrza ziemi i mkniemy w głąb jaskini... I wtedy zobaczyłem w oddali morze świateł. Blask Manhattanu był nawet silniejszy niż zapamiętałem.

– Jak na razie nieźle – mruknąłem. – Nie ogłosili zaciemnienia, a więc nie wiedzą, że nadlatujemy.

Światła wielkiego miasta jaśniały z każdą chwilą. Znowu zobaczyłem strumienie pojazdów na zatłoczonych ulicach metropolii, która nigdy nie spała. Rozjarzone tysiącami białych punktów wieże drapaczy chmur zdawały się sięgać czerwonego księżycyca.

Maszyna lecąca przede mną zniżyła nagle lot i z pluskiem osiadła na wodzie. Druga natychmiast uczyniła to samo. Zmniejszyłem ciąg i lotem ślizgowym zaskakująco miękko wylądowałem na ciemnej rzecznej toni.

– Siedzimy – obwieściłem niepotrzebnie. – Mam nadzieję, że nikt nie zauważył naszego manewru.

– Nowy Jork to miasto ludzi, którzy patrzą na siebie, nie na zewnątrz. Możesz być pewien, że nawet nas nie usłyszeli. Hałas samochodów skutecznie wszystko zagłuszył. – Gabriel uśmiechnął się szeroko. – A przy okazji: świetny lot, Davidzie.

– To jeszcze nie koniec. Będę znacznie szczęśliwszy, kiedy ukryjemy gdzieś samoloty.

Płynęliśmy teraz niespiesznie, starając się nie hałasować zbyt silnikami. Pamiętałem tylko, że kazano mi trzymać się ogona prowadzącego.

Zacząłem się pocić. Wielki hydroplan był znakomitym celem. Spodziewałem się, że w każdej chwili z ciemności może wystrzelić smuga jaskrawego światła reflektora, a zaraz potem seria pocisków, które rozniosą nas na strzępy. Tymczasem jednak mogłem tylko trzymać się jak najbliżej pozostałych dwóch maszyn, sunąc wolno ku brzegowi na minimalnych obrotach. Kiedy już zaczynałem podejrzewać, że zmierzamy prosto w pułapkę, zobaczyłem, że prowadzący skręca gwałtownie w prawo i przyspiesza, pozostawiając na wodzie białą smugę piany.

Kierował się wprost do dużego budynku o półokrągłym dachu, którego sylwetka rysowała się na granicy wody i lądu. Ogromne wrota otworzyły się przed dziobem hydroplanu i już po chwili obie prowadzące maszyny znalazły się we wnętrzu hangaru. Bez wahania pchnąłem dźwąg, a samolot posłusznie przyspieszył, ruszając w ślad za nimi. Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, wyłączyłem silniki, pozwalając, by transportowiec dopłynął do nabrzeża siłą rozpędu.

Wnętrze budowli było rzęsiście oświetlone lampami neonowymi. Ludzie krzątający się na pomostach starali się przyciągnąć nasze maszyny do specjalnie przygotowanych stanowisk. Z całą pewnością nie byliśmy w naprędce zaimprovizowanej przystani.

Rozejrzałem się uważnie. Na ścianach, pokrytych wieloletnią warstwą brudu, udało mi się dostrzec kilka napisów: „Tylko dla załóg”. „Odprawa paszportowa”. „Restauracja i bar Ocean Clipper”. „Witamy w Riverside Park”. Zauważyłem też znaki firmowe Boeinga, BOAC i American United Airlines. Znajdowaliśmy się w najprawdziwszym porcie lotniczym dla hydroplanów, wzniesionym z całą pewnością przed Oślepieniem. Przez długi czas unieruchomiony niczym mucha w bryłce bursztynu, teraz po cichu powrócił do życia.

Marines błyskawicznie wyskoczyli na brzeg. Nieznajomi cywile przystąpili do rozładunku materiałów wybuchowych i amunicji.

Gdy sprawdzałem po raz ostatni wskazania przyrządów, przy dziobie mojej maszyny stanął Sam Dymes. Gestem poprosił, żebym uchylił okno kokpitu.

– Świetna robota, Davidzie. Teraz musimy ukryć cię w bezpiecznym miejscu do czasu powrotu.

– Sądziłem, że zostanę w samolocie. Jest tu...

– To zbyt ryzykowne. Nie mamy gwarancji, że hangar nie zostanie przeszukany. Dostaniesz przewodnika, który zaprowadzi cię do mieszkania. Przyczaisz się tam do chwili, gdy wyślemy kogoś, żeby sprowadził cię tutaj. Jasne?

Skinałem głową.

– Spiesz się – dorzucił. – Wymarsz za dziesięć minut.

Zanim wyskoczyłem z samolotu, większość naszych zdążyła już opuścić hangar. Zauważyłem, że marines podzielili się na małe grupki, liczące od czterech do ośmiu osób. Do każdego z oddziałów dołączył przewodnik. Grupa, do której należał Gabriel, właśnie wychodziła. Przyjaciół dostrzegłem z daleka i zsalutował, po czym zniknął za drzwiami w ciemności. Moja drużyna miała opuścić halę jako ostatnia. Towarzyszyli mi między innymi dwaj saperzy i technik telewizyjny. Nie było mowy o marnowaniu zasobów ludzkich: przydzielono mi ciężki plecak.

– Co jest w środku? – spytałem.

– Lepiej nie pytaj – usłyszałem. – Ale kiedy będziesz go stawiał na ziemi, traktuj go tak, jakby zawierał najcenniejszą porcelanę twojej babci.

– Aha.

Po tym ostrzeżeniu postanowiłem bardzo uważać na plecak i jego zawartość.

Chwilę później minęliśmy boczne drzwi hangaru. Kolejny raz poczułem pod stopami ziemię Manhattanu. Z oddali dobiegał metaliczny stukot – może odgłos maszyn pracującej nocą fabryki? Przede mną zaś ciągnęła się droga oddzielająca nabrzeże od stromej skarpy.

Do naszej grupy, liczącej kilkanaście osób, dołączył Sam Dymes.

– Staraj się trzymać blisko nich – poradził. – Zaraz ruszamy dalej.

– Czy nie będziemy wyglądali podejrzanie, wędrując z takim ekwipunkiem ulicami Manhattanu? – spytałem, kiwając głową w stronę pękających plecaków saperów. Kilku ludzi niosło na ramieniu karabiny maszynowe. Byłem przekonany, że taki widok wzbudziłby podejrzenia nawet najmniej bystrego policjanta.

– Nie martw się, Davidzie. Jesteśmy na północ od Sto Drugiej. Ta część miasta wygląda zgoła inaczej niż te luksusowe dzielnice, które widziałeś na południu. – Sam rozejrzał się niespokojnie, jakby się bał, że ktoś nas zauważy. Nie powiem, żeby podbudował tym moją wiarę w powodzenie misji. – Co więcej, pójdziemy niezwyklej trasą... O!

– Co się stało?

– Nic. Nareszcie jest nasza przewodniczka.

Odwrociłem się i zobaczyłem szczupłą sylwetkę wylaniającą się z mroku. W jej kroku było coś znajomego... Sekundę później dostrzegłem jej twarz.

I otworzyłem szeroko oczy.

– Kerris?

35. Sobowtór

– Kerris? – powtórzyłem, gdy stanęła w kręgu światła. Wyciągnąłem ramiona, żeby ją przytulić, ale cofnęła się, jakbym zaatakował.

– Kerris, co się dzieje?

Uniosła brodę i spojrzała na mnie. W tym momencie zobaczyłem okropną bliznę, biegnącą ukośnie od prawej skroni do lewego kącik ust. Jaskrawoczerwona linia dzieliła piękną twarz dziewczyny na dwoje. Zmartwiałem. To sprawka Torrance'a, pomyślałem natychmiast.

– O Boże, Kerris, jak to się stało? – Znowu spróbowałem ją objąć, ale odpowiedziała tylko wściekłym spojrzeniem. – Kerris...

Poczułem czyjaś dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, Davidzie...

– Sam, spójrz, co ten potwór jej zrobił. Przecież...

– Nie, Davidzie... posłuchaj – przerwał mi, ściskając mocniej moje ramię. – To nie jest Kerris. To jej siostra... Może nawet bliźniaczka. Nie wiem.

– Chryste... – jęknąłem, odwracając się znowu do dziewczyny. – Najmocniej przepraszam. Tak mi przykro... Myślałem, że...

– Żałuję, że tak wyszło – wpadł mi w słowo Sam. – Wiem, że wygląda to na głupi dowcip, ale naprawdę nie miałem pojęcia, że spotkamy siostrę Kerris... – urwał i zwrócił się do dziewczyny. – Przepraszam. Wzięliśmy panią za kogoś innego.

Nagle tuż obok nas pojawiła się niewysoka, ciemna sylwetka.

– Marni nie mówi. – Mężczyzna dotknął swojego języka. – Gliniarze uznali kiedyś, że za dużo gada – wyjaśnił, naśladując palcami ruch nożyczek.

– Nie rozumiem – odezwałem się, kręcąc głową. – Jest jedną z córek Torrance'a? I zrobił jej coś takiego?

Sam spojrzał na mnie ponuro.

– Torrance ma setki dzieci. Te, które nie spełniają jego oczekiwań, trafiają tutaj. Zdaje się, że jest bardzo wybiórczy, jeśli chodzi o kwestię ojcostwa... o ile w ogóle można nazwać go ojcem. O co chodzi, proszę pani? – Uderzająco podobna do Kerris dziewczyna sprawiała wrażenie mocno zniecierpliwionej. Klepnęła Sama w ramię i wskazała ręką na skarpe.

– Racja – mruknął. – Czas ruszać.

Parami przeszliśmy na drugą stronę drogi. Niewysoki, smagły mężczyzna prowadził grupę, z tyłu zaś osłaniała ją Marni. Gdy tylko zostawałem o pół kroku w tyle, natychmiast czułem na plecaku jej rękę ponaglającą do szybszego marszu. Przyspieszałem więc tempo, bo wolałem nie sprawdzać, na ile odporny na poklepywanie był ładunek, którym mnie objuczono.

Mylłem się, oczekując, że będziemy wspinać się ścieżką na urwisko. Skręciliśmy u jego podnóża i doszliśmy do długiego niskiego budynku, który rozciągał się od brzegu rzeki po skalną ścianę. Gdy znaleźliśmy się w środku – popychani energicznie przez Marni – dostrzegłem na ziemi torowisko. Przewodnik zapalił lampę naftową i gestem dał znak, byśmy szli za nim.

Już po chwili zrozumiałem, że budynek nie kończy się pod ścianą urwiska. Bliźniacze zestawy torów ciągnęły się dalej, w głąb tunelu.

– Metro? – spytałem Sama, który szedł obok mnie.

– Nie. Spójrz na tę rdzę. Od lat nikt nie jeździł po tych szynach. Myślę, że transportowano tędy

węgiel. Dawno temu spławiano go Hudsonem na barkach, a potem, drogą podziemną, wieziono wagonami do serca miasta. – Sam spojrzął na łukowate sklepienie wyciętego w skale korytarza. – Może to niezbyt malownicza trasa, ale jeśli dzięki niej dotrzemy do celu niezauważeni, to nie mam nic przeciwko.

Dalej maszerowaliśmy w milczeniu. Wbrew sobie co pewien czas oglądałem się na Marni. Jej włosy, oczy, kształt twarzy i uszu – wszystkie cechy fizyczne, prócz tej nabiegłej krwią blizny, przypominały mi Kerris. Okaleczona dziewczyna była jednak tylko dziwnym, milczącym sobowtórem, który podążał za mną jak cień przez wykute pod miastem tunele.

Znalazłem się w krainie koszmarów, pomyślałem. Widzę okaleczoną siostrę bliźniaczkę kobiety, którą kocham. Idę podziemnym korytarzem, który zdaje się nie mieć końca. Niosę na plecach czterdzieści kilo materiałów wybuchowych. Lampa przewodnika dogasa. Robi się coraz ciemniej... Czy długo trzeba będzie czekać, aż miliony duchów, bez wątplenia straszących na Manhattanie, wynurzą się z mroków tunelu? Poczulem dreszcze. Powietrze wydawało mi się coraz chłodniejsze. W gęstniejącej ciemności widziałem już tylko blask oczu moich towarzyszy. Zielone oczy Marni świeciły najjaśniej, jak szklane kule zawieszona w mroku.

Ładunek dynamitu boleśnie uciskał na kręgosłup. Swędzenie spoczonej skóry między łopatkami nie poprawiało mi nastroju. Z całego serca pragnąłem, żeby ktoś się odezwał, zagwizdał czy zanucił choćby najbardziej idiotyczną piosenkę. Niestety, nikt nie przerwał ciszy. Ciemność pomалу stawała się niemal fizycznie wyczuwalnym ciężarem.

Witaj w piekle, pomyślałem. Witaj w piekle.

Podziemna wędrówka dobiegła wreszcie końca. Minęliśmy właśnie resztki porzucanego żelastwa, które niegdyś były pasem transmisyjnym przenoszącym węgiel na powierzchnię, i weszliśmy na stalowe schody. Piąłem się po nich z wysiłkiem, czując na plecach dobrą tonę, a nie tylko czterdzieści kilo niebezpiecznego ładunku. Nogi uginały się pode mną, gdy pokonałem ostatni stopień i stanąłem w otwartych drzwiach.

Nagle znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, która wyglądała mi na skład opały. Pośród piramid węgla piętrzyły się stosy porąbanego drewna. Poruszając się możliwie bezszelestnie, dotarliśmy do bramki w murze okalającym plac. Przewodnik wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się uważnie i przywołał nas gestem dłoni. Niecierpliwa Marni dopilnowała, byśmy nie wahali się zbyt długo.

Miałem przed sobą panoramę całkiem innego Nowego Jorku, zabudowanego niskimi, pokracznymi budami. Jedne były parterowe, inne liczyły sobie nawet pięć kondygnacji – w sumie prezentowały się mniej więcej równie atrakcyjnie, jak rząd gnijących zębów.

Wędrując w świetle księżyca, dostrzegałem coraz więcej szczegółów. Otwarte przestrzenie – dawniej zapewne parki – zabudowano przemysłowymi halami i barakami. Unosiły się nad nimi smugi dymu, z wnętrza zaś dobiegał stukot młotów, odgłosy piłowania i wycie elektrycznych narzędzi.

– Nocna zmiana – rzucił cicho Sam Dymes. – Torrance lubi, kiedy jego niewolnicy pracują przez okrągłą dobę... Tak, proszę pani, już idę. – Długie ramię Marni pchnęło go mocno we właściwym kierunku.

Znowu poczułem się tak, jakbym znalazł się w samym środku sennego koszmaru. Brudne latarnie oświetlały okolicę niezdrowym żółtawym blaskiem. Choć widziałem ludzi przemykających między domami, w żadnym oknie nie zauważyłem zapalanej żarówki. Mijałem kościoły, które przebudowano na fabryki. W ich niegdyś spokojnych wnętrzach były teraz mechaniczne młoty. Samochodów właściwie nie było. Mężczyźni, kobiety i dzieci maszerowali pospiesznie z potężnymi

ładunkami na grzbietach – martwymi zwierzętami, drewnem na opał, rurami, złomem czy starymi oponami. Tu i ówdzie część ulicy wydzielono drucianą siatką. W zagrodach spostrzegłem kozy, owce i kury.

Przyspieszyliśmy kroku. Stwierdziłem, że nasza dziwnie wyglądająca grupa nie wzbudza najmniejszej sensacji. Oczy przechodniów patrzyły mętnie – czy z przepracowania, czy z głodu, czy od narkotyków – tego nie wiedziałem.

Zwolniłem na moment, obserwując dziecko przechodzące przez ulicę z ciężarem na plecach tak wielkim, że zrobiło mi się słabo. Marni pchnęła mnie bezceremonialnie.

Szedłem więc dalej między rzędami nędznych budowli, w których kryły się warsztaty szewców, kowali, tkaczy, szklarzy, garncarzy, stolarzy, bednarzy, a także wytwórców mydła (z tych ostatnich roznosił się ohydny fetor gotowanego zwierzęcego tłuszczu). Co parę chwil czułem, że wdepnąłem w coś podejrzanego, ale wolałem nie sprawdzać, co to takiego.

Skręciliśmy w zaułek. Z któregoś z okien dochodziły dźwięki saksofonu. Muzyk jednak najwyraźniej postradał rozum: liryczna melodia mieszała się z przypadkowo dobranymi tonami, tworząc szokującą kakofonię.

Zdecydowanie nie było to miejsce na samotne nocne wycieczki. Zewsząd emanowało poczucie udręki i beznadziejności. Poczulem ucisk w żołądku; dobry Boże, czego bym nie dał, by spacerować teraz po łagodnych, pokrytych zielenią pagórkach mojej wyspy...

– Tutaj – odezwał się przewodnik. – Wchodźcie, prędszej.

Bezceremonialnie zapędzono nas tylnymi drzwiami do czteropiętrowej kamienicy. Maszerowaliśmy schodami w górę, wyczuwając zapach nieszczególnie świeżej kapusty. Chwilę później zauważyłem, że mężczyzna przydziela nam pokoje. Ucieszyłem się w duchu; czułem, że drzemka na miękkim materacu dobrze by mi zrobiła.

Nadeszła moja kolej,

– Tu – rzucił krótko przewodnik. – Później dostaniesz jedzenie.

Sam klepnął mnie po ramieniu.

– Wpadnę niedługo zobaczyć, jak się urządziłeś.

Nie oczekiwałem luksusu, więc nie rozczarowałem się zbyt. W pokoju, który miał być moją sypialnią, rozstawiono dziwną instalację miedzianych rurek i szklanych naczyń, w których coś bulgotało i poświszywało. O ile nos mnie nie zawodził, wyczuwałem zapach siodu gotującego się w metalowym naczyniu. Wszystko wskazywało na to, że trafiłem do lokalnej bimbrowni. Zarówno zapachy, jak i wysoka temperatura nie zachęcały do spędzenia tu nocy.

Odwrociłem się, ale drzwi już były zamknięte, a kroki moich towarzyszy oddalały się szybko. Rozejrzałem się i zauważyłem, że część pomieszczenia oddzielono kotarą ciągnącą się od ściany do ściany. Trzydzieści lat temu był to zapewne miękki aksamit należący do zamożnego lokatora. Teraz zaś... no cóż; poprzestańmy na tym, że dni chwały zasłona miała już za sobą.

W chwili gdy postanowiłem sprawdzić, co się za nią kryje, drzwi znowu się otworzyły. Odwróciłem się i zobaczyłem Marni. Blizna nadawała jej twarzy drapieżny wyraz, pasujący do dzikich zielonych oczu. Dziewczyna naprawdę mnie nie lubiła – możliwe, że źle zinterpretowała próbę wzięcia jej w ramiona.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie ze złością, a potem z zaskakującą siłą kopnęła wielki kocioł. Ciecz zbulgotała i popłynęła płataniną rurek, a Marni wyjęła z kredensu pustą butelkę, podstawiła ją pod kranik i odkręciła zawór. Przezroczysty płyn zaczął kapać pomału do naczynia.

Ignorując mnie całkowicie, dziewczyna podregulowała aparaturę – głównie metodą celnych kopnięć w kluczowe punkty instalacji. Potem podeszła do kotary i odsunęła ją na bok.

Na dolnej pryczy piętrowego łóżka siedziała dziewczyna. Twarz miała szczupłą, a rude włosy ostrzyżone prawie do skóry. Zielone oczy błyszczały inteligencją. Marni spojrzała na mnie wilkiem.

Popatrzyłem uważnie na dwie młode kobiety, a one wytrzymały spojrzenie.

– Wielki Boże... – jęknąłem. Teraz miałem przed sobą dwie wierne kopie Kerris Baedekker, przyglądające mi się badawczo i nieufnie.

Tego było już za wiele.

Cóż, jak mawiała niegdyś moja matka, nakładając mi warzywa na talerz: „Masz wybór, Davidzie Masenie – możesz je lubić lub nie, ale i tak zjesz”. A teraz, czy mi się to podobało, czy nie, czekała mnie noc w tym pokoju, na trzypiętrowym łóżku stojącym pod ścianą. Marni energicznym ruchem brody wskazała najwyższą pryczę.

Dziewczyna może nie była miła, ale za to pomocna. Typowym dla siebie ruchem, żywiołowym i agresywnym jednocześnie, zerwała plecak z moich ramion.

– Nie!.. Czekaj! – Powstrzymałem ją w ostatniej chwili, zanim grzmotnęła nim o podłogę. – Pomalutko i ostrożnie, dobrze? – Uśmiechnąłem się nerwowo i odebrałem jej pakunek. – Bum bum. – Natychmiast pożałowałem, że przemawiam do niej jak do dziecka. Wściekły błysk w jej oku przekonał mnie, że na pewno nie mam do czynienia z prostytutką. Zastanawiałem się, co musiała powiedzieć, by rozjuszeni policjanci obcięli jej język.

W tym momencie odezwał się drugi sobowtór Kerris.

– Dlaczego tak cię niepokoi nasz widok? – Głos dziewczyny, choć podobny do głosu Kerris, był słaby i drżący. Ona sama zaś wyglądała na poważnie chorą: jej ciało sprawiało wrażenie tak delikatnego, jakby miało rozsypać się od jednego gwałtowniejszego ruchu.

– Ja... wy... przypominacie mi kogoś, to wszystko – wybelkotałem z niejakim trudem. Przyznam szczerze, że widok dwóch nieznacznie tylko zmienionych kopii Kerris Baedekker wstrząsnął mną do głębi.

– Czy to dlatego, że jesteśmy dziećmi generała Fieldinga?

– Generała Fieldinga? – powtórzyłem i utknąłem, zapominając na moment, że chodzi o człowieka, którego w myślach nazywałem teraz Torrance'em.

Dziewczyna z ogoloną głową kontynuowała rozmowę, a Marni patrzyła na mnie, rzecz jasna, w milczeniu.

– W okolicy mieszka wiele jego dzieci.

– Czy wszystkie wyglądają jak... To znaczy, czy wszystkie są do siebie podobne?

– Niektóre.

– Słyszałaś kiedyś o Kerris Baedekker?

– Nie. A powinnam?

– Wygląda tak samo jak ty – wyjaśniłem nieco niezręcznie. – Możliwe, że jesteście bliźniaczkami.

– Albo trojaczkami. Albo czworaczkami. – Dziewczyna nie wyglądała na zaskoczoną. – Spotkasz tu wielu ludzi o takiej twarzy – dodała, dotykając policzka. – Szczególnie tutaj.

– Zawsze tu mieszkałaś?

– Nie. Przeniesiono mnie na północ od Sto Drugiej, gdy miałam dwanaście lat. Przedtem chodziłam do dobrej szkoły i przewidziano dla mnie karierę w administracji. Niestety, zachorowałam na

grypę i jakoś nie mogłam się z niej wyleczyć – dorzuciła, wruszając lekko ramionami. – Niepotrzebnie zabierałam miejsce w klasie i marnowałam cenne jedzenie... Chorzy i kalecy to luksus, na który nie możemy sobie pozwolić, więc trafiłam tutaj.

Spojrzałam na jej twarz, bladą w słabym świetle lampy. Na delikatne kości. Na niemal przezroczystą skórę. Na błyszczące oczy... Nie wiem, jak to opisać, ale było w niej coś eterycznego.

– Przepraszam – odezwałam się wreszcie. – Jeszcze się nie przedstawiłem. David Masen. Zdaje się, że wiecie, dlaczego tu jestem?

– „Jeszcze się nie przedstawiłem” – powtórzyła ze znużonym uśmiechem. – Dawno już nie słyszałam, żeby ktoś tak uprzejmie przemawiał... Dobry wieczór, Davidzie Masenie. Mam na imię Rowena. A to jest Marni... no, ale ją przecież już znasz.

– Znam.

– Marni to bystry dzieciak. Kiedyś organizowała spotkania, na których kwestionowała niektóre aspekty polityki naszego ojca. Policjanci aresztowali ją w końcu i zabrali na przesłuchanie. Kiedy odkryli jej koneksje rodzinne, zawiadomili ojca, a on kazał im dopilnować, żeby już nigdy nie wygadywała takich rzeczy. Zasugerował też, żeby zajęli się jej urodą. – Rowena wykonała gest imitujący cięcie nożem po twarzy. – Ojciec uważa, że ludzie i tak nie będą słuchać szpetnych, dlatego Marni wylądowała tutaj.

– Dobry Boże... Nie wiedziałaś o jej istnieniu, póki nie spotkałyście się tutaj?

– Nie. Jak już mówiłam, jest nas tutaj wiele... podobnych jak dwie krople wody. Póki ktoś nie sprawi, że zaczniemy się różnić – dodała, spoglądając znacząco na Marni.

– Ale jak...

– Przepraszam, Davidzie, nie chcę być niegrzeczna, ale... powinniśmy już spać.

Marni kiwnęła głową.

– Jutro idziemy do pracy – wyjaśniła Rowena.

– Do pracy? – spytałem zdumiony, spoglądając na jej wątle ciało.

Dziewczyna wruszyła ramionami.

– Kto nie pracuje, ten nie je – stwierdziła spokojnie i ułożyła się wygodnie pod kocem. Jej siostra wdrapała się na środkową pryczę.

– Rozgość się, Davidzie – szepnęła Rowena, nie podnosząc głowy. – Twoje miejsce jest na górze. Powinno być czyste.

– Ależ tak, na pewno, tylko... przewodnik wspominał, że dostaniemy coś do jedzenia.

Leżąca uśmiechnęła się słabo.

– Miał na myśli śniadanie.

– Ach, tak.

Czując się nieco niezręcznie, ściągnąłem lotnicze buty i kurtkę, po czym wspiąłem się na szczyt łóżka. Pościelenie było wąskie, a materac cienki, ale bez słowa położyłem się i zamarłem w bezruchu, nie chcąc przeszkadzać współlokatorom. Wydawało mi się, że szczególnie Rowenie przydałby się długi, spokojny sen.

Zanim odpłynąłem w niebyt, postanowiłem jeszcze, że zasugeruję Samowi Dymesowi – nie, do cholery, zażądam! – żeby przeschmuglowano na wyspę najpotrzebniejsze lekarstwa... Los jednak sprawił, że wypadki potoczyły się zupełnie innym torem.

Gdy ocknąłem się tego ranka, kobiety już szykowały się do pracy. Przed wyjściem wychyliły po

kubku tego, co sączyło się z aparatury. Wkrótce potem odkryłem, że Sam Dymes zniknął gdzieś wraz z resztą oddziału.

Zacząłem czytać:

„Davidzie, wiem, że wygląda to na podłą sztuczkę, ale zostawiamy cię w taki sposób tylko dlatego, że trzeba rozpocząć akcję wcześniej niż się spodziewaliśmy. Dla twojego bezpieczeństwa nalegam, żebyś nie ruszał się z miejsca, póki nie wrócimy. Będziesz tu bezpieczny. Jeżeli czegoś ci zabraknie, poproś Benji’ego (to ten gość, który nas przyprowadził). Pozdrawiam, Sam Dymes”.

Spojrzałem na wnękę, w której pozostawiłem bagaż. Plecak z materiałem wybuchowym zniknął bez śladu. Saperzy najwyraźniej wzięli się ostro do roboty...

Co dalej?

Nie mając nawet okna, przez które mógłbym wyrzeć na świat, przysiadłem na krześle, wsłuchując się w kapanie spirytusu napełniającego kolejną butelkę.

36. Solo

Przykro mi, ale nic z tego nie rozumiem – odparłem, kompletnie zaskoczony. – Przecież Sam Dymes był tu wczoraj z dziesięcioma ludźmi. Dokąd mógł pójść?

Mężczyzna, który wczoraj był naszym przewodnikiem, znowu wzruszył ramionami.

– Skąd mogę wiedzieć?

– Nic nie powiedział?

– Tylko tyle, że wychodzi. Miał innego przewodnika – dodał z odrobiną żalu, wyciągając z kieszeni kartkę papieru. – No i kazał oddać panu ten list.

Ze złością wróciłem do pokoju, by przeczytać pismo przy akompaniamencie bulgotania bimbrownicznej instalacji.

Gdybym spędził jeszcze godzinę, słuchając tego przekłętego kapania, oszalałbym chyba, i to w nader efektowny sposób. Postanowiłem więc wybrać się na spacer. Dotarłem jednak tylko do klatki schodowej – kres mojej wędrówki wyznaczyła stalowa bramka zamknięta na kłódkę. O przejściu górą nie było mowy; pręty sięgały aż do sufitu. Rzuciłem okiem w prawo, za uchylone drzwi. Jakaś starowinka – dozorczyńni, jak się domyślałem – odpowiedziała mi niechętnym spojrzeniem. Bez wątplenia to ona opiekowała się kluczem, lecz równie pewne było to, że nie odda go bez walki. Poza tym gdybym tylko spróbował, „narobiłaby wrzasku i sprowadziła gliny”, jak to się ostatnio śpiewa.

Wycofałem się do pokoju, by rozważyć różne opcje. Szybko doszedłem do wniosku, że nie mam ich zbyt wiele. Mogłem zostać w śmierdzącej amatorskiej destylarni lub znaleźć sposób na wyrwanie się stąd. Szczerze mówiąc, ta druga możliwość nie była przesadnie atrakcyjna. Dokąd mógłbym pójść? Odpowiedź nasuwała się sama: na południe, do centrum. Tylko że musiałbym najpierw pokonać sześciometrowy mur, a to nie było takie proste, jeśli wziąć pod uwagę obecność strażników, którzy z pewnością nie byłiby zachwyceni moim pomysłem. Nabrałem przekonania, że najbezpieczniej będzie zaczekać jednak do powrotu Sama Dymesa.

Jeżeli Sam Dymes wróci...

No, no, Davidzie, pomyślałem. Znowu zaczynasz być podejrzliwy.

A przecież istniała możliwość, że okoliczności nie pozwolą na powrót Sama i jego zespołu. Wtedy musiałbym zaryzykować; dotrzeć jakoś do hangaru i własnym sposobem powrócić do domu.

Kap... kap... kap...

Instalacja pracowała bez przerwy. Zapach słodu i jęczmienia zawładnął moim zmysłem powonienia bez reszty. Dozorczyńni utykając zachodziła co pewien czas do mojego pokoju, by zamknąć zawór, usunąć pełną butelkę spod kranu i wstawić do kredensu, gdzie stała już imponująca kolekcja flaszek z bimbrem, a następnie podstawić nową, pustą, i ponownie otworzyć zawór. A wtedy doprowadzające mnie do szału kapanie zaczynało się od początku...

Jeszcze przed południem udało mi się znaleźć sposób na to, by wyrzeć na ulicę. Stojąc na wysokim krześle, mogłem patrzeć przez małą kratkę wentylacyjną. Widziałem w pełnym słońcu rzędy zaniedbanych czteropiętrowych budynków oraz ruch na chodnikach i jezdni. Ludzie w różnym wieku i różnych ras podążali gdzieś w pośpiechu, objuczeni koszami i zawiniątkami. Widziałem też wielu Ślepców poruszających się pewnie pod brzemieniem wielkich ciężarów. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że uczyniono z nich juczne zwierzęta. Ładunki mieściły się w obszernych skrzyniach, przytroczonych pasami do ich pleców. Nie zauważyłem ani jednej osoby, która nie byłaby odziana w lachmany.

Obserwowałem otoczenie przez parę minut. Dwa razy wypatrzyłem rower, a raz ciągnięty przez krzepkiego mężczyznę wózek, w którym były dwie świny i – ku mojemu zdumieniu – trumna przybrana delirycznie różową satyną. Zaraz potem grupka chłopców z kijami przegnała ulicą stado krów. I wreszcie zobaczyłem pierwszy pojazd mechaniczny. Byłem tak zaskoczony, że przekrzywiłem głowę, żeby przyjrzeć mu się bliżej. Było to wielkie, hałaśliwe, stalowe pudło na kołach. Nieliczne okna zakrywała metalowa siatka, na dachu zaś połyskiwała w słońcu pleksiglasowa kopułka z karabinem maszynowym. W wieżyczce dostrzegłem mężczyznę palącego papierosa.

Gdy wehikuł skręcił w boczna uliczkę, przeczytałem napis wymalowany na jego burcie: „Policja Sektora Przemysłowego (NJ)”.

Zapamiętałem ten fakt, bo uznałem go za znaczący – choć slumsy niewolników zasadniczo rządziły się same, na ulicach można było spotkać policyjne patrole.

Wreszcie odwiedził mnie niewysoki, smagły człowiek – Benji. Spojrzał nam mnie obojętnie, zanim przemówił.

– Złaz z tego krzesła. Marty daje żarcie w salonie.

– W salonie?

– W tym dużym pokoju na końcu korytarza. Masz fajki?

– Niestety, nie...

– Mówię: żarcie w salonie. Się pospiesz, bo więcej nie będzie.

Mówiąc językiem Benji'ego, się pospieszyłem. Byłem głodny, a w dodatku nie miałem pojęcia, kiedy spodziewać się kolejnego posiłku. Gdy tylko znalazłem się w korytarzu, poczułem zmianę: zapach słodu i jęczmienia ustąpił tęgiemu odorowi rozgotowanej kapusty.

Nos poprowadził mnie nieomylnie. W wielkiej wazie parował gorący kapuśniak. Dobry tuzin niewidomych już zaczął posiłek, więc dołączyłem do nich bez zwłoki. Dozorczyni, w kolejnej życiowej roli, dzieliła szary chleb z grubo mielonego ziarna. Atmosfera milczącej rozpaczki atakowała moje zmysły równie silnie jak kapuściany aromat. Pamiętam, że pomyślałem sobie: „Trzeba coś zrobić. Ci ludzie nie mogą tak żyć”. A jednak, choć bardzo się starałem, nie znalazłem sposobu na ulżenie ich doli.

O osiemnastej Rowena i Marni wróciły z pracy, umorusane jakąś tłustą czarną substancją. Obie zniknęły na długo w łazience. Potem, jakby w praktykowanym od lat nawyku, wyczerpana harówką Rowena usiadła na dolnej pryczy. Wyglądała na jeszcze bardziej schorowaną niż poprzednim razem. Tymczasem żwawa Marni pomogła jej usadowić się na posłaniu, po czym poszła po zupę i chleb. Rowena ustawiła miskę na kolanach, jej siostra zaś udała się po swoją porcję.

Zająłem się grzebaniem w torbie z rzeczami osobistymi, by dać im choć chwilę prywatności podczas posiłku. W końcu jednak wystawiłem krzesło na środek pokoju i siadłem twarzą do jedzących.

– Właściwie to rozkazano mi zachować to jako żelazną rację... – odezwał się, gdy skończyły – ale czy nie miałybyście ochoty na kawałek czekolady? – Wyciągnąłem rękę, w której ścisnąłem dwa kawałki. Kobiety spojrzały na mnie, jakby zastanawiały się, czego zażądam w zamian. – Proszę, weźcie – zachęciłem niezręcznie. – Żałuję, że nie mogę zrobić więcej, ale... to znaczy... Nie mogę znieść myśli, że żyjecie tu w takich warunkach, jecie takie paskudztwo... To takie...

– niesprawiedliwe?

– Cholernie niesprawiedliwe!

Rowena uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Takie jest nasze życie. Taki jest nasz dom – powiedziała, rozglądając się po pokoju. –

Musimy jakoś trwać... Ale dziękuję za czekoladę. Nie wydaje mi się, żebyśmy miały z Marni okazję próbować czegoś takiego w ciągu ostatnich dziesięciu lat. – Przyjęła poczęstunek i przekazała połowę siostrze. – Marni, nalejesz nam?

Rudowłosa poderwała się ochoczo, wzięła z półki trzy kubki i napełniła je hojnie przezroczystym płynem kapiącym z kranika aparatury.

Nie potrafiłem zrozumieć postawy Roweny. Dziewczyna ani przez moment nie użalała się nad sobą. Z absolutnym spokojem obserwowała, jak plątał mi się język, gdy próbowałem wyrazić jakoś to, co czułem – a czułem się winny. Mówiłem jej, że praktyki Torrance'a uważam za odrażające i że zmuszanie ludzi do niewolniczej pracy jest złem w czystej postaci.

Marni postawiła kubek obok mnie, na podłodze, a sama przysiadła obok siostry. Przez moment obie nie bardzo wiedziały, czy już powinny poczęstować się czekoladą, ale gdy wreszcie zjadły pierwszą kostkę, reszta zniknęła w okamgnieniu. Bardzo żałowałem, że nie miałem więcej.

Gniew i poczucie winy trzęsły mną tak skutecznie, że chwilami zaczynałem się jąkać.

– Przecież mieszkańcy drugiej części Manhattanu nie mogą godzić się na to, że tak się was traktuje!

– To proste: o niczym nie wiedzą.

– Na pewno są jakieś przecieki informacji. Choćby przez kierowców ciężarówek, którzy wożą produkty z pomocy na południe wyspy.

– Nasi władcy są bardzo ostrożni. Wszystkie gotowe dobra niewolnicy znoszą nocami do magazynów. Rano zjawiają się tam robotnicy z południa, którzy ładują towar do samochodów i rozwożą po centrum. Sprytne, prawda?

– Robotnicy i niewolnicy nigdy się nie spotykają?

– Nigdy. Ludzie z drugiej strony muru wiedzą tylko tyle, że magazyny co noc napełniają się dobrami, jakby za sprawą dobrej wróżki.

– I nikt nie zadaje sobie pytania, co dzieje się za Sto Drugą ulicą?

– Są i tacy, którzy to robią... Na przykład Marni, jeszcze jako uczennica. Tyle że zadawanie takich pytań oznacza ryzyko skończenia w getcie, co porównałabym do bolesnej śmierci i wieczności w piekle. Człowiek trafia tu i wie, że nigdy nie wróci i nigdy więcej nie zobaczy się z rodziną – mówiła, popijając spirytus. – Sądzę, że niektórzy z mieszkańców centrum domyślają się, co jest grane, że za murem znajduje się coś w rodzaju więzienia, ale czy opinia publiczna kiedykolwiek interesowała się życiem za kratkami? Albo tym, co się robi z wywożonymi gdzieś odpadami? Albo tym, co się dzieje z krową, zanim trafi na talerz w postaci apetycznego befsztyka? Ludzie wolą nie zastanawiać się nad takimi sprawami zbyt dogłębnie.

Było mi wstyd, że dziewczyna ma rację.

– Opowiedz nam o swoim życiu, Davidzie – poprosiła. – Jak wygląda twój dom?

Dwie pary zielonych oczu wpatrywały się we mnie ciekawie. Były uderzająco podobne. Kolejny raz złapałem się na tym, że myślę o tych dwóch obcych mi dziewczynach – jednej delikatnej i nieziemsko pięknej, drugiej oszpeconej szkarłatną blizną – jako o Kerris Baedekker...

Wyspa Wight z mojego opowiadania musiała wydać im się rajem. Opisywałem łagodne pagórki, świeże morskie powietrze, rodzinny dom w malowniczym i żyznym sercu wyspy. Z rozbawieniem słuchały historyjek z mojego dzieciństwa, a szczególnie tej o spektakularnej eksplozji w laboratorium ojca.

Trzeba przyznać, że ta rozmowa pomogła przełamać lody. Dostrzegłem, że obie kobiety odżyły

nieco, słuchając mojej opowieści. Marni roześmiała się nawet ujmująco, a i poczucie humoru Roweny wyglądało raz po raz spod grubej skorupy znużenia. Gdyby tylko istniał jakiś czarodziejski sposób na przeniesienie sióstr do mojej ojczyzny, bez wątpienia znowu stałyby się sprawnie funkcjonującymi ludźmi. Właściwa dieta, odpoczynek, świeże powietrze i zwykła wolność przywróciłyby im siły.

Obserwowałem, jak wolno sączą alkohol. Nie wiedziałem jeszcze, jak smakuje, ale dostrzegałem już pozytywne efekty jego działania. Policzki Roweny nabrały koloru, a Marni ożywiła się jeszcze bardziej. W końcu jednak zauważyła, że nie tknąłem jeszcze swojego kubka i gestem pokazała, co mam zrobić.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się, a potem uniosłem naczynie do ust.

Dziesięć minut później oczy jeszcze mi łzawiły, gdy w korytarzu rozległ się donośny łomot.

37. ...I jak Orfeusz

Metalicznemu stukotowi towarzyszył chór podniesionych głosów. Przetarłem oczy po ognistej dawce spirytusu i wybiegłem na korytarz. Natychmiast znalazłem się w tłumie Ślepców, gorączkowo dopytujących się o przyczynę zamieszania. W oddali dostrzegłem dozorczynię kuśtykającą pospiesznie ku bramce, skąd dochodził hałas. Ponieważ o głowę przewyższałem ciżbę niewidomych, spostrzegłem za kratą rumianą twarz mężczyzny w czarnej czapce z daszkiem, tłukącego pałką w stalowe pręty.

– Otwórz, kobieto! – ryczał. – Otwórz, bo każę moim ludziom strzelać!

Staruszka usłuchała. Zauważyłem ponad głowami lokatorów, że górna połowa bramy uchyla się i z trzaskiem obija o ścianę.

– Z drogi!... Precz, powiedziałem!

Mężczyzna w czapce siłą torował sobie drogę. Ślepcy zaczęli się cofać. Jakaś kobieta potknęła się i zachwiała. Chwyciłem ją błyskawicznie i postawiłem na nogi, by nie upadła i nie została stratowana.

Wkrótce tłum porwał mnie prawie na koniec korytarza. Minałem drzwi swojego pokoju. Wiedziałem już, że napastnicy są policjantami – ale jakże różnymi od tych schludnie ubranych dżentelmenów, których spotkałem zaraz po przybyciu do Nowego Jorku. Ci, którzy teraz pędzili przed sobą Ślepców, byli tępymi osiłkami w niedopasowanych i poplamionych potem mundurach. Każdy z nich trzymał w ręku solidną pałkę lub strzelbę. Żaden nie wyglądał na skłonnego do przyjaznej pogawędki. Obserwując, jak obchodzą się z tłumem niewidomych ludzi, pomyślałem, że przyszli tu po mnie. Może któryś z lokatorów zawiadomił władze o dziwnie wyglądających przybyszach z plecakami i przysłano policję na rekonesans?

Ugiąłem kolana, by nie wyróżniać się wzrostem z tłumu. Jednocześnie starałem się patrzeć obojętnie w przestrzeń, jak to robili otaczający mnie Ślepcy. Posuwając się wolno w stronę „salonu”, macałem rękami ścianę.

Policjanci rozpoczęli przeszukanie, kopniakami otwierając kolejne drzwi. Każdego, kto stanął im na drodze, brutalnie odpychali.

– Rozejrzyjcie się dobrze! – pohukiwał dowódca. – To na pewno tu!

Typ o czerwonej twarzy dotarł do drzwi pokoju, w którym nocowałem z Marni i Roweną.

– Aha! – zawołał, wyraźnie zadowolony z siebie. – Tutaj, chłopaki. Informator nie kłamał.

Nerwowo zastanawiałem się, którądy zwiać. Brałem pod uwagę nawet skok przez okno.

Rumiany cofnął się o krok i przepuścił swoich towarzyszy.

– Do roboty – warknął. – Tylko ostrożnie... Spokojnie... Najpierw odkręcić rurki... Zostawcie zacier. Wylejcie draństwo na podłogę.

Przebiśnieżyłem się do pierwszego rzędu Ślepców, by zobaczyć, co się dzieje w moim pokoju.

Rumiany stał z rękami na biodrach, przyglądając się, jak pozostali demontują destylarnię.

– Ostrożnie z tymi miedzianymi – pouczył. – Niech je który powygina, to łby pourybam – dodał rubaszenie. Zdziwiłem się, słysząc w jego wymowie „szerokie” samogłoski rodem z Yorkshire, zmieszane z typowo nowojorskim akcentem. W jaki sposób mieszkaniec Yorkshire w średnim wieku trafił na Manhattan? Pozostało to dla mnie zagadką. Wiedziałem za to doskonale, czego szukał w mieszkaniu Marni. To nie był legalny nalot na bimbrownię. Oficer bez wątplenia zamierzał zarekwirować sprzęt i zapas spirytusu, ale dla własnych celów.

Marni nie zamierzała patrzeć potulnie, jak policjant zabiera ze stolika przy łóżku opróżnioną do połowy butelkę. Skoczyła na równe nogi, by go powstrzymać. Zaczęli się szarpać.

– Zostaw ją! – Rowena wstała, by pomóc siostrze.

Nie odwracając głowy, mężczyzna pchnął ją z powrotem na łóżko. Ujrzałem nagły ruch przedramienia dziewczyny i usłyszałem trzask kości pękającej od uderzenia we wspornik. Twarz Roweny wykrzywił grymas bólu. Marni, miotając wzrokiem błyskawice, plunęła gliniarzowi prosto w twarz.

Mężczyzna zaklął i zamierzył się flaszką jak maczugą.

– Do diabła, Harry! – Oficer o czerwonej twarzy dobrodusznie huknął kumpla w plecy. – Po jaką cholere tak się z nimi zabawiasz?

Harry spojrzał na niego, jakby chciał poskarżyć się na bezczelność Marni, ale rumiany najwyraźniej nie miał czasu na takie drobiazgi.

– Odstaw tę flaszkę, chłopie. Nie wiesz nawet, kto z niej pił – rzucił pojednawczo, po czym zwrócił się do innego policjanta: – Zaczniście znosić graty do ciężarówki. Tylko, psiakrew, ostrożnie. Nie chcę słyszeć żadnego tłuczenia butelek. Macie je traktować jak niemowlęta... Harry, zostaw ją wreszcie! Łap się za flaszkę!... Najpierw te pełne. Tylko pomału, chłopcy...

Harry odepchnął Marni i krzywiąc się chwycił jedną ze skrzynek. Gdy ruszył w stronę drzwi, cofnąłem się nieco i znowu próbowałem udawać niewidomego.

Dozorczyńni jęczała niemal bez przerwy:

– Zostawcie nam bimber!.. Dlaczego zabieracie wszystkie butelki?.. Przecież wam niepotrzebne!... Zostawcie trochę...

– Zamknij dziób – warknął Harry, wciąż jeszcze poirytowany starciem z Marni.

Po tych słowach wszyscy mieszkańcy bloku umilkli. Domyślałem się, że nie pierwszy raz przeżywają podobny nalot.

Gdy ostatni policjant opuścił pokój, wróciłem i zastałem Marni przy zawiązywaniu tymczasowego temblaka. Rowena wyglądała na bardzo obolałą, ale uniosła głowę, gdy przekroczyłem próg.

– Co ci jest? – spytałem.

– Chyba złamałam rękę – odrzekła takim tonem, jakby to była jej wina. – Do licha... Nie będę mogła jutro pracować.

– Zapomnij o pracy. Ważne, żeby ktoś się zajął twoją ręką.

– Mamy tu kogoś, kto potrafi nastawiać kości... Kłopot w tym, że nie dostanę kwitów.

– Dopilnuję, żebyś miała co jeść.

– Nie chodzi tylko o jedzenie... – Nagle w jej głosie pojawiło się niemal śmiertelne znużenie. – Nie dostanę kwitów na zastrzyki, póki nie zacznę pracować.

– Na zastrzyki...? – Wreszcie zrozumiałem. – Ach, tak. – Przypomniałem sobie opowieść Gabriela o zmuszaniu niewolników do posłuszeństwa za pomocą heroiny.

Rowena znowu skrzywiła się z bólu.

– Szkoda, że zabrali aparaturę. Solidny drink pomógłby przetrwać głód.

Większość mieszkańców domu powróciła już do swoich pokojów, by w małych grupkach kontemplować własne nieszczęście. Pozostał tylko jeden starszy mężczyzna, który miał obejrzeć przedramię Roweny. Skrzywiłem się, widząc zniekształconą złamaniem rękę.

– Ułóż się najwygodniej jak możesz – poradził łagodnie mężczyzna. – Wrócę za kilka minut.

Muszę przygotować łubki.

– Dziękuję.

W duchu przeklinałem własną niemoc. Jak mogłem stać beczynnym i patrzeć, jak te opryski robią dziewczynie coś takiego? Choć z drugiej strony... co mogłem poczuć? Mieli przewagę liczebną. Mieli też broń... A ja nie miałem nic.

Marni robiła co mogła. Położyła Rowenę na posłaniu i umieściła pod złamaną ręką małą poduszkę.

Znowu zająłem się gmeraniem w torbie. Miałem wrażenie, że wepchnięto mi do niej coś jeszcze, prócz rezerwowej porcji kalorii. O, właśnie – małe kartonowe pudełko z czerwonym krzyżem.

– David?

Uniosłem głowę. Rowena szukała mnie wzrokiem.

– Davidzie... – odezwała się po chwili. – Musisz stąd zniknąć.

– Ależ...

– Wysłuchaj mnie. Tutaj nie będziesz już bezpieczny.

– Oni przyszliz tylko po sprzęt.

– Może i tak, ale jak sądzisz, ile czasu minie, zanim któryś z nich skojarzy, że widział twarz, która tu raczej nie pasuje?

– Jestem pewien, że na mnie nie patrzyli.

– Daj spokój, Davidzie. Może i byli zajęci naszą cudowną maszynką i pełnymi butelkami, ale któryś na pewno w końcu zada sobie pytanie, co tu robił taki dobrze odżywiony młodzieniec. Uwierz mi, oni wrócą. I to raczej prędzej niż później. – Rowena przemawiała z takim zapalem, że poruszyła złamaną ręką i natychmiast skrzywiła się z bólu. – A jeśli myślisz, że siedząc tutaj staniesz się bohaterem, to pomyśl jeszcze raz. Wszystkim nam się oberwie, jeśli cię tu znajdą.

– W porządku – odezwałem się wreszcie. – Powiecie Samowi Dymesowi, co się stało, gdy tylko wróci – zażądałem, wkładając lotniczą kurtkę. – Wracam do samolotu.

– Sam nie trafisz... Marni, zaprowadź Davida do hangaru.

Dziewczyna skinęła głową i ponagliła mnie gestem.

– Uważaj na siebie, Roweno... i weź to – dodałem, podając jej pakiet pierwszej pomocy. – W środku znajdziesz parę zastrzyków morfiny. No, wiesz... na wypadek, gdybyś potrzebowała.

– Dziękuję. Doceniam to.

Pod wpływem impulsu pochyliłem się szybko i pocałowałem ją. Mało brakowało, a popełniłbym ciężkie głupstwo: już chciałem obiecać, że wrócę i wyciągnę ją stąd razem z Marni, a przy okazji skopię tyłki tym cholernym gliniarzom. Wiedziałem jednak, że dotrzymanie takiego przyrzeczenia znacznie przekraczało moje możliwości.

– Do zobaczenia, Davidzie. Spieszcie się.

Dozorczyni przewidywała bieg wydarzeń. Bez słowa otworzyła bramkę, a ja ruszyłem za Marni schodami w dół. Wkrótce staliśmy już na ulicy. W świetle dnia wyglądałem jak przybysz z Marsa, więc dziewczyna wepchnęła mnie z powrotem do bramy, przycisnęła palec do ust i pobiegła gdzieś korytarzem. Wróciła po chwili, by okryć mnie starym, śmierdzącym płaszczem, do dziś nie wiem, czy czarnym, czy tylko potwornie brudnym. Odstąpiła o krok, by krytycznym okiem przyjrzeć się mojemu przebraniu. Pokręciła głową z niesmakiem, kucnęła i oparła ręce o niezamiataną posadzkę. Potem podeszła i zaczęła wcierać brud w moją twarz, szczególną uwagę zwracając na nos i czoło.

Kiedy tym razem obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, uśmiechnęła się i z satysfakcją

kiwnęła głową, a w końcu chwyciła za łokieć i pociągnęła ku drzwiom. Dopiero w takim przebraniu mogłem szybkim krokiem przemierzać ulice z nachmurzoną Marni u boku.

Szliśmy tą samą trasą co poprzednio. Zbliżał się wieczór, gdy znowu wśliznęliśmy się do składu opałowego, a potem do starego tunelu, którym przed wielu laty transportowano węgiel z portu nad Hudsonem. I tym razem czułem się dziwnie, wędrując pustym korytarzem w wątłym blasku lampki.

Wynurzając się na powierzchnię, dziękowałem Bogu, że raz na zawsze pozostawiam za sobą to ponure, przypominające grobowiec miejsce. Moja wdzięczność była jednak przedwczesna...

U bram hangaru ujrzeliśmy trzy duże, kanciaste pojazdy. Policjanci uwijali się ochoczo i z pozoru beładnie, wchodząc i wychodząc z budynku. Rozpoznałem wśród nich typa z Yorkshire, tego z rumianą twarzą. Zasalutował przełożonemu, po czym z widoczną radością zaprosił go do środka. I tyle, jeśli chodzi o bezpieczny lot do domu...

Odwróciłem się do Marni, która obserwowała gliniarzy wściekłym wzrokiem.

– Marni – zacząłem, podejmując w duchu decyzję, którą powinienem był podjąć wiele godzin temu. – Czy możesz przeprowadzić mnie do centrum?

38. Frustracja

Znowu przemierzaliśmy tunel, krocząc po własnych śladach w głąb mrocznej, martwej czeluści. Spodziewałem się, że wyjdziemy na powierzchnię na terenie składu opałowego, lecz Marni popędziła mnie dalej. Minęliśmy resztki porzuczonego pasa transmisyjnego i po kwadransie w żółtej plamie słabego światła zobaczyłem coś, co wyglądało jak mały peron. Dziewczyna wspięła się na podwyższenie i podeszła do wielkich drewnianych drzwi. Zawiasy skrzyknęły na znak protestu, a zaraz potem usłyszeliśmy nerwowy tupot szczurzych pazurów po betonowej posadzce.

Na wyblakłej tablicy, umocowanej do ściany, widniał napis: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY – COLUMBIA UNIVERSITY. Marni dała mi znak, bym milczał i bezszelestnie niczym kotka przemknęła przez uniwersytecką piwnicę. W bladym świetle dostrzegłem zarysy dawno wygasłych pieców kotłowni i niszczących stalowych rur.

Przewodniczka zatrzymała się na moment, by przyjrzeć się rozwidleniu korytarzy. Każdy zdawał się prowadzić ku ciemnej nieskończoności. Pod stropami zwisały wiązki kabli, podobnych do czarnych pnączy. Wzdłuż ścian ułożono owinięte drucianą siatką rury ciepłownicze, które skręcały w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i znikwały w ścianach.

Poczułem dłoń ciągnącą mnie za rękaw i znowu zaczęliśmy maszerować. Przeszliśmy nie więcej niż sto metrów, gdy Marni wskazała ręką na ukrytą klatkę schodową. Wspięliśmy się na górę i dotarliśmy do korytarza zrujnowanego budynku. Na drzwiach, które mijaliśmy, widziałem tabliczki z nazwiskami dawno nieżyjących profesorów. Chwilę później byliśmy już na szerokiej ulicy okolonej wysokimi budynkami. Moja cicha nadzieja na to, że wyjdziemy wprost na zadbane chodniki w centrum miasta, rozwiała się w okamgnieniu. Ulice były tu równie brudne jak w Harlemie, a chodnikami snuli się owinięci w szmaty ludzie, objuczeni pakunkami i zawiniątkami. Jakaś dziewczynka, mniej więcej dziewięcioletnia, ciągnęła wózek pełen ociekających krwią zwierzęcych skór. Najmniejsze nawet sklepiki i kawiarnie przebudowano tak, by pełniły funkcję fabryk. Za oknami widziałem mężczyzn i kobiety, pracujących zapamiętale przy tokarkach, prasach hydraulicznych i piłach.

Poczułem lekkie szturchnięcie. Marni posłała mi ostrzegawcze spojrzenie. Zwiesiła nisko głowę i szła przez chwilę powłócząc nogami, po czym upewniła się, czy dobrze naśladuję jej postawę.

Minęliśmy tablicę z napisem „Amsterdam Avenue”. Niegdyś była to ruchliwa ulica, przecinająca Manhattan z północy na południe. Szliśmy dalej, odczytując napisy przy kolejnych skrzyżowaniach: Sto Czternasta ulica, Sto Trzynasta... Malejący porządek liczb uświadomił mi, że poruszamy się na południe i nie później niż za pół godziny dotrzemy do Sto Drugiej ulicy, wzdłuż której ustawiono sześciometrowy mur dzielący Nowy Jork na dwie części. Cóż z tego, kiedy dotarcie do zapory stanowiło najprostszą część planu. Przedostanie się przez nią – oto prawdziwe wyzwanie.

Minęliśmy ogromną neogotycką budowlę, bez wątpienia katedrę. W jej wnętrzu dostrzegłem Ślepców siedzących w równych rzędach i wytrwale kującymi młotami srebrzyste kawałki metalu.

Huk setek narzędzi pracujących jednocześnie był ogłuszający. Z największym trudem powstrzymałem się przed zasłonięciem uszu dłońmi, gdy mijaliśmy wielkie, szeroko otwarte wrota.

Zauważyłem, że potoki ludzi z pakunkami zbiegają ku jednemu punktowi i natychmiast przypomniało mi się, co Rowena mówiła o magazynach przy Sto Drugiej: że nocą napelniają je niewolnicy, a za dnia opróżniają pracownicy służb miejskich.

Niestety, coraz częściej widzieliśmy także policjantów. Co prawda podróżowali kanciastymi transporterami z przezroczystymi wieżyczkami strzelniczymi na dachach, ale napotkaliśmy także

i pieszych, najwyraźniej kierujących ruchem. Ci zaganiali ludzi jak juczne zwierzęta ku punktom zbiorczym. Widzieliśmy też rząddek bosych dziewcząt, które przyniosły kosze pełne kolorowych wieszaków do ubrań i opróżniły je na skrzyni sporego wozu. Nie mogłem nie zauważyć, że dwie z nich były uderzająco podobne do Kerris. Pomyślałem, że potomstwo Torrance'a można chyba spotkać w każdym budynku tego ponurego getta.

Wszystko to sprawiało wrażenie codziennej krzątaniny, lecz dostrzegłem także coś, co wyglądało na niepokojące odstępstwo od rutynowych czynności.

Przy wozie stały dwie kobiety w średnim wieku. Ich schludne ubrania i eleganckie buty wskazywały na to, że nie są stałymi mieszkankami więziennej części miasta. Rozmawiały z ożywieniem, obserwując grupę dziewcząt z wieszakami. Idąc niespiesznie z pochyloną głową, przyglądałem się im z rosnącym zainteresowaniem. Kobiety najwyraźniej dokonywały oceny niewolnic. Od czasu do czasu wyluskiwały którąś z nich z tłumu i kazały jej dołączyć do szybko rosnącej grupy na uboczu. Te, których nie wybrano, odchodziły z pustymi koszami.

Rozejrzałem się ukradkiem i już wiedziałem, że selekcji dokonuje się w wielu miejscach jednocześnie. Pary kobiet i mężczyzn z notatnikami lustrowały okoliczne warsztaty, uważnie przyglądając się robotnikom. Co pewien czas wywoływano którąś na zewnątrz. Wzdłuż krawężników formowały się z wolna szeregi młodych kobiet. Marni również nie wiedziała, o co chodzi – spod szopy rudych włosów rzucała na boki niespokojne spojrzenia. Jak to się kiedyś mawiało, „coś się święciło”. Tylko co?

Przez chwilę wierzyłem, że wyboru dokonywano w sposób przypadkowy. Wreszcie jednak zdałem sobie sprawę, że poszukiwano tylko dziewcząt dojrzałych; odrzucano też kobiety w średnim wieku i starsze.

I nagle w mojej głowie pojawiły się dwa słowa: Operacja Lawina. Zaczęło się... Medycy Torrance'a wybierali kobiety w wieku rozrodczym (niektóre z nich ledwie osiągnęły ten wiek). Pomyślałem, że za dziewięć miesięcy narodzą się pierwsi nadludzie...

Rozmyślenia przerwał mi niespodziewany okrzyk.

– Hej! Stój! Do ciebie mówię, ruda! Ani kroku dalej. – Marni usłuchała. Stanęła ze zwieszoną głową, wlepiając wzrok w ziemię. Zrobiłem to samo. Dobry Boże, pomyślałem, jeśli któraś z kobiet zauważy choćby jakoś moich butów, gra będzie skończona. Spojrzałem z ukosa na policjanta sterczącego nieruchomo na rogu ulicy, z rękami na biodrach i wielkim karabinem na plecach. Mogłem tylko czekać, aż dama w zgrabnych pantofelkach powie nam to, co ma do powiedzenia i puści nas wolno.

– Nazwisko i numer – warknęła.

Marni nie drgnęła.

– Pytałam cię o nazwisko i numer, dziewczyno.

Poczułem ucisk w dołku. Sytuacja nie wyglądała najlepiej.

– Zamierzasz bezczelnie milczeć? Jeśli tak, to...

– Ona nie mówi – wtrąciłem pospiesznie, tak służalczym tonem, na jaki było mnie stać. – Ma na imię Marni.

– Tak? – Kobieta nerwowo postukała długopisem o twardą oprawę notatnika. – A jaki ma numer?

– Numer? – powtórzyłem niepewnie. – Nie...

– Na miłość boską, chodźże tu, dziewczyno! – Kobieta brutalnie chwyciła Marni za włosy

i podniosła jej głowę do góry. Z niesmakiem zmarszczyła nos, widząc okaleczoną twarz. – Kuracja upiększająca, co? Język też? Otwórz gębę... Tak. No cóż, twoja twarz i język nie są nam akurat najbardziej potrzebne. – Kobieta zaznaczyła kratkę w arkuszu danych. – Odwróć się – poleciła, po czym rozciągnęła dekolt swetra Marni tak, by odsłonić bark. – Nie ruszaj się. Nie mogę czytać, kiedy tak się wiercisz.

Zobaczyłem długi rząd cyfr, wytatuowany z tyłu ramienia dziewczyny.

Kobieta przepisała numer do notesu i wskazała na grupę wybranek stojącą po drugiej stronie ulicy.

– Idź do nich i nie ruszaj się z miejsca, póki nie każę.

Ruszyłem za Marni.

– Hej – zawołała za mną kobieta. Odwróciłem się posłusznie. – Ty nie będziesz nam potrzebny, dryblasie. Zajmij się swoimi sprawami.

Spojrzałem na stojącego na rogu policjanta. Nie patrzył na nas, ale zrobiłby to natychmiast, gdyby paniusia z notatnikiem podniosła krzyk. Spuściłem pokornie głowę – jak wszyscy, których widziałem w getcie – i odszedłem. Przechodząc obok Marni, która zdążyła już dołączyć do pozostałych dziewcząt, bezgłośnie poruszyłem ustami: czekaj. Odpowiedziała mi skinieniem głowy.

Tuż przede mną zatrzymał się autobus i wybranki z sąsiedniej grupy zaczęły wsiadać do środka. Byłem pewien, że to samo zrobią za chwilę wszystkie dziewczęta wybrane na tej ulicy. Nie mogłem sobie pozwolić na luksus spokojnego zaplanowania akcji.

Gdy tylko dotarłem do chodnika, zawróciłem w stronę Marni. Gdybym stracił ją teraz, raczej nie miałbym szans na przedarcie się do centrum miasta.

Dochodziłem już do grupki dziewcząt, gdy usłyszałem za sobą narastający warkot autobusowego silnika. Nie zatrzymując się, przemówiłem głośno do Marni:

– Idź przede mną zupełnie normalnym krokiem. Kiedy krzyknę „biegnij”, zaczniesz biec.

Skinęła głową i ze spuszczoną głową posłusznie ruszyła przede mną.

– Hej, ty! Kazałam ci czekać!

Okrzyk oburzonej kobiety bez trudu przebił się przez odgłosy ulicy.

Stojący na rogu policjant obejrzał się.

– Oficerze! – zawołała. – Proszę zatrzymać tę ruda!

Osilek w mundurze zareagował błyskawicznie. Wyszedł nam naprzeciw i wielką łapą chwycił Marni za łokieć.

– Postoisz tu, dopóki nie dowiem się, o co chodzi – przemówił do niej. – I nie waż się ruszyć, do cholery. – Nie czekając na odpowiedź, wymierzył jej potężne uderzenie otwartą dłońią w twarz. Szybko zmniejszyłem dystans dzielący mnie od policjanta, który wciąż trzymał w żelaznym uścisku potrząsającą głową, zamroczoną lekko Marni. Na ustach dziewczyny dostrzegłem krew.

W ułamku sekundy ogarnąłem wzrokiem otaczających mnie ludzi. Była wśród nich starsza kobieta z ładunkiem stalowych prętów. Niemal odruchowo chwyciłem jeden z nich i z całą siłą, na jaką było mnie stać, grzmotnąłem gliniarza w łeb.

Nawet nie zauważył, co go trafiło. Padł w błoto z cichym charkotem i znieruchomiał. Marni spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Usłyszałem okrzyki przerażenia i przenikliwe, paniczne wrzaski kobiety z notatnikiem.

– Prędejj! – zawołałem, chwytając Marni pod ramię. – Biegnij!

Puściliśmy się sprintem. Minęliśmy policyjny wehikuł, którego dowódca wykrzykiwał coś za

zamkniętymi drzwiami. Pleksiglasowa wieżyczka pojazdu obróciła się gładko, a lufa karabinu maszynowego skierowała się w naszą stronę.

– Prędy! – wrzasnąłem. W tej samej chwili nad naszymi głowami przemknęły czerwone i zielone pociski smugowe. Ściana sąsiedniego budynku zaskwierczała nagle, gdy kule zaczęły odłupywać kawałki cegły.

Strzelec mierzył zbyt wysoko, ale wiedziałem, że nie powtórzy tego błędu.

Na ulicy zapanował chaos. Ludzie rozbiegli się z krzykiem, gubiąc po drodze kosze i tobołki. Kilka kroków przede mną jakiś mężczyzna padł na ziemię trzymając się za głowę, trafiony rykoszetem.

Marni skoczyła w najbliższą otwartą bramę. Pobiegłem za nią i znalazłem się w długiej sali, w której Ślepy zajmowali się wypychaniem zabawkowych zwierzątek. Wystraszeni strzelaniną, odwrócili głowy w kierunku źródła dźwięku.

– Nie zatrzymuj się – zawołałem do Marni. – Musi tu być tylne wyjście.

Zdrowy rozsądek nakazywałby przerwać ogień w chwili, gdy znikliśmy we wnętrzu budynku. Tak się jednak nie stało. Strzelec posłał serię w otwartą bramę. Jeden z robotników padł na wznak z dymiącą dziurą w miejscu, gdzie pocisk zapalający przebił ubranie. Pozostali rzucili się do ucieczki – w panice pobiegli wprost do frontowych drzwi.

Karabin maszynowy zaterkotał wściekle. Obejrzałem się przez ramię i ujrzałem rozerwane ciała, wpadające bezwładnie wprost do rynsztoka.

Marni myślała szybciej niż ja. Zamiast zastanawiać się nad tragedią, pchnęła mnie ze wszystkich sił w stronę małych drzwi w tylnej części warsztatu.

Nie zatrzymując się, biegłem przez magazyn pełen gapiących się na mnie główek lalek i po chwili wypadłem w ciemny zaułek, gdzie kilkunastu mocno zaskoczonych ludzi spojrzało na mnie ze strachem, porzucając tobołki i wózki. Z pewnością słyszeli strzelaninę, ale nie wiedzieli, co się dzieje i skąd dochodzą niepokojące hałasy.

Marni biegła przede mną w iście sprinterskim tempie. Wszystko jedno dokąd. Wszystko jedno po co. Mogłem tylko puścić się pędem za nią.

39. W głębin

– Stać!

Nie zamierzaliśmy usłuchać. Zanim policjant uniósł strzelbę do ramienia, skręciliśmy w boczną uliczkę.

Nie był to najmądrzejszy wybór. Wybiegliśmy wprost na wielki stalowy transporter. Kierowca z błyskiem w oku dodał gazu i pojazd ruszył prosto na nas. Marni już zaczęła obracać się na pięcie, ale powstrzymałem ją i zmusiłem, by biegła wraz ze mną w kierunku wehikułu. Przyjąłem ryzykowne założenie, że strzelec w wieżycze nie zdoła opuścić lufy tak nisko, by skutecznie razić nas z małej odległości.

Karabin szczeknął krótką serią i zielone smugi przemknęły nad naszymi głowami. Chwilowo przynajmniej nie groził nam postrzał... Sama maszyna... to zupełnie inna sprawa. Wydawało mi się, że zirytowany kierowca postanowił po prostu nas przejechać.

– Na płot! – zawołałem do Marni. Przeskoczyliśmy ogrodzenie i znaleźliśmy się w ogrodzie pełnym spokojnie pasących się kóz.

Obejrzałem się i stwierdziłem, że przezroczysta kopułka, doskonale widoczna ponad płotem, obraca się w naszą stronę.

Marni nie potrzebowała zachęty. Błyskawicznie wspięła się na mur odgradzający sąsiedni ogród. Popędziłem za nią. Przy akompaniamencie łomotu kul o ceglana zaporę zeskoczyliśmy wprost na ziemniaczane poletko. Zatrzymaliśmy się na moment, by zaczerpnąć tchu; strzelec walił seriami jak opętany, testując grubość i solidność muru. Najwyraźniej nie opuszczała go nadzieja, że uda mu się wyrąbać dziurę i wreszcie położyć nas trupem.

Na szczęście murarz sprzed lat nie był fuszerem. Mimo zacieklego ostrzału po drugiej stronie ściana trwała niewzruszenie. Marni spojrzała na mnie, a ja kiwnąłem głową. Ruszyliśmy dalej, starając się biec chyłkiem. Wprawdzie nie widziałem już wieżyczki, ale słyszałem, że pojazd manewruje za murem, jakby strzelec wypatrywał nas w ogrodowych chaszczach. Tym razem jednak udało nam się ukryć przed jego wzrokiem. Przemykając między kurnikami, królikarniami i kępami krzewów, posuwaliśmy się od ogrodu do ogrodu. Jeżeli okoliczne domy miały jakichkolwiek mieszkańców, to żaden z nich nie dał znaku życia. Ci, którzy usłyszeli strzały, z pewnością woleli przeczekać zamieszanie w domach.

W połowie długości bloku Marni zauważyła bramę przelotową prowadzącą na główną ulicę. Chwyła mnie za rękę i pociągnęła w stronę przejścia.

Ulica, na którą wyszliśmy, nie różniła się zbyt wiele od innych ciągów komunikacyjnych gigantycznego więzienia. Snuli się po niej obładowani ciężarami ludzie. Jezdnia była śliska od błota. W gęsto upchniętych warsztatach i fabryczkach praca szła pełną parą – widziałem szwalnie, stolarnie, przędzalnie, a nawet miniaturowe piece hutnicze i kadzie, w których wytapiano tłuszcz zwierzęcy służący do formowania świec.

Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Na szczęście Marni znała tę okolicę jak własną kieszeń. Przeszliśmy szybko długą ulicę i znowu znaleźliśmy się w labiryncie zaułków. Zmierzch coraz prędzej zmieniał się w noc. Latarnie, jedna po drugiej, zaczynały się zapalać migocząc, gdy Marni ciągnęła mnie za rękaw w stronę następnej, jakby gotyckiej budowli, wyróżniającej się wśród okolicznych czteropiętrowych domów. Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, natychmiast poznałem, że to kościół, dawno temu strawiony przez ogień tak bardzo, że w miejscu dachu widać było nocne niebo. Ze

strzaskanych witraży pozostały tylko nędzne fragmenty barwnych wizerunków aniołów i świętych.

Podążyłem za Marni przez stertę gruzu. Znaleźliśmy się na tyłach kościoła, a ściślej na cmentarzu, oddanym we władanie świniom, które parszając i chrząkając dłużyły ryjami w błocie. Zatrzymaliśmy się na skraju zagrody. Marni wyciągnęła rękę...

Spojrzałem i w pierwszej chwili oślepiły mnie jaskrawe światła. Wreszcie ją zobaczyłem: wysoką na dwadzieścia metrów barierę z betonu, tonącą w blasku jupiterów i ciągnącą się jak okiem sięgnąć w obie strony. Budynki stojące najbliżej ściany zburzono; wzdłuż zapory widać było pas gołej ziemi, na którym ustawiono zasieki z drutu kolczastego. Zadarłem głowę i przyjrzałem się górnej części ściany. Co kilkaset metrów widać było wieże strażnicze. Musiałbym być niepoprawnym optymistą, by przypuszczać, że nikogo w nich nie było. Jakby na potwierdzenie tej niewesołej myśli zobaczyłem podjeżdżający pod jedną z nich wóz policyjny. Dwaj mężczyźni wyskoczyli z szoferki i znikli na schodach wieży. Chwilę później na ulicę wyszli dwaj inni – trafiliśmy akurat na zmianę warty.

Bardzo długo przyglądałem się odległej o pięćdziesiąt metrów ścianie fortecy, do której tak bardzo chciałem się dostać. Za murem czekały jasne ulice i wygody wielkomiejskiego życia... Słyszałem nawet warkot samochodowych silników. Zapachy dolatujące z jakiejś dobrej restauracji drażniły mój nos. Gdzieś tam, może o kilka kroków ode mnie, była też Kerris Baedekker...

Spojrzałem na Marni, z podziwem gapiącą się na olbrzymią ścianę.

– Co teraz, Marni? Przejdziemy pod ziemią?

Potrząsnęła głową. Znowu ruszyłem za nią, tym razem wzdłuż muru, trzymając się w cieniu zrujnowanych budynków. Dokoła panowała przygnębiająca cisza, w której nasze kroki brzmiały nienaturalnie głośno. Co pewien czas oglądałem się przez ramię przekonany, że ktoś nas śledzi, ale w rzeczywistości było to tylko echo naszych kroków. Wreszcie opuściliśmy miejskie pustkowie i zapuściliśmy się w głąb pomocnego skrawka Central Parku, również oddzielonego murem od znacznie większej, południowej części. Właściwie nie był to już park, tylko spokojne pola jęczmienia, ziemniaków i buraków. Gdzieś w gęstniejącym mroku rozległo się beczenie owcy. Gdy przemierzaliśmy park i znowu zagłębiliśmy się w ruiny, nogi bolały mnie już niemiłosiernie.

– Daleko jeszcze? – spytałem.

Marni machnęła lekko ręką, co odczytałem jako „już niedaleko”.

Wciąż jednak nie miałem pojęcia, jakim sposobem sforsujemy zaporę. Zauważyłem po drodze kilka bram, ale wszystkie wyglądały na dobrze zamknięte. Wszędzie widziałem strażników, a jeżeli w ogóle istniała gdzieś podziemna droga na drugą stronę, to nie miałem pojęcia, jak się do niej dostaniemy.

Zbliżała się pomoc, gdy wreszcie dotarliśmy do końca ściany.

Stanęliśmy nad brzegiem rzeki. Zapora wciniała się w nurt na dobrych parę metrów, a drewniana konstrukcja opleciona drutem kolczastym – na kolejnych dwadzieścia.

Poczułem, że opuszcza mnie wiara.

– Jak my to zrobimy, Marni?

Spojrzała na mnie zdziwiona. W jej zielonych oczach odbijał się blask reflektorów, gdy wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Jeszcze na to nie wpadłeś?”

– Nie, Marni. Nie tędy. To raczej niemożliwe. Dziewczyna z zapalem kiwnęła głową, naśladując rękami ruchy pływaka.

Przygryzłem wargę.

– Tego się właśnie obawiałem.

Marni ruszyła w stronę wody, ale zatrzymałem ją.

– Jeszcze nie. Poszukajmy lepszego sposobu. – Kiwnąłem głową w kierunku brzegu, ciągnącego się w stronę nieprzebytej zapory. – Może znajdziemy łódź czy coś takiego... – dodałem niepewnie. – Nawet pusta beczka będzie lepsza niż pływanie bez asekuracji.

Marni niechętnie skinęła głową. Dziewczyna ma charakter, to pewne, pomyślałem. Była gotowa wskoczyć do wody i opłynąć przeszkodę – ja, niestety, nie. Przypomniałem sobie wycieczkę z Kerris. Dotarliśmy do wschodniego brzegu wyspy Manhattan, zatem przed nami płynęła rzeka Harlem, która nieopodal, w miejscu zwanym złowieszczą Bramą Piekieł, łączyła się z East River. Tutaj ryzykowanie nie miało sensu – Brama Piekieł była niebezpiecznym wirem; kotłowały się w nim fale dwóch rzek i zabójcze prądy, które mogły znieść najlepszemu nawet pływakowi wprost do krainy wiecznych łowów.

Poza tym miałem w pamięci spotkanie sprzed kilku zaledwie dni – z wodnymi tryfidami ze Stawu Kolumba. Nie uśmiechała mi się kąpiel w towarzystwie roślin, które mogły już skolonizować te mętne wody...

Nie znaleźliśmy łodzi. Marni znowu pokazała, że powinniśmy płynąć wplaw. Pokręciłem głową.

Wróciliśmy na ulice. Wierzyłem, że w końcu na coś natrafimy. Wędrowaliśmy więc zaułkami, zaglądając do ogrodów i na podwórka. Wreszcie usłyszałem odgłos piłowania. Kierując się tym dźwiękiem, znaleźliśmy warsztat, w którym smagły mężczyzna przy świetle małej lampki samotnie przycinał deski. Obok stała nieukończona drewniana szafa.

Moją uwagę przykuło jednak coś innego: w kącie stało pół tuzina plastikowych worków z trocinami. Dałem znak Marni, by ukryła się w cieniu.

Nie musiałem długo czekać na sposobność – mężczyzna już po chwili wyszedł na podwórze i zaczął krzyczeć:

– Joe!... Joe!... Zrobiłeś wreszcie tę kawę?! – Stolarz słuchał przez moment dalekiej odpowiedzi. – Jak to?! Joe, przecież mówiłeś, że wracasz za dziesięć minut, a nie ma cię od pół godziny! Jak nie zrobię tej szafy na czas, nie dostanę swojej działki. A nie zrobię, jeśli nie przyniesiesz mi tej cholernej kawy! Do diabła, człowieku, zaschło mi w gardle. Jeśli nie ruszysz tyłka, to postaram się, żebyś nie dostał żarcia! Słyszałeś, Joe? – Gdy stolarz beształ swego kumpla, chwyciłem dwa worki trocin i chyłkiem wróciłem do Marni. – W porządku – szepnąłem. – Wracamy nad rzekę.

– Rób to co ja – poleciłem.

Marni z powagą skinęła głową.

Opróżniłem worek, wysypując trociny wprost na nabrzeże. Dziewczyna zrobiła to samo. Potem rozebrałem się szybko i wrzuciłem ubranie do worka. Wreszcie wyciągnąłem sznurowadła i dołożyłem buty do ubrania.

Nie było czasu na fałszywą skromność, a jednak starałem się patrzeć Marni w oczy, gdy mówiłem:

– Teraz zwiąż worek sznurowadłami... Tylko postaraj się jak najmocniej... Nie, nie wyciskaj powietrza z worka. Niech będzie raczej nadmuchany, kiedy zaczniesz wiązać... Dobrze. Gotowa?

Marni z determinacją skinęła głową.

Wszedłem do wody. Zacisnąłem zęby, bo była zimna jak wszyscy diabli. Ruszyłem dalej, ignorując ostry żwir wbijający się w stopy. Jednocześnie rozglądałem się na wszystkie strony. Rzeka wyglądała wyjątkowo nieprzyjemnie, wręcz złowrogo – jak czarna otchłań bez dna, pełna niebezpieczeństw.

Pomyślałem, że tuż pod powierzchnią mogą czekać na nas wodne tryfidy. Próbowałem jednak

wmówić sobie, że albo nie dotarli jeszcze w te strony, albo też wolą spokojne wody jezior. Na szczęście jak dotąd czułem tylko rwący prąd Harlemu, atakujący moje nogi.

Spojrzałem na Marni. W ciemności jej skóra świeciła bielą. Dziewczyna stęknęła cicho i wciągnęła brzuch, czując wokół siebie lodowatą wodę.

– Nie martw się – powiedziałem. – Nie będziemy się długo moczyć.

Odpowiedziała kiwnięciem głową.

Przyjrzałem się uważnie jej twarzy. W mroku szkaradna blizna nie była widoczna; uwagę przykuwały za to piękne oczy. Było w nich tyle ufności, że zgrzytając zębami zapytałem sam siebie w duchu, w jakie jeszcze tarapaty wpakuję tę niewinną istotę.

Zamarłem, gdy coś otarło się o moje kolano. Woda była zbyt ciemna i zamulona, by dostrzec w niej cokolwiek, a jednak byłem pewien, że coś poczułem... Coś gładkiego i oślizłego.

Spodziewałem się, że lada chwila spod wody wystrzeli wić tryfida.

Stałem więc jak skamieniały, wstrzymując oddech i wsłuchując się w szaleńcze bicie serca. To, co musnęło moją nogę, odpłynęło jednak i nie powróciło. Może było to zwykłe zielsko, a może węgorz? Woląłem nie zastanawiać się zbyt głęboko nad tym, co mogły w sobie kryć mętne wody nowojorskiej rzeki.

– Zaczynamy, Marni – szepnąłem, zbierając resztki pewności siebie. – Nie pływaj. Pozwól, żeby obok ściany przeniósł cię prąd. Obejmij ręką worek, niech cię unosi na wodzie. Jasne?

Kiwnęła głową uśmiechając się z przymusem.

– To dobrze. Tylko spokojnie. Trzymaj się blisko mnie. Przez cały czas musimy się widzieć.

Zaciskając szczęki, zanurzyłem się w zimnej wodzie. Usłyszałem, że Marni, szczękając zębami, powtarza mój ruch.

Worek naprężył się, gdy obejmując go ramieniem oparłem na nim ciężar ciała. Torba, do której przytuliła się Marni, lśniła srebrzyście. Miałem nadzieję, że strażnicy nie zwrócą na to uwagi. W przeciwnym razie wystarczyłoby kilka celnych strzałów z karabinu...

Chcąc trzymać się blisko Marni, musiałem powoli wiosłować wolną ręką. Miałem rację co do prądów: niemal natychmiast zniosły nas na środek głębokiej na sześć metrów rzeki. Bardzo szybko też minęliśmy zasięki przedłużające wielką ścianę i zobaczyliśmy jaskrawe światła centrum. Ulicami sunęły korowody samochodów, a nadrzeczną promenadą przechadzali się ludzie. Wyglądało na to, że dobrze się bawia.

Tymczasem byliśmy już z Marni zaledwie pięćdziesiąt metrów od kipieli. Woda zaczęła nas wciągać i obracać; w każdej chwili mogliśmy zniknąć w którymś z wirów.

– Złap mnie za rękę – sapnąłem. – Nie mogę płynąć tak blisko.

Marni uniosła ramię nad wodę. Chwyciłem je i mocno ścisnąłem. Dziewczyna kiwnęła głową w stronę worka, którego trzymałem się kurczowo drugą ręką.

Powietrze uchodziło z niego pomału, z cichym bulgotem. Chwyciłem folię w miejscu, w którym była nieszczelna i ścisnąłem.

– Musimy skręcić w kierunku brzegu – szepnąłem – Nie chcę, żeby prąd zepchnął nas na drugą stronę. – Nie dodałem, że na przeciwnym brzegu czeka nieprzebyta gęstwina tryfidów.

Zaczęliśmy płynąć, pchając worki przed sobą. I wtedy znowu poczułem, że coś gładkiego prześlizguje się obok mnie – tym razem na wysokości brzucha. Ogromnym wysiłkiem zdołałem opanować się i nie krzyknąć z przerażenia, ale strach zjeżył mi włosy na głowie i przyprowadził o dreszcze.

Płynąłem dalej, czekając irracjonalnie na ugryzienie potężnych szczęk czy wręcz na rękę, która wynurzy się nagle spod wody i chwyci mnie za gardło.

Podwodne stworzenie nie dało więcej znaku życia. Wskazałem ręką na krzaki, zwieszające się nisko nad wodą.

– Tam – szepnąłem. – Nie będzie nas widać z ulicy. Ostatnich kilka metrów pokonywaliśmy, jak mi się zdawało, w ślimaczym tempie. Silny prąd ciągnął nas w przeciwną stronę, a ja nie przestawałem rozmyślać o tajemniczych podwodnych istotach.

Marni płynęła wytrwale, a ja obserwowałem jej białe pięty, migające nad wodą tuż przede mną. Poczulem, że coś ostrego przesuwają się po moich kolanach. Za drugim razem szybko zanurzyłem rękę, próbując odpędzić napastnika, i... uderzyłem pięścią w skałę. Uradowany, że znowu czuję pod nogami twarde gruntu, wdrapałem się na brzeg w ślad za Marni. Wyczerpany usiadłem obok dziewczyny, która zaczęła już wyciskać wodę z długich włosów. Gdy siłowałem się z mokrym sznurowadłem opasującym wyłot worka, szturchnęła mnie i ruchem głowy wskazała na mroczne wody.

Ujrzałem gładki, półokrągły kształt wynurzający się na moment z wody. Był czarny, połyskujący i... zwieńczony płetwą grzbietową. Rozległ się cichy syk wypuszczanego powietrza i nad powierzchnią ukazał się obłoczek pary.

Oto i mój potwór, sługa ciemności, w całej swojej krasie, pomyślałem.

Z uśmiechem – i ogromną ulgą, ma się rozumieć – odezwałem się bardziej do siebie niż do Marni:

– To tylko morświn.

Nie zdążyłem jeszcze nacieszyć się chwilą odprężenia, kiedy z krzaków wyłoniła się znieścacka ręka uzbrojona w groźnie wyglądający, zakrzywiony nóż skierowany wprost w moje gardło. Tuż obok pojawiły się silne ramiona, by pochwycić Marni i wciągnąć ją w ciemność.

40. Dziać się będą rzeczy straszne...

Ręce, które chwyciły Marni i mnie na brzegu rzeki, ciągnęły nas coraz głębiej w krzaki. Przez cały czas czułem, że czubek noża dotyka mojej skóry. Każdy nieprzemyślany ruch mógł być moim ostatnim.

Czyjaś dłoń złapała mnie za szczękę i obróciła mi twarz w stronę światła latarni ulicznych, z trudem przedostającego się przez gęstwiny.

– Co zrobimy z tymi kochasiami? – spytał ktoś szeptem.

Zabijemy.

– Ale...

– I to szybko. Najlepiej nożem.

Gdzieś z boku rozległ się trzeci zduszony głos:

– Zaczekajcie, ja już gdzieś widziałem tego gościa...

– To co?

– Hej, przecież to ten facet... ten Anglik, który nas tu przywiózł... eee... Masen! Tak, Masen.

– Pewny jesteś?

– Całkowicie.

Szeptana konwersacja trwała jeszcze chwilą.

– Zaczekajcie. Zaraz wracam.

„Zaraz” trwało mniej więcej pół godziny, które spędziliśmy w żelaznym uścisku napastników. Zauważyłem, że do gardła Marni także przyłożono nóż. Oboje byliśmy mokrzy i czułem, że zaczynam drętwieć z zimna.

Wreszcie coś zaszeleściło w krzakach.

– Sacramento – szepnął ktoś.

– Berlin – odpowiedział cicho mężczyzna, który mnie trzymał.

Usłyszałem kroki kilku osób, a potem znajomy, zdumiony głos:

– David?! Co ty tu robisz, u licha? – Dłoń ściskająca moją szczękę wreszcie zwolniła uchwyt.

Odwrociłem się i zobaczyłem Gabriela Deedesa, mierzącego mnie i Marni wzrokiem pełnym niedowierzania. – I dlaczego jesteście nadzy? – dodał, uśmiechając się coraz szerzej.

Opowiedziałem mu szybko o tym, co przeżyłem i przekazałem ponurą wiadomość o zlokalizowaniu przez policję naszych wodnopłatów. Jednocześnie razem z Marni ochoczo wkładaliśmy suche ubrania.

Gabriel cmokał nerwowo, słuchając niewesołych wieści.

– Znajdziemy inny środek transportu... Ale wszystko w swoim czasie. Najpierw poszukamy dla ciebie nowej kryjówki.

– Nic podobnego. Teraz jestem uczestnikiem waszej wyprawy. Pełnoprawnym i aktywnym uczestnikiem. Znajdę Kerris i wyciągnę ją stąd.

– Jeżeli będzie chciała.

– Chcę, żeby sama mi o tym powiedziała.

Gabriel skinął głową.

– W porządku, ale do jutrzejszego popołudnia i tak niczego nie robimy. Wszystkie jednostki mają rozkaz ukrywania się aż do godziny zero.

– Do godziny zero?

– Wtedy zaczną się fajerwerki. Później wam wyjaśnię.

Wciągnąłem na mokre nogi wysokie buty lotnicze.

– W jaki sposób przeszliście przez mur?

– Jak zwykle pod ziemią – odparł Gabriel, zerkając na Marni. – Zdaje się, że twoja przewodniczka nie wiedziała o tej trasie. Gdyby było inaczej, dotarlibyście na drugą stronę suchą nogą i... w bardziej obyczajny sposób – dodał, uśmiechając się lekko i gestem nakazując nam iść za sobą. – Patrzcie pod nogi. Saperzy właśnie rozstawiali miny, gdy zauważyli was swawolących w wodzie. – Gabriel skinął głową w stronę betonowych budynków, stojących nie dalej niż trzydzieści kroków od nas. – To stanowisko obrony przeciwlotniczej, więc ciii... – szepnął, przykładając palec do ust.

Gdy wreszcie wyszliśmy z krzaków, zobaczyłem, że nasi ludzie mają na sobie zwyczajne, cywilne ubrania, dzięki którym mogli bez trudu wmieszać się w tłum nowojorczyków. Gabriel spojrzął na łachmany Marni i szepnął coś jednemu z saperów. Mężczyzna natychmiast ściągnął sweter i podał go dziewczynie. Choć absurdalnie długi, pulower skutecznie zakrył pocerowaną i wyświechtaną bluzę Marni, przez co dziewczyna stała się nieco mniej podobna do uciekinierki z obozu niewolniczej pracy.

Okazało się, że nie musimy iść zbyt daleko. Minęliśmy ledwie jeden budynek, gdy Gabriel wskazał nam drzwi tuż obok jaskrawo oświetlonej kawiarni i zapukał w nie energicznie. Uchyliły się tylko na tyle, by ten, kto stał wewnątrz, mógł zidentyfikować Gabriela. Dopiero wtedy zostaliśmy wpuszczeni do środka.

Zaraz za drzwiami rozpoczynały się długie schody prowadzące pod ziemię. Gabriel sprowadził nas do obszernej piwnicy, w połowie wypełnionej belami papieru, na których urządzono kilka legowisk. W kącie pomieszczenia ustawiono stertę konserw i rząderek butelek z wodą.

– Częstujcie się kolacją – zaprosił Gabriel, machając ręką. – Obawiam się, że mamy tylko fasolkę z puszek na zimno... Za to na deser jablecznik i śmietanka. Pomyślałem, że trzeba kupić coś dobrego na wypadek, gdyby odwiedził nas Sam Dymes – dorzucił z uśmiechem.

– Gdzie on jest?

– Załatwia sprawy – odparł Gabriel wymijająco i wzruszył ramionami.

Spojrzałem na Marni. Dziewczyna otrząsnęła się już po mokrej nocnej przygodzie na tyle, by w miarę spokojnie pałaszować solidną porcję zimnej fasolki.

Gdy skończyliśmy jeść, była trzecia nad ranem. Jeszcze przez trzy kwadransy saperzy powracali ze swoich misji, zdejmowali buty i zasypiali na zaimprovizowanych posłaniach.

Gabriel przyniósł nam koce.

– Jutro wielki dzień, Davidzie. Wyśpijcie się dobrze. Pamiętam jak dziś, o czym myślałem, kładąc się na belach papieru: że po takiej nocy z całą pewnością nie zasnę.

Ledwie przymknąłem powieki – tak mi się przynajmniej wydawało – otworzyłem je znowu i zobaczyłem kucającego przy mnie Gabriela. Przez małe okienko pod sufitem sączyło się światło słoneczne.

– Zrobiliśmy kawę – oznajmił poważnym głosem. – Weź kubek i chodź do stołu. Musisz poznać parę szczegółów.

Siedząc za stołem, słyszałem tupot nóg za matowym szkłem okienka. Mieszkańcy Manhattanu jak co dzień zajmowali się swoimi sprawami... Spojrzałem na zegar zawieszony na gwoździu. Tuż obok, na ścianie, ktoś napisał kredą: „Zsynchronizować zegarki na tę godzinę”. Dochodziła dziesiąta rano. Czulem, że za długo spałem. Marni uśmiechała się do mnie znad puszek z fasolką. Dostała nowe ubranie, a długim rudym włosom, jak się domyślałem, zaaplikowała solidne szczotkowanie. Gdyby nie

blizna przecinająca jej twarz, mogłaby z łatwością wmieścić się w tłum eleganckich obywateli Nowego Jorku.

Gabriel rozwinął mapę.

– Zaczynamy dziś o siedemnastej, czyli z początkiem popołudniowego szczytu. Ulice będą zatłkane autami, a metro i chodniki pełne ludzi wracających z pracy. – Murzyn wskazał palcem punkt na planie podobnej kształtem do marchewki wyspy Manhattan. – Jesteśmy tu, w północno-wschodnim kwartale. Wiemy, że Christina Schofield i Kerris Baedekker znajdują się w Empire State Building.

– Czy Kerris wie, co planujemy?

– Wie, że coś się wydarzy, ale jeszcze nie zna wszystkich szczegółów. Torrance kazał jej zamieszkać z Christiną. Ma dopilnować, żeby dziewczyna była szczęśliwa i dobrze się bawiła do czasu... – Gabriel skrzywił się – ...operacji.

– Widziałem, jak wybierano dziewczęta z północnej części miasta. Pomyślałem, że już się zaczęło.

– Całkiem słusznie. Każda kobieta zdolna do urodzenia dziecka zostanie zapłodniona. Te z północy obowiązkowo. Te z centrum... teoretycznie z czystego patriotyzmu, ale moim zdaniem wiele kobiet da sobie wszczepić embriony Christiny tylko dlatego, że znajdują się pod straszną presją. Ale przejdźmy do rzeczy. Po ostatniej nieudanej próbie uwolnienia Christiny Torrance zrobił się bardzo ostrożny.

– Czy to znaczy, że Christina nie zostanie przewieziona do szpitala?

– Właśnie. Torrance polecił zamienić jedno z najwyższych pięter Empire State Building w klinikę dysponującą własną salą operacyjną. Gdy tylko lekarze usuną dziewczynie jajniki, jaja zostaną przewiezione do szpitali i klinik położniczych, przygotowanych już do programu implantacyjnego.

– Ale jak zdołamy wyprowadzić Christinę z drapacza chmur?

– Dobrze pytanie. – Gabriel zamyślił się. – Bardzo dobre pytanie... Wiemy już, że to nie będzie łatwe. Torrance jest wyjątkowo czuły na punkcie własnego bezpieczeństwa. Większość sił zbrojnych Manhattanu stacjonuje w budynkach otaczających Empire State Building. Na pobliskich ulicach aż się roi od czołgów i wozów pancernych. Do tego należy dodać osobistą ochronę Torrance'a, Gwardię, zabezpieczającą gmach od środka. To banda bezlitosnych zbirów, spece od mokrej roboty.

– Mamy mniej więcej sześćdziesięciu marines. Naprawdę sądzisz, że uda nam się wdrzeć do takiej fortecy?

– Nie. Na pewno nie dostaniemy się tam siłą. – Gabriel postukał palcem w mapę. – Sam Dymes uważa, że szansę na sukces daje nam tylko wyprowadzenie lwej części tutejszej armii na południowy kraniec wyspy, do Dolnego Manhattanu. Chce wykorzystać większość marines, saperów i tajnych agentów do ataku na baterie nadbrzeżne, żeby przekonać Torrance'a, że lada chwila nastąpi inwazja z morza. – Gabriel uśmiechnął się ponuro. – Uwierz lub nie, ale jedną z naszych głównych broni są... korki na Manhattanie. Gdy tylko zaczniemy atakować stanowiska artyleryjskie nad rzeką, ulice zapchają się samochodami uciekających w panice ludzi. Czołgi i wozy pancerne będą musiały przejechać jakoś z centrum do Dolnego Manhattanu. To nie więcej niż kilka kilometrów, ale przy odrobinie szczęścia i małej pomocy paru niespodzianek z naszej strony przebiec się przez zatory zajmie im dobrą godzinę.

– Nasi marines mają tylko karabiny maszynowe. Nie mają szans w walce z ciężkim sprzętem.

– I dlatego gdy tylko zobaczą czołgi, przerwą atak i przebiją się pieszo pod Empire State

Building. Uliczki w Greenwich Village są raczej wąskie, a nasi saperzy sprawią, że będą jeszcze trudniejsze do przebycia dla wozów niż zwykle.

Spojrzałem na plan miasta. Na papierze ruchy naszych żołnierzy wyglądały logicznie. Nagle przypomniało mi się coś, o czym wspomniał Gabriel.

– Mówiłeś, że korki to jedna z naszych broni. A inne?

– Nie na darmo nazywają nas Leśnikami – odrzekł Gabriel. – Przez lata tryfidy były dla nas obroną przed wojskami Torrance’a. Teraz też ich użyjemy.

– Jak?

– Widzisz te mosty nad East River? Każdy z nich zamknięto dziesięciometrowym ogrodzeniem. A my założyliśmy ładunki, które punktualnie o piątej wysadzą bariery w powietrze.

Gwizdnąłem z cicha.

– Ludzie Torrance’a będą musieli zająć się armią tryfidów maszerujących po mostach wprost na Manhattan – ciągnął Gabriel. – A każdy żołnierz odciągnięty z okolic Empire State Building to większa szansa na powodzenie naszej misji.

– Gabe – odezwałem się po chwili – na tej wyspie mieszkają dziesiątki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. To niewinni ludzie, którzy nie mają nic wspólnego z reżimem Torrance’a. Ich krew splami wasze ręce.

Gabriel pokręcił głową.

– W Nowym Jorku opracowano plany na taką okazję. Gdy tylko odezwą się syreny... a odezwą się jednocześnie w całym tym przekłętym mieście... ci, którzy nie zdążą schronić się w domach, popędzą do stacji metra. Gdy wyłączą się prąd, tunele pomieszczą tysiące ludzi. Zaufaj mi, Davidzie. Ludzie będą wtedy bezpieczni.

Westchnąłem ciężko. Pomysł sprowadzenia tryfidów do z trudem oczyszczonego z nich miasta nie podobał mi się ani trochę.

– Jeszcze o czymś powinienem wiedzieć?

– Tylko o tym, że mamy w zanadru parę niespodzianek.

– Na przykład?

– Nawet ja nie wiem jakich.

Istotnie, już wkrótce czekały mnie niespodzianki... Choć nie wszystkie z nich zaplanował sprytny Sam Dymes.

41. Godzina zero

Czas, który pozostał nam do rozpoczęcia akcji, włókł się niemiłosiernie. Leniwe tykanie zegara nie ułatwiało nam oczekiwania. Do południa większość ludzi, którzy nocowali z nami w piwnicy, odmaszerowała na pozycje wyjściowe. Siedząc w pustoszejącej kryjówce, graliśmy z Marni w szachy pozostawione przez jednego z saperów. Podczas trzeciego meczu, gdy jej królowa, wieża i gонец znowu zapędzali mojego króla w róg szachownicy, podszedł do nas Gabriel. Nie miałem mu więc za złe, gdy przemówił, kiwając głową w stronę skrzyni, z której wystawały skierowane ku sufitowi lufy.

– Czas na nas, Davidzie. Potrafisz się obchodzić z bronią maszynową i granatami?

Odpowiedziałem, że potrafię.

– To dobrze. Wybierz sobie coś. Sten jest najłżejszy, ACP ma największą siłę rażenia. Aha... – dodał, przypomniawszy sobie o czymś. – Kiedy już bomba pójdzie w górę i ktoś nieznajomy zawoła do ciebie „Sacramento”, masz odpowiedzieć „Berlin”. Jeżeli tego nie zrobisz, zastrzeli cię na miejscu.

O, tak. Bez wątplenia była to przydatna informacja. Miałem tylko nadzieję, że nie zapomnę o niej w decydującym momencie.

Siedemnasta. Godzina szczytu. Hałasy uliczne przybrały na sile. Coraz więcej stóp wystukiwało swój rytm za matowym okienkiem piwnicy. Nie słyszałem za to ani jednej eksplozji i ani jednego strzału Leśników atakujących stanowiska artylerii przeciwlotniczej w południowym Manhattanie.

Gabriel Deedes chyba czytał w moich myślach.

– Jesteśmy zbyt daleko, by słyszeć huk wybuchów na mostach. No i dobrze; ułatwi nam to życie. Gotów?

Skinałem głową.

Ruszyliśmy z Marni i Gabrielem w towarzystwie pięciu Leśników. Każdy z nas niósł broń zakamuflowaną w rozmaity sposób – ukrytą w torbach lub futerałach na instrumenty. Gabriel taszczył karabinek półautomatyczny i pas z granatami w pudle od gitary. Mój pistolet maszynowy zmieścił się w płóciennej torbie. Gabriel zwrócił się do całej drużyny:

– Słuchajcie, jest piąta. Atak już się zaczął. Minie co najmniej pięć minut, zanim dowie się o nim całe miasto. Na razie więc, gdy wyjdziemy na ulicę, macie się rozdzielić i iść w parach. Powtarzam: iść. Macie wyglądać tak, jakbyście wracali do domu po długim dniu pracy w biurze – wyjaśnił, kiwając głową i przyglądając się każdemu z nas z osobna. – Powodzenia. Chciałbym, żebyśmy wszyscy bezpiecznie wrócili do bazy. Benjaminie, wyprowadź nas.

Wkrótce byliśmy już na powierzchni. Mieliśmy dotrzeć w pobliże Empire State Building w chwili, gdy komandosi już prawie opanują sytuację wewnątrz gmachu. Po osiągnięciu celu należało wykonać podejrzanie prosty rozkaz: przegrupować się i skierować na północ, ku Sto Drugiej ulicy. Posuwając się dalej, mieliśmy w jakiś sposób odzyskać hydroplany i wrócić do domu. Spokoju nie dawała mi myśl, że czeka nas być może nie tylko torowanie sobie walką drogi ku nadrzecznemu hangarowi, ale także przykra niespodzianka – na przykład rozebrane silniki lub pocięte kable, uniemożliwiające start maszyn. W takim przypadku byłibyśmy w potrzasku. Co dalej? Miałem nadzieję, że Sam Dymes przygotował plan awaryjny na taką okazję.

Rozejrzałem się dookoła. Ulica i chodniki były pełne samochodów i pieszych; wysokie budowle kąpały się w popołudniowym słońcu. Na pozór był dzień, jakich wiele miałem okazję przeżyć w Nowym Jorku. Ale wiedziałem, że zaledwie kilka kilometrów dalej rozpoczęła się zażarta bitwa o stanowiska artyleryjskie.

Marni szła obok mnie ze spuszczoną głową, starając się ukryć bliznę za woalem długich rudych włosów. Kilka kroków przed nami długim, spokojnym krokiem szedł Gabriel.

– Hej, Gabe! – zawołał zniecierpliwiony kierowca jednej z taksówek. – Nie widziałem cię od tygodni... Gdzieś ty się podziewał?

Zdenerwowany, podświadomie napiąłem mięśnie brzucha. Gabriel był z pewnością poszukiwany w Nowym Jorku. Gdyby rozpoznał go policjant, czekałaby nas strzelanina znacznie wcześniej, niż sobie tego życzyliśmy. Gabriel jednak najspokojniej w świecie przystanął i pochylił się w stronę okna samochodu. Uśmiechnięty i zrelaksowany, wymienił kilka słów z kierowcą, po czym spojrzął na zegarek. Jak się domyślałem, mówił mężczyźnie, że bardzo się spieszy. Na szczęście na najbliższym skrzyżowaniu światła zmieniły się na zielone i kolumna samochodów musiała potoczyć się naprzód.

Gabriel szedł dalej, lecz teraz znacznie uważniej przyglądał się twarzom przechodniów i mijającym nas pojazdom. Przycisnął też do piersi futerał od gitary, by w razie potrzeby móc błyskawicznie otworzyć pokrywę.

Rozsunąłem zamek torby i spojrzałem w dół, na oksydowaną stal lufy. Przymknąłem suwak na tyle, by żaden z przechodniów nie zauważył broni. Byłem gotowy do akcji.

Tymczasem jednak życie wokół nas toczyło się normalnym torem: ludzie siedzieli w ogródkach kawiarnianych, sącząc kawę, jakiś chłopak sprzedawał gazety na rogu ulicy, a światła na skrzyżowaniu zmieniały się zwyczajnym rytmem. Sygnalizatory dla pieszych błyskały zielonym IDŹ lub czerwonym STÓJ... a my wędrowaliśmy spokojnie wraz z posłusznie reagującym tłumem.

Było tak normalnie, że pomyślałem: „Coś jest nie tak. Odwołali atak i całą akcję diabli wzięli...”.

Gabriel jednak maszerował dalej dobrych dwadzieścia metrów przede mną, a za nami, w parach i pojedynczo, szli pozostali Leśnicy, starając się nie wyróżniać z tłumu.

Zaschło mi w ustach tak bardzo, że gdy wreszcie dotarliśmy do Piątej Alei, język przygnał mi do podniebienia. Od Empire State Building dzieliło nas nie więcej niż czterysta metrów. Widziałem już strzelistą białą wieżę gmachu, wznoszącą się majestatycznie i spokojnie nad tętniącym życiem miastem.

Nie dostrzegłem żadnych śladów walki. Słyszałem tylko klaksony samochodów, nawoływania sprzedawcy precli i muzykę dochodzącą z otwartych drzwi sklepu z odzieżą. I ani jednego wystrzału.

Gabriel tymczasem wyglądał na człowieka wracającego do domu i marzącego wyłącznie o zimnym piwie. Kiedy spodziewałem się już, że bez kłopotów dojdziemy do bram Empire State Building, nagle rozpętało się pandemonium.

Gabriel stanął jak wryty i spojrzał na mnie. Nie podobał mi się wyraz jego twarzy: mieszanina zdumienia i wzburzenia. Podbiegłem bliżej, szukając źródła dzikich wrzasków, które rozległy się gdzieś w pobliżu. I wtedy zobaczyłem.

Wrzawa nie miała nic wspólnego z atakiem na Empire State Building. Z jednej z bocznych ulic pędziła ku nam fala przerażonych ludzi.

Żółta taksówka wjechała na chodnik i z rykiem klaksonu mknęła w naszą stronę. Ciężarówka, manewrująca w tłumie ludzi, zderzyła się z autobusem. W zdumieniu obserwowałem statecznych zazwyczaj nowojorczyków, w panice przebiegających przez Piątą Aleję i znikających w przecznicy. Zbiorowy sprint wydał mi się czymś zupełnie bezsensownym.

– Co się dzieje? – spytałem, stając obok Gabriela.

– Nie wiem.

- Nie słyszę strzałów.
- Ja też nie.
- Więc przed czym tak uciekają?
- Pojęcia nie mam, ale cokolwiek to jest, śmiertelnie ich przeraziło.

W osłupieniu obserwowaliśmy owładniętych paniką ludzi. W pośpiechu porzucali torby, nesesery i siatki z zakupami. Wielu pogubiło nawet buty.

Ale przed czym tak uciekali?

Wyszedłem na ulicę i stanąłem między samochodami powstrzymanymi przez wciąż napływający z przecznicy tłum. Z bocznej uliczki wyskoczyła nagle ciężarówka i z impetem uderzyła w jeden ze stojących na Piątej Alei wozów. Teraz jezdnia zakorkowała się na dobre.

Przecisnąłem się między samochodami, by spojrzeć w głąb przecznicy. Masy nowojorczyków wciąż się z niej wylewały; wielu potykało się i padało, by już nigdy nie powstać. Następni przewracali się o ciała leżących i tak narastała stopniowo spleciona masa ludzkich ciał. Wszyscy próbowali wyrwać się z niej i biec dalej, lecz tylko po to, by po chwili znowu potknąć się i zniknąć pod nogami uciekających.

Wreszcie udało mi się zlokalizować źródło paniki. Krew ścięła mi się w żyłach, gdy zobaczyłem to, co wyłoniło się zza węgła: wysoką na dwadzieścia metrów, kołyszącą się łodygę porośniętą ciemnozielonymi liśćmi trzęsącymi się przy każdym kroku i zakończoną wielkim kielichem obracającym się z wolna to w prawo, to w lewo. Ze stożkowatej narośli z oszalamiającą prędkością wyłaniała się co chwila wić. Po każdym uderzeniu słychać było krzyki padających ludzi. Roślina pędziła przed sobą tłum, wymachując wicią niczym poganiacz niewolników biczem.

Przenikliwe wrzaski ginących zagłuszyły wszystkie inne dźwięki.

Tryfid przystanął na rogu ulicy. Nie musiał się spieszyć. Powoli obrócił kielich, jakby przyglądał się sytuacji. Wreszcie podjął decyzję i powoli ruszył przed siebie, bez wysiłku niosąc śmierć bezbronnym ludziom.

– Do diabła – jęknął Gabriel. Jego czarne oczy rozszerzyły się ze strachu. – Jakim cudem tryfid zawędrował w sam środek miasta? I dlaczego jest taki olbrzymi?

– Mówiłeś, że saperzy wysadzą ogrodzenia na mostach.

– Tak, ale to nie znaczy, że tryfidy weszłyby do centrum. Są tu specjalne oddziały, które powstrzymałyby je niemal natychmiast. Żołnierze wypaliliby to świństwo, jak tylko przelazłoby przez most. Nie ma mowy, by tryfidy wałęsały się po ulicach.

– Temu jakoś się udało – odparłem, przyglądając się roślinie kroczącej chwiejnie na trzech krótkich odnóżach. Nigdy przedtem nie widziałem tak dużego okazu. Był co najmniej pięciokrotnie wyższy od swoich pobratymców i – jak mi się zdawało – pięciokrotnie szybszy.

Olbrzym przeszedł przez ulicę i zniknął w przecznicy.

– Nie przejmuj się – mruknął Gabriel. – Oddziały antytryfidowe zaraz go załatwią.

Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy z innej ulicy, za naszymi plecami, wychynęła następna masa zielonych liści. Naliczyłem w niej osiem roślin-zabójców, co najmniej tak samo dorodnych jak ta, która przed chwilą powędrowała w stronę Times Square. Wici prostowały się z trzaskiem. Ludzie krzyczeli jak opętani – panika zmieniła się w totalny chaos. Silniki samochodów wyły potępieńczo, bo niektórzy kierowcy usiłowali znaleźć wyjście z zakorkowanej ulicy, ale w ciżbie stojących aut mogli tylko tłuc bezsilnie zderzakami o zderzaki. Wielu szukało schronienia za szczelnie zamkniętymi oknami, lecz ci nie mieli wiele czasu, by przekonać się o słabości tej strategii. Siła uderzeń

gigantycznych wici była tak wielka, że z samochodowych szyb pozostawały okruchy, a drugi cios z reguły dosięgał ukrytych we wnętrzu ludzi, aplikując im uśmiercającą w ciągu kilku sekund dawkę jadu.

Wkrótce kierowcy zrozumieli, że szansę na przeżycie daje im wyłącznie ucieczka na własnych nogach. Otwierali więc na oścież drzwi samochodów i biegli, choć wielu z nich zabrakło szybkości. Długie na trzydzieści metrów wici strzelały w powietrze i z niebywałą precyzją trafiały w odsłonięte twarze uciekających. Wkrótce chodniki były usiane dziesiątkami wijących się w agonii ciał.

Krzyczący mężczyźni i kobiety biegli bezładną gromadą w stronę – jak im się zdawało – bezpiecznej kryjówki, by za zakrętem wypaść wprost na kolejnego tryfida i zawrócić w panice...

Spojrzałem na odległą bramę kryjącą schody do stacji metra. Wejście zostało skutecznie zablokowane przez walczących ze wszystkich sił o przetrwanie nowojorczyków, którzy całkiem słusznie szukali schronienia pod ziemią.

Ludzkie krzyki najwyraźniej przyciągnęły uwagę tryfida, który niezwłocznie ruszył na pomoc. Stożek kryjący więc obrócił się tak, by – nie miałem co do tego wątpliwości – popatrzeć na masy ludzi tłoczących się na wąskich schodach.

Wiedząc, że ma przed sobą łatwą zdobycz, skorygował nieco kurs wprost na setki oszalałych ze strachu mieszczuchów.

Trzeba przyznać, że był wyjątkowo szybki. Widziałem, jak strzela wicią na boki i natychmiast zwija ją spiralnie, szykując się do kolejnego ataku.

Nie mogłem dłużej czekać. Wyciągnąłem z torby karabin maszynowy, wycelowałem i posłałem długą serię w stronę tryfida, rozrywając stożek i niszcząc wic.

Gabriel spojrzał na mnie surowo.

– Nie powinieneś być tego robić, Davidzie.

– Nie będę stał i patrzył beczynn timer, jak to paskudztwo morduje niewinnych ludzi.

– To nie jest naszym celem...

– Chrzanię nasz cel!

Strzały przyciągnęły uwagę pozostałych tryfidów. Ruszyły w naszą stronę, pędząc przed sobą grupkę przerażonych przechodniów, którzy w biegu potracili Marni. Podałem dziewczynie rękę i wciągnąłem ją do względnie bezpiecznego przedsiönka sklepu.

– No dobra – mruknął Gabriel. – Ściągnąłeś nam na głowę te potwory. Co teraz?

Spojrzałem na rozkołysane kielichy olbrzymich roślin. Było jasne, że nie zdołam odstrzelić czubka każdej z osobna.

– Trzymaj – powiedziałem, oddając Gabrielowi karabin. – Pomożesz mi włączyć radia w samochodach – poleciałem Marni. – Tyle, ile się da. Niech grają jak najgłośniej.

Sądząc po minie Gabriela, musiał uważać mnie za szaleńca. Marni nie wahała się ani chwili. Pobiegła ze mną wzdłuż rządów unieruchomionych wozów. Wszystkie były już puste, lecz niektóre pozostawiono na jałowym biegu. Włączenie radia i podkręcenie potencjometru w każdym z nich trwało tylko moment. Wkrótce z otwartych kabin popłynęła zadziwiająca mieszanka muzyki klasycznej, jazzu i ludzkich głosów.

Wracając do Gabriela, włączaliśmy z Marni pozostałe odbiorniki. W niektórych autach dźwięk był tak silny, że karoserie zaczynały wibrować pod naszymi palcami.

Tryfidy już dawno powinny były do nas dotrzeć, ale tak się nie stało – zaciekawione, zatrzymywały się przy każdym samochodzie, by zbadać źródło dźwięku. Gdy dobiegłem do szoferki

ciężarówki i przekręciłem gałkę radioodbiornika, usłyszałem urwany w połowie akord koncertu fortepianowego. Z głośnika odezwał się kobiecy głos:

– Uwaga, uwaga. Nadajemy ważny komunikat. Na Manhattanie zauważono tryfidy. Jeżeli znajdują się państwo we własnym domu lub w innym bezpiecznym budynku, proszę tam pozostać. Jeżeli słuchają nas państwo w samochodzie lub w miejscu publicznym, radzimy udać się na północ, w kierunku Sto Drugiej ulicy. Bramy zostaną otwarte, aby mogli państwo znaleźć schronienie po drugiej stronie muru do czasu zażegnania niebezpieczeństwa. Powtarzam: radzimy udać się na północ, w kierunku Sto Drugiej ulicy. Bramy zostaną otwarte, aby mogli państwo...

W tej chwili miałem na głowie pilniejsze sprawy niż zastanawianie się nad skutkami faktu, że dziesiątki tysięcy nowojorczyków nagle znajdują się w miejscu tak ponurym, jak obóz niewolniczej pracy po północnej stronie muru.

– Sprytna zagrywka, Davidzie – przyznał niechętnie Gabriel. – Dałeś ludziom czas na ucieczkę – dodał, zwracając mi pistolet. – Ale teraz musimy się spieszyć. Chodźmy.

Opustoszała nagle ulicą poprowadził nas wprost do Empire State Building. Ludzie schronili się w biurach i tunelach metra. Tam nie groziło im niebezpieczeństwo nawet ze strony najpotężniejszych tryfidów.

Tymczasem naszego położenia zdecydowanie nie nazwałbym bezpiecznym. Coraz więcej tryfidów przedostawało się na Piątą Aleję z bocznych ulic, gdy kluczyliśmy między porzuconymi samochodami. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie mamy do czynienia z przypadkową bieganiną wielkich roślin, lecz z doskonale skoordynowanym atakiem. Tryfidy maszerowały tyralierą ze wschodu na zachód, gnając przed sobą przerażonych ludzi. Na każdym skrzyżowaniu pozostawiały strażnika. Wiedziałem, że jeśli nikt ich nie powstrzyma, praktycznie wyeliminują ruch pieszych w całym mieście. Co więcej, do pokonania tak wielkich okazów nie wystarczyłyby nawet zwykłe samochody. Ta robota wymagała użycia miotaczy płomieni i buldożerów. Byliśmy już tylko o sto metrów od celu, gdy jakaś dziewczyna zastąpiła nam drogę.

– Sacramento! – zawołała, celując z karabinu w moją pierś.

– Berlin! – odpowiedziałem odruchowo, zanim jeszcze dotarło do mnie, że usłyszałem hasło.

Dziewczyna skinęła głową.

– W porządku. Marines zaraz zaczną, sir – zameldowała Gabrielowi. – Tryfidy zatrzymały ich trochę dłużej na południu wyspy.

– Skąd, u diabła, wzięły się tu te potwory?

– Nastąpiła mała zmiana planu, sir. Nasi spece wysadzili nie tylko ogrodzenia na mostach, ale także mury przegradzające tunele pod rzeką.

– Dobry Boże... To znaczy, że tryfidy wylażą spod ziemi w samym środku miasta.

– Moim zdaniem to cholernie cyniczna taktyka – wtrąciłem. – Ci ludzie na ulicach są bez szans.

A może zapiszemy tę rzeź w raporcie jako „przypadkowe ofiary”?

Gabriel spojrzał na mnie twardo.

– Niektórzy nazwaliby to odwetem.

Popatrzyłem na daleką perspektywę Piątej Alei i pomyślałem, że z dyskusją na temat moralnych aspektów akcji Leśników trzeba będzie poczekać. Najbliższy tryfid był już nie dalej niż o kilkaset metrów od nas i najwyraźniej zaczynał się nami interesować.

– Zdaje się, że nie byłoby zbyt zdrowo sterczeć tu dłużej – odezwałem się ostrzegawczo.

Nie wiem, co odpowiedział mi Gabriel, bo jego słowa zagłuszył potworny huk eksplozji.

Zadarłem głowę i zobaczyłem dym walący z drzwi Empire State Building. Gabriel popatrzył na mnie ponuro.

– Zaczęli – powiedział i pobiegł w stronę gmachu, zarazem kwatery głównej i pałacu imperialnego Torrance’a.

Nie przebyłem tak długiej drogi, by kryć się w przedsionku sklepu. Ruszyłem za nim dokładnie w chwili, gdy rozpoczęła się strzelanina.

42. Bitwa

Drużyny marines wyłoniły się zza unieruchomionych pojazdów i z okolicznych bram, pędząc ku olbrzymiej budowli. Dym opadł już na tyle, że widziałem ciemny otwór po drzwiach zmiecionych podmuchem eksplozji. Tą właśnie drogą komandosi wdzierali się do środka, krótkimi seriami z broni maszynowej likwidując gniazda oporu.

Sprawnie dobyliśmy broni z toreb i pudeł. Gabriel Deedes trzasnął zamkami futerału od gitary i wyciągnął karabin. Pas z granatami przerzucił sobie przez ramię.

Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem stado tryfidów. Poruszały się majestatycznie, kiwając dwudziestometrowymi łodygami z gracją kobry sposobiącej się do ataku. Kielichy obracały się wolno na boki, poszukując ofiar na prawie pustej ulicy. Precyzja, z jaką od czasu do czasu wystrzeliwały zatrute wici, była nieprawdopodobna. Na moich oczach został trafiony jakiś mężczyzna, który nieopatrznie wyjrzał przez okno na trzecim piętrze. Ugodzony w twarz, zleciał na ziemię z przeraźliwym okrzykiem, który rozniósł się echem po całej ulicy.

Przemknęła mi przez głowę myśl, że zawarliśmy pakt z diabłem. Nie miałem jednak czasu na rozważanie moralnej strony aktu wpuszczenia zielonych bestii w sam środek Manhattanu. Przed nami leżały strzaskane drzwi, a pośrodku rumowiska – naszpikowane kulami zwłoki jednego z komandosów.

Kilka sekund później wbiegłem za Gabrielem do holu. Marni trzymała się blisko mnie – choć zdecydowanie nie było to miejsce dla niej, nie mogłem przecież zostawić dziewczyny na łasce szalejących na ulicach tryfidów.

W gmachu królował chaos. Ludzie biegali we wszystkie strony – jedni strzelali, inni szukali schronienia. Huk wystrzałów i eksplodujących granatów w zamkniętej przestrzeni holu dosłownie rozrywał mi czaszkę. W powietrzu snuł się błękitnawy dym, a na ziemi leżały pokotem ciała martwych i ciężko rannych żołnierzy.

Ukryłem się za masywną kanapą, a Gabriel i Marni przycupnęli obok mnie.

Sala była ogromna – miałem okazję obejrzeć ją z Kerris dokładniej podczas wizyty u Torance'a. Wciąż stały w niej posągi Aleksandra Wielkiego, Juliusza Cezara i Hadriana, a między nimi ozdobne kwietniki, tworzące efektowne plamy zieleni.

Szybko zrozumiałem plan marines: posuwali się pięcio- i sześciuosobowymi drużynami, żabimi skokami zdobywając po parę metrów pola. Prowadzący zajmowali pozycje za któryś z dających ochronę obiektów, osłaniani przez grupę pozostającą w odwodzie. Wtedy zamieniali się rolami i w ten sposób pomału parli naprzód.

Przeszkadzał im w tym ogień ciężkich karabinów maszynowych, strzelających – jak się zdawało – spoza paproci ustawionych gęsto na kwietniku. Zagadkę wyjaśnił granat ciśnięty przez jednego z marines. Wybuch zmiotł liście, odsłaniając betonową kabinę. Z wąskich otworów strzelniczych wystawały lufy plujące teraz czerwonymi pociskami smugowymi.

Komandosi padali jak muchy, a ich krew płynęła strumieniami po ozdobnych dywanach.

– Do diabła – sapnął Gabriel. – Dostajemy solidne baty.

– Co teraz?

– Pchamy sofę do przodu. Frontem do bunkra... Tylko, na Boga, trzymajcie nisko głowy.

Wspólnymi siłami zaczęliśmy przesuwac mebel. Miękką kanapą nie bardzo nadawała się na tarczę kuloodporną, szczególnie że mieliśmy do czynienia z ciężkimi karabinami maszynowymi. Pozostała nam tylko nadzieja, że w ogólnym rozgardiaszu strzelcy po prostu nie zwrócą uwagi na

sunącą powoli sofę.

Gdy dotarliśmy na odległość trzydziestu kroków od bunkra, Gabriel wyciągnął zza pazuchy coś, co przypominało raketnicę – pistolet o lufie grubości sporego ogórka. W jej wylot wsunął owalny ładunek.

– Schylcie się niżej.

Wymierzywszy dokładnie, wystrzelił granat w stronę otworów strzelniczych. Pocisk eksplodował z ogłuszającym rykiem, nie czyniąc szkody betonowej ścianie.

– Szlag by trafił... ręce mi się trzęsą. – Gabriel przeładował broń, odetchnął głęboko i strzelił po raz drugi. Tym razem granat znikł w szczelinie. Wyjrzałem ostrożnie w samą porę, by zobaczyć, jak detonacja wydmuchuje przez otwory chmurę białego pyłu. Zaraz potem buchnął z nich dym. Karabiny maszynowe wreszcie umilkły.

W tym momencie czyjaś ręka poklepała Gabriela po ramieniu.

– Dobra robota, Gabe.

Odwróciłem się i ujrzałem uśmiechniętego krzywo Sama Dymesa.

– Jeżeli opanujemy hol, będziemy prawie w domu. Widzę, że postanowiłeś do nas dołączyć – dorzucił, kiwając głową w moją stronę.

– Ja też mam tu sprawę do załatwienia, Sam.

– Dziękuję Bogu, że tu jesteś, Davidzie. Wygląda na to, że przyda nam się każdy, kto potrafi strzelać. – Sam dotknął ręką łokcia. Rękaw koszuli był mokry i czerwony od krwi.

– To tylko odłamek granatu. Powinienem być nauczyć się rzucać dalej to diabelstwo – wyjaśnił, smutno potrząsając głową. – Sam sobie dogodziłem, jak to się mówi.

Na schodach przed nami pojawił się oddział ludzi w czarnych mundurach.

– Ktoś wezwał Gwardię – warknął Gabriel.

Podrzuciłem broń i posłałem serię w kierunku świetnie uzbrojonych napastników. Kilku padło na schody i stoczyło się na dół. Gabriel wystrzelił kolejny granat. Wybuch położył trupem jeszcze paru gwardzistów.

Kątem oka spostrzegłem błysk zieleni. Jeden z naszych saperów pochylił się nagle, przyciskając dłoń do szyi. Krzyknął przejmująco i upadł twarzą na dywan.

Odwróciłem się i zobaczyłem młodego tryfida, który jakimś sposobem dostał się do budynku. Był groźny, choć miał niewiele ponad dwa metry wzrostu. Poczęstowałem go krótką serią, rozwalając w drzazgi kielich i ukrytą w nim wić.

– Mamy tryfidy na karku! – krzyknąłem. – Musimy się wynieść z holu.

Sam nie wyglądał na uradowanego.

– Między młotem a kowadłem... – mruknął.

Miał rację. Przed sobą mieliśmy czarno ubranych gwardzistów, ulica zaś zniknęła, jakby wyrósł na niej zaczarowany las. Tam, gdzie przed chwilą znajdowały się chodniki, ściany i asfalt schowany pod karoseriami porzuconych w popłochu samochodów, teraz widniała zielona dżungla. Tryfidy dosłownie zalewały Manhattan.

Wskazałem ręką na pobliski korytarz.

– Tam jest winda – zawołałem. – Chodźmy.

– Jeszcze nie opanowaliśmy holu...

– Niech się o niego biją ludzie Torrance'a z tryfidami. Biegiem!

Wyskoczyłem zza kanapy, a tuż za mną pędzili Gabriel, Marni i Sam. Zanim dotarliśmy do

windy, dołączyło do nas dwóch marines z ciężkimi karabinami maszynowymi.

Gabriel przyglądał się podejrzliwie drzwiom kabiny.

– A jeśli wyłączyli zasilanie?

– Jest jeden sposób, żeby się dowiedzieć – odparłem, ciągnąc za masywny uchwyt. Drzwi otworzyły się, odsłaniając zaciszne, wyłożone mahoniem wnętrze. Z luster spoglądały na nas nasze osmalone twarze.

– Prędko, do środka.

Nie mieliśmy ani chwili do stracenia. Tuż obok windy otworzyły się zniecka drzwi, a w szczelinie ukazała się twarz zdumionego strażnika. Mężczyzna uniósł broń, ale nasi marines byli szybsi. Strażnik zginął na miejscu, lecz już po chwili z pokoju wybiegli jego towarzysze, ostrzeliwując się bezładnie.

Na szczęście byliśmy już w kabinie i mogłem zatrzaskać drzwi. W windzie starego typu zamiast guzików z numerami pięter znajdowało się żelazne koło, które można było obrócić w stronę tabliczki z napisem DO GÓRY lub NA DÓŁ. Przekręciłem je więc i kabina drgnęła, po czym łagodnie ruszyła w górę.

Zbyt łagodnie. Za oszklonymi drzwiami zamajaczyła sylwetka z pistoletem. Wypaliłem krótką serią, prawie nie mierząc, by przynajmniej utrudnić przeciwnikowi celowanie.

Sekundę później byliśmy już poza zasięgiem strzału.

Ściskając zakrwawiony łokieć, Sam Dymes uśmiechnął się słabo i kiwnął głową w stronę strzaskanego lustra.

– Komuś szykuje się siedem lat nieszczęścia.

Powoli, poskrzypując drewnianymi panelami, zabytkowa winda unosiła nas coraz wyżej i wyżej. Na szczęście, jeśli nie liczyć rozcięcia na łokciu Sama, byliśmy jak dotąd cali i zdrowi. Marni wpatrywała się we mnie wzrokiem pełnym powagi i determinacji. Podałem jej odbezpieczony pistolet automatyczny.

– Jeśli będzie ci potrzebny, kiedy wysiądziemy, po prostu celuj i strzelaj. Dobrze?

Kiwnęła głową.

Gabriel i komandosi w milczeniu przeladowywali broń. Zrobiłem to samo, z trzaskiem wpychając nowy magazynek do automatu.

Sam skinął głową w stronę tabliczek z numerami pięter.

– Musimy dotrzeć do dziewięćdziesiątego, ale... bądźcie gotowi. Czuję, że czeka na nas komitet powitalny.

– W takim razie pojedźmy na dziewięćdziesiąte pierwsze – zaproponowałem. – Jeśli dopisze nam szczęście, nie będą się nas tam spodziewać. Po prostu zejdziemy piętro niżej.

– Dobry pomysł. – Sam skrzywił się, zginając zranione ramię. – Czy ktoś umie tym kierować?

Marni kiwnęła głową i stanęła przy kole sterującym pracą windy.

– Dobra. Wsiadamy na dziewięćdziesiątym pierwszym. – Sam wyciągnął zza paska pistolet. – Ale jeśli ludzie Torrance'a palą się do walki, mogą zasypać nas ołowiem przez drzwi, kiedy będziemy ich mijać. Dlatego stańcie pod ścianami... nie, nie pod tą. Pod bocznymi, po obu stronach drzwi.

Pozostało nam tylko czekać. Wskaźnik mijał właśnie cyfrę 81 i powoli pełził w stronę 82...

Odgłosy bitwy toczącej się na parterze były już prawie niesłyszalne. Prócz naszych oddechów towarzyszył nam tylko skrzyp lin i mechanizmu windy.

Dziwne to było interludium. Nie potrafiłem nawet ułożyć sobie w głowie planu akcji, którą

mieliśmy za chwilę rozpocząć – po prostu stałem i czekałem na to, co miało się wydarzyć.

– Uwaga – odezwał się niespokojnie Sam. – Zaraz miniemy dziewięćdziesiąte.

Ciemność za strzaskanym okienkiem w drzwiach windy ustąpiła miejsca smudze światła. Spodziewaliśmy się kanonady, ale nic się nie wydarzyło. Kabina spokojnie sunęła do góry.

Marni zatrzymała windę na następnym piętrze. Marines wyskoczyli przodem, plecami do siebie, z bronią gotową do strzału. Po chwili gestem dali nam znać, że możemy ruszać. Znaleźliśmy się w szerokim korytarzu. Drzwi biur były zamknięte; panował niezmacony spokój. Tabliczka ze strzałką pomogła nam znaleźć klatkę schodową.

Po drodze komandosi otwierali kopnięciem każde drzwi, które wydały im się podejrzane. W jednym z biur zastaliśmy sześciu urzędników, w panice kryjących się za szafą ze skoroszytami.

– Nie strzelać! – jęknął siwobrody mężczyzna.

– Nie będziemy strzelać, jeśli wy nie zaczniecie – odparł miło Sam. – Macie broń?

– Nie, proszę pana. Jesteśmy tylko urzędnikami...

– Urzędnikami?

– Tak, proszę pana.

– Widzieliście tu jakichś gwardzistów?

– Nie.

– Na pewno? – spytał Sam, opierając lufę na splamionym krwią przedramieniu.

Siwobrody uniósł ręce jeszcze wyżej i spojrzał niespokojnie na kolegów.

– No... widziałem paru na schodach.

– Ilu i w którym miejscu?

– Czterech. Mieli karabin maszynowy na trójnogu. Znieśli go schodami w dół... tam, na końcu korytarza.

– Dziękuję – rzekł uprzejmie Sam. – Niezmiernie mi przykro, że państwa niepokoiiliśmy. Aha, radzę zostać za szafami – dodał, zatrzymując się w drzwiach. – I do nikogo nie dzwonić, jasne?

– Naturalnie, proszę pana. Dziękujemy.

Wróciliśmy na korytarz. Sam zamienił kilka słów z marines. Żołnierze ruszyli przodem, a my, gęsiego, o kilka kroków za nimi.

Gdy klatka schodowa była w zasięgu wzroku, dali nam znak, że mamy czekać. Następnie wyrwali zawleccki i rzucili w dół granaty. Najpierw usłyszałem okrzyki przerażenia, a sekundę później huk eksplozji. Potem nastąpiła głucha cisza. Marines zbiegli po schodach ostrzelując się krótkimi seriami. Po chwili przywołali i nas. Na półpiętrze zobaczyłem ciężki karabin maszynowy zerwany z trójnogu i kilka skrwawionych, rozrzuconych bezładnie ciał.

– Dopilnujcie, żeby wspomniano o tym dziadku w raporcie – mruknął ponuro Sam. – Uratował nam tyłki.

Brodząc we krwi, zeszliliśmy po marmurowych schodach, tak śliskich, jakby ktoś rozlał na nich olej. Kurczowo trzymaliśmy się poręczy, żeby nie zjechać na dół w mało eleganckiej pozycji. Wreszcie dotarliśmy na korytarz dziewięćdziesiątego piętra i z satysfakcją wytarliśmy buty o bardzo drogi dywan.

– Naprzód – syknął jeden z marines. – Będę osłaniał tyły.

Jego kolega ruszył przodem, prowadząc nas w głąb korytarza.

Widać było, że Torrance nie marnował czasu. Biura przerobiono na samowystarczalny szpital.

W sali operacyjnej zauważyłem wyszorowane kafelki i potężną lampę nad stołem.

W tym momencie tuż obok mojej głowy przemknęły jaskrawe światła.

Pamiętam, że doskonale widziałem mijające mnie kule, ale, co dziwne, nie utkwił mi w pamięci odgłos strzałów. Natychmiast przypadłem do podłogi i obejrzałem się. Zobaczyłem dwóch gwardzistów w czarnych uniformach, walących nam w plecy z automatów. Najgorszy los spotkał osłaniającego nas komandosa: upadł na ziemię bez życia, twarzą do dołu. Nacisnąłem cyngiel i posłałem długą serię w stronę atakujących. Kilka hojnie rozrzuconych kul trafiło w ścianę, wrywając z niej kawałki tynku i wznecając tuman pyłu.

Mrugając nerwowo, by usunąć kurz sypiący się do oczu, dostrzegłem skurczone sylwetki gwardzistów na podłodze.

– Prędej! – ryknął komandos prowadzący nasz mały oddział. Zerwał się do biegu, a my pognaliśmy za nim w głąb korytarza.

Chwilę później byliśmy już w obszernym holu; przed nami, na barykadzie ułożonej z biurek, szaf i kredensów, leżeli czarno ubrani żołnierze. Co dziwne, wbrew temu, co moglibyście sobie myśleć, znajdowali się po tej samej stronie zapory co my.

– Rzucić broń! – krzyknął Gabriel. – Natychmiast!

Niektórzy nie usłuchali.

Celny strzał Marni cisnął jednego z gwardzistów na przewrócone biurko. Charcząc agonalnie, chwycił się za gardło.

Posłałem w stronę barykady kilka krótkich serii, wrywając z drewnianych blatów spore kawałki drewna. Niektóre kule znalazły też mniej twarde cele – paru gwardzistów padło na posadzkę z szeroko rozrzuconymi rękami. Pozostali wybrali rozsądną opcję.

Pokrzykując coś w naszą stronę, rzucili broń i unieśli ręce. Gabriel podszedł bliżej i kazał im się położyć. Zauważyłem, że kuleje i zostawia na dywanie czerwone ślady. Sam Dymes z kolei dostał w szczękę – na podbródku z wolna rozlewała mu się krwista plama. Nie wyglądał jednak na ciężko rannego; żwawym krokiem podszedł do ocalałego komandosa.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że moje lewe ucho jest dziwnie zimne, jakby ktoś przyłożył mi do głowy bryłę lodu. Dotknąłem go ręką. Zdumiałem się, gdy stwierdziłem, że jego trzecia część po prostu zniknęła. Spojrzałem na palce. Były mokre i szkarłatne. Na prawym ramieniu także zauważyłem ślady skaleczeń – błyszczące jak rubiny kropelki krwi. Na szczęście nie poczułem bólu, gdy ostrożnie ugiąłem i wyprostowałem rękę.

Uwięzienie w składziku gwardzistów, którzy przeżyli atak, zajęło nam kilka minut. Zanim zamknęliśmy za nimi drzwi, dostrzegłem na ścianie telefon i na wszelki wypadek wyrwałem go razem z kablami.

Gdy nasza – coraz mniej liczna i coraz bardziej skrwawiona – drużyna znowu zebrała się w holu, Sam odezwał się cicho:

– Nie widzę alternatywy. Musimy pokonać tę barykadę.

– Sądysz, że Kerris i Christina jeszcze tam są?

– Tak wynika z ostatnich informacji.

Gabriel zmierzył nas wzrokiem.

– Wszyscy przeładowali?

Skinęliśmy głowami.

– W porządku – szepnął Sam. – Do roboty.

Pobiegliśmy ku stercie poprzewracanych mebli. Dokładnie w tym momencie moje ramię doszło do wniosku, że najwyższy czas zacząć boleć. Jęknąłem przez zaciśnięte zęby i najszybciej jak umiałem

wspiałem się na barykadę.

Powitał mnie widok niemal identycznej zapory ułożonej chaotycznie wokół drugiego końca korytarza. Świetnie, pomyślałem. Po prostu świetnie. Mój układ nerwowy informował, że działa bez zarzutu, przesyłając bez najmniejszych zakłóceń impulsy paraliżującego bólu. Trzymając jedną ręką automat, z trudem biegłem przed siebie. Nagle zza jednego z przewróconych stołów wysunęła się lufa karabinu, a nad nią para zielonych oczu w chmurze rudych włosów.

Stanąłem jak wryty.

– Kerris? – spytałem z niedowierzaniem.

Lufa opadła trochę, odsłaniając zaskoczoną twarz. – David Masen? Cholera, najwyższy czas.

43. Antrakt

Stałem nieruchomo, patrząc w oczy Kerris. Aż do tej chwili nie bardzo wierzyłem, że kiedyś je jeszcze zobaczę. Uśmiechnęła się.

– Już myślałam, że nigdy nie przyjdziecie.

– Tak to już jest z wycieczkami, że bywają pełne przygód – odparłem z niejakim trudem.

Po chwili dołączył do nas Gabriel.

– Dokończycie w środku – powiedział, obdarzając nas zmęczonym uśmiechem. – Lada chwila możemy mieć towarzystwo.

Ruszyliśmy w głąb korytarza, mijając ciała dwóch gwardzistów. Zza bocznych drzwi wyskoczyła nagle Christina.

– David! David! – Wydała okrzyk radości i przytuliła mnie z wystarczającą siłą, by podziurawione ramię dało o sobie znać. Mimo bólu odwzajemniłem serdeczny uścisk. – Jak cudownie znowu cię widzieć... Nic ci się nie stało?

Twarz Christiny promieniała radością.

– Kerris zrobiła tu małą wojnę – powiedziała zaskakująco poprawną angielszczyzną. – Zastrzeliła tych niedobrych, a potem zbudowała ścianę. Siedzieliśmy i czekałyśmy na ciebie... – urwała, spoglądając na mnie karząco – ...ale ty się nie spieszyłeś, ślimaku.

Uśmiechnąłem się.

– Ale nareszcie jestem – powiedziałem i spojrzałem na Sama. – Teraz pozostaje nam znaleźć sposób na wyrwanie się stąd.

Sam w zamyśleniu pogładził podbródek. Wyglądał na zaskoczonego, gdy zobaczył na palcach krew.

– Moim zdaniem na razie nie możemy się stąd ruszyć.. Z drugiej strony martwi mnie to, że drzwi tej windy kiedyś się wreszcie otworzą, a wtedy zobaczymy albo naszych, albo ludzi Torrance'a... Tymczasem lepiej, żeby na barykadzie czuwał wartownik.

Odszedł w stronę komandosa, który z karabinem maszynowym zajął już pozycję za jednym z przewróconych stołów.

Marni zbliżyła się do nas, a Kerris znieruchomiła na jej widok. Przez dłuższą chwilę kobiety wpatrywały się w siebie uważnie. Kerris nieświadomym gestem przesunęła palcami po policzku, jakby szukała takiej samej blizny jak ta, która szpeciła twarz Marni. Zachowywała się mniej więcej tak, jak człowiek przeglądający się w lustrze.

– Jesteś moją siostrą, prawda? – szepnęła Kerris.

– Marni nie mówi – odrzekłem i pokrótce opowiedziałem jej wszystko, co wiedziałem o dziewczynie zza muru.

Kerris kiwała tylko głową, wyraźnie poruszona.

– Dawno temu zastanawiałam się, czy nie mam siostry bliźniaczki. W końcu nie brakuje mi braci i siostr, są wśród nich także pary bliźniąt... Ale mnie i Marni musiano rozłączyć zaraz po urodzeniu. Spójrz tylko na jej oczy... Są identyczne jak moje. Tylko ta biedna twarz... Gdybym dostała w swoje ręce tych drani, którzy jej to zrobili...

– Zdaje się, że już zaczęłaś im odplacać – powiedziałem, kiwając głową w stronę martwego gwardzisty.

Teraz Kerris opowiedziała mi, co się tu działo. Towarzyszyła Christine, gdy odezwały się

syreny alarmowe. Po chwili rozdzwoniły się telefony – z dołu meldowano o regularnej bitwie toczącej się w holu. Gwardzista pilnujący dziewięćdziesiątego piętra powiedział Kerris, że razem z Christina zostanie przeniesiona do innej części Manhattanu. Gdyby naprawdę do tego doszło, Sam Dymes i jego ludzie mieliby poważne problemy ze zlokalizowaniem kobiet. Dlatego Kerris postanowiła, że czas zacząć działać. Wiedziała, że Leśnikom udało się wprowadzić troje agentów do personelu pielęgniarskiego obsługującego tymczasowy szpital. Uzbroiwszy się więc w ukrytą wcześniej broń, razem zaatakowali gwardzistów. Zabili dwóch i czym prędzej zabarykadowali korytarz, a gdy zjawili się strażnicy z innych pięter, wzniesli drugą zaporę. Kerris wiedziała jednak, że ma w ręku ważny atut: gwardziści nie ośmieliliby się strzelać, bo bali się, że podczas szturmów zranią Christinę i uszkodzą jej bezcenne komórki jajowe.

Zrewanżowałem się Kerris opowieścią o tym, jak niespodziewane pojawienie się tryfidów na ulicach miasta skomplikowało sytuację naszych ludzi walczących na dole.

Na pewien czas na dziewięćdziesiątym piętrze zapanowała głucha cisza. Nasi komandosi nie przybywali z posiłkami, a żołnierze Torrance'a nie próbowali atakować barykad. Nawet telefony milczały. Elektryczne światła działały bez zarzutu, a za oknami widać było krwistoczerwone słońce, znikające z wolna za horyzontem. Zajęliśmy się przeładowaniem broni i bandażowaniem ran. Na szczęście nikt z nas nie ucierpiał poważnie – jeśli nie liczyć Gabriela. Kula przeszła mu na wylot przez łydkę, ale on, niczym jednonogi pirat, uparcie kuśtykał po salach podpierając się miotłą.

Dołączyłem do Kerris, stojącej przy oknie.

– Widzisz coś?

– Jesteśmy zbyt wysoko. Stąd miasto wygląda najzupełniej normalnie.

Dziewczyna kiwnęła głową w stronę rzeki Hudson, połyskującej w wieczornym słońcu złotem i czerwienią.

– Pięknie tu, prawda? – szepnęła tęsknie. – Rajski widok... Kiedyś popłynęłam na ryby w górę rzeki. Widziałam, co zostało z rezydencji milionerów na wzgórzach. Wyobrażałam sobie, jak dawniej dzieciaki baraszkowały w basenach, a ich rodzice czytali gazety opalając się na leżakach albo grillowali... – Kerris ze smutkiem potrząsnęła głową. – Myślisz, że te czasy jeszcze kiedyś wrócą?

– W niektórych zakątkach świata już wróciły – odparłem. – Na wyspie co roku urządzamy Noc Ognisk. Układamy stosy drewna, odpalamy fajerwerki, pieczemy ziemniaki i jabłka. Dzieci to uwielbiają; dorośli zresztą też. – Uśmiechnąłem się. – Tyle że dorośli budzą się następnego ranka z ciężkim kacem.

– Noc Ognisk? Co to takiego?

– Stary pogański zwyczaj – wyjaśniłem, uśmiechając się coraz szerzej. – Zdaje się, że wywodzi się z kultu płodności. A w ogniskach palimy kukły wyobrażające niejakiego Guya Fawkesa.

– Angole to dziwny ludek. – Rozbawiona Kerris zmarszczyła nos. – I pomyśleć, że zakochałam się w jednym z was...

– Jeżeli nasz związek ma wyglądać jak należy – powiedziałem, całując ją czule – musisz poznać moją rodzinę.

Kerris rozejrzała się po sali, zawieszanej wysoko nad miastem.

– Z przyjemnością... gdy tylko się stąd wydostaniemy. A potem, żeby do reszty trzymać się konwencji Starego Świata, weźmiemy ślub, prawda?

Uśmiechnąłem się.

– Czemu nie?

Przez chwilę czułem się tak, jakby zamknięto nas w bańce szczęścia... równie cudownego, co absurdalnego.

Być może fakt, że zajęliśmy się wszyscy tak trywialnymi sprawami, był czymś w rodzaju naturalnego antidotum na stres – moi towarzysze popijali kawę i zabawiali się grą w karty na zapalki. Sama Dymesza znalazłem przy biurku notującego coś pilnie w zeszycie.

Gdy podszedłem, spojrzał na moją obandażowaną głowę.

– Jak tam ucho, Davidzie?

– Kawalek, który trzyma się jeszcze mojej głowy, szczypie jak cholera – odparłem, uśmiechając się smętnie. – Za to ten, który został gdzieś na korytarzu, nie boli ani trochę.

Sam roześmiał się.

– Zdaje się, że wy, Anglicy, nazywacie to wisielczym humorem. Kawy? – Napełnił papierowy kubek parującym płynem. – Trzeba przyznać, że Torrance nie oszczędza na jakości napitków.

– Dziękuję – powiedziałem, biorąc kubek. – Co z twoim ramieniem?

Sam poruszył lekko ręką na temblaku.

– Nie jest źle. Kula drasnęła mnie w samym zgięciu łokcia – wyjaśnił, po czym w typowy dla siebie sposób znieacka zmienił temat. – Wiesz, w samym środku walki przytrafiło mi się coś dziwnego. Nagle przyszło mi do głowy rozwiązanie pewnego problemu inżynierskiego, z którym borykałem się od miesiący. Stoję, strzelam do gwardzistów i nagle mówię sobie w duchu: „Samie Dymesie, może byś tak poprowadził ten tor na północ od jeziora, a nie na południe, bo...”. Och, zdaje się, że nie masz pojęcia, o czym mówię. – Dowódca ożywił się wyraźnie i zaczął mówić szybciej. – Zanim zająłem się wojaczką, byłem inżynierem projektantem kolei. I z bożą pomocą znowu nim będę, kiedy skończę służbę. Widzisz, dostałem kiedyś trudne, nie, wręcz parszywe zadanie: poprowadzić linię kolejową z portu nad jeziorem do miasta. Kłopot polegał na tym, że miała wieść przez całe mnóstwo pagórków i cholernie głębokich wąwozów. Cokolwiek wymyśliłem, było źle... I wreszcie teraz, kiedy biegliśmy korytarzem ostrzeliwując się na wszystkie strony i ciskając granaty, w samym środku tej apokalipsy, pomyślałem:

„Sam, a może by tak od północy? Zaoszczędzisz wiele kilometrów szyn i miesiące pracy...”. Co ty na to, Davidzie? Dziwna myśl, jak na sam środek krwawej bitwy, prawda? Na tyle dziwna, że korzystam z wolnej chwili i zapisuję ją, żeby nie zapomnieć.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Zrozumiałem, że podobnie jak Kerris i ja snuliśmy marzenia o wspólnej przyszłości, tak ten chudy jak szczapa inżynier uciekał od rzeczywistości, bawiąc się wizją nowej linii kolejowej.

Rozejrzałem się po sali. Marni i Christina szybko się zaprzyjaźniły. Uradowane, próbowały rozmawiać w naprędce wymyślonym języku gestów, który obie zdawały się rozumieć. Ocalały komandos gawędził z laborantkami, agentkami Leśników zręcznie przemycenymi do zespołu medycznego sprawującego opiekę nad Christina. Kerris wciąż stała przy oknie zapatrzona w horyzont. Zapadła noc. Okna sąsiednich budynków świeciły łagodnym blaskiem.

Na barykadzie siedział samotnie Gabriel Deedes, posępnie wpatrując się w zamknięte drzwi windy. Tuż obok stał ciężki karabin maszynowy, odebrany martwemu gwardziście. Wiedziałem, na co czeka mój przyjaciel: na ludzi Torrance'a, którzy w każdej chwili mogli zaatakować.

Windy, mimo obaw Gabriela, przez całą noc nie włączyły się ani razu. Spaliśmy na zmianę, trzymając straż przy drzwiach i w korytarzu prowadzącym ku schodom. Rano poszliśmy na śniadanie

do bufetu. Sam dopilnował, żeby jeńcom zamkniętym w magazynie nie brakowało wody i jedzenia.

Gdy obejmowałem wartę przy barykadzie, przyszedł do mnie z kubkiem gorącej kawy. Przez chwilę spoglądał w milczeniu na nieruchome drzwi windy, jak zwykle pocierając dłonią zarosniętą szczękę.

– Wiesz – odezwał się wreszcie – nabieram przekonania, że naszym nie udało się opanować budynku. Skontaktowaliby się z nami już dawno.

– Ale z drugiej strony, ludzie Torrance’a też nie próbują nas niepokoić.

– Prawda... święta prawda – przyznał, w zamyśleniu wodząc palcem po grzbiecie nosa. – Może to dlatego, że mamy w ręku najpoważniejszy atut?

– Christine.

– I ciebie, Davidzie. Nie zapominaj, że jesteś dla Torrance’a kluczem do wyspy Wight i gwarancją, że dostanie tę waszą maszynkę do produkcji paliwa. Oboje macie dla niego wielką wartość i oboje, jeśli wreszcie was dopadnie, ułatwie mu budowę imperium aż do... – Sam urwał, rozkładając ramiona, jakby chciał nimi objąć cały świat. – Podejrzewam, że ambicja Torrance’a nie podlega żadnym ograniczeniom.

– Sądysz, że nie pośle przeciwko nam gwardzistów z bronią maszynową i granatami?

– Jeszcze nie teraz.

– Więc mamy tak siedzieć i czekać na jego ruch?

– Uważasz, że powinniśmy zaatakować?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie podoba mi się to, że dajemy mu czas na knucie planów.

– Tkwimy na dziewięćdziesiątym piętrze, Davidzie. Nie mamy dokąd pójść.

– Zgoda. Ale może powinniśmy chociaż spróbować dowiedzieć się, co się dzieje na dole?

Istnieje przecież trzecia możliwość.

– Jaka?

– Może Torrance także przegrał? Może tryfidy przejęły kontrolę nad miastem?

– Niewykluczone – mruknął z namysłem. – Hmm... Chyba poproszę Gabe’a, żeby wybrał się na mały spacer, o ile rana nie dokucza mu zbyt mocno...

Gabriel Deedes tylko na to czekał. Ochoczo chwycił automat, gotów do wymarszu.

– Tylko bez bohaterstwa, Gabe – upomniał go Sam. – Spróbuj się dowiedzieć, co jest grane na niższych piętrach i natychmiast wracaj. Jasne?

– Jasne – odpowiedział, ukrywając w wielkiej dłoni kilka granatów. – Ale możliwe, że po drodze złożę kilka tych jajeczek.

Ruszyłem za Gabrielem w stronę klatki schodowej. Wciąż jeszcze kulał, podpierając się miotłą, ale nie zamierzał pozwolić, by taki drobiazg jak postrzał przeszkadzał mu w robocie. Zdażył zejść na pierwszy stopień, gdy zatrzymałem go, przykładając palec do ust. Zrobiłem to dlatego, że usłyszałem bardzo cichy, słabszy niż dalekie echo, odgłos kroków.

Odwiodłem kurek rewolweru i, pochyliwszy się nieco, zawołałem:

– Sacramento!

Echo powtórzyło okrzyk, a potem znowu zapadła cisza.

– Sacramento! – zawołałem po raz drugi.

– Kalifornia! – odpowiedział obcy głos.

Strzeliłem bez namysłu, a kula rykoszetem pomknęła klatką schodową w dół.

Wiedziałem już, że Gabriel nie pójdzie tą drogą. Przez kolejnych dziesięć minut znosiliśmy biurka z sąsiedniego pokoju i zrzucaliśmy je ze schodów. Wreszcie osiągnęliśmy cel: ktokolwiek chciałby wejść tędy na górę, musiałby pokonać imponujące rumowisko mebli. Pozostało nam jeszcze zabezpieczyć schody wiodące na dziewięćdziesiąte pierwsze piętro. Na szczęście zamocowano przy nich kratę, którą z braku kłódki uwiązaliśmy do słupka solidnym kablem. Na koniec przyczepiłem granat ręczny do nogi stołu, a zawleczkę połączyłem linką ze skrzydłem stalowej bramki. Na tego, kto zechciałby sforsować kratę, czekała dość przykra i bardzo głośna niespodzianka.

Wróciliśmy do Sama.

– Teraz wiemy już wszystko – powiedział cicho. – Torrance pokonał naszych marines. Gwardia opanowała budynek.

Wkrótce potem zadzwonił telefon. Sam przyglądał mu się chwilę, zanim mruknął:

– Zdaje się, że komuś zależy na rozmowie.

Tym „kims” był Torrance. Potwierdził, że jego ludzie kontrolują sytuację w budynku. Powiedział też, że inwazja tryfidów została powstrzymana i że jego kohorty znowu rządzą Manhattanem. Zażądał od nas natychmiastowej i bezwarunkowej kapitulacji.

Sam poradził mu, żeby poszedł do diabła, i odłożył słuchawkę.

Gdy Torrance zadzwonił ponownie (zgrzytając zębami, jak sądzę), zaproponował już znacznie łagodniejsze warunki: w zamian za Christinę Schofield oferował Leśnikom bezpieczne opuszczenie Nowego Jorku. W swojej wspaniałomyślności zezwolił nawet, bym i ja odzyskał wolność.

Sam odparł, że się zastanowi, i znowu przerwał połączenie.

– Nie ufam mu ani trochę, rzecz jasna – odezwał się po chwili. – Załatwi nas, gdy tylko stąd wyjdziemy.

– No to nie mamy wielkiego wyboru – rzekł Gabriel. – Co dalej?

– Możemy siedzieć cicho, wiedząc, że tamci nie zaatakują, by nie zranić Christiny. Możemy się poddać. Możemy też poszukać innego wyjścia z budynku. – Sam powiódł po naszych twarzach ponurym wzrokiem. – Panie i panowie... macie jakieś pomysły?

44. W kraju ślepców jednooki jest królem

Sam Dymes zauważył, że nie musimy spieszyć się z decyzją. Torrance nie palił się do wzięcia siłą dziewięćdziesiątego piętra. Mógł spokojnie czekać, aż nasz opór osłabnie... Jednak my nie mogliśmy siedzieć za barykadami w nieskończoność. Dlatego też, gdy Torrance znowu się odezwał, Sam zaczął negocjować. Rozmowy przeciągnęły się do późnego popołudnia.

Było parę minut po szóstej, gdy Kerris nagle uniosła rękę.

– Zaraz... Słyszeliście?

– Ktoś strzelał – odparł Sam.

– Ale kto i do kogo? – Gabriel podbiegł do windy, trzymając broń w pogotowiu.

Ruszyłem za nim. Gdy przyłożyłem zdrowe ucho do drzwi, usłyszałem odgłos dalekiej strzelaniny, niosący się echem po szybie. Cichła powoli, by zamienić się w sporadyczną wymianę ognia. Wreszcie zapadła cisza.

Sam stanął przy nas, nasłuchując z przekrzywioną głową.

– Co tam się działo, u diabła? – spytał po chwili.

Cofnęliśmy się za barierę z biurowych mebli. Ciszę przerwał znieczeka brzęczyk. Przez moment rozglądałem się w poszukiwaniu źródła dźwięku, wreszcie znalazłem: małe, drewniane pudełko z kilkoma przyciskami, zawieszona na ścianie.

– To interkom – wyjaśniła Kerris. – Wewnętrzny system łączności. Ktoś próbuje skontaktować się z nami.

Sam spojrzał podejrzliwie na niepozorne urządzenie.

– Dlaczego nie przez telefon, jak poprzednim razem?

– Może centrala wysiadła?

– W porządku – mruknął Sam, podchodząc do interkomu. Z obudowy wyprowadzono kabel, który nieco dalej ginał pod tynkiem. – Jak się to włącza?

– Pozwól, że spróbuję... – Kerris pstryknęła jednym z przełączników.

Sam nasłuchiwał w milczeniu. Z głośnika dobiegały jednak tylko trzaski.

– Halo? – odezwał się niepewnie.

– Sacramento! – odpowiedział męski głos.

Oczy Sama rozblęły nadzieją. Szybko podał odzew i spytał:

– Kto mówi?

– Sierżant Gregory Campbell, marines, dywizja C, sir.

– Czy jest z wami porucznik Truscott?

– Niestety, zginął przed chwilą, sir. Mieliśmy tu diabelnie ciężką bitwę.

– Jaka jest sytuacja?

– Połączyliśmy się z niedobitkami pozostałych oddziałów, sir. Pół godziny temu zaczęliśmy drugi atak na budynek.

– Opanowaliście parter, Campbell?

– Tak, sir, ale nie utrzymamy się długo. Jeżeli mamy się stąd wyrwać, musicie zjechać na dół jak najszybciej. Wkrótce będą tu czołgi.

– Dziękuję, Campbell. Zaraz będziemy w holu.

Sam spojrzał na nas.

– Wygląda na to, że właśnie dostaliśmy bilet powrotny.

Tym razem poszliśmy do windy automatycznej. Gabriel wcisnął guzik i chwilę później kabina posłusznie zatrzymała się przed nami.

Gdy drzwi zasunęły się za naszymi plecami i winda zaczęła opadać, Sam znowu się odezwał:

– Kiedy wyjdziemy do holu, starajcie się otaczać Christinę ze wszystkich stron. I trzymajcie broń w pogotowiu. – Inżynier z niepokojem wpatrywał się w strzałkę wskazującą mijane piętra. – Przecież nie wiemy, co tak naprawdę czeka nas na dole.

Spojrzałem na Kerris. Uśmiechnęła się z nadzieją i oparła dłoń na moim ramieniu.

To, co zobaczyliśmy na dole, zaskoczyło nas. Hol opustoszał. Dostrzegłem tylko czarne plamy na marmurowej podłodze w miejscach, gdzie eksplodowały granaty, oraz rdzawe plamy zakrzepłej krwi. Zdemolowane meble usunięto, a, co jeszcze dziwniejsze, nie widziałem na posadzce ani jednej łuski, choć przecież wyraźnie słyszeliśmy odgłosy zażartej walki.

W drzwiach prowadzących na ulicę stał samotnie jeden z naszych komandosów z charakterystyczną, zieloną chustką na szyi, uzbrojony w karabin.

– Tędy, sir – zawołał. – Prędkiej.

Nawet z daleka widać było, że policzki żołnierza są nienaturalnie rumiane. Nagle zrozumiałem, że mężczyzna czerwieni się z zakłopotania – lub ze wstydu.

Pokonaliśmy już połowę drogi po marmurowym pustkowiu, gdy Gabriel mruknął cicho:

– Nie podoba mi się to wszystko... coś tu nie gra.

Pięć kroków później coś dziwnego stało się z samotnym komandosem. Szarpnęło go wstecz z wielką siłą; gdy zniknął w drzwiach gmachu, zdążył tylko wycharczyć przez zduszoną krtań:

– Przepraszam!.. Nie chciałem...

Jego miejsce zajął tuzin odzianych w czerń sylwetek. Gwardziści bez słowa wycelowali w nas broń.

A my w nich.

Przed szeregi żołnierzy wystąpił człowiek, którego znałem – Rory Masterfield, gość o kanciastej twarzy, którego spotkałem na pokładzie parowca wiozącego mnie do Nowego Jorku. Ubrany w zwykłe spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę, wyciągnął przed siebie ręce, pokazując, że jest nieuzbrojony.

– Kerris, poproś przyjaciół, żeby opuścili broń.

– Nie.

– Każ im – polecił z naciskiem Masterfield. – Nie musicie zginąć.

– Wychodzimy stąd – odkrzyknęła Kerris. – Powiedz swoim ludziom, żeby nas przepuścili.

– Przecież wiesz, że nie wyjdziecie za te drzwi. Zresztą na zewnątrz czekają setki żołnierzy.

– Nie ośmielicie się strzelić.

– Nie?

– Nie. Boicie się o Christinę. Jest zbyt ważna dla Torrance'a.

– A więc mamy impas, prawda?

Mówiąc to, Masterfield cofnął się o kilka kroków i uniósł ręce nad głowę.

Odebrałem to jako sygnał dla kogoś i natychmiast rozejrzałem się, szukając ukrytych snajperów. Wysoko nad naszymi głowami, elektrycy zaczęli rozciągać sieć przewodów, by zastąpić żyrandole zniszczone podczas walki.

Tyle że na końcach kabli nie było żarówek. Zamiast nich dyndały nad nami wąskie, podobne do świec cylindry.

Sam także je zauważył. Wyciągnął zza paska granat, a ja uniosłem broń gotową do strzału. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętałem, był widok gwardzistów w celowniku nad czarną lufą mojego karabinu.

W tej samej sekundzie poczułem się, jakby cały gmach walił się na moją głowę.

Pierwszą przytomną myślą, która przysłała mi do głowy, była chęć spojrzenia w górę, na przybrany kablami strop. Strop, pod którym zawieszono laski dynamitu niczym dziwaczne owoce.

Nie słyszałem huku eksplozji, za to doskonale czułem jej skutki. Gdy otworzyłem oczy, obok mojej twarzy śmigaly czarne buty żołnierzy. Do uszu nie dobiegał żaden dźwięk – zdawało mi się, że ktoś napchał do nich kłębków bawełny. Czucia jednak nie straciłem – okropnie paliła mnie twarz.

Cieszyłem się nawet, że leżę na podłodze, bo świat wokół mnie był dziwnie rozkołysany. Niestety, ledwo zdążyłem o tym pomyśleć, czyjeś ręce chwyciły mnie krzepko i bezceremonialnie przywróciły do pionu. Zamrugałem intensywnie i ostrość wzroku powróciła. Po prawej stał Gabriel Deedes; krew płynęła mu z nosa, a oko ginęło w rosnącej opuchliznie.

Spojrzałem w lewo. Zobaczyłem Kerris, bladą jak płótno. Pomału wracał mi słuch – na początek usłyszałem ciche dzwonięcie, które, jak się domyśliłem, było kołącym mi się po głowie echem eksplozji. Po chwili dostrzegłem resztę naszej drużyny: Christinę, Marni, komandosa i dwie laborantki.

Wokół nas kręciła się horda wyraźnie podnieconych gwardzistów. Dostrzegłem wśród nich Rory'ego Masterfielda, który przyglądał mi się z wyższością.

Skrzywiłem się, gdy dotarło do mnie, że palący ból wokół oczu przybiera na sile. Zapłaciłem cenę za swój imponujący wzrost – moja twarz znalazła się najbliżej wybuchających ładunków. Coraz wyraźniej czułem dziesiątki drobnych oparzeń.

Ktoś obmacywał mnie z wprawą, szukając broni, którą mógłbym ukryć w rękawie czy bucie. Gdy skończył, gwardziści wyglądali na zadowolonych.

– Jeńcy sprawdzeni! – zawołał jeden z nich w kierunku wyjścia.

Morze czarnych uniformów rozstąpiło się na moich oczach.

Rosły mężczyzna ruszył w naszą stronę. Znowu zobaczyłem tę twarz o zdecydowanych rysach i dwubarwnych oczach. Torrance wyglądał na zadowolonego z siebie. Przyjrzał mi się uważnie, jakbym był poszukiwanym na rynku dziełem sztuki.

– Tak – rzekł wolno. – Jesteś uderzająco podobny do ojca, Masen – zauważył z uśmiechem. – Musisz wiedzieć, że już wkrótce odpłacę Billowi za to – powiedział, wskazując na swoje żółte oko. – Możesz mi wierzyć, że odpłacę z nawiązką. A co słyhać u twojej matki, Joselli Playton?

Nie odezwałem się.

– A może teraz nazywa się Josella Masen, co? – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem zbliżył się tak, że mógłbym dotknąć jego przerażającej, żółtej gałki ocznej. – Nie mogę się doczekać spotkania z nią. Josella nie jest przecież jeszcze taka stara, prawda? Z pewnością nie może już mieć dzieci w naturalny sposób, ale nie wątpię, że chętnie ponosi w sobie potomstwo Christiny. Nie sądzisz?

Nie czekał na moją odpowiedź. Zainteresował się resztą swojej zdobyczy. Widziałem, że jest coraz bardziej zadowolony. Miał powody – zwał nas i złapał jak dzieci, zmuszając do współpracy pojmanego komandosa. Trzeba przyznać, że jego ludzie wpadli na genialny pomysł. Laski dynamitu zawieszono pod sufitem w taki sposób, by nie rozrzuciły na wszystkie strony śmiercionośnych odłamków, tylko wytworzyły falę uderzeniową, która tak skutecznie nas ogłuszyła. Owszem, istniało

ryzyko, że doznamy poważnych urazów głowy, ale Torrance postanowił zaryzykować – wierzył, że ukryte głęboko w ciele Christiny jajniki przetrwają, a w razie potrzeby czekający w odwodzie chirurdzy usuną je na miejscu. Mój ojciec wspominał nieraz, że Torrance jest znakomitym organizatorem, choć jego metod nie wahał się nazwać brutalnymi.

Władca Nowego Jorku stanął przed swoimi córkami. Najpierw przyjrzał się Marni, szczególną uwagą poświęcając bliźnię. Potem stanął przed Kerris.

– Wiesz – zaczął z namysłem – chyba jesteście bliźniaczkami. Tylko że nie wyglądacie teraz całkiem identycznie. Masterfield – zawołał przez ramię.

– Tak, proszę pana?

– Dopilnujesz, żeby Kerris Baedekker bardziej przypominała swoją siostrę. Potem odeślesz ją do Kompleksu Macierzyńskiego.

– Tak jest – szczerknął gorliwie Rory Masterfield. – Co mam zrobić z pozostałymi?

– David Masen odegra ważną rolę w moich planach co do wyspy Wight. A jeśli chodzi o pozostałych... – Torrance machnął lekceważąco ręką. – Myślę, że czeka ich długa kariera w kopalniach węgla. Najważniejsze, żeby...

Marni warknęła wściekle i wyrwała się trzymającemu ją gwardziście. Skoczyła naprzód, sięgając twarzy Torrance'a zakrzywionymi palcami. Jej ojciec cofnął się odruchowo, ale nie dość szybko na jego policzku pojawiły się czerwone pręgi.

Zanim jednak Marni dosięgła zdrowego oka Torrance'a, dopadli ją gwardziści. Wyjąc w bojowym szale, daremnie próbowała wymknąć się z uścisku.

Torrance tymczasem płynnym ruchem wyciągnął z kabury pistolet i strzelił.

Marni przycisnęła dłoń do piersi, z twarzą wykrzywioną bólem runęła na posadzkę i znieruchomiała.

Zacisnąłem pięści, oceniając w duchu swoje szansę na odplacenie draniowi przynajmniej jednym, soczystym ciosem.

Torrance jednak wołał nie ryzykować.

– Skuć ich – zarządził. Zirytowany, dotknął zranionej twarzy i spojrzał na nieruchome ciało Marni. – A to... wrzucić do spalarni.

Gwardziści zaczęli już zamykać stalowe kajdany na moich nadgarstkach, gdy usłyszałem, że na zewnątrz budynku, na ulicy, dzieje się coś niezwykłego. Przez chwilę miałem nawet nadzieję, że tryfidy powróciły. Ale to nie były ostrzegawcze okrzyki. Chór głosów – spokojnych, choć dość natarczywych – był coraz lepiej słyszany.

Torrance łypnął zielonym okiem w stronę drzwi, a ja poszedłem za jego spojrzeniem. Wejścia strzegł teraz oddział cywilów uzbrojonych w karabiny. Widziałem, jak spoglądali po sobie niepewnie i jeden po drugim odsuwali się na bok.

Zaciekawiony, popatrzyłem na pilnujących nas gwardzistów. Zapomnieli o kajdankach, wsłuchani w coraz donośniejsze głosy przybyszów, którymi byli... Ślepcy. Poruszali się pewnie, postukując białymi laskami o marmur.

– Co to ma znaczyć? – spytał poirytowany Torrance. – Wygonić ich stąd.

Ślepcy jednak byli coraz bliżej. Wkrótce stało się jasne, że są ich nie dziesiątki, lecz setki. Stanowili ciekawą mieszankę: byli wśród nich biali i kolorowi, jedni ubrani schludnie, inni w łachmanach. Widać było, że przyszli tu nie tylko z wolnej części Manhattanu, ale także z obozu niewolniczej pracy na pomocnym krańcu wyspy.

Grymas na twarzy Torrance'a wyrażał gniew i zdumienie.

Na czele dziwacznej procesji kroczyła niewidoma, mniej więcej siedemdziesięcioletnia kobieta o białych, długich włosach. Obok niej szła przewodniczka – widząca dziewczyna.

Torrance roześmiał się nagle. Spojrzał najpierw na mnie, a potem na Sama Dymesa.

– Wiem, co to takiego, Dymes! – zawołał, machając pistoletem w stronę Ślepców. – To twoja tajna broń. – Roześmiał się jeszcze głośniejsze. – Tylko na to cię stać?

– Nic o tym nie wiem – szepnął Sam.

– Ach, więc nie przyznajesz się do autorstwa tej absurdalnej pantomimy? Nareszcie gadasz do rzeczy! – Torrance odwrócił się i krzyknął w stronę niewidomych: – Posłuchajcie mnie! Zapomnieliście o starym przysłowiu? – spytał szyderczo, wskazując na swoje zdrowe oko. – W kraju ślepców jednooki królem!

– Generale Fielding... – odezwała się spokojnie staruszka.

– Precz stąd, kobieto! I zabierz ze sobą tę hołotę.

– Nie odejdziemy, generale Fielding. A może powinnam powiedzieć... Torrance?

Dobry humor Torrance'a prysł.

– Masterfield, opróżnij hol. Jeżeli nie wyjdą w ciągu pięciu minut, każ ludziom strzelać.

Gwardziści unieśli broń.

W odpowiedzi kobieta przemówiła czystym, donośnym głosem, ale nie do Torrance'a.

– Stephen? Stephen? Jesteś tu?

To był sygnał dla pozostałych Ślepców. Teraz i inni zaczęli nawoływać.

– Elisabeth?... Elisabeth?

– Anthony?

– Hans?... Jesteś tu, Hans?

– Joe? Słyszysz mnie, synku?

– Colleen?

– Rose?

– Aaronie, gdzie jesteś?

– Theo!

– Michael? To ja, twój ojciec...

Ślepcy z obu części Manhattanu nie przestawali szukać swoich synów i córek.

– Colleen?

– Benjaminie, matka cię woła...

– Słyszysz mnie, synu?

– Thomas...

Torrance wpadł w furję.

– Wypędzić ich stąd, choćby gołymi pięściami! – wrzasnął do swoich ludzi. – A jeśli się nie ruszą, strzelać! Strzelać jak dopsów!

Przebiegłem wzrokiem po twarzach gwardzistów. Gdyby batalion czołgów wjechał do holu przez główną bramę, nie byłoby bardziej oszołomieni. Czerwienili się ze wstydu i patrzyli jeden na drugiego, nie bardzo wiedząc, co robić.

W rezultacie nie robili nic.

A Ślepcy wciąż nawoływali.

– Joe, posłuchaj mnie. Odlóż broń, chłopcze.

– Colleen, nie strzelaj!

– Benjamin...

Zerkąłem ciekawie na twarze gwardzistów. Wiele z nich drżało, jakby w głowach żołnierzy kotłował się nadmiar emocji.

I nagle pierwszy z oficerów rzucił pistolet na ziemię. Broń stuknęła głośno o podłogę.

Ten odgłos nie przerwał nawoływań.

– Podnieś broń – syknął Torrance. – Podnieś albo staniesz przed sądem wojskowym.

Żołnierz pokręcił głową, nie odrywając wzroku od kamiennej podłogi. Po chwili stuknęły o nią automaty i pistolet półautomatyczny.

– Rozkazuję wam podnieść broń!

Kolejne karabiny padały na posadzkę i wkrótce cały hol wypełnił brzęk metalu uderzającego o kamień. Spojrzałem na cywilów strzegących wejścia do budynku. Oni także odłożyli broń. Wkrótce hałas ucichł równie nagle, jak się rozpoczął.

Starsza kobieta przemówiła znowu:

– To już koniec, Torrance. Twoi współnicy zostali aresztowani i staną przed sądem. Podobnie jak ty.

– Co? Wy, szmaciarze, ośmielacie się mnie osądzać!? Nigdy. Nigdy! – Torrance uniósł broń i wycelował w twarz staruszki.

Niektórzy mówią, że nie istnieje nic takiego jak czysty przypadek. Że wszystko, co robimy, jest wynikiem podświadomych pragnień.

Gwardziści zdążyli założyć mi kajdany tylko na jedną rękę, zanim w holu zjawili się Ślepcy. Teraz ze skutego prawego nadgarstka zwisał swobodnie dobry metr łańcucha, zakończonego ciężką stalową bransoletą.

Zanim Torrance zdążył strzelić, z całych sił zakręciłem łańcuchem nad głową. Próbowałem trafić w rękę trzymającą broń, ale mierzyłem zbyt wysoko. Poza tym Torrance usłyszał świst łańcucha i odwrócił się w moją stronę.

Stalowa bransoleta uderzyła go w twarz. Widziałem aż nadto wyraźnie, jak metal wbija się w jedyne zdrowe oko dyktatora.

Gdy lekarze wynosili go z holu, wciąż jeszcze na przemian kłął i ryczał z bólu i wściekłości.

Odwróciłem się do Kerris, która klęczała przy Marni i przyciskała okrwawioną dłoń do jej piersi. Na jej policzkach błyszczały łzy. Podszedłem bliżej. Byłem w tej chwili bodaj jedynym człowiekiem w całej sali, który wykonał jakikolwiek ruch. Otaczało mnie co najmniej pięćset osób, ale wszyscy stali nieruchomo, jakby duch obalonego tyrana wciąż jeszcze był obecny wśród nas.

Wreszcie jednak ponury czar prysł. Gwardziści pobiegli ku swoim niewidomym matkom i ojcom. Sądząc po tym, jak emocjonalnie reagowali na spotkanie, nie widzieli ich od bardzo dawna. Po chwili zjednoczone na nowo rodziny zaczęły opuszczać gmach.

My także wkrótce mieliśmy wyjść na ulicę – ale nie od razu. Najpierw trzeba było zająć się Marni. Po tym, co zrobiła, za nic w świecie nie pozostawilibyśmy jej bez opieki.

45. Daleki świat

W słoneczny październikowy poranek hydroplan miękko wylądował na spokojnym morzu. Zamknąłem przepustnice i potężne silniki, które przez ostatnich piętnaście godzin niosły nas na wschód ponad Atlantykiem. Zapanowała cisza. Zielone wzgórza wyspy Wight były dokładnie takie, jakimi je zapamiętałem. Sylwetki domów w Shanklin rozmazywała trochę warstewka mgły. Do dziobu samolotu dobijała właśnie motorówka. Zaraz popłynęliśmy do przystani, gdzie na powitanie wyszedł nam spory tłum mieszkańców osady.

Podróż była długa, a na Manhattanie czekało nas jeszcze mnóstwo pracy, ale uznałem, że inaczej być nie może: moi rodzice musieli poznać kobietę, która nosiła pod sercem ich pierwszego wnuka.

Zeszliśmy na pomost wśród radosnych okrzyków i wiwatów. Nigdy przedtem nie widziałem tu czegoś podobnego – co się stało z tradycyjną angielską rezerwą? Uśmiechnąłem się, widząc, jak Gabriel Deedes znika w gromadzie wyspiarzy pragnących uścisnąć jego prawicę. Nad tłumem górowała imponująca sylwetka Indianina, Rydera Chee. Nawet on, zwykle tak poważny, uśmiechnął się na widok rozradowanych gospodarzy spieszących na powitanie.

Christina śmiała się głośno i, błyskając oczami, ochoczo odpowiadała na przyjazne okrzyki moich rodaków.

Całe to zamieszanie było dla mnie aż zbyt serdeczne. Nagle stanąłem twarzą w twarz z uśmiechniętym ojcem.

– Ciesz się tą chwilą, synu – powiedział, kładąc mi ręce na ramionach. – Tak wita się bohaterów, a ty w pełni zasługujesz na to miano.

Nie było czasu na dłuższą rozmowę, bo zaczęły się serdeczne uściski, poklepywania i całusy. Mój stary kumpel, Mitch Mitchell – nie na darmo zwany Małą – zdołał przecisnąć się przez tłum, pomagając sobie długimi ramionami. Mierząc z zapalem moją czuprynę, zawołał:

– Jutro o ósmej w Białym Łabędziu. Stawiam piwo! Posuwaliśmy się bardzo powoli, ale wreszcie dotarliśmy do ulicy, na której czekały na nas samochody.

Mój ojciec, Bili Masen, bohater dawnych lat, wiedział już o tym, co mnie spotkało – przez ostatnich kilka tygodni często rozmawialiśmy przez radio – ale domagał się szczegółów.

– Powiadasz, że dziewczyna, którą znalazłeś, Christina Schofield, jest odporna na jad tryfidów?

– Tak samo jak Ryder Chee i całe jego plemię. Mogą spacerować pośród tryfidów tak, jak my chodzimy po sadzie.

– Mówiłeś, że masz dla mnie jeszcze jedną niespodziankę.

– Mam – przytaknąłem z uśmiechem.

– No to mów, Davidzie, jaką? Chyba nie będziesz trzymał starego ojca w niepewności, co?

– Obawiam się, że będę musiał... jeszcze przez jakiś czas. To niespodzianka, którą trzeba pokazać.

– W takim razie jestem jeszcze bardziej zaintrygowany. Wsiadaj do pierwszego samochodu. – Ojciec odwrócił się w stronę Kerris, idącej pod rękę z moją matką. – Kerris, skarbie, pojedziesz z Davidem, a my za wami.

Konwój wozów opuścił Shanklin, kierując się ku wiejskiemu pensjonatowi, w którym mieliśmy się wszyscy zatrzymać. Po drodze zastanawiałem się, jak ojciec zareaguje na rewelację, którymi zamierzałem go uraczyć.

Miło było znowu oglądać dobrze znany krajobraz. Lecz choć radowałem się tym widokiem, myślą wciąż powracałem do miesięcy, które minęły od próby uwolnienia Christiny. Wtedy, w holu, gdy wyniesiono oślepiętego Torrance'a, zacząłem rozumieć, co się właściwie stało. Przypomniałem sobie, że kiedy tryfidy wtargnęły na ulice miasta, słyszałem komunikat radiowy, w którym nakazywano nowojorkczykom schronić się za murem, w pomocnej części wyspy. Wreszcie pojąłem, dlaczego w misji Leśników brali udział technicy telewizyjni i radiowi. Gdy rozpoczął się atak, nasi ludzie przejęli kontrolę nad stacjami nadawczymi i celowo wysłali w eter ten komunikat, by zachęcić ludzi do przekroczenia bariery Sto Drugiej ulicy. Był to ważny element planu Sama Dymesa – uświadomienie mieszkańcom Manhattanu, że pod ich boki żyją w straszliwych warunkach rzesze niewolników. Pomysł sprawdził się znakomicie. Ogarnięty paniką tłum zmusił strażników do otwarcia bram w murze (choć bez wątplenia żołnierze nie stawiali wielkiego oporu, wiedząc już o maszerujących w ich stronę tryfidach). Dziesiątki tysięcy uciekinierów z południa nagle znalazły się w północnym getcie. Rozglądali się prawdopodobnie z przerażeniem i zdumieniem. I to wystarczyło, by, jak to się dawniej mówiło, wypuścić dzinna z butelki. Rozpoczął się wspólny marsz Ślepców z obu części miasta na siedzibę władz, czyli Empire State Building.

I tak oto legł w gruzach reżim Torrance'a. Niewolnicy odzyskali swoje prawa. Rodziny znowu były razem. Okres przejściowy dla nikogo nie był łatwy, to chyba oczywiste, ale postępy dawały się łatwo zauważyć.

W pensjonacie zjedliśmy obiad, wymieniając przy okazji rodzinne opowieści. Ojciec gawędził z Ryderem Chee, jakby znali się od dziesięcioleci.

Wreszcie odezwałem się do niego:

– Ryder Chee chciałby przeprowadzić mały test na tobie i innych obecnych. Czy wszyscy się zgadzają?

Wzbudziłem powszechne zainteresowanie.

– Proszę podciągnąć rękawy – powiedziałem. Usłuchali.

Ojciec uniósł brew.

– Czy to ta ostatnia niespodzianka, którą chciałeś mi zafundować?

Z uśmiechem skinąłem głową.

– Tak jest – potwierdziłem, zawijając rękaw. – Ryder Chee dopiero tydzień temu zakończył próby. Trzeba będzie ulepszyć testy, żeby wszyscy mieszkańcy wyspy mogli się przebadać w miarę szybko i skutecznie. W każdym razie lwią część roboty Chee ma już za sobą.

– Teraz dopiero jestem naprawdę zaintrygowany – mruknął oj – ciec. – Co właściwie chcecie zbadać?

Nie mogłem odmówić sobie teatralnego gestu.

– Poczekaj, to się przekonasz.

Ryder Chee przechodził od biesiadnika do biesiadnika, Christina zaś trzymała tacę z kilkunastoma igłami rozłożonymi na sterylnym papierze. Indianin zanurzał każdą z nich w fiole z różowawym roztworem i metodycznie nakłuwał nadstawiane przedramiona.

Wpatrywałem się w maleńką dziurkę w skórze. Chee wspominał, że nie trzeba długo czekać na wynik testu. I rzeczywiście – po chwili ranka zaczęła swędzieć i szybko pojawiła się wokół niej czerwona plama.

Ojciec w napięciu spoglądał na własną rękę. Był prawie zawiedziony, gdy przekonał się, że nie widać na niej rumianego bąbla. Ryder Chee uważnie obejrzał nakłucie.

– Nic nie czujesz, Billu Masenie?
– Nic. – Ojciec wyglądał na skonsternowanego.
Ryder Chee z satysfakcją skinął głową.
– Czy w Anglii jest dużo tryfidów?
– Tak sądzę. Zajęły całą wyspę. Dlaczego pytasz?
– Dlatego, że jeśli masz ochotę, możesz wybrać się na wycieczkę – odparł Chee. – I spokojnie pospacerować między tryfidami.

Ojciec był oszołomiony.
– Chcesz powiedzieć... że jestem odporny?!
– Nakłułem twoją skórę igłą zanurzoną w słabym roztworze jadu tryfidowego. Nie ma żadnej reakcji, stąd wniosek, że nic ci nie grozi. Czego nie da się powiedzieć o twoim synu; dla niego jad byłby zabójczy.

– Jak to możliwe? Trzydzieści lat temu o mało nie oślepił mnie tryfid... Twarz paliła mnie żywym ogniem.

– Ale od tego czasu jadłeś tryfidy i pracowałeś przy nich prawie codziennie. Miałeś kontakt z ich trucizną w małym, niegroźnym dla człowieka stężeniu. Przez lata stymulowałeś więc swój organizm do wzmocnienia naturalnej ochrony. To samo dzieje się z zaklinaczami węży, którzy z czasem nabierają odporności na ich jad. – Ryder przyjrzał się ramionom pozostałych gości. – Co czwarty z badanych nie wykazuje reakcji. Sądzę, że to reprezentatywna próbka całej populacji. Znaczy to, że są wśród was tysiące odpornych jednostek. Możecie zacząć walkę o odzyskanie ojczyzny.

Ojciec siedział w milczeniu przy stole, kręcąc głową. Wiedziałem, że minie jakiś czas, zanim dotrze do niego szokująca prawda. Pracował tak ciężko, by w naukowy sposób zneutralizować potęgę tryfidów, a tymczasem jego ciało dokonało tej sztuki samorzutnie, o czym aż do tego dnia nie miał pojęcia.

I to właśnie mam wciąż przed oczami: widok ojca siedzącego obok Christiny. W jego oczach było tyle niedowierzania, gdy uparcie wpatrywał się w nieskażone tryfidowym jadem przedramię... Jakby nagle zobaczył klucz do nowego świata.

Wszystko to działo się sześć miesięcy temu. Teraz, choć mamy dziś ostatni dzień marca, tu, na Manhattanie szaleje najsurowsza zima, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się przeżyć. Burze śnieżne przetaczają się nad miastem, zamieniając świat za oknami mojego apartamentu na setnym piętrze w jeden wielki, biały wir. Gdyby nie pogoda, widziałbym teraz Statuę Wolności i ujście Hudsonu do Atlantyku, a także maleńką wysepkę, na której oślepiony Torrance wciąż wykrzykuje coś w furiackim zapale, na zawsze zamknięty w jednoosobowym więzieniu.

Podczas gdy rozproszone niedobitki ludzkości słuchały odwiecznego instynktu nakazującego prowadzić wojny, Wszechświat żył swoim rytmem, beznamiętnie realizując swoje niepojęte prawa. Kiedy walczyliśmy o Manhattan, chmura międzygwiazdowego pyłu – która, jak się dowiedzieliśmy, była przyczyną wielkiej ciemności spowijającej Ziemię – płynęła spokojnie przez system słoneczny. Co pewien czas jej zagęszczenia tamowały dopływ promieni słonecznych na naszą planetę, zmieniając dzień w najczarniejszą noc. Tak właśnie stało się późnym latem – sierpniowe mrozy zrujnowały nasze zbiory. We wrześniu zarówno wyspę Wight, jak i południe Stanów Zjednoczonych pokrywała gruba warstwa śniegu.

Chmura zniknęła dopiero w październiku i bez wątplenia wciąż jeszcze kontynuuje swoją wędrówkę przez kosmos. Nam pozostało tylko podsumować straty... Były i radosne momenty, jak

choćby narodziny naszego syna Williama czy udane leczenie Roweny, ale nie brakowało porażek. Bitwa o zapewnienie mieszkańcom miasta dostatecznej ilości pożywienia nigdy się nie kończy. Tryfidy są bardziej agresywne niż kiedykolwiek. Murują coraz szybciej, powielając się w nowych, bardziej niebezpiecznych wersjach. Dobrze, że ludzie z wyspy Wight, Manhattanu i społeczności Leśników wreszcie połączyli siły w walce z głodem i tryfidami.

Dziś, kiedy siedziałem przy biurku, słuchając wycia mroźnego wiatru za szybą, a mały William spał spokojnie w pokoju obok, nadszedł czas, by podsumować spisywanie tego bilansu dobrych i złych doświadczeń jednym prostym słowem „koniec”. Dokonawszy dzieła, zamierzałem znaleźć Kerris i napić się z nią kawy, a potem spokojnie wrócić do domu. Niestety, jak to zwykle bywa w życiu nie tylko ludzi, ale i całych cywilizacji, nie sposób powiedzieć „to już koniec” i udawać, że cały świat przestaje istnieć.

Oto niecałe pół godziny temu przyszedł do mnie Sam Dymes.

– Przepraszam, że wpadam tak bez zapowiedzi, Davidzie, ale powinieneś spojrzeć na to... – powiedział, pokazując mi raport z działu nasłuchu radiowego. Okazało się, że nasi ludzie odebrali dziwne, niezrozumiałe sygnały radiowe o niespotykanej mocy... Teraz obserwuję Sama, jak przechadza się nerwowo po pokoju i wyklada Kerris szczegóły tej sprawy. Mówi, że nadajnik pracuje w odległym zakątku świata, że nasze najpotężniejsze urządzenia to karły w porównaniu z tym tajemniczym emiterem i że już planuje wysłać ekspedycję na poszukiwanie źródła niepojętych sygnałów...

Widzicie? To się nigdy nie kończy. Jeszcze przed chwilą miałem przed sobą perspektywę długich miesięcy urzędniczej pracy – przygotowywania rozkładu lotów naszych linii, kalkulowania budżetów służb pocztowych i wielu innych, jakże monotonnych zajęć.

Ale teraz widzę siebie oczami wyobraźni za sterami samolotu; widzę słońce połyskujące złociście na końcówkach skrzydeł i słyszę najśłodszy pomruk silników niosących mnie ku horyzontowi, ku tajemnicom czekającym jeszcze na swojego odkrywcę.

Dlatego też, doszedłszy aż do ostatniej stronicy, czuję w kościach, że będę musiał złamać utarte zwyczaje. Nie zamkną mojej opowieści tradycyjnym słowem „koniec”.

Zamiast tego u progu nowego świata i na dzień przed nową przygodą mogę – i zrobię to z przekonaniem – napisać: